

WYDZIAŁ PERSJA

Najnowsza książka Davida Ignatiusa, autora bestsellerowych powieści, z których W sieci kłamstw była podstawą scenariusza do filmu o tym samym tytule w reżyserii Ridleya Scotta z Russellem Crowe'em i Leonardo di Caprio w rolach głównych.

Pracownik tajnego kompleksu badawczego ukrytego w Teheranie wysłał do CIA e-maila, którego podpisuje kryptonimem doktor Ali. Wiadomość trafia do Wydziału Persja. Okazuje się, że zawiera informacje dotyczące irańskiego programu nuklearnego, oficjalnie zawieszono w 2004 roku. Następuje

próba nawiązania kontaktu z tajemniczym informatorem, który przesyła dane dotyczące zakończenia prac nad irańską bombą atomową o ogromnej sile rażenia. Szef Wydziału Persja nie chce kolejnej interwencji USA w Iraku. Powołuje więc grupę supertajnych agentów z nowoczesną wersją „licencji na zabijanie”.

Znakomita powieść, która obnaża słabości agencji wywiadowczych światowych mocarstw, odkrywając przy tym mechanizmy rządzące polityką. Ukazuje współczesny Iran-fascynujący i nieznany.

IGNATIUS DAVID

WYDZIAŁ PERSJA

Tłumaczenie

MONIKA WYRWAS-WIŚNIEWSKA

Zeskanował Krzysztof Tykwiński

Jonathanowi Schillerowi

i doktorowi Richardowi Waldhornowi

Powstań powoli, Upiększą twarz,

By była jak lustro odbijające tęczę.

Rozrzucę niebieskie płatki kwiatów

I puszcę swą chustę z jedwabiu na wiatr [...]

Nagle stanę w pełnym rozkwicie,

Gdy wy będziecie odchodzić w zapomnienie.

Simin Behbahani

„Pudełko w pudełku”

ze zbioru A Cup of Sin: Selected Poems

Increment był (i jest nadal) wyborowym oddziałem żołnierzy SAS [...] skierowanym do współpracy z SIS, brytyjskim odpowiednikiem CIA. Tajni agenci MI6 nie mają i nigdy nie mieli legendarnej „licencji na zabijanie” z filmów o Jamesie Bondzie. Kiedy trzeba wykonać zadania tego typu, dopuszcza się używanie przemocy przez Increment.

The Center for Public Integrity

TEHERAN

Wyobraźcie sobie nieładny bulwar spływający ze wzgórza niczym glazura z brzegu glinianej misy. Szeroka ulica, przy której stoją domy towarowe i małe sklepiki, pulsuje neonami wykrzykującymi jaskrawo marki telefonów komórkowych, nazwy linii lotniczych i fast-foodów. Co kilka przecznicy arteria komunikacyjna oznaczona ręcznie malowanymi transparentami upamiętniającymi krew przelaną przez męczenników.

To aleja Vali Asr, oś północnego Teheranu. Przecina dzielnicę centrum, gdzie nienawiść do niewiernych osiąga apogeum podczas piątkowych modłów, a potem wspina się łagodnie aż do

Jamaranu, gdzie francuska moda i niemieckie samochody zdają się dowodzić, iż niewierni są wszędzie. Ale szczyty tych wzgórz kryją tajemnice nowoczesnych Irańczyków, których tożsamość jest w dużej części utkana z kłamstw. Nic w tej ulicy nie jest takie, jakie się wydaje, nawet nazwa. Dla bardziej rozbudowanych to wciąż przedrewolucyjna aleja Pahlawiego. Ostrzeżenie i zarazem pokusa.

Teheran potrafi płatać figle. Był areną rewolucji islamskiej i jest stolicą narodu, który żyje na krawędzi, ale policja pilnuje, żeby kierowcy zapinali pasy bezpieczeństwa. Gdy mułowie wzywają pielgrzymów, by udali się do świętego miasta Kom, patroli drogowe wyłapują za pomocą ręcznych radarów kierowców przekraczających dozwoloną prędkość. Zabronione jest oglądanie zagranicznej telewizji niewiernych, toteż wszyscy wręczają niewielkie łapówki miejscowym basi-ji, milicjantom, żeby nie zauważali anten satelitarnych na dachu. Kręgosłup tego wspaniałego miasta jest giętki. Teheran - tak jak cały irański naród - ugina się, ale nie łamie.

Nasza historia rozpoczyna się w alei Vali Asr od młodego naukowca, który mieszkał w dzielnicy Yoosef Abad, niedaleko jej najniższego punktu, ale pracował na jej należącym do władzy szczycie w dzielnicy Jamaran. Codziennie przemierzał się między tymi dwoma światami, uprzywilejowany i zarazem pełen wściekłości - nie na niewiernych, lecz na ludzi, którzy uważali, że nim rządzą. Opowiemy o jego decyzji, by porzucić jeden system wartości dla innego. Jak wszystkie opowieści o młodych ludziach usiłujących odnaleźć własną drogę, będzie to historia o ojcach i synach. Choć można by ją nazwać historią o zdradzie i lojalności. ???

Tego ranka, kiedy młody irański naukowiec podjął decyzję, po obudzeniu się stwierdził, że prześcieradło, na którym leży, jest mokre. Znów spociał się w nocy ze strachu. Zupełnie jakby zsiąkał się do łóżka. Właśnie wtedy zrozumiał, że musi działać. Już nigdy nie chciał budzić się ze świadomością, że jest tchórzem. Lepiej zmierzyć się ze strachem, zamiast żyć w ten sposób. To, co się z nim działo, przypominało inne przełomowe decyzje - o rozwodzie, opuszczeniu domu, odmowie modlitwy. Podejmowało się je, gdy nie było wyboru. Bo gdyby był jakiś inny sposób, mniej bolesny, kto by z niego nie skorzystał?

Młody mężczyzna czytał poprzedniego wieczoru tomik wierszy Simin Behbahani, ulubionej współczesnej poetki Irańczyków. Jego ojciec twierdził, że ją poznał, kiedy wykładał na uniwersytecie w Teheranie, a ona tam studiowała. Może była to prawda. Behbahani, tak jak jego ojciec, nigdy nie opuszczała Iranu na długo nawet w najgorszych czasach, ale w jej wierszach wyczuwało się cierpienie i tęsknotę za ucieczką. Młody człowiek zostawił książkę otwartą na wierszu zatytułowanym Moja ojczyzno, zbuduję cię od nowa. Teraz, rano, ponownie przeczytał słowa:

Moja ojczyzno, zbuduję cię od nowa,
jeśli będzie trzeba - z cegieł ulepionych z mojego życia.

Wzniosę kolumny, które wesprą twój dach,
jeśli będzie trzeba - z moich własnych kości.

Ponownie odetchnę zapachem kwiatów
ukochanych przez twoją młodzież.

Znów zmyję krew z twego ciała
strumieniami moich łez.

Nie powinno być tak, że tylko poeci mówią prawdę, pomyślał. Islamska Republika Iranu nie była jego ojczyzną. Potajemnie stał się jednym z doshmand, wrogów. Chciał zniknąć w cieniu swojej pracy i cieszyć się przywilejami, jak wszyscy inni konformiści, ale okazało się to niemożliwe. I to go właśnie przerażało: nie mógł uciec przed samym sobą. Jego ojciec twierdził, że powinien słuchać własnego głosu, a nie tych, którzy bezbożnie twierdzili, że przemawiają w imieniu Boga. Powiedział to tej nocy, kiedy umarł, a młody naukowiec

odparł: „Tak baba, rozumiem” co zabrzmiało jak przysięga. Nie chciał zostać zdrajcą, ale ta przysięga zakorzeniła się w nim. Wypierała inne głosy, aż wreszcie słyszał tylko własny. Kiedy obudził się tego ranka, miał już załazek planu. Wrzucił kamyk do stawu - a tym kamykiem będzie informacja, drobna część prawdy o tym, co robił w swoim laboratorium. Potem poczeka, aż po wodzie rozejdą się kręgi. Nikt tego nie zauważy, nikt nie wyśledzi przyczyny i skutku. Coś wpadło w jego ręce, a on to upuści. Pomyślał, że na początek możliwe jest tylko tyle. ???

Godzinę później wszedł do białego budynku w Jamaranie. Okna były przyciemniane, a na fasadzie nie widniał żaden napis informujący, czym się tu zajmowano. W środku znajdowały się laboratoria pełne nowoczesnego sprzętu sprowadzonego potajemnie z Zachodu. Ale naprawdę cenni byli ludzie, tacy jak młody naukowiec i jego przyjaciele. W bocznej ścianie budynku, w połowie zaułka w kształcie półksiężyca, znajdowały się drzwi. Nad nimi umieszczono kamerę, która rejestrowała wszystkie wejścia i wyjścia. Dom należał do tajnego archipelagu rozrzuconego po okolicy i w kilku innych punktach miasta, do łańcucha adresów, których nie można było znaleźć na żadnej mapie ani w żadnym publicznym spisie. Tylko ci, którzy należeli do tej siatki, wiedzieli o jej istnieniu. Ceną za przynależność było ciągle pozostawanie pod obserwacją i to, że nie wiedziałeś, kto cię obserwuje.

Kiedy po południu młody człowiek skończył pracę, otworzył drzwi, wyszedł do zaułka i skierował się ku głównej ulicy. Był przystojny, niedawno przekroczył trzydziestkę. Miał wydatny perski nos i czarne gęste włosy, które układały się w naturalne fale. Jak większość kolegów, do pracy ubierał się w czarny garnitur z cienkiej wełny i wykrochmaloną białą koszulę bez kołnierzyka, ale spod rękawów jego marynarki połyskiwały złote spinki do mankietów. Należały do jego ojca, a nosił je na pamiątkę po nim. W twarzy młodego naukowca można było dostrzec pewną miękkość, może dlatego, że nie nosił brody, a jego oczy błyszczały ciekawością, której nie próbował ukrywać. Chodził swobodniej niż większość Irań-czyków, stopy stawiał na zewnątrz pod lekkim kątem i trochę się garbił. Był to skutek kilku lat, które spędził jako student fizyki w Niemczech, gdzie wszyscy mogli chodzić swobodnie i nie musieli oglądać się przez ramię.

Dziś młody człowiek niósł pod lewą pachą czarną walizeczkę. Kiedy wychodził z budynku, przyciskał ją mocno do boku, żeby nie zarejestrowała jej kamera. ???

Był początek lata. Popołudniowy upał opadł na miasto niczym parujący szal utkany ze spalin. Tu, na wzgórzach, powinno być chłodniej, ale gdy smog zalegał nad niecką Teheranu, miasto robiło się demokratyczne - wszyscy cierpieli z powodu upału. Ci, którzy marzyli o ucieczce, w takie dni mieli świadomość, że jest możliwa tylko w marzeniach.

Ze wzgórz Jamaranu miasto wydawało się otwarte na świat, spływało z gór w kierunku jałowej pustyni. Był to wspaniały widok. Na pierwszym planie drapacze chmur i apartamentowce północnego Teheranu arogancko szturmowały wzgórze. Dalej znajdowały się zielone przestrzenie z fontannami i ogrodami - parki Mellat, Haqqani i Lavizan - gdzie ludzie uciekali przed smogiem i skwarem. Ale na wyobraźnię najbardziej działało to, co znajdowało się dalej: miasto ciągnące się kilometr za kilometrem na równinie, od krytych bazarów i niezliczonych zaułków po cmentarz męczenników w Behest-e-Zahra. Oto ono - zbyt rozległe, by objąć je wzrokiem, tak duże, że może da się w nim ukryć sekrety i nikt ich nie zobaczy.

Ale wrażenie otwartości było tylko iluzją, zwłaszcza w Ja-maranie. Cała dzielnica znajdowała się pod ciągłą obserwacją mężczyzn, którzy przez cały dzień siedzieli w samochodach, pilnując skrzyżowań, i kamer, które umieszczono na dachach wyższych budynków. Kiedy taksówka zabłądziła w te okolice, była natychmiast zauważana, a jeśli jakiś samochód stał tu za długo, sprawdzano jego tablice

rejestracyjne. Nawet telefonom brakowało prywatności. Jeżeli omyłkowo połączyłeś się z którymś z tutejszych numerów, ktoś oddzwaniał i pytał, kim jesteś. Mieszkańcy Jamaranu poruszali się limuzynami z przyciemnionymi szybami, ale nawet oni nie byli wolni od tych, którzy patrzą i słuchają. Jeśli popełnili błąd, poddawano ich ershad, pouczaniu.

???

Młody Irańczyk założył ciemne okulary, żeby nie raziło go popołudniowe słońce. Gdy minął przecznicę, zatrzymał się i włożył do ust kostkę mlecznej czekolady. Ten smak przypominał mu o Niemczech. Kawalek dalej znów przystanął przed sklepem z telefonami komórkowymi i oglądał nowe modele na wystawie. W szybie odbijały się twarze przechodniów, ale trudno byłoby stwierdzić, czy młody mężczyzna przygląda im się przez ciemne okulary.

Włożył do uszu słuchawki iPod'a - był to prezent od przyjaciela, który kupił go miesiąc temu w Dubaju - i nastawił odtwarzanie losowe. Uruchomił się kawalek perskiego ra-pera z Los Angeles noszącego pseudonim MEC (od Middle East Connection - łączność z Bliskim Wschodem). Był beznadziejny, więc przełączył na kolejną piosenkę, Walk on the Wild Side Lou Reeda. Ta była w porządku. Nikt nie słyszał muzyki i nikogo nie obchodziło, czego on słucha, ale gdy Lou Reed zaczął śpiewać o kolorowych dziewczynach, młody człowiek pomyślał, że może wyglądać na wywrotowca, i przerzucił się na utwory fortepianowe Bacha, które polubił

w Niemczech. To były wariacje goldbergowskie. Ale one też zaczęły go denerwować. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest Żydem. Wyłączył iPod'a i schował słuchawki do kieszeni.

Idąc w dół ulicy, minął kilka przecznic, aż dotarł do ruchliwego skrzyżowania. Tam złapał taksówkę i kazał się zawieźć na plac Haft-e-tir. Żona kierowcy, która siedziała na przednim siedzeniu, miała głowę owiniętą szalem, grube okulary na nosie i węszyła w powietrzu jak kret. Zlustrowała wzrokiem dobrze ubranego młodego człowieka i jego złote spinki do mankietów i z szacunkiem skłoniła głowę. Instykt podpowiadał jej, że ma do czynienia z kimś z adam hesabi, dobrej rodziny.

Ruszyli Modarres, drogą szybkiego ruchu, zatopieni w niespiesznej powodzi aut w godzinach szczytu. Kiedy taksówka dotarła na ruchliwy plac Haft-e-tir, ozdobiony neonami Nokii i Hyundaia oraz transparentami ku czci męczenników, młody mężczyzna wysiadł i znalazł sklep z zachodnią elektroniką. Kupił nową kartę pamięci do laptopa, pendrive'a i kilka programów, które skopiowano w Armenii i przemycono przez granicę. Włożył wszystko do swojej walizeczki i wyszedł ze sklepu. Dwie przecznice dalej, przy ulicy Bahar Shiraz, złapał kolejną taksówkę.

Było późne popołudnie. Kobiety tego lata znowu sprawdzały, ile im wolno, obnosząc się ze „złymi hijab”, chustami zsuniętymi z czoła tak bardzo, że odsłaniały błyszczące w słońcu włosy. W tym sezonie obowiązywał nowy rodzaj czadoru: ciaśniejszy guzik w talii, który, wraz z powiększającymi biust stanikami z Turcji, nadawał kobiecej sylwetce przyjemny kształt. Młodzi mężczyźni w ciemnych okularach i tanich skórzanych kurtkach przemykali na motorach, patrząc, ale nie dotykając, marząc o kobietach, których nigdy nie będą mieli. Piesi przeskakiwali przez ulice jak pluskwiaki wodne, a rozpedzone samochody mijały ich o włos.

- Chce pan posłuchać muzyki? - spytał kierowca.

Młody naukowiec nie odpowiedział. Nie chciał rozmawiać. Myślami był gdzie indziej. Żona kierowcy paplała coś o tym, że nie sposób dostać melonów w rozsądnej cenie. Kierowca wspominał o przegranym meczu swojej ulubionej drużyny piłkarskiej, mając nadzieję, że w ten sposób zwróci uwagę pasażera. Tak, to okropne, przyznał obojętnie naukowiec. „Oni kompletnie nie potrafią grać, gorączkował się kierowca. To psy. Nie, nie psy... Grają jak kobiety. Grają jak Arabowie”.

???

Od jak dawna myślał o zrobieniu tego, co teraz zamierzał? Przynajmniej od roku, a może nawet przez całe dorosłe życie. Był pewien, że nikt tego nie podejrzewa. Inaczej nigdy by mu nie pozwolili wejść do dzielnicy Jamaran ani nie daliby mu biura w białym budynku bez nazwy.

To była ich słabość. Podejrzewali każdego, a że komuś musieli ufać, nigdy nie byli pewni, czy skierowali to zaufanie we właściwą stronę. Mówili, że ufają Bogu, ale to im nie wystarczało. Stworzyli więc tajemną partię Boga, spisek Boga, a młody człowiek do niego należał. Był lojalny pod każdym względem z wyjątkiem jednego: pozwalał sobie myśleć o popełnieniu nielojalności. Ta myśl dojrzewała w nim powoli, aż nadeszła chwila, kiedy stała się jedyną ważną rzeczą, a granica między lojalnością i nielojalnością zniknęła.

Wysiadł z taksówki na placu Fereshteh niedaleko Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - jeśli chcesz ich oszukać, zrób to na widoku - i wszedł ze swoją walizką do domu przy ulicy Khosravi. Na pierwszym piętrze znajdowały się biura niewielkiej firmy jego stryja Jamshida, która produkowała aluminiowy siding. Młody człowiek pomagał czasami w pracy biurowej, z szacunku dla stryja. Kilka miesięcy temu zainstalował komputer i załatwił dostęp do Internetu na jego nazwisko. Przychodził czasami po południu popracować nad księgami rachunkowymi i wysyłać e-maile do dostawców firmy w Iranie, w Dubaju i w Ankarze. Jedna z firm irańskich miała własny serwer pocztowy. Nie było trudno włamać się do niego i napisać program, dzięki któremu wysłana wiadomość wyglądała, jakby pochodziła z zupełnie innego miejsca. Młody człowiek znał się na komputerach. Wiedział, jak zatrzeć ślady.

Miał własny klucz do biura stryja, więc wszedł bez problemu. Sekretarka była jeszcze w pracy; daleka krewna, dziwaczna dziewczyna z Isfahanu. Opróżniła kosze na śmieci, potem pożegnała się i młody człowiek został sam. Chciał dać dziewczynie kilka riali za fatywę, ale wyszła za szybko. Może i lepiej, bo mogłaby zapamiętać napiwek. Włączył komputer i włożył płytkę z nowym programem. Na zewnątrz zrobiło się nieco chłodniej. Włączył muzykę i spróbował się odprężyć.

Był posht-e-pardeb. Za zasłoną. Miał tajemnicę. A właściwie tajemnicę zamkniętą w wielu innych tajemnicach. Tak się to robiło po persku. W Iranie mówienie wprost świadczyło o złych manierach. Jeśli spytałeś rzemieślnika, ile chce za swoją pracę, odmawiał przyjęcia zapłaty. Nie chodziło o to, że nie chciał pieniędzy, po prostu nie chciał wymienić ceny. Tak samo było z tajemnicą młodego naukowca. To był dar, ale nie dawany za darmo. Mówił prawdę, lecz nie tę, którą odczytywałeś na pierwszy rzut oka.

Dlaczego to robił? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie nawet samemu sobie. Chodziło o coś więcej niż słowa. Chodziło o upokorzenie ponawianych raz po raz potwarzy, o to, jak znieważyli jego kuzyna Hosejna, choć był ich wiernym sługą, jednym z hach-e-ba. Chodziło o to, no i o słowa ojca, a także o przykład, jaki mu dał: miał zasady i nigdy ich nie złamał. Nie, po prostu nie mógł dłużej tak żyć. Dusił się. Tracił szacunek dla samego siebie. Zakładał, że ludzie, z którymi się kontaktował, nie są głupi. Ale czy to rozsądne założenie wobec obcych? To tak jak z uściskiem dłoni: w Iranie podawana ręka była bezwładna i miękka, oszukańczo uległa. A obcy czasami ściskali ci dłoń tak mocno, jakby chcieli połamać kości, chociaż miała to być oznaka przyjaźni. W Niemczech doświadczył setek miażdżących uścisków na powitanie. Barbarzyński zwyczaj, ale stosunkowo niewinny. Kultura Zachodu musiała ciągle coś udowadniać. Nie potrafiła się ukrywać.

Młody człowiek zaczął pisać. Jeśli będzie ostrożny i zrobi wszystko tak, jak zaplanował, pozostanie niewidzialny. Wrzuci do wody swój kamyk i będzie czekał.

Czy ludzie po drugiej stronie stawu, którzy zobaczą kręgi na wodzie, zrozumieją? Bał się, ale strach może uczynić człowieka silnym. To też powiedział mu ojciec przed śmiercią. „Strach jest twoim panem aż do dnia, kiedy stawisz mu czoła, a wtedy stanie się twoim nauczycielem

i obrońcą. Ukryje cię w cieniu, nauczy cię kłamać. To płaszcz, który zakładasz, szykując zemstę. Albo ucieczkę"

WASZYNGTON

Amerykanie nazywali go „doktorem Alim” W żargonie technicznym Centralnej Agencji Wywiadowczej oznaczało to wirtualnego gościa - WG. Przyszedł późnym wieczorem, załogował się na oficjalnej stronie internetowej Agencji: www.cia.gov, a potem kliknął w ikonkę „kontakt” która przenosiła gości do zakładki otwarcie zachęcającej do popełnienia zdrady. „Jeśli posiadasz informacje, które twoim zdaniem mogłyby zainteresować CIA i pomóc jej w wypełnianiu misji, możesz użyć poniższego formularza. Będziemy starannie chronić wszelkie dostarczone przez ciebie informacje, jak również twoją tożsamość”. Poniżej znajdowała się informacja, że Agencja używa specjalnego protokołu szyfrowania „Secure Socket Layer” Nie podawano wprawdzie, jak działa ten protokół o imponującej nazwie, ale celem wzmianki było wzbudzanie zaufania. Ten gość nie potrzebował takich zachęt. Wiedział dokładnie, co robi.

Przesłał swoją wiadomość tekstem tak otwartym, że łatwo ją było przeoczyć, i zniknął w otchłani Internetu. Nie pozostawił po sobie żadnych śladów, żadnych wskazówek wyjaśniających, dlaczego ryzykował, by wyszeptać swoje sekrety przez cyberprzestrzeń. Tak naprawdę nie istniał, wyjąwszy tych kilka bitów komputerowego kodu.

??*

Była parna czerwcową noc. Nad miastem przeszła burza, a teraz wokół siedziby CIA unosiła się wilgotna mgła.

Nieliczni pracownicy z nocnej zmiany, którzy zajmowali się monitorowaniem publicznej strony internetowej Agencji, zaczęli się pakować. Spędzili tę noc na czytaniu bzdurnych e-maili w poszukiwaniu wiadomości, które ostrzegałyby przed atakiem terrorystycznym albo zawierały prawdziwe dane. Byli zmęczeni; marzyli, żeby wsiąść do swoich samochodów stojących na Brązowym albo Żółtym parkingu i wracać do domu.

To Jana, Afroamerykanka pracująca dla Agencji od trzech lat, zwróciła uwagę na wiadomość wysłaną z komputera dostawcy Internetu w Iranie. E-mail najwyraźniej umknął innemu pracownikowi - było już późno, a on miał za sobą analizę ponad stu wiadomości. Ale gdy Jana pod koniec zmiany jeszcze raz przejrzała pocztę, ten e-mail ją zastanowił.

Kolegom, którzy zbierali się do wyjścia, powiedziała, żeby na nią nie czekali, bo musi zostać jeszcze kilka minut. I rzeczywiście nie zamierzała zostawać dłużej. Jako samotna matka chciała dotrzeć do domu na tyle wcześniej, by przygotować córce śniadanie i wyprawić ją do szkoły. Miała niski poziom dostępu - zaledwie GS-9 - i tylko raz była za granicą, jeszcze przed rozwodem, ale miała też instynkt. Wiedziała, że wśród dziwaków wysyłających anonimowe wiadomości do CIA są tacy, którzy znają naprawdę ważne tajemnice. Wściekli na rząd, służby bezpieczeństwa czy po prostu na swoich szefów, łączą się przez Internet z zagranicą i stamtąd przesyłają swoje rewelacje, by nie można ich było namierzyć. Za czasów Jany zespół, w którym pracowała, wyłapał kilkadziesiąt takich maili z Chin i kilka z Rosji. Ale nigdy z Iranu. Dlatego została.

Wiadomość wydawała się kompletnie bez sensu, zawierała ciąg dat i przyporządkowanych im liczb. Może to ważny

dokument techniczny, a może zwykły śmieć. Jana nie była pewna, ale że mail pochodził z miejsca ważnego dla CIA, opatrzyła go komentarzem „Irański WG?” i przekazała dalej.

Do Centrum Operacji Informatycznych, które zajmowało się taktyką komputerową w tajnych służbach, a kopię na wszelki wypadek do Wydziału Bliskiego Wschodu, do koordynatora zagadnień irańskich w biurze krajowego dyrektora wywiadu oraz do Wydziału Operacji Irańskich. Jak się miało okazać, w zbyt wiele miejsc, ale skąd Jana mogła o tym wiedzieć? ???

Jedna z kopii trafiła do Harry'ego Pappasa, nowego szefa Wydziału Operacji Irańskich. Pierwszego dnia nie zwrócił na maila uwagi. Był tak zajęty, że nie widział stawu, a co dopiero zmarszczek na jego powierzchni.

Harry, wielki człowiek w instytucji, która zrobiła się mała, miał twarz, na której odbiło się całe jego życie: pomarszczoną od słońca i nieprzespanych nocy, okoloną kręconymi włosami, które zrobiły się szare jak popiół. Najbardziej niepokojące były jego oczy, dzikie i równocześnie śmiertelnie znużone. Przyszedł do Agencji w latach osiemdziesiątych, z armii, a zaczynał od szkolenia kontrast w Nikaragui. Mówił słabo po hiszpańsku, z akcentem z Worcester w stanie Massachusetts. Później dodał do tego równie kiepski rosyjski i perski. Jednak zawsze jakoś tak się składało, że ludzie rozumieli Harry'ego Pappasa bez względu na to, jakiego języka używał.

- Jeśli ludzie nie kapują, co Harry mówi, zaczyna mówić głośniej - wyjaśniał ten fenomen jego najlepszy przyjaciel Adrian Winkler. Adrian, Brytyjczyk i jak większość pracowników SIS, świetny lingwista, załatwiał swoje sprawy dużo ciszej, ale podobnie jak Harry cenił sobie dowcip. Bez wzglę-

du na to, jak źle wyglądały sprawy, Pappas nie tracił ochoty do żartów. To pomagało mu przetrwać w Nibylandii tajnych służb.

Harry Pappas nie był jednak szczęśliwy i wszyscy o tym wiedzieli. Kilka lat temu stracił w Iraku jedyne dziecko. Bałagan, jaki porobił się w tym kraju, przyprawiał o ból głowy wszystkich w Agencji, ale dla Harry'ego to była sprawa osobista. Dlatego przyjął propozycję prowadzenia Wydziału Persja - żeby otrząsnąć się z bólu.

Dziś to nie działało. Jego biurko było zavalone papierami, których nie miał ochoty czytać. Czekąco go przygotowanie raportu dla senackiej komisji do spraw wywiadu, której członków uważał za jełopów i bezproduktywnych krytykan-tów, a sam dyrektor polecił mu streścić przebieg spotkania komitetu zastępców Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W obu przypadkach najchętniej by odmówił, ale wiedział, że nie może.

Wszyscy - dyrektor CIA, krajowy dyrektor wywiadu, Biały Dom, komisje do spraw wywiadu w Kongresie - chcieli danych z Teheranu. Jeśli w codziennym biuletynie przygotowywanym dla prezydenta nie było na ten temat ani słowa, pytał: „A co z Iranem?” Dyrektor zaproponował Harry'emu cotygodniowe wizyty w Białym Domu razem z człowiekiem, który przygotowywał biuletyn, żeby się pokazać i usprawiedliwić, ale Pappas się wykręcił. Obawiał się, że nie powiedziałby tego, co trzeba.

To, co naprawdę miał ochotę powiedzieć prezydentowi, brzmiało: „Przestań mi wtykać paluch w oko. Odejdź, okaż cierpliwość, zamknij się”. A tego nie wolno mu było powiedzieć, zwłaszcza że rewidenci tajnego budżetu wręcz zasypywali go forszą. Chcieli mieć więcej wszystkiego - więcej ludzi,

więcej operacji, więcej agentów. Najwyraźniej sądzili, że wywiad to kran, który można odkręcić do oporu, jeśli wpompuje się w niego dość kasy. Harry stawał okoniem. Brakowało pracy dla ludzi, których już miał, więc nie chciał nowych. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to kolejni pracownicy szwendający się po biurze i rozsyłający bezsensowne raporty, żeby markować robotę.

„Nie walcz z problemem”. To była jedna z zasad Harry'ego, na którą trafił wiele lat temu w biografii George'a C. Marshalla. Długo zastanawiał się, co te słowa naprawdę znaczą, aż pewnego dnia przyszło mu do głowy, że słynny generał chciał po prostu powiedzieć:

„Rozwiąż problem. Ustal, na czym polega, a potem go rozwiąż”. To Harry potrafił. Nie należał do tych mózgowców, którzy lubili pokazywać innym, ile się muszą nagłówkować.

Pochodził z Worcester. Był prostakiem z armii. Cieszył się, jeśli ludzie chcieli na nim polegać.

Harry był cierpliwy. Wiedział, że potencjalni irańscy agenci gdzieś tam są. Ktoś został znieważony przez Gwardię Rewolucyjną. Inny nie dostał awansu. Jeszcze inny miał dosyć

skorumpowanych urzędników, którzy utrudniali mu życie. Czyjaś żona miała raka, którego można było leczyć tylko na Zachodzie. Jakiś ojciec chciał, żeby jego dzieci odniosły sukces, albo stracił jedyne dziecko i pragnął wypełnić tę pustkę. Ktoś był idealistą, ktoś inny łasy na forszę. Czyjaś kochanka chciała pieniędzy, jakiś facet był gejem. Nic, tylko wybierać. Oni wszyscy tam są, Harry o tym wiedział. Miał przygotowaną długą listę osób, na które rzucą się jego ludzie, jeśli kiedykolwiek zdołają się do nich zbliżyć.

Nie wiedział jednak, że taki człowiek już się zjawił. Wiadomość od niego spoczywała w jego skrzynce e-mailowej, czekając na przeczytanie.

???

Andrei, żony Harry ego, nie było, kiedy wrócił do domu. Przez trzy wieczory w tygodniu pracowała jako wolontariuszka w parafii prawosławnej w McLean. To była jej forma pokuty. Ich córka Louise oglądała w salonie powtórkę Seksu w wielkim mieście. Harry posiedział z nią chwilę, popijając piwo, ale nie czuł się swobodnie, bo bohaterki rozmawiały o penisach. Pocałował więc córkę na dobranoc i poszedł do łóżka. Wyraźnie się ucieszyła, że wreszcie będzie mogła oglądać serial w spokoju.

Próbując zasnąć, Harry myślał o synu, który zginął w Iraku w 2004 roku. Agencja nie była dla niego dostatecznym wyzwaniem, więc wstąpił do marines. „Zginął na drodze w wybuchu miny-pułapki” - brzmiał podpis pod jego zdjęciem w galerii „Twarze poległych” prowadzonej przez „Washington Post”. Sugerowało to coś w rodzaju wypadku drogowego. Przynajmniej jego syn mógł wierzyć, że sprawa, za którą walczy, jest słuszna. Darowana mu została myśl: co za pieprzony obłąd. Harry emu nie. Nie spał dobrze tej nocy, ale nigdy dobrze nie sypiał.

WUŚZYNNGTON

Następnego dnia Harry Pappas przyjechał do pracy bardzo wcześnie. Miał teraz dobre miejsce parkingowe, niedaleko wejścia. Wszyscy próbowali być dla niego mili, jakby był delikatnym instrumentem, który złamie się, jeśli nie będą się z nim obchodzić ostrożnie. Przeszedł przez elektroniczną bramkę, ignorując strażnika i kolegów idących do swoich biur. Była szósta czterdzieści pięć. Większość rannych ptaszków starała się wyglądać zwawo, ale nie Harry. Szedł ciężkim krokiem ze spuszczoną głową. Wydział Persja mieścił się w korytarzu C głównego budynku siedziby CIA, tuż za szklaną gablota, w której umieszczono starą szpiegowską łódź podwodną. Prowadziła do niego niewielka rampa i drzwi z elektronicznym zamkiem. Przy drzwi wisiała ledwie widoczna tabliczka z napisem WYDZIAŁ OPERACJI IRAŃSKICH.

Pierwszą osobą, jaką zobaczył Harry po otwarciu drzwi, był imam Husajn. Uśmiechał się z utrzymanego w jaskrawych kolorach dwumetrowego plakatu, który Pappas kupił w Bagdadzie, kiedy był szefem tamtejszej placówki. Plakat zawsze zaskakiwał gości i właśnie dlatego Harry powiesił go zaraz za drzwiami wydziału, obok biurka recepcjonistki. Nie jesteśmy już w Kansas, chłopcy i dziewczęta. Chciał, żeby młodzi, którzy znali ulice Teheranu tylko ze zdjęć lotniczych, mogli choć częściowo zrozumieć, co to za zaskakujący kraj ten Iran.

Plakat, tani i kiczowaty, wprawilby w zażenowanie każdego wykształconego Irańczyka, ale miał tę komiksową energię przemawiającą do ludu: słodkie ciemne oczy męczennika, skóra jasna jak papier ryżowy, czarne włosy lśniące niczym futro pantery. Oczy imama były wilgotne od łez, jakby antycypował tragedię. Kiedy Irańczycy w nie patrzyli, też płakali, ze wstydu i złości. Taka straszna historia - potomek proroka zwabiony przez złego Jazida pod Karbalę i tam zamordowany. Irańczycy wspominali tę potworną zdradę co roku, chłuszcząc się w akcie zbiorowej hysterii. Przesłanie było jasne: strzeż się spisku przeciwko wiernym. A skoro tak, to czy są jakieś niedopuszczalne działania obronne?

Harry każdego ranka zatrzymywał się i patrzył na plakat, żeby wejść w umysły ludzi, którzy tragedię z 680 roku traktowali tak, jakby zdarzyła się wczoraj. Irańczycy rozumieli cierpienie.

Wiedzieli, że zdradzeni zostali porządni młodzi ludzie. Że dobro jest tajemnicą, a szczęście to złudzenie. Harry podzielał te poglądy.

Nie chciał zostać szefem Wydziału Operacji Irańskich. Po Bagdadzie miał ochotę zniknąć, zaszyć się gdzieś w czeluściach CIA albo po prostu przejść na emeryturę, jak większość jego przyjaciół. Zapisać się na kurs „Horizons” i dać sobie z tym wszystkim spokój. Irak go złamał. Nie wielka wojna, która niszczyła wszystkich, ale samotna rozpacz, która towarzyszy osobistej stracie. Złamana została także Agencja, ale to nie był problem Harry'ego. A przynajmniej nie lubił myśleć, że to jego problem.

Jednak dyrektor zwrócił się do niego z osobistym apelem, a kilku najbliższych przyjaciół przekonywało, że to jego obowiązek. Jedyne rozwiązanie, by uniknąć drugiego Iraku, to mieć właściwych ludzi w Wydziale Persja. Powtarzali Harryemu, że jest najlepszy, że tylko on potrafi powiedzieć równocześnie i tak, i nie. Odszedłby mimo to, za bardzo cierpiał. Przekonała go dopiero żona. Powiedziała, że ta praca pomoże mu przysiąc do siebie po stracie Alexa i że w ten sposób dotrzyma wiary niezującym synowi. Jeśli jej nie przyjmie, umrze.

Więc Harry się zgodził i powiesił na ścianie plakat z imamem Husajnem, który mu codziennie przypominał, że mieszka w kraju pełnym zdrady i bólu.

???

Gabinet Harry'ego znajdował się tuż za ciężkimi drzwiami wejściowymi. Stało tam duże drewniane biurko i miękka skórzana kanapa dla gości, a pod ścianą stół konferencyjny i krzesła - tu odbywały się narady wydziału. W pokoju nie było okien, a kiedy zamknięto drzwi, zmieniał się w duszny, ponury grobowiec tajemnic. Harry nie zawracał sobie głowy urządzaniem gabinetu. Miał całe kartony z pamiątkami z poprzednich misji - z Tagucigalpy, z Moskwy, z Bejrutu, nawet z krótkiego okresu na irańskiej „wirtualnej placówce” znanej jako TehFran, a mieszącej się we Frankfurcie w Niemczech - ale nie miał serca do rozpakowywania tych starych śmieci. Widok pamiątek po własnym życiu tylko by go przygnębił, więc zostawił pudła w domu. A jeśli chodzi o medale i inne dowody uznania ze strony Agencji, zniszczył je, jeden po drugim, w nocy po pogrzebie Alexa.

???

Ludzie Harry'ego zebrali się w jego spartańskim biurze na poranną odprawę. Większość z nich stanowili młodzi zdolni. Agencja zaczynała przypominać uniwersytet, gdzie wykłada kilku starych profesorów, a reszta to studenci. Młodzi w Agencji, nazywani dumnie „oficerami”, byli na jednej czy dwóch zagranicznych placówkach, ale poza tym przypominali studentów. Była tylko sama góra i sam dół, brakowało ludzi pośrodku. Zdaniem Harry'ego to, że większość jego młodych kolegów nie nauczyło się jeszcze grać z systemem, było dobre. Usiadł u szczytu stołu, ledwie się mieszcząc na krześle.

- Sobh bekhir az laneh jasoosi - przywitał wszystkich po persku jak co rano. Witamy w gnieździe szpiegów. - Co się wydarzyło od wczoraj?

- Głównie cała masa niczego - odparła Marcia Hill. Uśmiechała się, choć Harry nie rozumiał dlaczego.

Marcia Hill, jego zastępczyni, zbliżała się do sześćdziesiątki. Miała zniszczoną twarz, głos ochrypliwy od whiskey i papierosów i pretensjonalny wygląd podstarzałej gwiazdy filmowej. Marcia stanowiła pamięć instytucjonalną Wydziału Persja - ostatnia ocalała z biura irańskiego po 1979 roku, kiedy to została zajęta ambasada w Teheranie, a stosunki amerykańsko-irańskie weszły w trzydziestoletnią fazę zamrożenia. Była oficerem raportującym, czyli wykonywała jedno z tych głównianych zadań, jakie przydzielano wówczas kobietom. Ale dobrze знаła perski, a podczas tych jałowych lat stała się niewyczerpanym źródłem wiedzy o operacjach w Iranie. Pamiętała nazwiska, związki rodzinne i wszystkie wpadki - tak naprawdę była jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę, jak fatalnie szedł tam Agencji werbunek agentów. W

uznaniu zasług została zesłana do wsparcia - gdzie znalazł ją Harry, gdy była już jedną nogą na emeryturze. Współczuła mu. I tylko dlatego zgodziła się dla niego pracować.

Marcia streściła informacje operacyjne, jakie otrzymali w nocy ze stacji nasłuchowych w Dubaju, Stambule, Baku i Bagdadzie i z kilkudziesięciu innych źródeł, które wchodziły w skład siatki Wydziału Persja. Jej relacja była

opowieścią o fałszywych podaniach i wykluczeniach z gry. Agent ze Stambułu próbował się dobrać do Irańczyka przebywającego na wakacjach w Turcji, który podobno należał do Gwardii Rewolucyjnej. Irańczyk uciekł. W Dubaju agent udający handlowca spotkał się z irańskim bankierem pod pretekstem rozmowy o inwestycjach w Pakistanie. Irańczyk powiedział, że pomyśli, co oznaczało odmowę. Agent w Niemczech obserwował na konferencji irańskiego naukowca, ale nie zdołał się do niego zbliżyć. Naukowiec miał bowiem dwóch opiekunów z Ministerstwa Wywiadu, ilekroć wychodził z pokoju. Było dokładnie tak, jak powiedziała Marcia: cała masa niczego.

- A lista zakupów? - spytał Harry. - Jakież nowe nazwiska?

Wydział Persja miał listę irańskich naukowców, których obserwacją się zajmował.

Aktualizowano ją od lat, dodając każdego absolwenta uczelni europejskiej, każdego Irańczyka, który opublikował cokolwiek w prasie naukowej, każdego członka zespołów, które wysyłano za granicę po sprzęt laboratoryjny albo komputery. Gdy ktoś z tej listy przekroczył granicę, pojawiała się iskra nadziei na rekrutację. Niestety ci ludzie bardzo rzadko wyruszali w zagraniczne podróże, a już nigdy sami. Irańczycy nie byli głupi. Jeśli pozwalali komuś wyjechać za granicę bez eskorty, to zwykle na wabia.

Głos zabrał Tony Reddo, pożyczony z WinPac, wydziału, który z ramienia Agencji monitorował zagadnienia związane z produkcją broni atomowej. Wyglądał tak młodo, że Harry czasami się zastanawiał, czy już zaczął się golić. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, a już od dwóch doktorat z fizyki jądrowej. Inni młodzi z wydziału nabijali się z niego, bo był taki mądry.

- Śledzimy trzy nowe doktoraty - powiedział Reddo. - Z neutroniki, hydrofoniki i dynamiki fal. Pilnujemy listy. Żadnych delegatów. Żadnych turystów.

- Coś nowego z zagranicy? Wszystko jedno skąd.

- Jeszcze nie - odparł Reddo. Zerknął na Marcie Hill, która dyskretnie puściła do niego oko.

- Chryste! - jęknął Harry i odwrócił się do Marcii. - Zawsze jest jakieś jutro. Prawda, Scarlett?

- Daj mi szansę, Harry. - Nadał się uśmiechała, mimo złych wieści. Wyraźnie trzymała coś w zanadru.

Ze względu na młodych Harry chciał okazać optymizm, ale to było trudne. Zawsze jest jakieś jutro, aż skończy im się czas i jutra już nie będzie. Tak to niestety działało. Ludzie przygotowywali listy i czekali na odpowiednią chwilę, która zwykle nie nadchodziła. Jak za dawnych dni w Moskwie: niczego nie inicjowałeś, inicjowało się samo. Po prostu czekałeś, aż jakiś wariat walnie w ścianę główną, a potem próbowałeś zachować go przy życiu.

- Coś jeszcze? - spytał Harry.

- Tak, jedna sprawa - powiedziała Marcia z szelmowskim uśmiechem. - Pewnie to przeczytałeś. Przyszło wczoraj, z naszej strony internetowej. To może być WG. Pokazałam Tonyemu i oboje uważamy, że to interesujące. Powinieneś rzucić okiem.

- To nie może zaczekać? - mruknął Harry. Chciał się skupić na ważnych sprawach, a nie na śmieciach z Internetu.

- Wszystko może poczekać - odparła Marcia - ale wydaje mi się, że powinieneś to zobaczyć. Tony ci wyjaśni.

Reddo wyciągnął kilka zadrukowanych kartek i położył na stole z rozanieloną miną.

Wyglądał jak szczeniak, który znalazł kość.

- Co to za gówno? - spytał Harry.

- Analizy - wyjaśnił Reddo.

- Słucham?

- Analizy jądrowe. Może mi pan wierzyć lub nie, ale sądzę, że to pomiary stopnia wzbogacenia uranu.

- Z Iranu? Jaja sobie robisz?

- Skądże. Tu są informacje na temat składu próbki, tu, widzi pan? Nie do końca to łapię, ale niech pan popatrzy na te liczby. Moim zdaniem pokazują stopień wzbogacenia po każdym przejściu przez kaskadę. To coś jak dokumenty z MAEA. Widywałem już taki wzorec i kategorie. A teraz proszę spojrzeć na kolumny. Myślę, że pokazują, co powstaje - wzbogacony produkt i zubożony też. Widzi pan, jak ta pierwsza wartość wzrasta za każdym cyklem, a ta druga spada? I widzi pan te liczby na dole? Mamy tu partię oznaczoną jako trzydzieści pięć procent i drugą siedmioprocentową. Obok tej drugiej jest dopisek D20 ze znakiem zapytania. Widzi pan?

- Tak, widzę. Co to znaczy?

- Niech pomyślę. - Reddo podrapał się po głowie. Trudno jest wyjaśniać prosto skomplikowane rzeczy. - To znaczy, że Irańczycy wzbogacają uran, dokładnie tak, jak się zawsze chwalili. Zastanowiły mnie te wartości. Siedem procent, jak paliwo w reaktorze jądrowym. I trzydzieści pięć procent. To więcej, niż potrzebują dla reaktora. Trzeba przyjąć, że tu chodzi o broń. Będą wzbogacać bardziej, aż osiągną odpowiedni poziom, czyli ponad dziewięćdziesiąt procent. Źle to wygląda, ale w sumie to żadna niespodzianka. Wiedzieliśmy, że idą w tym kierunku. A teraz są już w połowie drogi. Natomiast dziwne jest to D20 ze znakiem zapytania.

Harry przewrócił oczami. Miał troję z chemii i nigdy nie uczył się fizyki.

- Wyjaśnij to jak idiotcie. Co to jest D20?

- Tak naukowcy oznaczają wodę ciężką. Zwykła woda, czyli lekka, to HO, dwa atomy wodoru i jeden tlenu. Woda ciężka to dwa atomy deuteru na każdy atom tlenu. Używa się jej w takim reaktorze, który może produkować pluton. To dopiero jest przerażające. Może chcą wykorzystać siedmio-procentową partię w reaktorze ciężkowodnym i zacząć program budowy bomby plutonowej. A tym przypadku w ogóle nie będą potrzebowali wzbogacania.

- Irańczycy chcieli zbudować reaktor ciężkowodny w Arak, tak? - spytał Harry. - Ale on nie działa. Chyba że coś przeoczyliśmy.

- W tym rzecz, jak sądzę - powiedział Reddo.

- Kurwa. - Harry pokręcił głową. - Myślisz, że ten dokument to autentyk?

- Taa... Zapewne.

- I że trafił do nas od kogoś z ich programu?

- Być może. Albo od kogoś, kto ma do niego dostęp.

- Niech to szlag - mruknął Harry. - Skąd to, u licha, przyszło?

Reddo wskazał adres na dole wiadomości: doktor.ali49@ hotmail.com.

- Co to znaczy?

- Myślę, że to adres zwrotny. Tak się mamy skontaktować z facetem, który nam to przysłał.

Harry przymknął oczy.

- Słodki Jezu - powiedział. - Weszliśmy. ???

Poprosił Marcie, żeby została po zebraniu. Chciał pomyśleć głośno, nim irańska wiadomość zacznie żyć własnym życiem. Marcia miała na twarzy pokerowy uśmiech. Żyła dla takich chwil. Wytrzymała z tym całym gównem, by móc się cieszyć z nielicznych dobrych momentów. Harry musiał jej popsuć tę radość, wskazać luki, nim puści informację dalej.

- To jakaś podpucha - powiedział.

- Niekoniecznie. Czasami dobre rzeczy się zdarzają. Nawet nam.

- Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Czemu miałby wysłać taką wiadomość otwartym tekstem przez Internet ni z gruchy, ni z piertuchy?

- On nas sprawdza - stwierdziła Marcia. - Chce rozmawiać. On albo ona.

- To przynęta? Żeby zobaczyć, jak zareagujemy?

- Może. Ale to problem Agencji, nie twój.

- Szalenię?

- Niewykluczone. Ale co z tego? Jeśli dane są prawdziwe, kogo to obchodzi?

- Złapią go? To znaczy, jaka jest szansa, że nikt nie zauważył wysłania takiej wiadomości?

Mają dobre służby. Wiesz o tym lepiej niż inni. Sama sprzątałaś po pocztowej katastrofie.

- Trudno powiedzieć. Ale musisz założyć, że wie, co robi. Nie wysłałby tego, gdyby nie był pewien, że zdoła to zrobić, nie zostawiając śladów. Teraz dzieciaki potrafią robić takie rzeczy, Harry. Iran jest pełen hakerów.

Pappas w zamyśleniu kręcił głową. Próbował stworzyć sobie obraz tego kogoś, kto przysłał im wiadomość.

- Pomóż mi, Marcio. Rozumiesz Irańczyków. Jaki człowiek mógł to zrobić? Zakładając, że to nie pułapka i że facet nie jest szalony.

Marcia zastanawiała się dłuższą chwilę. Dlaczego w ogóle coś się robi?, przemknęło jej przez myśl. Ale Harry chciał dostać odpowiedź, więc darowała sobie filozofowanie.

- Jest bystry - zaczęła. - Jest dumny. Jest nieszczęśliwy. Jest młody. Z jakichś powodów czuje potrzebę podzielenia się swoją wiedzą. Nie prosi nas o nic, tylko przekazuje nam informacje. Ale ta wiadomość to wabik. Otwarcie rozgrywki. Irańczycy nigdy nie dają ci wszystkiego na tacy. To taarof.

- Przypomnij mi, co to jest taarof.

- Ich sposób załatwiania interesów. Godność i tak dalej. Nie chcą wymienić ceny. To by było niegodne. Więc składają dar i czekają na odpowiedź. Mężczyźni nie wypada prosić.

Kobietom też nie.

- Innymi słowy, ufa Agencji - podsumował Harry. - Że tego nie spieprzy. Czy tak?

- Co za idiota - mruknęła Marcia. - Nie czyta gazet?

???

Wszystko działo się powoli, dopóki nie trafiło na potykacz.

To była sprawa Pappasa, bo, jak zwykł mu przypominać dyrektor, należało do niego każde ziarenko piasku przywiane z Iranu. Zarejestrował otrzymaną wiadomość z kodem BQDETERMINE, używanym w Agencji do oznaczania wszystkich operacji zbierania danych w Iranie, i nadał „doktorowi Alemu” tymczasowy pseudonim BQTANK.

Wiedział, że będzie się musiał podzielić tą sprawą, więc zadzwonił do Arthura Foxa, szefa Wydziału Przeciwdziałania Rozpowszechnianiu Broni Jądrowej. Nie lubił Foxa, który próbował każdemu udowodnić, jaki to z niego twardziel, ale nie miał wyboru. Zaproponował spotkanie jeszcze dziś po południu i poprosił, żeby Fox zabrał ze sobą swoich specjalistów.

- I co o tym myślisz, Arthurze? - spytał Harry, kiedy zebrali się kilka godzin później w bezpiecznej sali konferencyjnej. - Czy to autentyk?

- Wygląda na autentyk - odparł Fox. Przysunął do nosa kopię e-maila. - I pachnie jak autentyk, więc logiczne byłoby założenie, że to jest autentyk. - Fox był smakoszem; kiedy węszył, dawał do zrozumienia, że przywykł do wąchania dobrego wina i wykwintnych sosów. I siedział na pieniądzech. To właśnie było zabawne w tych nowych twardzielach. Pochodzili z tej lepszej części miasta. Gadali jak twardziele, ale mieli wymanikiowane dłonie.

Harry potrzebował pomocy Foxa, toteż nie miał nic przeciwko udawaniu tępaka. Robił to przez całą karierę, i to z dobrym efektem.

- Co ci to mówi, Arthurze, zakładając, że to autentyk? Czy już o tym wiedzieliśmy?

- To zagrywka. Wiedzieliśmy, że Irańczycy osiągają coraz wyższy poziom wzbogacenia w Natanz, nie mieliśmy jednak potwierdzenia, że przekroczyli siedem procent.

Podejrzewaliśmy, ale takie potwierdzenie zmienia sytuację. To naprawdę poważna sprawa. Są ludzie, którzy uznają, że powinniśmy zbombardować cały ten cholerny kompleks już jutro, nim sprawa zajdzie dalej. Sam powtarzam to od lat, ale nikt mnie nie słucha.

- Myślałem, że muszą osiągnąć dziewięćdziesiąt procent, żeby zrobić kolejny krok. Może ta wiadomość oznacza, że utknęli w miejscu? Co ty na to?

- Nie bądź śmieszny, Harry. Chcesz czekać, aż zdetonują bombę, zanim uznasz, że robią to na poważnie? Kiepski pomysł.

Harry kiwnął głową. Fox miał rację, chociaż był kretynem.

- A co z tą siedmioprocentową partią? Mój chłopak, Reddo, uważa, że to dopiero może być sprawa. Jego zdaniem ten dopisek D20 może oznaczać, że myślą o reaktorze ciężko-wodnym i produkcji plutonu. Czy to ma sens?

- Każde przypuszczenie na temat Iranu ma sens, Harry. Ci ludzie są niebezpieczni. Nie wiemy nic o programie budowy bomby plutonowej, ale to wcale nie oznacza, że go nie mają. Gdybym miał się zakładać, obstawiałbym najgorsze.

- Dlaczego nie jestem zaskoczony? Bomba, bomba, bomba. Zbombardujmy ten cholerny Iran.

- To poniżej twojej godności, Harry.

- Tylko żartowałem, Arthurze. - Pappas spojrział ponownie na wiadomość od tajemniczego Irańczyka. - A te inne uwagi i wzory? Reddo nie ma pojęcia, co znaczą. Tobie coś mówią? Odezwał się ekspert Foxa nazwiskiem Adam Schwartz, absolwent MIT sprzed kilku lat. Harry nie miał pojęcia, dlaczego tak utalentowany młody człowiek zgodził się pracować dla popieprzonej agencji rządowej, zamiast zbijać kasę w prywatnym biznesie.

- Cóż, nie mam pewności, że nasz tajemniczy informator pracuje przy irańskim programie nuklearnym, ale niewątpliwie ma dostęp do tego, co się tam dzieje - powiedział Schwartz i wskazał leżący przed nim papier. - Wzór na sześćfluorek ma pewne unikatowe cechy odpowiadające anomaliiom próbek, jakie dostaliśmy z programu irańskiego. Musiał wiedzieć, że to mamy. Myślę, że dlatego nam to przysłał. To jego oświadczenie dobrej woli. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że gość należy do programu. - Spojrzął na swojego szefa, który zmarszczył brwi. - Ale nie wiem tego na pewno - dodał szybko.

- Doktor Ali - mruknął Harry.

- Co mówisz? - spytał Fox.

- Wkurzasz mnie, doktorze Ali - powiedział Harry głośniejszym głosem, jakby Irańczyk siedział z nimi w bezpiecznej sali konferencyjnej. - Wiesz, co? Daj mi szansę. Wypruwamy sobie żyły, żeby zwerbować kogoś takiego jak ty, a ty tak po prostu tu włączysz. Przysyłasz wiadomość przez naszą stronę internetową, jakbyś się zapisywał na obóz letni. Pogrywasz sobie ze mną, doktorze Ali?

- Może to jest autentyk, a może nie - rzekł Fox. - Skąd masz to wiedzieć? To techniczne sprawy, Harry. Łatwo się pogubić.

Wyraźnie brał Pappasa pod włos. Jego zachowanie wskazywało, że chce przejąć sprawę.

- Powiem ci coś, Arthurze. Jeden problem z tą sprawą już mamy. Kopie tego e-maila dostało za dużo ludzi i lada chwila przeczytamy o tym w „New York Timesie”. A wtedy możemy pomachać doktorowi Alemu na pożegnanie. Od tej chwili to jest sprawa DO. - DO było używanym w Agencji skrótem od „dostęp ograniczony”.

- Więc ją zamknij - rzucił Fox szorstko.

Pappas już to zrobił, jeszcze przed spotkaniem. Stworzył specjalny program dostępu, SPD, którego większość użytkowników siedziała właśnie w tym pokoju.

- Musimy wymyślić temu gościowi legendę - stwierdził.

- To znaczy?

- To znaczy, że musimy usunąć z sieci ruch na temat doktora Alego, żeby nikt nagle nie zapytał: „Hej, a co się stało z tym WG z Iranu, który przysłał nam e-mail o bombie atomowej?”. Musimy zostawić ślad, który zaprowadzi wszystkich w złym kierunku, a potem zająć się tą sprawą w programie specjalnego dostępu. Wszystkim to pasuje?

- Kto ją poprowadzi? - spytał Fox.

- WOI i Przeciwdziałanie Rozprzestrzenianiu. To będzie operacja łączona. My plus Centrum Operacji Informatycznych, żeby mieć wsparcie komputerowe. No i dyrektor, i szef operacji tajnych.
- Kto będzie raportował Krajowej Radzie Bezpieczeństwa? - Czytaj: Kto będzie się spotykał z prezydentem?

Fox nadal się targował. Takie przepychanki stanowiły sens jego życia. Pappas postanowił ustąpić, nie lubił chodzić do Białego Domu.

- Ty - powiedział. - W końcu chodzi o bombę. Twój ludzie będą przygotowywać raporty i służyć wsparciem technicznym. My poprowadzimy operację, jakby nasz gość był prawdziwym agentem. Będziemy harować, aż dostaniemy czyraków na dupie, żeby go znaleźć i nawiązać prawdziwy kontakt, a nie to wirtualne gównu. Co ty na to?

Fox uśmiechnął się i skinął głową. To była potencjalnie bardzo rozwojowa sprawa, a Pappas właśnie oddał mu dostęp do decydentów. Był głupi, przynajmniej wedle standardów Foxa.

- Zobaczmy, jak nam pójdzie - powiedział. Wszystko u niego było warunkowe, zmieniało się w zależności od kierunku wiatru. - Co teraz?

Harry wzruszył ramionami. Z trudem tolerował Foxa, jednego z tych pracowników wywiadu, którzy nigdy nie poprowadzili dużej operacji i nigdy nie zwerbowali agenta. Fox nie czuł tej roboty, nie znał słodkiego jak miód smaku szpiegostwa. Nikt już go nie znał. Dlatego musieli siedzieć i czekać, aż zlituje się nad nimi jakiś WG.

- Odpowiemy na wiadomość doktora Alego, oto, co zrobimy. Ale sformułujemy naszą odpowiedź bardzo ostrożnie. A potem zaczniemy generować ruch w sieci, żeby wszyscy się dowiedzieli, że to był oszust.

Fox zmrużył oczy jak kot, który nie może się zdecydować, czy złapać smaczny kęs czy uciec.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Jak zamierzamy wykorzystać tego gościa, gdy już zaczniemy?

- Ostrożnie. Żeby go nam nie zabili.

- Tylko nie przesadz z wymianą, Harry. Potrzebujemy informacji. To duża sprawa. Musimy ją wykorzystać za wszelką cenę. Zakładając, że wiadomość to autentyk.

Pappas pokręcił głową. Brawura Foxa to taka gadka, od której giną agenci.

- Będziemy mądrzy - rzekł. - Mądrzy i cierpliwi. Będziemy pamiętać, że po drugiej stronie tego maila znajduje się człowiek. I dopilnujemy, żeby wszystko, co przekazemy do Białego Domu, było prawdą. Co ty na to?

Fox wzruszył ramionami. Pappas kompletnie nie łapał. Ta wiadomość radykalnie zmieniła stawkę rozgrywki. Nie chodziło o to, czego chce CIA. W śródmieściu rozdzwonią się dzwonek alarmowe.

Zrobił jednak tak, jak sugerował Harry. Informował Biały Dom, ale ostrożnie. Oficjalna wersja brzmiała tak, że wedle nowego irańskiego źródła Irańczycy przekroczyli poziom wzbogacenia uranu niezbędny do pokojowego wykorzystania energii jądrowej i zbliżają się do poziomu umożliwiającego produkcję bomby. Wspomniane źródło wskazało również na możliwość realizowania przez Iran projektu budowy reaktora ciężkowodnego. Raport był niepotwierdzony, podobnie jak wiarygodność źródła, którego tożsamość i zamiary pozostawały nieznane. Agencja pracuje nad potwierdzeniem i oceną doniesień.

To, co puścili oficjalnymi kanałami, było w całości prawdą, ale Pappas podejrzewał, że Fox już prowadzi rozmowy za jego plecami, nakręcając kumpli ze śródmieścia. W tym właśnie celował. Żył po to, by powodować kłopoty, z których inni będą musieli wybrnąć.

TEHERAN

Słońce połyskiwało czerwienią w wychodzących na zachód oknach mieszkania młodego naukowca w dzielnicy Yoosef Abad. Irańczyk położył nogi na niskim stoliku i spróbował się odprężyć. Słuchał grupy folkowej Jahleh, która zdobyła nagrodę na Teherańskim Festiwalu

Muzyki Niezależnej. To było modne i bezpieczne. Na tym polegała jego przykrywka - być przeciętnym. Oszustwo stawało się czymś na kształt zakonnego habitu; wkładałeś je i zdejmowałeś jak ubranie. Poranny rytuał, kiedy wstawał i szykował się do pracy, i wieczorny, gdy wracał do mieszkania. Ale co to jest normalność? Czy oznacza bać się, czy nie czuć lęku? Czy oznacza pamiętać, czy zapomnieć? Zdjął marynarkę. Złote spinki ojca połyskiwały w blasku zachodzącego słońca.

Był niespokojny. Wstał ze skórzanej kanapy i przeszedł do małego gabinetu, gdzie trzymał komputer - Mac Power-Book, kupiony przed zaledwie sześcioma miesiącami za ponad cztery tysiące dolarów w Paytakht, sklepie, który miał niebotyczne ceny, ale oferował prawie wszystko, co można było dostać w Dubaju. Kupując go, wyobrażał sobie, że od tej pory będzie mógł opuszczać aksamitne więzienie swojej „specjalnej” pracy i uciekać do innych światów. Komputer i nowe łącze satelitarne były tak szybkie, że mógł wylądować w dowolnej przestrzeni wirtualnej. Na początku fascynowało go to, ale teraz bał się komputera.

Ministerstwo Wywiadu

i Gwardia Rewolucyjna mieli jego adres IP oraz zamiary na wszystkich innych, którzy byli z nim w jakiś sposób powiązani. Musiał żyć poza swoim ciałem, w skorupach innych istot. Podszedł do biblioteczki i wyjął jeden z albumów ze zdjęciami rodziców. Oboje byli namiętnymi fotografami. Co dwa lata kupowali sobie nowy aparat i całe kilometry filmów Kodaka - zawsze Kodaka, bo ojciec nie ufał Japończykom. Niektórzy ich przyjaciele, gorliwi muzulmanie, twierdzili, że robienie zdjęć to profanacja, ale ojciec tylko się z nich śmiał. To jahiliya, ignoranci, mawiał. Myśla, że mogą postawić tamę słońcu i zmienić dzień w noc. Odwracał strony albumu. Zdjęcia przedstawiały jego rodziców w małym domku na plaży w Ramsar nad Morzem Kaspijskim. Na wczesnych fotografiach matka, długowłosa brunetka w kostiumie kąpielowym, wyglądała jak gwiazda filmowa. Później kostium zniknął pod ubraniem, a włosy pod chustą, a jeszcze później znikła sama matka. Zmarła na raka, nim osiągnęła pięćdziesiątkę. Miał jedenaście lat, kiedy umarła. Pamiętał jej zapach i łagodny dotyk, ale przetrwała dla niego głównie w tych albumach. Wklejała tu nie tylko fotografie ojca, ale i wycięte z kolorowych magazynów zdjęcia irańskich aktorek i aktorów. Na przykład przystojnego Fari-da i ślicznej Azar Shivy, gwiazd romantycznego filmu Sułtan mojego serca. To były duchy utraconego świata.

Album otworzył się na zdjęciu, któremu nigdy wcześniej nie przyjrzał się uważnie.

Przedstawiała Jacqueline Kennedy Onassis podczas wizyty w Szirazie na początku lat siedemdziesiątych. Matka opisała fotografię, nie szczędząc szczegółów. Jackie, w białych spodniach biodrówkach i błękitnej bluzce, była taka zgrabna i elegancka. Fotograf uchwycił ją w chwili, gdy odgarniała z pięknej twarzy długie czarne włosy i patrzyła w lewo na coś, co przyciągnęło jej wzrok. Schodziła po wielkich kamiennych schodach portyku jakiegoś pomnika. Otaczali ją ochroniarze w czarnych garniturach i czarnych krawatach. Przyjrzał się jej dokładniej. Ta masa włosów, zupełnie niezakrytych, i te spodnie, tak obcisłe, że widać było zarys bioder i ud. Czy to ten sam kraj, w którym Jackie Kennedy złożyła kiedyś wizytę? Czy gdyby miała tu wrócić, oblekliby ją w worek jak martwe zwierzę? Tak, na pewno. Jackie była obrazą idei islamu.

To zdjęcie musiał zrobić ojciec. Ale dlaczego był w Szi-razie podczas wizyty Jackie Kennedy? Może poproszono go o wygłoszenie wykładu o literaturze perskiej? A może pojechał tam jako turysta?

Ojciec powiedział mu kiedyś, że szach jest stręczycielem. Nienawidził szacha, a reżim Pahlawiego odpowiadał mu tym samym. Ojciec był intelektualistą i wolnomyślicielem, a w młodości zapewne również komunistą. Nigdy o tym nie mówił, ale tak musiało być.

W cokolwiek wierzył, cierpiał z tego powodu. Dwa razy był aresztowany, za drugim razem wkrótce po narodzinach syna - tuż przed rewolucją. Ludzie szacha najwyraźniej uważali, że

ten starzejący się profesor żyjący wśród zdjęć Kodaka w świecie wspomnień o zmarłej żonie nadal jest niebezpieczny.

Kiedy nadeszła rewolucja, ojciec się ucieszył: świadczył o tym wyraz jego twarzy na zdjęciach zrobionych podczas wielkiej manifestacji pod pomnikiem Shahyar, która była początkiem końca reżimu Pahlaviego. Ojciec nigdy nie mówił, co zrobili mu w więzieniu ludzie szacha, lecz mógł to sobie wyobrazić. Po rewolucji prości basiji traktowali go jak syna bohatera, syna męczennika. Ale wówczas jego ojciec widział już prawdę i zaczął gardzić rewolucją.

To kłamcy, mówił. Stworzyli śmietnik i nazwali go parkiem. Powiedział synowi, żeby wyjechał na studia do Niemiec i nigdy nie wracał. Ale on wrócił. Lubił władzę, jaką dawała mu wiedza. Lubił znać tajemnice. Uważał, że będzie sprytniejszy niż ojciec i znajdzie sobie taką kryjówkę, że jabi-liya, ciemni, go nie znajdą. Teraz, po kilku latach spędzonych w białych biurach Jamaranu, wiedział, że to niemożliwe.

???

Zamknął album. Nie był głodny, ale pomyślał, że powinien coś zjeść. Poszedł do kuchni i znalazł ryż z kurczakiem, który zostawiła mu sprzątaczką. To było jego życie, w środku egzoszkieletu innych ludzi. Odgrzewał właśnie kurczaka w nowej mikrofalówce, kiedy zadzwonił telefon. Unikał odbierania telefonów w domu, bo przecież nigdy nie wiadomo, kto może dzwonić. Dopiero gdy włączyła się automatyczna sekretarka i rozpoznał głos, podniósł słuchawkę.

•kirk

Dzwonił jego kuzyn Hosejn. Ten rozgoryczony. Tyle lat służył w Gwardii Rewolucyjnej, robił wszystko, co mu kazali, a oni go wyrzucili. I pozbawili jaj. To było słycać w jego głosie. Hosejn powiedział, że jego żona jest w odwiedzinach u siostry, więc chce gdzieś wyjść i się zabawić. Może do restauracji znaleźć jakieś dziewczyny. Lekko bełkotał, jakby już sporo wypił albo palił opium czy brał pigułki - to bez różnicy, kiedy nie masz jaj. Młody naukowiec wyjaśnił, że jest bardzo zmęczony. Miał ciężki dzień w daneshgah, na „uniwersytecie”, co było eufemistycznym określeniem miejsca jego pracy. Ale Hosejn nie chciał przyjąć odmowy. Nalegał, niemal błagał o towarzystwo. Powiedział, że podjedzie po kuzyna do Yoosef Abad za piętnaście minut. Młody człowiek wreszcie się zgodził. Wszystko, byle zakończyć rozmowę, zanim Hosejn powie coś naprawdę głupiego, a ktoś to podsłucha.

???

Hosejn miał w samochodzie zapas samogonu. Młody mężczyzna początkowo odmówił, ale potem się napił. Pragnął ucieczki i niepamięci równie mocno jak Hosejn. Przyjrzał się kuzynowi. Nadal miał twardą, zaciętą twarz członka Gwardii Rewolucyjnej, ale oczy zrobiły się miękkie. Gnił od środka. Nie zostało mu do roboty nic oprócz picia i pielęgnowania nienawiści. Wreszcie popełni błąd i niszcza go do końca. Hosejn nie potrafił żyć w kłamstwie. To był jego problem. Naprawdę wierzył w rewolucję, a teraz, kiedy go zdradziła, nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Jeździli jakiś czas po mieście zielonym peugeotem Hosej-na, przedzierając się przez korki w alei Vali Asr i przyglądając się pięknym dziewczynom na chodnikach. Jakimś cudem potrafiły wyglądać seksownie nawet w czadorach i chustach. Te śmielsze nosiły szpilki, więc ich nogi były długie, a pośladki kołysały się zmysłowo. Oglądały Fashion TV w pirackiej telewizji satelitarnej, więc umiały chodzić jak modelki. Chłopcy też oglądali ten kanał i onanizowali się, kiedy pokazywano bieliznę i kostiumy kąpielowe.

- Chcę kobiety - powiedział Hosejn. Był już dobrze pijany. Skończyli pierwszą butelkę samogonu i zaczęli drugą.

- Chcesz też dostać choroby? - spytał młody człowiek. -Bo to idzie w parze.

- Co się z tobą dzieje? Byłeś w Kazwin, czy co? - To była obraza. Irańczycy często żartowali, że wszyscy mieszkańcy Kazwin, miasta na północny zachód od Teheranu, są homoseksualistami.

- Pierdol się, drogi kuzynie - powiedział młody naukowiec. - Pojedziemy, gdzie zechcesz. Hosejn zatrzymał się przy małej kawiarni Le Gentil na ulicy Gandhiego, kilka przecznic od Vali Asr. Powiedział, że tam zawsze są ładne dziewczęta - zagraniczne, co oznaczało, że może będą chciały się zabawić. Ale kiedy weszli, przy stolikach siedziały pary, a nieliczne samotne kobiety odsuwały się od nich. Hosejn wciąż za bardzo przypominał członka Gwardii Rewolucyjnej. Chciał być buntownikiem, ale nadal wyglądał jak żołnierz Allaha. Poszedł do samochodu, żeby wypalić opium. Kiedy wrócił, mówił za szybko i zdecydowanie za głośno.

- Wypierdolili mnie, wiesz o tym! Mogą sobie nasrać na brody, jeśli o mnie chodzi.

- Ciii - szepnął młody naukowiec. - Oczywiście, że wiem, ale nie krzycz. Nigdy nie wiadomo, kto słucha, nawet w takim gherti miejscu.

- Wypierdolili mnie - powtórzył Hosejn. - Robiłem wszystko, co mi kazali. Więcej, niż mi kazali. Nikt nie przestrzegał wskazówek imama lepiej niż ja. Nikt nie wyczuwał krwi męczenników tak jak ja. Ale mnie wypierdolili.

- Hayf - powiedział młody człowiek. Wstyd. - Źle zrobili. Wszyscy o tym wiedzą. Ale musisz się z tym pogodzić i żyć dalej, kuzynie.

- Czy wiesz, dlaczego straciłem stanowisko? Bo przyłapałem ich na kradzieży. Taki był powód. Gdyby nie to, nadal byłbym pułkownikiem i mówiłbym im, co mają robić. To psy! Pedar-sag. Synowie psów. Nie, są głównym psów na moich butach!

- Kesafat! - mruknęła kobieta przy sąsiednim stoliku. Brudas. Nie podobało jej się sąsiedztwo niechlujnego, głośnego pasdarana.

- Ciiii! - powtórzył młody człowiek. Zachowanie kuzyna zaczęło go niepokoić. Policja ma informatorów nawet w kawiarniach.

- Tak, to właśnie zrobiłem - perorował dalej Husejn. -Przyłapałem ich na kradzieży. Nasza firma była... wiesz, ci-cho-sza. Robiła interesy za granicą. Nie muszę ci mówić... sam wiesz. Więc myśleli, że mogą zbijać forsy i nikt nie zauważy. Ale ja zauważyłem. I próbowałem ich powstrzymać. A teraz...

Urwał. Znow ogarnęła go rozpacz.

- A teraz powinienes iść do domu - oznajmił młody człowiek.

Ale Hosejn go zignorował. Pochylił się nad stolikiem i zaczął szeptać chrapliwie prosto w ucho kuzyna. Jego oddech cuchnął alkoholem.

- Myślisz, że dostałbym pracę w Ameryce? Albo w Niemczech, wszystko jedno.

- Jasne. O ile się tam dostaniesz.

- Właśnie o tym mówię, kuzynie. Pomożesz mi? Moja laska została złamana. Nikt mi nie pomoże prócz ciebie.

Tego właśnie młody człowiek obawiał się najbardziej. Że kuzyn będzie próbował wykorzystać go do ucieczki. Próba udzielenia jakiegokolwiek pomocy zrujnowanemu byłemu pasdaranowi, który miał mnóstwo wrogów, mogła się skończyć tylko w jeden sposób: obaj pójdą na dno.

- Nie sądzę, żebym mógł pomóc.

- Ale przecież masz władzę, kuzynie. Masz kontakty. Wszyscy wiemy, co robisz. Wiemy, że jesteś częścią sieci.

- Wystarczy! - rzucił młody człowiek ostro. - Idziemy. Hosejn pogroził mu palcem.

- Khak tu saret. - Brud na twoją głowę. To było niemal przekleństwo.

- Wychodzimy - powtórzył naukowiec.

- Jesteś jednym z nich, tych uprzywilejowanych, więc myślisz, że możesz srać na kuzyna, kiedy jest w potrzebie. Jak możesz tak mówić? Na pamięć twojego ojca, mojego drogiego

stryja, powinienes mi pomoc. Musisz mi pomoc. Inaczej nie wiem, co zrobie. Tak trudno jest zachowac twarz...

Po policzkach Hosejna plynely lzy. Mlody czlowiek objal kuzyna. Ludzie sie na nich gapili, ale juz go to nie obchodzilo.

- Spróbuję ci pomóc, Hosejnie. Zrobię, co w mojej mocy. Ale musisz być teraz bardzo ostrożny. Żyjesz na krawędzi. Wiesz o tym. Jeśli się poślizgniesz, zginiesz.

Zapłacił rachunek i wyprowadził kuzyna na ulicę, gdzie stał samochód. Hosejn nie był w stanie prowadzić, więc mlody czlowiek usiadł za kierownicą i pojechał na aleję Mirda-mad, gdzie mieszkał jego kuzyn. Po drodze Husejn zasnął, a że mlody naukowiec nie chciał go budzić, obaj spali w peugeotcie kilka godzin. O świcie mlody czlowiek poszedł szukać taksówki, którą mógłby wrócić do swojego mieszkania w Yoosef Abad.

???

Od alkoholu bolala go glowa. Oczy mial przekrwione. Zeby oprzytomniec, pomyslal o pracy. Na ten tydzien wyznaczyl kolejne testy sprzetu. Pewnie znowu zakonczą sie porażką.

Zostaną przeprowadzone w specjalnym laboratorium, gdzie trzymali najbardziej wrażliwe instrumenty. Pewnie będzie musiał zostawać na noc, może nawet przez cały tydzień.

Ten durny pasdaran, który prowadził program, każde mu robić pomiary i obliczać impulsy z dokładnością do milisekund. Mieli potrzebną siłę, ale brakowało im wiedzy. Nie chcieli mu wyjaśnić, jak jego praca łączy się z innymi częściami łamigłówki, ale on i tak wiedział. Wszyscy wiedzieli. Ilekroć eksperyment kończył się porażką, mlody naukowiec cieszył się. Nie chciał, żeby program się powiódł. To, że poświęcał cały swój wysiłek umysłowy dla projektu, którego porażki pragnął, było jednym z ziaren zdrady.

Zmusił się do koncentracji. Miał wrażenie, że mózgowi jest za ciasno w czaszce. Pewnie z odwodnienia spowodowanego przez alkohol. Rozglądał się za taksówką. Pojedzie do domu, weźmie prysznic i przyjdzie wcześniej do biura. Będzie tym gorliwym. Pokaże, że jest pracowity. Będzie się starał, żeby eksperymenty się udały, i będzie miał nadzieję, że się nie udadzą.

Policjanci w ciemnozielonych mundurach wylegli już na ulice. Nabrali podejrzeń, widząc tak wcześnie mlodego człowieka. Na pewno pił albo się łajdaczył, albo szpiegował, albo robił coś równie złego. Mlody naukowiec sięgnął do kieszeni po czekoladę, żeby ukryć zapach swojego oddechu, ale skończyła się. Staął, kiedy podszedł do niego policjant i zażądał dokumentów. Uśmiechał się szyderczo, pewien, że dokona aresztowania albo przynajmniej dostanie sutą łapówkę, dopóki nie obejrzał dokumentów. Było w nich napisane, że mlody czlowiek jest pracownikiem rządowym ze specjalnymi uprawnieniami.

Teraz to policjant zaczął się bać. Skłonił lekko głowę i przeprosił, a potem przeprosił jeszcze raz. Ale w jego oczach pojawił się dziwny błysk, jakby podejrzewał, że coś musi być nie tak z tym specjalnym sługą rewolucji, skoro bladym świtem w środku lata chodzi po ulicy w wymiętym ubraniu.

URSZYNGTON

Harry Pappas patrzył, jak wiatr kołysze drzewami przed frontem starego budynku siedziby CIA. Na niebie nad Potoma-kiem zebrały się chmury. Wkrótce spadnie deszcz. Zamknął oczy. W takie letnie dni zabierał Alexa na łódkę. Wychodził wcześniej z pracy, wpadał do domu po syna i razem jechali na przystań jachtową niedaleko lotniska. Ospały Potomac zaczynał się burzyć. Porastające brzegi cyprysy gięły się na wietrze. Alex to uwielbiał. Nawet gdy w oddali pojawiały się błyskawice, nie chciał wracać.

Wyplýwali z przystani przy mocnym wietrze. Podczas odpływu rzeka była przy brzegu tak płytka, że musieli wciągać miecz, aby przepłynąć. Ale na głębszej wodzie pływali z opuszczonym mieczem; wiatr przechylał łódkę tak, że zanurzała się po reling, a fale wlewały

się do kokpitu. Alex sterował, wychylając się mocno, żeby jacht się nie przewrócił. Harry z całych sił trzymał się nadburcia, ciesząc się w duchu, że ma takiego odważnego syna. Patrzyli razem, jak deszcz zbliża się do nich niczym płachta płynnej ciemności. Gdy rozlegały się pierwsze gromy, wracali do brzegu i wychodzili na ląd w strugach deszczu. Błyskawice kreśliły na wodzie postrzępione wzory. Czasami Alex krzyczał, szczęśliwy, że jest tutaj wśród nagiej energii natury. Zawsze był ryzykantem, ale wierzył, że ojciec ściągnie go z rzeki, zanim trafi w nich piorun. To było dla Pappasa najgorsze. To, że syn mu ufał.

Otworzył oczy. To był błąd pograżać się we wspomnieniach. Jego jedyna droga prowadziła naprzód. Inaczej po prostu się podda.

???

Harry stworzył nową przegródkę dla doktora Alego. Pierwszym krokiem było wysłanie odpowiedzi na konto na Hotmailu. Irańczyk czekał. Wiedział, jak się ukrywać w zakamarkach Internetu - jak wysłać wiadomość, nie pozostawiając na niej odcisków palców. Wiedział wszystko o tych sprawach, oczywiście zakładając, że w ogóle istniał.

Pappas wykorzystał jedną z odpowiedzi, jakie Agencja opracowała na potrzeby kontaktów z wirtualnymi gośćmi. Prosty tekst w ojczystym języku nadawcy, w tym przypadku po persku, brzmiał: „Otrzymaliśmy twoją wiadomość. Życzymy ci szczęśliwego i spokojnego lata”. Jeśli ktoś nadzoruje połączenie programem szpiegowskim, tylko tyle zobaczy. Ale jeżeli konto na Hotmailu zostanie otworzone prawidłowym hasłem, wyświetli się inna wiadomość, zawierająca instrukcje dla odbiorcy, jak nawiązać z Agencją szyfrowane połączenie.

Agencja zwykle prosiła wirtualnych gości o dwumiesięczną zwłokę, nim znów się z nią skontaktują, by zdobyć pewność, że nie są śledzeni, elektronicznie lub fizycznie. Ale w tej sprawie nie można było czekać. Program nuklearny Irańczyków stanowił wedle Białego Domu „bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa i pokoju na świecie”. W administracji byli ludzie, którzy chcieli iść na wojnę, zanim Ii uczyni większe postępy. Pappas przypuszczał, że Fox nale do tej partii wojennej, ale nigdy nie zapytał go o to wprost. Nie chciał usłyszeć odpowiedzi. Polityka była dla śródmięscia i dla ambitnych, takich jak Arthur.

Gdzie i kiedy odbędzie się następne spotkanie? Tak brzmiało pierwsze pytanie do agenta, wirtualnego czy rzeczywistego. Zadawano je, bo nigdy nie było wiadomo, czy kontakt nie zostanie nagle przerwany. Dlatego w zaszyfrowanej odpowiedzi Pappas pytał o rzeczy podstawowe: Czy możesz podróżować? Czy możemy skontaktować się z tobą w twoim kraju? Jak się z tobą skontaktować? Poprosił doktora Alego, żeby odczekał piętnaście dni i wysłał odpowiedź na bezpieczny adres sieciowy, używając systemu szyfrującego Agencji. Piętnaście dni to było zdecydowanie za mało, żeby odkazać kontakt. Ale nie mieli czasu.

???

Harry wezwał Marcie Hill. Chciał pogadać, ale nie z Fo-xem, dyrektorem czy kimś innym, kto mógłby się odwinąć i ugryźć go w tyłek, gdyby zrobił coś nie tak. Marcia była pod tym względem idealna. Już dawno przestała wierzyć w instytucje i była lojalna tylko wobec ludzi. Chciał, żeby w rozmowie uczestniczył jeden z młodych zdolnych, więc zaprosił Martina Vittera, szefa operacyjnego Marcii, który właśnie wrócił z Iraku i śmiertelnie poważnym traktowaniem konieczności zniszczenia „złych ludzi” przypominał mu Alexa.

Zebrali się w pozbawionym okien gabinecie Pappasa. Recepcjonistka przyniosła z bufetu kawę i ciastka.

- Jak poprowadzimy tego gościa? - zaczął Harry. - Za pięć lat będzie nam potrzebny nie mniej niż dziś, więc trzeba utrzymać go przy życiu. Ale jak go znaleźć, jak się z nim spotkać i jak go przeszkolić? Musimy to zrobić, bo inaczej skończy jako trup.

- Może zaczniemy od znalezienia go? - zaproponowała Marcia. - W tej chwili nie mamy agenta, tylko adres internetowy.

- Dobra, założmy, że doktor Ali chce się z nami bawić. Odpowiada na mój e-mail i mówi nam, jak zainicjować kontakt. Co wtedy zrobimy? Spróbujemy się z nim spotkać w jego kraju?

- To odpada - powiedział Martin Vitter. - Dorwą nas, potem dorwą jego i będzie po sprawie. Spotkajmy się z nim na zewnątrz. Ściągnijmy go do Dubaju albo do Turcji, gdzie mamy jakąś kontrolę operacyjną.

- A jeśli facet nie może podróżować?

- Wszyscy podróżują w Nowruz - odparł Vitter. Nowruz to był perski Nowy Rok.

- Nie wszyscy - stwierdziła Marcia. - Ludzie od bomby mają zakaz podróżowania nawet w Nowruz. A poza tym to za dziewięć miesięcy. Myślę, że trzeba się z nim spotkać w Iranie. Pappas zastanawiał się chwilę. Właściwa odpowiedź brzmiała „poza Iranem”, ale spotkanie poza Iranem nie było możliwe.

- Zgadza się z Marcia - powiedział. - Jeśli należy do programu, nie puszczą go. Musimy do niego podejść w domu. Jak to zrobimy?

Tak naprawdę wcale ich nie pytał. Zanim któreś zdążyło się odezwać, sam odpowiedział:

- Po pierwsze, musimy mu zapewnić środki łączności. Nie będziemy próbowali spotkać się z nim twarzą w twarz. Zostawimy dla niego paczkę. W jakimś parku. Trzeba znaleźć kogoś, kto ją podłoży. Najlepiej przyjeźdnego bez żadnych związków z nami. Z paszportem tureckim albo kuwejskim.

Kogoś z jajami, kto pójdzie do parku, zostawi zabawkę i natychmiast się stamtąd zmyje.

Potem doktor Ali ją podejmie i bingo, mamy łączność. Wtedy pójdziemy dalej.

- Jaką zabawkę? - zainteresowała się Marcia. - Jak będzie wyglądać?

- Na przykład jak kamień albo bryłka gliny. Albo puszka po coli. Coś, co technicy uznają za odpowiednie dla miejsca przekazania.

- Trochę to za sztywne - stwierdziła Marcia. - Irańczycy lubią buziaki. To powinno być coś, co mu powie, że go kochamy.

- Dobra. Kiedy tylko dowiemy się, kto to jest, wyciągniemy rękę i pogłaszczemy go. Poślemy mu coś czystego, ale takiego, że mogło pochodzić tylko od nas. Perfumy dla żony. Lekarstwa dla dzieci. Coś, co mu powie: „Ameryka cię kocha”. Coś, co będzie oznaczało: „Nawet w samym środku pieprzonego Teheranu, najbardziej bandyckiego miasta świata, możemy położyć ci coś na progę”.

Oczy Vittera zrobiły się wielkie jak spodki. O takim CIA marzył. Silnym, zdolnym przeniknąć do każdego zakątka świata.

- Nie mamy adresu - przypomniała Marcia. - Nie wiemy, gdzie ten gość mieszka i pracuje.

Nie wiemy, czy jest młody czy stary. Nie wiemy, czy jest żonaty i dzieciaty, nie wspominając już o tym, czy hipotetyczna żona lubi perfumy, a ewentualne dzieciaki legalne dragi. Prawdę powiedziawszy, moi drodzy, nie wiemy nawet, czy doktor Ali jest mężczyzną czy kobietą. A jeśli to kobieta, która właśnie przeczytała Lolitę i uznała ją za zachętę do wysłania wiadomości CIA? Pomyślcie o tym.

- Jesteś moim koszmarem, Marcio, wiesz o tym? - odparł Pappas z uśmiechem. - Zaczniemy jeszcze raz. Tym ra-

zem założmy, że nasz chłopiec tak się boi, że w ogóle nie zechce nawiązać kontaktu. Żadnych spotkań. Żadnego adresu. Żadnego urządzenia do łączności. Nic. Co wtedy?

- Pozwolimy mu ustalić zasady - powiedziała Marcia. - I tak to przecież robi.

- W żadnym razie! - zaprotestował Harry. - Nie mając do niego dostępu, nie możemy ocenić, co wie. Musimy go znaleźć.

- Ale jak? - głos Marcii był pełen szacunku, lecz stanowczy.

- Nie mam pojęcia - przyznał Pappas. - Ale myślę nad tym.

???

Harry ego czekało zadanie uśmiercenia doktora Alego w sieci. Musiał zmylić tropy. żeby ludzie nie pytali o irańskiego WG ani nie plotkowali o nim na korytarzach. Był dobrym kłamcą; kiedyś nie lubił kłamać, ale po pewnym czasie uświadomił sobie, że jego praca właśnie na tym polega.

CIA spaliła już dość irańskich agentów. Weźmy choćby wpadkę pocztową: jakiś tłumacz wysłał listy do całej siatki irańskich agentów, wszystkie zaadresowane tym samym starannym charakterem pisma- Poświęcili setki godzin na znalezienie odpowiedniego adresu w Niemczech, żeby odbierać „tajną” korespondencję od tych ludzi, ale nikt nie pomyślał, że Irańczycy mogą zwrócić uwagę na kilkanaście listów z zagranicy zaadresowanych tą samą ręką. Albo wpadka ze skrzynką kontaktową: agent miał odebrać wiadomość w parku w miejscu tak przeraźliwie oczywistym, że agenci MOI, irańskich służb wywiadowczych, wysłedzili ją i tylko czekali, aż biedak się pojawi. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat grupa specjalna do spraw Iranu popełniła tyle błędów, że aż dziw, że jakiś Irańczyk jeszcze chciał się dzielić z CIA swoimi sekretami. To właśnie było niepokojące w doktorze Alim: jest taki głupi czy taki narwany? A może był to najbardziej niebezpieczny przypadek - szpieg, który postanowił zrobić to, co słuszne?

Pierwszą fałszywkę Pappas wysłał do Foxa z Zapobiegania Rozprzestrzenianiu, prosząc o informacje na temat przesyłki z Iranu. Równocześnie w programie specjalnego dostępu przesłał mu gotową odpowiedź: wydział ZR zbadał dokument i doszedł do wniosku, że są to dane z wirówek pakistańskich, dostępne w Internecie. Odpowiedź, która trafiła do całej listy odbiorców pierwszej fałszywki, sugerowała, że doktor Ali, czyli sprawa BQTANK, to obiecujący pierwszy kontakt, który okazał się kupą gówna.

Pappas odczekał kilka dni i wysłał kolejną wiadomość, znów do wszystkich odbiorców z listy i ponownie nieprawdziwą: centrum komputerowe pomajstrowało przy serwerach Hotmaila i stwierdziło, że konto doktor.ali było otwierane w Teheranie, na komputerze zakupionym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. W rzeczywistości COI próbowało określić miejsce pochodzenia wiadomości, ale nie udało im się. Doktor Ali okazał się za sprytny.

To załatwiało sprawę, jeśli chodzi o legendę. Teraz każdy spoza SPD wiedział, że doktor Ali to głupi dowcip - a może nawet gorzej, irańska prowokacja. Pappas rozesłał po Agencji instrukcję, by unikać wszelkich kontaktów z tym Irańczykiem, elektronicznych czy innych, a o ewentualnych próbach podjęcia kontaktu przez „doktora Alego” niezwłocznie informować szefa Wydziału Persja. W Agencji irański WG był już martwy.

Harry włączył do sprawy jeszcze jedną służbę wywiadowczą, ale tylko na najwyższym szczeblu. Szyfrogramem

poinformował swojego przyjaciela Adriana Winklera, szefa kadr brytyjskiego Secret Intelligence Service, że Agencja ma nowy kontakt, który dotarł do nich przez stronę internetową. Nowe źródło może mieć dostęp do irańskiego programu nuklearnego, ale Agencja nadal próbuje potwierdzić jego informacje i ustalić tożsamość. Podał kilka innych szczegółów i zapytał, czy coś o tym wiadomo w Londynie.

Wysłał ten szyfrogram z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał mieć pewność, że Brytyjczycy nie prowadzą tego samego agenta. A po drugie, miał przecucie, że w którymś momencie może potrzebować ich pomocy.

???

W piątek wieczorem Harry poszedł z żoną do kina. Film reklamowany jako „przebój lata” okazał się którymś z kolei remakiem ekranizacji znanego komiksu, tak wydumanym, że z oryginalnego pomysłu niewiele zostało. Dotrwali dzielnie do połowy seansu, ale gdy na ekranie rozpoczęła się kolejna orgia efektów specjalnych, Andrea trąciła męża łokciem.

- Nie podoba mi się ten film - szepnęła.

- Mnie też nie - odszepnęła.

- To wyjdźmy.

Wyszli, wkurzając ludzi, którzy stracili sekundę czy dwie z wygenerowanego przez komputer nonsensu, kiedy Pap-pasowie objęli się o ich kolana i kostki, przepychając się do końca rzędu.

Zjedli kolację w Legał Sea Foods na Tysons Corner. To była pierwsza knajpka, jaka przyszła Harryemu do głowy, bo kumple z Agencji często chodzili tam na lunch. Andrea zamówiła pina coladę, a Harry whiskey, jedną, potem drugą. Oboje byli na lekkim rauszu i chyba po raz pierwszy od kilku lat czuli się swobodnie w swojej obecności.

Andrea poprosiła męża, żeby jej przypomniał, dlaczego wstąpił do CIA. Przecież był szczęśliwy jako żołnierz, kiedy go poznała w Worcester. Dlaczego zamienił armię na wywiad?

- Ojciec chciał, żebym to zrobił - odparł Harry, unosząc swoją szklaneczkę i biorąc kolejny łyk. - Kochał CIA.

- Dlaczego? - naciskała. - Czy Agencja coś dla niego zrobiła?

- Kwestia honoru - wyjaśnił Harry. - Uważał, że jest im to winien. Był Grekiem z krwi i kości, więc jeśli się zaprzyjaźniał, to była przyjaźń na całe życie. Pod koniec lat czterdziestych, kiedy jeszcze mieszkał w Grecji, mieli tam wojnę domową. Ojciec walczył z komunistami, a Amerykanie mu pomagali. Wtedy to jeszcze nie było CIA, nazywało się inaczej, ale generalnie chodziło o amerykańskich szpiegów. Dawali mu broń i pieniądze, a gdy został ranny, pomogli mu przyjechać do Stanów. Uratowali mu życie. Zawsze mi to powtarzał.

- Więc chciał, żebyś wstąpił...

- Do wojska. A potem, kiedy zainteresowała się mną Agencja, zapytałem go, co o tym myśli. Nie wolno mi było tego zrobić, ale nie mogłem się powstrzymać. Jesteśmy Grekami, więc nie mamy przed sobą sekretów. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego. Pocałował mnie. Był tak wzruszony, że aż się rozplakał.

- Czyli to jest łańcuch - rzekła Andrea. - Z ojca na syna, z ojca na syna.

Nie powiedziała tego ze złością czy goryczą. Po prostu stwierdziła fakt.

TEHERAN

Młody Irańczyk siedział w swoim biurze w Jamaranie i czytał „America Journal of Physics” kiedy po niego przyszli. Nie słyszał pukania, bo słuchał iPod’a, więc musieli sami otworzyć sobie drzwi. Młody człowiek poderwał się przestraszony, wyciągając z uszu słuchawki. Do pokoju weszło dwóch krzepkich mężczyzn w ciemnozielonych garniturach. Za nimi stał doktor Bazargan, kierownik laboratorium. Próbował nie okazywać strachu, ale bez powodzenia.

- Sobh bekheyr, doktorze - powiedział jeden z mężczyzn, życząc młodemu człowiekowi dobrego dnia. Wyciągnął legitymację członka Etelaat-e Sepah, wywiadu Gwardii

Rewolucyjnej, który odpowiadał za bezpieczeństwo programu nuklearnego.

- Salamát baush - ciągnął. Ciesz się dobrym zdrowiem. Wygłaszając tradycyjne muzułmańskie powitanie, równocześnie blokował drzwi.

- Alhamdulillah - odpowiedział młody Irańczyk. Bogu niech będą dzięki. Czuł, że czoło zrobiło mu się wilgotne. Chciał uciekać, ale to było niemożliwe. Zachowaj spokój, nakazał sobie w myślach. Już tak po ciebie przychodzili. To pewnie nic nie znaczy.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, doktorze.

- Tak, oczywiście. Proszę, siadajcie. - Czuł się nagi. Żałował, że nie ma brody, za którą mógłby się ukryć.

- Obawiam się, że w pańskim biurze nie będzie nam wygodnie. Porozmawiamy w innym miejscu. Już przeprosiliśmy doktora Bazargana. - Oficer skinął głową w kierunku kierownika laboratorium, nadal stojącego za progiem.

- Mam pilną i ważną pracę - powiedział młody człowiek. To była jego jedyna karta przetargowa.

- Oczywiście, doktorze. Bogu niech będą dzięki.

Oficer nie powiedział, że to rutynowa rozmowa, nie zapewnił, że zajmie tylko chwilę i młody naukowiec wkrótce będzie mógł wrócić do swoich zajęć.

Młody człowiek sięgnął do kieszeni po chusteczkę i wytarł spocone czoło. Chusteczka była przyjemnie chłodna, a pocenie ustało równie nagle, jak się zaczęło. Może to nic ważnego. Nie mogli wiedzieć. Był taki ostrożny.

Sięgnął po swój neseser, ale oficer powiedział, żeby nie brał niczego prócz paszportu.

Wyprowadzili młodego naukowca z gabinetu, idąc po obu jego bokach, o krok za nim. Kiedy znaleźli się na korytarzu, z innych pokoi wyjrżeli ludzie, ciekawi, kogo tym razem zabierają. Pod tym względem biuro w Jamaranie było straszne. Nigdy nie rozmawiało się tu o służbach bezpieczeństwa, ale co mniej więcej pół roku ktoś zniknął i już nie wracał. To była część ceny, jaką płacono się za pracę przy tajnych projektach. Nigdy nie wiedziałeś, kiedy grunt usunie ci się spod nóg ani jak głęboko spadniesz.

Młody człowiek słyszał echo własnych kroków. Minał kilku swoich przyjaciół. Jeden mrugnął do niego i pomachał mu niepewnie, ale pozostali odwrócili wzrok.

???

Oficerowie zaprowadzili młodego doktora do czarnego osobowego samandana i kazali mu wsiąść na tylne siedzenie. Spytałi, czy chce, żeby włączyli klimatyzację, a kiedy powiedział, że tak, włączyli ją na pełne obroty. Na przednim siedzeniu leżało policyjne radio, a kierowca miał w kaburze na ramieniu wielki pistolet. Na tablicy rozdzielczej były przełączniki do włączania syreny i koguta, ale ich nie włączyli. Młody człowiek czekał, aż zawiążą mu oczy. Krążyły pogłoski, że gdy siły bezpieczeństwa zabierają kogoś na przesłuchanie, zawiązują mu oczy. Ale nie dzisiaj.

Na zewnątrz było bardzo gorąco, jak zawsze latem w Teheranie. Ci, którzy mieli pieniądze, wyjechali do swoich willi nad Morzem Kaspijskim albo - jeśli mieli prawdziwe pieniądze - na Cap d'Antibes albo Costa del Sol. Miasto stanowiło istny melanz dźwięków i zapachów: dojrzałe melony na straganach, kebaby pieczone w piecach węglowych w parkach, trele klaksonów. Podczas letnich upałów ludzie nie starali się tak usilnie wyglądać świątobliwie.

Kiedy mijali siedzibę Ministerstwa Wywiadu, oficer dowodzący zaklął pod nosem. Zabrzmiało to jak gooz be reshet, „pierzę w wasze brody”. Młody naukowiec roześmiał się, pomimo swojego trudnego położenia. Po mieście krążyły pogłoski o rywalizacji między wywiadami, takiej jak w piłce nożnej między Persepolis a Esteghlal.

W samochodzie zapadła cisza. Była jak bańka unosząca się wśród innych baniek. Młody człowiek czekał na powrót strachu, ale strach nie wrócił. Zamiast niego poczuł w sobie dziwną moc. Mam nad nimi przewagę, uświadomił sobie. Oni zgadują, ja wiem na pewno.

???

Zaprowadzili go do budynku, którego nie widział nigdy wcześniej. Wznosił się przy autostradzie Resalat, na północ od lotniska. Było południe, więc ruch panował niewielki. Nikt nie rozmawiał po drodze, ani kierowca, ani oficer w zilonym garniturze, ani jego krzepki pomocnik, który też siedział na tylnym siedzeniu i zapewne również miał broń pod źle skrojoną marynarką.

Młody człowiek próbował się skupić na zwykłych widokach Teheranu. Nastolatek rozmawiający przez komórkę na chodniku. Wystrojone dziewczyny na tylnym siedzeniu samochodu jadącego obok, pewnie w drodze na pedikiur albo depilację woskiem. Iglica w parku Nasr, wysoka i brzydka. Krążyły pogłoski, że tak naprawdę to wielka wieża do podsłuchiwania. Hałaśliwa grupa młodych mężczyzn przed sklepem z filmami na placu Sadegiyeh, gdzie wypożyczano najnowsze spiratowane DVD. Kebabis zapraszający ludzi na południową przekąskę.

Oficer kazał kierowcy skrócić w prawo koło pomnika Azadi stojącego na skraju lotniska.

Azadi. Wolność. Co za ponury dowcip. Cztery masywne kolumny zostały zbudowane w 1971

roku i miały trwać przez kolejne pokolenia Pah-lavich, tymczasem dynastia przetrwała jeszcze tylko osiem lat. Ojciec młodego człowieka przychodził tu w szalonych dniach rewolucji demonstrować przeciwko szachowi. Młodzi brodaci mężczyźni nazywali go ostad, szlachetnym nauczycielem. On sam był wtedy małym chłopcem, ale wiedział, dlaczego Gwardia Rewolucyjna, MOI i wszyscy inni strażnicy nowego reżimu ufali jego ojcu, chociaż pochodził ze starej elity. Uważali go za dziecko rewolucji. I mieli rację pod tym względem, choć nie było dokładnie tak, jak sobie wyobrażali.

Samochód skręcił w boczną ulicę, potem w następną i wkrótce znaleźli się przed otoczonym murem kompleksem. Przy bramie stali strażnicy. Dalej była druga brama i następny punkt kontrolny. Dokładnie przeszukali młodego człowieka.

Wyjęli mu wszystko z kieszeni - długopisy, portfel, okulary przeciwsłoneczne - i obmacali go od stóp do głowy. Potem, najwyraźniej nieusatisfakcjonowani, zabrali go do drugiego pokoju i kazali mu spuścić spodnie. To było dziwne. Nawet na najbardziej tajnych wyspach archipelagu nie zawstydzano ludzi w ten sposób. Kiedy wciągał z powrotem spodnie, owinał się - tak to sobie wyobrażał - niewidzialnym płaszczem utkany z strachu, płaszczem, który jego ojciec uważał za swoją pociechę i ochronę.

???

Gabinet był nowoczesny jak sala konferencyjna w laboratorium młodego doktora. Na tekowym biurku, za którym siedział śledczy, leżał najnowszy numer „The Economist” i wczorajszy egzemplarz „International Herald Tribune”. Ten śledczy musiał mieć wielką władzę. Kiedy młody naukowiec wszedł do gabinetu, patrzył w płaski monitor komputera. Wpisał kilka komend, a potem z uśmiechem patrzył na to, co pojawiło się na ekranie. Może był to plan przesłuchania.

Śledczy podniósł wzrok na młodego naukowca. Miał starannie przyciętą kozią bródkę i dziwny błysk w oczach.

- Witam, szanowny doktorze - powiedział. Wyjaśnił, że nazywa się Mehdi Esfahani, i pokazał młodemu człowiekowi swoją legitymację Etelaat-e Sepah. Sprawiał wrażenie bardzo rozbawionego. Znów zerknął na ekran i roześmiał się głośno. - Przepraszam, doktorze. Lubisz dowcipy? Amerykańskie? No wiesz, z Internetu. O głupich blondynkach. Albo o księżach, rabinach i pastorach. I o ludziach, których nazywają „burakami” Zbieram je. Ludzie przysyłają mi je z całego świata. Nawet z Ameryki. Wyobrażasz sobie?

Naukowiec nie wiedział, jak zareagować. Pytanie było takie dziwne. Jak powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź.

- Chyba trochę. Nie widuję ich często. Moja praca...

- Tak, tak, wiem. Twoja praca. Ale chyba korzystasz z Internetu?

- Tak, ze względu na pracę - odparł młody naukowiec. O co mu chodzi?, zastanawiał się gorączkowo. Czy coś wie? Trudno zgadnąć, zachowanie tego człowieka jest takie niezwykle.

- Ja najbardziej lubię dowcipy o burakach. Znasz to słowo? Rednecks. Amerykanie nazywają tak kogoś, kto nie jest zbyt bystry. No wiesz, jesteś burakiem, jeśli twoja żona musi zmienić bieg, żeby wziąć kąpiel. To jeden z tych dowcipów. - Roześmiał się głośno. - Dobrze, prawda? Jesteś burakiem, jeśli twój dom dostaje mandat za złe parkowanie. Czy to nie zabawne?

Buraki muszą mieszkać w domach na kółkach.

Mehdi Esfahani czekał, aż młody naukowiec się roze-śmieje, ale panowała cisza.

- Nie rozumiesz tych dowcipów?

- Chyba nie, bracie inspektorze. Bardzo mi przykro - odpowiedział młody naukowiec, teraz już nie tylko przerażony, ale i dezorientowany.

- Cóż, szkoda. Myślałem, że masz większe poczucie humoru. Mamy całe mnóstwo poważnych ludzi. Ale ty, taki zdolny, z dobrym pochodzeniem. Studiowałeś za granicą, masz dostęp do zagranicznej literatury. Powinieneś być zabawny. Opowiadać dowcipy. A wyglądasz tak poważnie. Pewnie się boisz. Czy tak?

- Chyba tak. To znaczy mam poczucie humoru, bracie inspektorze, ale nie w tej chwili.

- Ponieważ się boisz? - Tak.

- Czego się boisz?

- Ciebie, bracie inspektorze. Mącisz mi w głowie.

- Nie bądź osłem, doktorze. Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

- Nie - odparł młody człowiek.

- Ależ wiesz doskonale. Wszyscy, którzy tu trafiają, wiedzą dlaczego.

- Dlaczego?

- Bo zrobiłeś coś złego. Inaczej po co mielibyśmy cię tu sprowadzać? Wywiad nigdy nie popełnia błędów. Ty wiesz, z jakiego powodu tu jesteś, a moje zadanie polega na tym, byś podał ten powód. - Poglądził się po koziej bródce. W innych okolicznościach byłby po prostu śmieszny, jak irańska wersja inspektora Clouseau. Ale w tej sytuacji jego ekscentryczność sprawiała, że był tym groźniejszy. - Opowiedz mi o swoim pobycie na uniwersytecie w Heidelbergu - zażądał.

- Już opowiedziałem Etelaat wszystko, co pamiętam, bracie inspektorze. Wiele razy. Przesłuchiwali mnie co tydzień przez prawie rok, kiedy wróciłem do domu.

- Tak, wiem. Ale to było rutynowe przesłuchanie. A to jest wyjątkowe.

- Dlaczego?

- Ponieważ ty jesteś wyjątkowy, drogi doktorze, dasz wiedzę, która jest nagrodą tak cenną, że nie można jej kupić za całe złoto Teheranu. Więc proszę, opowiedz o Niemcach. Kto był twoim najlepszym przyjacielem?

- Mówiłem już, że nie miałem tam przyjaciół. Niei mnie nie lubili.

- Tak, wiem. Czytałem akta. Ale była pewna dziewczyna prawda? Niemka.

- Trudi.

- Tak, Trudi. Opowiedz mi o niej.

- Nie ma o czym opowiadać, bracie inspektorze. Była bardzo ładna. Myślałem, że może będzie chciała, no wiesz...

- Uprawiać z tobą seks?

- Tak. To było złe, zdaję sobie z tego sprawę. Ona nie była muzułmanką. Ale rozmawiała ze mną, a nikt inny nie chciał. Czasami siadała ze mną w kawiarni, pytała o Iran i słuchała moich opowieści. Czuję się bardzo samotny.

- Miała ładne cycki?

Młody naukowiec aż podskoczył na krześle z zaskoczenia. Czy wyobrażanie sobie seksu z niemiecką studentką fizyki to przestępstwo?

- Nie wiem. Pewnie tak, ale nigdy ich nie dotknąłem. Może chciała, żebym to zrobił, ale nie zrobiłem. Za bardzo się bałem. Potem przestaliśmy się widywać. Ona chciała, bracie inspektorze, ale ja zachowałem czystość. Wiedziałem, że to byłby haram wziąć ją nawet jako tymczasową żonę, więc trzymałem się od niej z daleka.

- Tak, to wszystko jest w aktach. - Śledczy znów pogładził kozią bródkę i pochylił się nad biurkiem z nagłym błyskiem w oczach. - Czy wiedziałeś, że ta Trudi była Żydówką?

Młody człowiek zbladł. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Nie, nie miałem o tym pojęcia - zapewnił. - Myślałem, że jest Niemką. Poznałem jej ojca. Był biznesmenem.

- Miał dwa paszporty. Był agentem Mossadu.

- Nie wierzę - niemal wykrzyknął młody naukowiec. - Gdyby tak było, spytaliście mnie o to już wcześniej.

- Wcześniej nie wiedzieliśmy o tym, ale teraz wiemy. Bo widzisz, doktorze, mamy przyjaciół w niemieckich służbach bezpieczeństwa. Próbuje ich werbować, tak jak oni próbują werbować nas. Potrafimy udawać Amerykanów, a nawet Izraelczyków. Jesteśmy wszędzie.

- Co oni wam powiedzieli? Co wiecie?

- Trudi studiowała fizykę w Instytucie Maxa Plancka, ale jej zadanie polegało na wyszukiwaniu młodych irańskich studentów, którzy czuli się samotni, chcieli uprawiać seks z niemiecką dziewczyną i później mogli stać się użyteczni. Niemieckie służby bezpieczeństwa obserwowały ją. Podsluchiwały jej rozmowy telefoniczne, sprawdzały pocztę. Zdobycie tych akt zajęło nam całe lata, ale teraz je mamy. Jest w nich kilka irańskich nazwisk, a wśród nich twoje, drogi doktorze.

Młody człowiek poczuł ulgę. Jeśli na tym polega jego „zbrodnia”, jest bezpieczny. Nie powiedział nic ważnego ani Trudi, ani jej ojcu. Zerwał z nią kontakt. Zrobił to, co powinien był zrobić prawdziwy sługa rewolucji.

- Powiedziałem wam wszystko, bracie inspektorze - za pewnił. - Niczego nie ukrywałem, bo nie mam nic do ukrycia. Ojciec ostrzegał mnie przed zagranicznymi szpiegami zanim wyjechałem z Teheranu. Wasi ludzie też mnie ostrzegali. Przed wyjazdem, podczas pobytu w Niemczech i po powrocie. Dlatego byłem ostrożny. Unikałem niemieckich dziewczyn.

- Kim jest Hans? Młody naukowiec nie odpowiadał. Znow zaczął się poci

- Kim jest Hans? - powtórzył śledczy. - Trudi koni towała się z kimś o takim imieniu, ale sądzimy, że nie b żadnego Hansa. Sądzimy, że to pseudonim.

Młody Irańczyk poczuł w środku drżenie, które chce się wydostać na zewnątrz. Wiedzieli. Nie było sensu kłamać

- To byłem ja - przyznał.

- Dlaczego używałeś pseudonimu? Skoro wasz związek był taki niewinny i nie miałeś nic do ukrycia, czemu wymyśliłeś sobie fałszywe imię?

Jak to wyjaśnić? Prawda była żalсна: imię „Hans” nadawał sobie w marzeniach. To był rodzaj reakcji obronnej. Gdy przyjechał do Niemiec, wstydził się swojego wielkiego nosa i lśniących czarnych włosów, które wyglądały na przetłuszczone nawet zaraz po umyciu. Chciał mieć zimne niebieskie oczy i zimną krew w żyłach, jak młodzi Niemcy. Chciał mieć bezwłose ciało zamiast zarosniętej klatki piersiowej, jak małpa ze Wschodu. Chciał mieć jedną z tych piersiastych niemieckich dziewczyn, które nie pozwalały mu się skupić, kiedy siedział w bibliotece i próbował czytać podręczniki, bo na ich widok jego członek sztywniał. Wstydził się tego, kim jest, więc wyobrażał sobie inną osobę i właśnie ta osoba miała na imię „Hans”

- Wstydziłem się - wyznał szczerze. - Wstydziłem się, że jestem Irańczykiem, i wymyśliłem sobie niemieckie imię. Trudi uważała, że to zabawne, więc kiedy wysyłałem jej maila albo do niej dzwoniłem, mówiłem „tu Hans”

Śledczy pokręcił głową.

- To bardzo głupie wyjaśnienie, doktorze. Ale nie wykluczam, że zgodne z prawdą. ???

Mehdi Esfahani przesłuchiwał młodego naukowca jeszcze dwie godziny. Wypytywał o najdrobniejsze szczegóły jego rozmów z Trudi i o to, jak i dlaczego zerwał z nią kontakt.

Młody człowiek wyznał wreszcie, iż zrobił to, bo bał się, że dziewczyna jest szpiegiem.

Ojciec ostrzegał go przed szpiegami, więc obawiał się, że ona może być jednym z nich. Po zerwaniu kilka razy próbowała się z nim skontaktować, ale nie odpowiadała.

Śledczy zadawał kolejne pytania, ale tylko sprawdzał, czy młody naukowiec będzie kłamał.

Ich agent w niemieckich służbach bezpieczeństwa poinformował, że kontakty Trudi z Irańczykiem w Instytucie Maxa Plancka spaliły na panewce.

Po kolejnej serii pytań o wysiłki Trudi, by odnowić znajomość, nastąpiła przerwa.

- Skąd wiesz, że jesteś burakiem? - zapytał nagle Esfa-hani.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę nie znam odpowiedzi.

- Wiesz że jesteś burakiem, kiedy twój dom wyskakuje z kółek, jak zapalasz zapałkę w łazience.

Młody człowiek wreszcie zrozumiał. Próbował się zaśmiać, ale słabo mu to wyszło.
- Naprawdę jesteś żaloszny, doktorze. Żadnego poczucia humoru. To jedyna podejrzana rzecz. Normalny człowiek ma życie, w tym wieku jest już żonaty. Nie jest taki ostrożny. Ale ty...
Zupełnie tego nie rozumiem. Czego się tak boisz? Dlaczego nie zaczniesz żyć?
?*?

Gdy po południu młody naukowiec wrócił do siebie do Yoosef Abad, czuł się oszołomiony. Miał dziwne uczucie niezniszczalności, jak ktoś, kto został postrzelony z bliskiej odległości i przeżył. Czas, kiedy go złapią, jeszcze nie nadszedł. Pod tym względem był fatalistą. Gdyby to był ten czas, wpadłby w panikę w pokoju przesłuchań i wyznał swój prawdziwy grzech. Powiedziałby kłamstwo, na którym od razu by się poznali. Spędziłby dzisiejszą noc w więzieniu.

Ale to nie był ten czas. Bóg nie chciał, żeby został złapany, więc Jego wolą jest, żeby nie został. Szukali go, ale nie widzieli. Był niewidzialny. Skoro mógł wrzucić w wodę kamyk, może wrzucić i głaz.

???

Późnym popołudniem Mehdiego Esfahaniego odwiedził mężczyzna znany mu tylko z arabskiego przydomka. Nieliczni Irańczycy, którzy wiedzieli o jego istnieniu, czasami nazywali go Al-Sadią, Przyjaciela, ale częściej Al-Majnoun, Szaleniec. Pod takim imieniem znał go Mehdi. Mężczyzna naprawdę nazywał się Badr albo Sadr, albo jakoś jeszcze inaczej, nikt nie był pewien jak. Mehdi Esfahani miał wysoką pozycję w służbach wywiadowczych i niewielu ludzi się bał. Ale Al-Majnouna tak.

Ten libański szyita przyjechał do Teheranu w połowie lat osiemdziesiątych. Ci nieliczni, którzy twierdzili, że wiedzą o nim wszystko, mówili, że był zamieszany w porwanie szefa placówki CIA w Bejrucie w 1984 roku i musiał uciekać do Iranu, żeby sprawa przyszła. Gdy zamieszkał w Teheranie, wzięły go pod swoje skrzydła służby wywiadowcze Gwardii Rewolucyjnej. Działał niezależnie od biurokracji -i tej z Gwardii, i tej z Ministerstwa Wywiadu. To był wolny strzelec, czyściciel. Podobno powierzano mu misje specjalne w kraju i za granicą i dawano zaskakująco dużą swobodę. Ludzie z regularnej służby, którzy próbowali o to pytać, zwykle później tego żalowali. Dwaj ponoć zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach.

Dlatego ludzie bali się Szaleńca. Dla wszystkich było oczywiste, że ma niezwykle wpływowego patrona - niektórzy szeptali nawet, że podlega bezpośrednio Najwyższemu Przywódcy i jest jego osobistym doradcą do spraw wywiadu. Krążyły pogłoski, że ci dwaj lubili się spotykać, że kładli się wtedy na poduszkach w pałacu Przywódcy i czytali na głos starożytne poematy perskie i arabskie, ale nikt nie wiedział tego na pewno. Kiedy więc Al-Majnoun późnym popoł-

dnem zapukał do drzwi Mehdiego, śledczy zaniepokoił się, że coś zrobił bardzo źle.

???

- Allah yatik al afia - powiedział Szaleniec w libańskim dialekcie. Całkiem dobrze opanował perski, ale często wracał do ojczystego języka.

Nie wyglądał imponująco. Był chudy i chodził nieco zgarbiony, lekko utykając. Prawie zawsze nosił ciemne okulary, które ukrywały wyraz jego oczu i część blizn po operacjach. Mówiło się, że po ucieczce z Bejrutu przeszedł przynajmniej dwie operacje plastyczne, żeby zmienić wygląd. Teraz jego twarz sprawiała wrażenie złożonej z połówek dwóch różnych twarzy. Jedna miała łagodne oczy, prosty nos i wydatne kości policzkowe Europejczyka, druga - zacięte wschodnie usta i wystający podbródek. Twarz Al-Majnouna jakby podążała w dwóch kierunkach równocześnie, a po operacjach zostały na niej dziwne małe występy tkanki. Tak naprawdę to była maska, nie twarz.

Mehdi życzył przybyszowi dobrego zdrowia i zaprosił, go by usiadł.

Spytał, co sprowadza tak ważną osobę do skromnej placówki na skraju królestwa wywiadu.

- Mam nowe zadanie - powiedział Al-Majnoun. Zdjął ciemne okulary, odsłaniając oczy. Chirurg sfuszerował ich kąciaki, pozostawiając cienkie linie w miejscach gdzie skóra została przecięta, ściągnięta i zszyta ponownie.

- Co to za zadanie, generale? Jestem do pańskiej dyspozycji. - Śledczy nie wiedział, jak zwracać się do gościa, więc wybrał wysoką rangę wojskową.

- Proszono mnie, bym zbadał bezpieczeństwo programu. - Al-Majnoun nie musiał dodawać, że chodzi o program nuklearny. To było oczywiste.

- Dlaczego, generale? Czy mamy powody do niepokoju? Al-Majnoun pogładził górną wargę, napiętą jak reszta

jego twarzy. Trudno było określić, czy te usta popękały od wiatru i słońca, czy zostały pocięte nożem chirurgicznym. Głos Szaleńca był piskliwy, jakby wydobywał się z gardła, a nie z krtani.

- Informacje są jak piasek na wietrze, bracie inspektorze. Nie wiemy, dokąd je zanieś. Czasami wiemy, że drzwi są otwarte, chociaż ich nie widzimy. Słyszymy szelest wiatru. Widzimy lekkie kołysanie się zasłon albo słyszymy skrzypienie podłogi, która powinna milczeć. Wyczuwamy to, nim zdobędziemy pewność. Być może teraz jest tak samo.

- Czy był jakiś przeciek?

Mehdi nerwowo pogładził kocią bródkę. Obawiał się, że zostanie o coś obwiniony.

Al-Majnoun roześmiał się. Zabrzmiało to bardziej jak kaszel niż śmiech.

- Nie przeciek, przyjacielu. Raczej szczelina, przez którą może wysączyć się przeciek.

Mehdi kiwnął głową, chociaż nie rozumiał. Chciał pokazać, że wykonuje swoją pracę, by nie zostać kozłem ofiarnym, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Zawsze jesteśmy czujni, generale. Miałem tu dziś chłopaka z centrum badawczego w Jamaranie. Sprawdziłem go bardzo dokładnie. Robimy to codziennie. Codziennie, zapewniam. Spięty, poważny młody człowiek. Studiował w Niemczech.

- Tak, wiem - Al-Majnoun kiwnął głową.

Mehdi mówił dalej, sądząc że Szaleniec chwali jego pracę.

- Udzielił nam właściwych odpowiedzi. Nie kłamał. To najlepszy sprawdzian. Jedno kłamstwo, a po nim przyjdą inne. Ale ten mówił prawdę.

- Tak, wiem - powtórzył Libańczyk i Mehdi uświadomił sobie, że Szaleniec ma na myśli młodego fizyka. - Chcę mieć pewność, że sprawa tego chłopaka będzie odpowiednio... prowadzona.

- Zostawiam otwarte akta, generale. Czekam na kłamstwo. Ale otwieram również kolejne akta. Tak powinniśmy działać, prawda? Musimy podejrzewać wszystkich. Obserwować i czekać, aż sprawa sama się rozwinie, ponieważ inaczej nic nie będziemy mieli. Czyż nie tak?

Al-Majnoun nie odpowiedział na pytanie. Założył ciemne okulary na wykonany przez chirurga nos, wstał z krzesła i wyszedł z pokoju.

WASZYNGTON

Na początku sierpnia do Harry ego Pappasa zadzwonił szef Centrum Operacji

Informatycznych. Nadzorował on publiczną stronę Agencji i był włączony do specjalnego programu dostępu, w którym prowadzono doktora Alego. Pappas pojechał z żoną i córką do Bethany Beach na kilkudniowy urlop, próbując zapomnieć, jakie wszystko jest popierdolone. Kiedy wieczorami spacerował po plaży, słyszał w szumie fal głos syna - puste, odtwarzane przez mózg echo, jak dźwięk morza w muszli. Ale cieszył się nawet z tego. Nie chciał zapomnieć, jak Alex mówił.

- Mam wrażenie, że twój irański przyjaciel wrócił - powiedział szef Centrum Operacji Informatycznych.

- To znaczy? - Pappas wstrzymał oddech.

- Właśnie dostaliśmy kolejną wiadomość z Iranu - odparł szef COI. - Sprawdziliśmy ślady. Wysłana z walcowni blachy w Szirazie, przekazana przez serwer w Turcji, ale to podpucha. Jest dłuższa, ale tagi wyglądają podobnie. Ten facet jest naprawdę dobry.

- Bóg jest wielki - powiedział Pappas.

Martwił się, że doktor Ali nie żyje, bo nie podjął kontaktu Po piętnastu dniach, jak mu kazali, i milczał przez następny miesiąc. Harry czuł się jak rodzic czekający na powrót dziecka do domu. Co poszło nie tak? Spłoszyli go? Popełnili jakiś błąd, nie zdając sobie z tego sprawy? Ich wiadomość go prze-

straszyła? Albo może został namierzony? No, ale wreszcie wrócił.

- Co mam zrobić? - spytał szef COI.

- Usuń ją z systemu, natychmiast. Jeszcze dziś wracam do Waszyngtonu.

- Po co ten pośpiech? Sądziłem, że jesteś na urlopie.

- Nie będziemy mieli drugiej takiej szansy. Jeśli to nasz człowiek, musimy go szybko pozyskać.

Pappas wrócił do Waszyngtonu samochodem. Na wiadomość o jego wcześniejszym wyjeździe żona zareagowała niemal ulgą. Harry'ego tak naprawdę nie było. Nie było go przez cały rok 2004, kiedy przebywał w Bagdadzie. Ale teraz nie było go nawet wtedy, kiedy przebywał w domu. Andrea miała własne życie. Uczyła w szkole podstawowej w Fairfax i większą część dnia spędzała z dziećmi, co pomagało jej nie myśleć o zmarłym synu.

Wieczorami chodziła na zajęcia jogi i na spotkania klubu miłośników książek, na których rozwiedzione kobiety opowiadały przy winie o swoim życiu seksualnym. No i miała Louise - Lulu - choć dziewczyna zamknęła się w sobie po śmierci brata. Jakby obwiniała o nią rodziców.

Harry obiecał przyjechać po nie pod koniec tygodnia. Andrea odparła, że to wspaniale, ale wiedziała, że wróci do domu z przyjaciółmi.

???

Harry pojechał prosto do biura. Wszedł głównym wejściem, minął strażników i elektroniczne bramki. W korytarzu C natknął się na znak ostrzegawczy: „Uwaga! Zagraniczy łącznicy”, a po chwili zobaczył grupę gości, zapewne z Malajzji albo Indonezji. Niscy skończoności mężczyźni w garnitu rach i krawatach. Minął ich i wbiegł na rampę prowadzącą do Wydziału Persja. Recepcjonistki już nie było, ale wejścia pilnowała świetlista twarz Husajna. Harry wszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi i zalogował się do programu. Wiadomość była po angielsku i dotyczyła transakcji handlowej. Rozpoczęła się od przeprosin.

Bardzo nam przykro. Otrzymaliśmy Państwa pismo w sprawie zamówień na blachę stalową, ale nie mogliśmy odpowiedzieć w terminie. Nie używamy już konta na Hotmailu, gdyż martwimy się, że nasi konkurenci są zbyt dociekliwi. Proponujemy inny kontakt. Będziemy wspólnie używać konta mailowego iranmetalworks@gmail.com. Hasło brzmi „eba-ga4X9”. Prosimy nie wysyłać ani nie odbierać wiadomości za pomocą tego konta. Prosimy je tylko pisać i zachowywać w folderze „Szkice”, a my zapoznamy się z nimi. Przykro nam, że nie możemy się spotkać. To nie jest dobre dla interesów. Nie znacie tego rynku, ale my tak. Prosimy nie kontaktować się z nami w żaden inny sposób. My będziemy zajmować się interesem, nie wy. Nie możemy podróżować na inne rynki.

Dalej było kilka zdań po persku. Pappas pokazał je Amerykance irańskiego pochodzenia przydzielonej do sprawy. Po godzinie odpowiedziała, że to fragment wiersza Ferdowsie-go, najslawniejszego irańskiego poety. Tłumaczenie brzmiało:

Powiedział: „Czy te znaki zwiastują dobro czy zło?

Kiedy zakończy się moje ziemskie życie?

Kto przyjdzie po mnie? Powiedz, kto otrzyma

Tę królewską koronę i pas, i tron.

Ujawnij tę tajemnicę i nie kłam.

Przekaż mi ten sekret albo gotuj się na śmierć".

E-mail zawierał również dokument techniczny. Który zmienił wszystko.

???

Pappas czekał, aż Tony Reddo i Adam Schwartz przeanalizują dokument. Siedzieli przy małym stole konferencyjnym w jego dusznym gabinecie i przerzucali się uwagami technicznymi, których Harry nie rozumiał. Próbował czytać raport z Dubaju, ale nie mógł się skoncentrować. Wreszcie odezwał się Schwartz.

- To duża rzecz - powiedział. - Jeśli to jest to, co sądzimy, to jest naprawdę duża rzecz.

- Więc co to jest, do diabła? Nie drażnijcie się ze mną.

- Czy wie pan, co to jest generator neutronów? - spytał Reddo.

- Coś, co generuje neutrony - prychnął Harry z irytacją. - Oczywiście, że nie wiem.

- Generator neutronów to sposób na odpalenie bomby atomowej.

- O kurwa. I właśnie o tym tam jest? Schwartz i Reddo pokiwali głowami.

- To raport z laboratorium - wyjaśnił Schwartz, cudowne dziecko MIT pracujące dla Arthura Focha. - Opisuje próbę uruchomienia neutronów na poziomie potrzebnym, by doprowadzić do rozszczepienia ładunku bomby atomowej. Ale generator nie działa.

- Nie działa?

- Ano nie. Ten generator to taka skomplikowana świeca zapłonowa. W projekcie Manhattan nazywali go „zamkiem błyskawicznym”. Tylko niech pan nie pyta, dlaczego. To dość skomplikowane. Ładunek wybuchowy wytwarza energię, za pomocą której podgrzewa się deuter. A dokładniej jonizuje się go. wY"

buch przyspiesza ten zjonizowany deuter, który zaczyna bombardować tryt, a ten produkuje całą masę neutronów. Z kolei neutrony wywołują reakcję łańcuchową w plutonowym jądrze bomby. A wtedy bum! Mam nadzieję, że jasno to wyłożyłem.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz, ale to nieważne. Wystarczy mi, że to coś może doprowadzić do wybuchu atomowego. O ile będzie działać.

- Dokładnie - powiedział Reddo. - To jedna z technicznych łamigłówek budowy broni jądrowej. W teście, który tu opisano, nie doszło do emisji neutronów, czyli reakcja łańcuchowa nie zostałaby zapoczątkowana. Ale nie o to chodzi. Ten raport świadczy, że Irańczycy budują zapalnik. Pierwsza próba się nie udała, ale na pewno planują kolejne.

- Są blisko?

- Nie mam pojęcia. Z raportu nie wynika, jak poważne są ich problemy techniczne. Ale jakie by nie były, na pewno spróbują je rozwiązać.

- To dość przerażające, prawda?

- Tak - potwierdzili Reddo i Schwartz jednocześnie. Pappas zamknął oczy i próbował uporządkować to, co

właśnie usłyszał. To była czarna flaga - nie, gorzej, to była syrena alarmowa. Jeśli wiadomość jest prawdziwa, Irańczycy podjęli przerwany program budowy bomby. Pracowali nad nim w 2003 roku, ale potem przestali, przynajmniej tak sądziła Agencja. Wiadomość od doktora Alego opisywała nieudany test, ale jeśli rozwiążą problem z zapalnikiem i wyprodukują odpowiednią ilość materiału rozszczepialnego, mogą przeprowadzić próbny wybuch. Jeżeli to zrobią, cały świat wyrzuci się do góry nogami.

Pappas zwołał członków programu specjalnego dostępu, ale dręczyły go złe przeczucia. Nie chodziło o to, że chciał

zachować te dane dla siebie. Po prostu wiedział, że taka informacja prędzej czy później wyrwie się spod kontroli jak nagła powódź.

???

Spotkanie członków programu specjalnego dostępu odbyło się następnego dnia. Fox, który poprzedniego wieczoru wrócił ze swojego domku letniskowego na Nantucket, był opalony i

wypoczęty. On nawet nie wiedział, co to jest bezsenna noc, w odróżnieniu od Harryego, który od kilku lat innych nocy nie miewał. Nie doświadczył najgorszych rzeczy, jakie może przynieść życie. Nigdy nie musiał być naprawdę silny. To dzięki temu mógł mówić jak twardziel.

- Powinniśmy z tym iść do Białego Domu - brzmiały pierwsze słowa Foxa, kiedy usiedli w sali konferencyjnej.

- Oczywiście - zgodził się Harry - ale jeszcze nie teraz. Dopiero dostaliśmy tę cholerną wiadomość.

- Nie wygłupiaj się - parsknął Fox. - To jest deklaracja wojny ze strony Iranu.

- Nieprawda. To dokument, który, na ile jesteśmy w stanie stwierdzić, mówi o tym, że coś się przyszyli. Biały Dom nawet nie wie o doktorze Alim. Nie wciągajmy w to ludzi ze śródmieścia, dopóki nie będziemy pewni tego, co mamy.

- Nie rozumiesz, Harry. To jest przełom. Oni znów pracują nad bronią atomową. Pracują nad zapalnikiem. Są prawie gotowi do przeprowadzenia próbnego wybuchu. Takie jest przesłanie tej wiadomości. Musimy ją pokazać w Białym Domu jeszcze dziś. Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię. Dyrektor mnie poprze. Chce, żebyśmy zapoznali z tą informacją doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego dziś po południu.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ już go spytałem. Nie chcę działać za twoimi plecami, ale uznałem, że admirał powinien wiedzieć. - Dyrektor CIA był czterogwiazdkowym admirałem i nadal nosił mundur marynarki. Lubił wszystko załatwiać zgodnie z regulaminem, ale w Agencji nie był pewien, na czym polega regulamin.

- Masz rację - mruknął Harry. Chociaż nie lubił Foxa, wiedział, że postąpił słusznie. To nie była informacja, którą mogli zachować dla siebie. Ale i tak się martwił. Kiedy coś trafia do śródmieścia, już nie daje się kontrolować. Zaczyna żyć własnym życiem.

- Słucham?

- Powiedziałem, że masz rację. Chodźmy pogadać z dyrektorem. A po południu pojedziemy do śródmieścia.

Fox nie był zadowolony, chociaż wygrał. Wkurzyło go, że Harry pojedzie z nim do Białego Domu.

WASZYNGTON

Biały Dom to jedno z tych miejsc, które przypominają gościom, czym Waszyngton był kiedyś, nim stwardniały na nim warstwy instytucjonalnych oszustw, a personel namnożył się jak zombie w Nocy żywych trupów. Skrzydło Zachodnie jest tak małe, że mieści się tam niewiele osób. Prezydent i jego główni doradcy, stłoczeni w sąsiadujących ze sobą gabinetach, nie mogą uniknąć swojego towarzystwa. A kiedy mija się kordon Secret Service, człowiek uświadamia sobie, że prezydent Stanów Zjednoczonych to tylko polityk otoczony przez dworaków, pochlebców i karierowiczów. Predysponowany do podejmowania głupich decyzji jak każdy inny polityk, a może nawet bardziej. Prawdziwy sekret Białego Domu polega na tym, że jest on taki zwyczajny - przeciętność na-pakowana sterydami.

Hol w Skrzydle Zachodnim wygląda jak poczekalnia przed gabinetem gubernatora - i to niewielkiego stanu. Sekretarka siedzi za biurkiem po prawej stronie drzwi; w pozostałych trzech kątach pomieszczenia stoją kanapy i fotele. Przesiadują na nich osobiści asystenci, koledzy prezydenta z rodzinnych stron, spiskujący lobbyści i niedowartościowani członkowie Kongresu - wszyscy czekają na przyjęcie przez pierwszego obywatela i jego głównych doradców. Ściany ozdabiają stare obrazy - kowboje i Indianie, i pejzaże pogranicza; Jerzy Waszyngton przekraczający Delaware, mit amerykańskiej determinacji. Gdyby dodać spluwaczki i zapach zwietrzałych cygar, byłoby tu zupełnie jak w Białym Domu za czasów Lincolna.

Ale ludzie z wywiadu nie wchodzą głównym wejściem. Zwykle wybierają boczne drzwi na parterze, które prowadzą na małą uliczkę między Skrzydłem Zachodnim a budynkiem Old Executive Office. Przyjeżdżają samochodem z Langley albo przychodzą pieszo z tajnego biura wywiadu na ulicy F. Często schodzą do Centrum Operacyjnego i innych podziemnych bunkrów napakowanych elektroniką. Emisariusze CIA należą do innego Białego Domu, który nie ma nic wspólnego ze spluwaczkami i cygarami i jest produktem imperialistycznego supermocarstwa, które powstało po 1945 roku. To faceci od bocznych wyjść, nieznanymi politykom i petentom przesiadującym w poczekalni Zachodniego Skrzydła.

Przyjechali parę minut przed siódmą. Dyrektor w letnim mundurze marynarki - wykrochmalona biel ozdobiona złotem admirałskich gwiazdek i kolorowymi baretkami orderów - szedł przodem. Zawsze czuł się najlepiej w mundurze, jak aktor w kostiumie. Fox i Pappas szli za nim, jak zwykle w garniturach. Garnitur Arthura był elegancki i dobrze skrojony, Harry ego - wygnieciony i powypychany na kolanach i łokciach.

Tego wieczoru prezydent wydawał w Żółtym Salonie na górze prywatne przyjęcie dla kilku członków Kongresu i ich żon. Ponoć nienawidził takiego spoufalania się, ale rozpaczliwie potrzebował głosów. Plan był taki, że przybysze z Agencji wprowadzą w sprawę doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego Stewarta Applemana, a potem, jeśli ten uzna to za wskazane, również prezydenta.

Dyrektor wszedł po schodach, za nim Fox i na koniec Pappas. Na górze skręcili w lewo w wąski korytarz do biu-

ra Applemana. Łącznik z Rady Bezpieczeństwa Narodowego już na nich czekał i wszyscy razem ledwo się mieścili w przedpokoju. Wreszcie drzwi się otworzyły i z narożnego gabinetu wychynął doradca. Wyglądał bardzo młodo jak na te wszystkie tajemnice, które musiał przetrwać w ciągu trzydziestu lat kariery. Miał na sobie klasyczny ciemny garnitur, białą koszulę i czarne skórzane mokasyny.

- Możemy zrobić to tutaj? - zapytał, wskazując swoje biuro. Przez okna wpadały ostatnie promienie słońca. Ściany w mdłym kolorze skorupki kurzego jaja ozdobiono marynistycznymi obrazami i obowiązkowymi tableaux z Dzikim Zachodem. Appleman stał w progu, czekając, aż wejdą. Był taki ugrzeczny, że nawet prezydent traktował go lekceważąco, jakby był służącym, a nie ważnym doradcą.

- Może lepiej na dole - odparł dyrektor. - To gorąca sprawa.

Zeszli do Centrum Operacyjnego, mijając wielkie drzwi na dole schodów i stanowisko ochrony, obsadzone przez całą dobę, tak na wszelki wypadek. Gdy usiedli przy stole konferencyjnym, Appleman zdjął marynarkę, choć w sali było zimno jak w piwnicy na wino. Pozostali zrobili to samo.

- Irańczycy znów pracują nad bronią - oznajmił dyrek tor. - Konstruują zapalnik. - Nie należał do osób, które owijają w bawełnę.

- Na święte Toledo! - wykrzyknął Appleman. Nie lub: bluźnić ani kłąć. - Jesteście pewni?

- Mamy agenta w programie. Na to wygląda.

- Wreszcie - Appleman pozwolił sobie na lekki uśmiech. Trudno było odgadnąć, czy chodziło mu o to, że wreszcie mają irańskiego agenta, czy że wreszcie mu o nim mówią. Fox zapewne doniósł mu o tym wiele tygodni temu. - Pre-

zydent już niemal położył na was krzyżyk, panowie. Ale dlaczego „na to wygląda”? Albo macie agenta, albo go nie macie. Czy może coś przeoczyłem?

Czapka admirała leżała na stole, cała w złotych plecionkach. Nie był w swoim żywiole, więc zwrócił się do Pappasa.

- Harry to wyjaśni.

- Mamy, jak to nazywamy, wirtualnego gościa - zaczął Pappas. - Skontaktował się z nami przez stronę internetową. Jest jak ci sowieccy zdrajcy, którzy zjawiali się kiedyś w naszych ambasadach, tyle że w wersji komputerowej. Nazywamy go „doktorem Alim”, ale nie mamy

pojęcia, kim jest. Możemy tylko snuć przypuszczenia na podstawie informacji, jakie nam przesyła. Po raz pierwszy skontaktował się z nami w czerwcu. Odpowiedzieliśmy, on jednak milczał, więc zrobiliśmy się podejrzliwi. Ale kilka dni temu dostaliśmy od niego dobre materiały. Bardzo dobre. Więc myślę, że to autentyk.

- Opowiedzcie mi o tych dobrych materiałach - poprosił Appleman.

- Jeśli pozwolisz, Stewarcie - odezwał się Fox. - Nie komplikujmy tego niepotrzebnie. Nasz człowiek w Teheranie przysłał dowód na to, że Irańczycy robią bombę. Nie tworzą planów, nie produkują materiałów, tylko ją robią. Pracują nad generatorem neutronów. Właśnie tego szukaliśmy. Dymiącej strzelby. Lada moment zaczną przeprowadzać próby.

Wrażenie było takie, jakby z sali zostało wysane całe powietrze, zawieszając wszystkich w próżni. Fox silił się na powagę, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu satysfakcji. Niczyjej uwadze nie uszedł fakt, że zwrócił się do doradcy po imieniu. W Agencji chodziły słuchy, że się kumplują. Towarzysko i politycznie.

- Skąd ta pewność, Arthurze? - spytał doradca do spraw bezpieczeństwa, przerywając ciszę. Zwrócił się do Harry'ego. - To znaczy, skoro nie wiecie, kim on jest?

Appleman nie chciał zostać spalony na stosie, jeśli wywiad się myli. Wiedział, co się porobiło w Iraku.

- Nie musimy znać jego tożsamości, Stewarcie - zapewnił Fox.

- Dlaczego?

- Ponieważ jego informacje są prawdziwe. Przysłał nam dokumenty, które mogą pochodzić tylko z programu nuklearnego. Pierwsza wiadomość to były statystyki wzbogacania uranu. Wynikało z nich, że Irańczycy zbliżają się do poziomu wzbogacenia koniecznego do budowy bomby i że być może produkują pluton. Informowaliśmy cię o tym, ale nie mieliśmy potwierdzenia. Teraz facet przysłał raport, który opisuje irańskie eksperymenty z generatorem neutronów. To pasuje do produkcji uranu i plutonu, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że oni składają elementy bomby, Stewarcie. Są bliscy przełomu. Mają kłopoty, ale wkrótce je rozwiążą. Kończy nam się czas, o to chodzi.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zapytał dyrektora, czy zgadza się z oceną Foxa. Admirał kiwnął głową.

- Jeśli Arthur i jego zespół z Zapobiegania Rozprzestrzenianiu mówi, że to prawda, jestem gotowy do podniesienia kotwicy.

Harry skrzywił się. Dla Foxa i admirała sprawa była prosta i oczywista. Wystarczy otworzyć i zamknąć. Popatrzył na monitory na ścianach. Ta sala miała być stanowiskiem dowodzenia prezydenta na wypadek wojny. Taka była stawka.

Odchrząknął i spytał:

- Czy mogę coś powiedzieć?

Fox poruszył się niespokojnie, ale Appleman skinął głową.

- Oczywiście.

- Musimy być ostrożni - rzekł Pappas. - Przykro mi, jeśli to zabrzmia asekurancko, ale sprawa jest niejasna. Tak naprawdę nie znamy źródła, nie wiemy, skąd pochodzi. Z przysłanego nam raportu wynika, że Irańczycy mają kłopoty z uruchomieniem tego czegoś, a nie że lada moment dokonają przełomu. Wy, politycy, będziecie musieli podjąć ważne decyzje, a ja jako oficer wywiadu żałuję, że nie mogę wam dostarczyć lepszych informacji. To wszystko. Takie ostrzegawcze żółte światło od starego oficera, który niejedno widział.

Appleman zdjął szylkretowe okulary i przetarł je jedwabnym krawatem w pomarańczowe i czarne pasy. Skończył Princeton, co łączyło go z Foxem. Pappas chodził do Boston College, dostał się do ROTC i był szczęśliwy, że wytrwał. Appleman włożył okulary i uniośł rękę, jakby zatrzymywał ruch.

- Rozumiem konieczność zachowania ostrożności. Jestem panu wdzięczny ale zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje, musi się o tym dowiedzieć prezydent. Najlepiej od razu. -

Urwał, zastanawiał się chwilę i dodał: - Prezydent nie lubi tłumów, więc myślę, że wystarczy was dwóch. Sami wybierzcie, kto zostanie.

Dyrektor skinął na Foxa.

- Arthurze?

- Jak pan sobie życzy - Fox aż podskoczył na krześle.

???

Prezydent obiecał zejść za piętnaście minut, gdy tylko pożegna się z kongresmenami. Pappas wrócił do przedpokoju przed gabinetem Applemana. Siedział tam prawie godzinę i zaczęło mu burczeć w brzuchu. Najchętniej poszedłby do baru w Old EOB coś zjeść, ale chciał tu być, kiedy dyrektor wróci. To był jedyny sposób dowiedzenia się, o czym rozmawiano.

Dyrektor i Fox wrócili na górę przed dziewiątą. Fox był wyraźnie niezadowolony, że Pappas nadal tu siedzi, ale starał się tego nie okazywać. Przeprosił, że nie pojedzie z nimi do Agencji. Ma umówioną kolację na mieście i wezwie samochód z Langley, kiedy skończy. Harry przewrócił oczami. Fox był taki przewidywalny. Dlaczego nie powiedział wprost, że zamierza zjeść kolację ze Stewartem Applemanem?

- Jedźmy do domu - powiedział dyrektor.

Nie powiedział ani słowa więcej, nawet gdy znaleźli się w samochodzie i ruszyli ku George Washington Parkway.

- I co? - spytał Pappas, kiedy minęli kilka przecznic.

- Co z czym? - dyrektor udawał, że nie rozumie.

- Co, na miłość boską, powiedział prezydent?

- Powiedział „kurwa mać” albo coś w tym rodzaju. I że musimy przygotować opcje militarne, jeśli Irańczycy są bliscy fazy testów. I że musimy wiedzieć więcej o tym czymś tam od neutronów i o plutonie, i o całej tej aferze. Przyznałem mu rację. Prawda jest taka, że niewiele wiemy.

Pappas uśmiechnął się. Czuł ulgę. Nie był pewien, czy dyrektor naprawdę rozumie, jak niedoskonały jest obraz nakreślany przez informacje wywiadowcze. I nie miał pojęcia, jak prezydent podejmuje decyzje. Ale okazało się, że jest dobrze.

- Arthur musiał być rozczarowany - stwierdził. - Sądząc z tego, jak rozmawiał z Applemanem, miał nadzieję odpalić rakiety jeszcze dzisiaj.

- Przekazał prezydentowi swoje stanowisko. Ale nie musisz się martwić. Był... poprawny. Dyrektor wydawał się zmęczony, przytłoczony wszystkimi sekretami, które musiał dźwigać. Pappas pofcrał rękę na ramieniu szefa.

- To trudna sprawa - powiedział.

- Jakbym o tym nie wiedział - mruknął admirał.

- Co mam zrobić?

- Dowiedz się więcej o tym doktorze Alim. Kim jest? Co dokładnie wie? Co jeszcze może nam powiedzieć o programie? Jak możemy go wykorzystać? To tak na początek. Będą chcieli go wycisnąć jak cytrynę i potrząsać klatką. Po dzisiejszym nie wolno nam popełnić w tej sprawie błędu.

- Nie tak szybko, admirale. Nic nie wiemy o tym facecie i nie mamy żadnych doświadczeń. Nie mamy placówki w Teheranie, a nie chcę tam wysłać nielegała, bo jeśli zostanie złapany, nie będzie go chronił immunitet dyplomatyczny. Kilka dni w więzieniu Evin i nawet największy twardziel zacznie śpiewać. Doktor Ali będzie martwy, a my zostaniemy z niczym.

Jechali teraz George Washington Parkway. Rzekę spowijał srebrzysty blask księżyca w pełni, kilka łódek przycumowanych do brzegu okrywał cień. Harry popatrzył na szerokie ujście Potomaku. Ostatnio pojawiło się tam kilka gatunków ryb żmijogłowych. Pochodziły z Azji i nikt nie wiedział, skąd się wzięły. Zjadały miejscowe ryby. Ktoś z Wydziału Bliskiego Wschodu zaproponował, żeby sprowadzić większe i jeszcze paskudniejsze ryby, żeby zeżarły żmijogłowe. Do tego to wszystko się sprowadza, pomyślał Pappas.

- Jaką mamy alternatywę? - spytał dyrektor. - Jeśli wysłanie nielegała jest zbyt niebezpieczne, co nam pozostaje?

Harry zastanawiał się nad tym już od kilku tygodni, jeszcze nim otrzymali drugą wiadomość. Jak zidentyfikować irańskiego hakera, który zamierza pozostać w ukryciu? Jak dotrzeć do serca Teheranu, który ma prawie dwanaście milionów mieszkańców, i wyłowić spośród nich tę jedną potrzebną im osobę? Nie można było tego zrobić z Dubaju ani ze Stambułu, a już na pewno nie z Langley. Trzeba było to

zrobić na miejscu. Harry wiedział, że do rozwiązania tej łamigłówki potrzebuje pomocy.

- Anglicy - odparł po dłuższym namyśle. - O ile wiem, SIS ma dwóch ludzi w brytyjskiej ambasadzie w Teheranie. Może oni pomogą nam go znaleźć. I zdobędą informacje, dzięki którym będziemy mogli zadać doktorowi Alemu lepsze pytania.

- Utrzymaj to w sekrecie?

- Oczywiście. Anglicy to najlepsi kłamcy na świecie. Poza tym doskonale znam Adriana Winklera, nowego szefa kadr SIS. Zrobi wszystko, o co go poproszę. Byliśmy razem w Moskwie i w Bagdadzie. Mógłbym pojechać do Londynu, wprowadzić w sprawę jego i jego szefa i przygotować plan operacyjny. Trzymać rękę na pulsie.

Dyrektor odpowiedział, dopiero gdy wjeżdżali na teren siedziby CIA. Kiedy odchodził z wojska, żeby pracować w Agencji, był szczęśliwym człowiekiem. Początkowo traktował CIA jak wielką bazę morską. Chodził do kantyny z żoną, grał w softball w „dni rodzinne”, osobiście wręczał medale i awanse. Ale ta łatwa część już się skończyła i teraz miał na głowie wielką, dysfunkcyjną organizację. Pappas podejrzewał, że admirał nie lubi ani tej pracy, ani ludzi, którzy ją wykonują. On kochał okręty i marynarzy. CIA to był inny świat.

- Zrób to - powiedział dyrektor. - Jedź do Londynu.

Pappas odparł, że zamierza wyruszyć już nazajutrz. Limuzyna zatrzymała się w garażu.

Dyrektor ściągnął prywatną windę, która miała go zawieźć na szóste piętro. Zostało jeszcze tylko jedno pytanie.

- Powie pan Foxowi? Dyrektor milczał. Harry uznał, że miało to oznaczać „nie”.

LONDYN

Adrian Winkler mógłby pozować do plakatu werbunkowego SIS, gdyby ta najbardziej tajna z tajnych agencji chciała się reklamować. Miał ciemne gęste włosy i tajemniczy błysk w oczach. Umiał strzelać, skakać ze spadochronem, mówić w egzotycznych językach i opowiadać sarkastyczne dowcipy. Działał z polotem, który przypominał wszystkim, że praca w wywiadzie jest jak nauka w prywatnej szkole, trudna i wymagająca bystrego umysłu. Kiedy Winkler kończył udaną operację, mówił „To był niezły numer!” jakby się chwalił kolegom z klasy. Większość Amerykanów onieśmiały i peszyły jego sardoniczny humor i pogarda dla braku kompetencji. Ale Harry'ego Pappasa dzieliła od Winklera taka odległość na mapie towarzyskiej, że nie czuł się zagrożony. Lubił Adriana, bo Winkler był dobry w tym, co robił, i wyraźnie lubił swoją pracę.

Poznali się przed laty w Moskwie, kiedy obaj byli początkującymi oficerami wywiadu. CIA przeżywała wtedy jeden z ataków paniki na punkcie penetrowania jej szeregów, więc życie w amerykańskiej ambasadzie było ponure jak środek zimy. Szef misji kazał swoim podwładnym zawiesić wszelkie operacje, dopóki sytuacja się nie wyjaśni, co oznaczało, że Pappas nie miał nic do roboty. Jego koledzy dla zabicia czasu pili na umór, flirtowali z żonami współpracowników i uważali, żeby nie powiedzieć niczego, co sprowadziłoby na nich kłopoty. Pappas był tak znudzony, że jeździł metrem od stacji Kurskaja do stacji Kijewskaja i z powrotem tylko po to, by wprowadzić zamieszanie w szeregi opiekunów z KGB.

A potem pojawili się Adrian i Susan Winklerowie z dwoma małymi córeczkami. Przyjechali samochodem z Finlandii, co w zimie było nie lada wyczynem. Oblodzone drogi, płaczące dzieci, milicyjne patrole co kilkanaście kilometrów. Jechali bez postojów, żeby zdążyć do Moskwy przed śnieżycą, która posuwała się na wschód. W końcu Adrian, wyczerpany

wielogodzinną jazdą, postanowił gdzieś się zatrzymać i złapać trochę snu. Znalazł mały parking przy drodze, ukryty wśród świerków. Zamknął oczy i natychmiast zasnął. Obudził go płacz jednej z córek.

Zapamiętał to miejsce: to było clou historii, którą opowiedział Pappasowi pewnego wieczoru. Zapamiętał ten mały parking, zarejestrował go gdzieś na dnie umysłu, gdzie tkwił bezużytecznie, aż pewnego dnia, kilka miesięcy po jego przybyciu do Moskwy, SIS zarządziło operację awaryjną - ewakuację oficera KGB, którego zwerbowało. Agent miał uciekać przez Finlandię, ale potrzebne było miejsce, gdzie po drodze mógłby zniknąć. Winkler przypomniał sobie wówczas ustronny parking wśród świerków. Plan był prosty: rosyjski agent przyjeżdża z jednej strony, a brytyjski nielegal z drugiej, po czym z parkingu wyjeżdża jeden samochód, z agentem w przebraniu. Brawurowa operacja stała się legendą w SIS. Winkler miał wtedy zaledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Nie powinien był opowiadać Pappasowi tej historii - Anglicy chcieli, by Sowieci myśleli, że agent nie żyje - ale obaj opuścili już Rosję i pili wódkę w bezpiecznym mieszkaniu w Sztokholmie, a, jak to ujął Adrian, „komuś trzeba zaufać.

- Czy chociaż ci podziękował? - spytał Harry.

Winkler pokręcił głową.

- Paweł? Chyba żartujesz? To był kawał sukinsyna. Uważał, że sam tego dokonał. - Westchnął. - Tak już jest w tym interesie, no nie? Gdyby nie było z nimi coś nie tak, po co w ogóle by z nami gadali? I wiesz co? To się udziela.

???

Harry i Adrian zaprzyjaźnili się. Obaj mieli małe dzieci. Syn Pappasa, Alex, był wtedy rezolutnym czterolatkiem, który nigdy nie narzekał na zimno, nawet przy trzaskającym mrozie. Mieszkali blisko siebie, a Winkler posłał córki do amerykańskiej szkoły, ponieważ uważał, że brytyjską prowadzi sadysta. Ich żony też się polubiły. Adrian uwielbiał opowieści Harryego o szkoleniu kontras w Nikaragui. Kochał opowieści o karabinach i bombach, i innych gadżetach, którymi bawią się żołnierze. Z kolei Harry chciał zrozumieć wywiad, więc uczyli się od siebie nawzajem.

Założyli klub filmowy, żeby ożywić długie zimowe wieczory. Oglądali stare filmy z Cary Grantem, francuskie klasyki Jeana Renoira i Francoisa Truffauta, a jeśli udało im się je skombinować, kasety z Monty Pythonem i kreskówkami Rocky i Bullwinkle. Dla Harryego to była prawdziwa edukacja kulturalna. Jego znajomość sztuki filmowej ograniczała się do hollywoodzkich westernów.

Winkler był gwiazdą. Wszyscy w moskiewskiej placówce wiedzieli, że dokonał wyczynu, a chociaż nie mieli pojęcia, jakiego, podziwiali go. Oczywiście byli też zazdrośni, zwłaszcza koledzy po fachu. Nikt nie lubi kogoś, kto odnosi zbyt wiele sukcesów, szczególnie w młodym wieku.

Pappas też był swego rodzaju gwiazdą. Uczynił go nią sam dyrektor, który poznał Harryego jeszcze w Nikaragui. Lubił ludzi z błotem na butach, więc załatwił mu przydział do Moskwy, żeby stał się prawdziwym oficerem wywiadu, zamiast wysłuchiwać gównianych pouczeń primadonn ze szkoleń motywacyjnych.

Harry zrobił dokładnie to, czego stary oczekiwał. Wstrząsnął moskiewską placówką i zmusił ją do działań operacyjnych. Wymyślał coraz to nowe zajęcia - mylenie nadzoru KGB, sprawdzanie odbioru radiowego, szukanie dobrych stref zrzutu. Współpracował z Adrianem nawet przy prowadzeniu agenta, którego Brytyjczycy i Amerykanie zwerbowali razem w Niemczech. Człowiekowi, który właśnie wrócił z dżungli Nikaragui, ryzyko prowadzenia agenta w Moskwie wydawało się naprawdę niewielkie.

Dwaj młodzi oficerowie pomagali sobie także na gruncie prywatnym. Kiedy Pappas udawał się na akcję, Winkler troszczył się o Andree i Alexa. Harry robił to samo dla Susan i dziewczynek, gdy Adrian prowadził operację w terenie.

Winkler, który nie miał syna, uwielbiał Alexa. Chłopiec odwzajemniał to uczucie i nazywał go „wujkiem Adrianem”. Później, gdy już wyjechali Moskwy, Winkler przysyłał mu prezenty na każde święta. Zawsze książki - początkowo awanturnicze, Kapitanów zuchów i Hornblowera, a potem opowieści o prawdziwych wojnach. Tylko to interesowało Alexa poza sportem.

???

Kiedy Alex zginął, Pappas i Winkler byli w Iraku jako szefowie placówek. Obaj uważali, że ta wojna okaże się katastrofą, i próbowali ją powstrzymać, ale nie udało im się. W dniu śmierci Alexa to przestała być kwestia polityki. Kiedy Pappas się dowiedział, pojechał do biura Winklera w na wpół zrujnowanym budynku niedaleko bagdadzkiej siedziby CIA, zamknął za sobą drzwi i zaczął płakać. Szlochał rozpaczliwie i ciągle powtarzał „to moja wina” Winkler nawet nie próbował pocieszać przyjaciela. Po prostu przy nim siedział, a potem odwiózł go na lotnisko i wsadził do samolotu do Stanów. Nigdy nie widział smutniejszego człowieka. Sam przyleciał do Waszyngtonu kilka dni później, żeby być z Harrym, kiedy ciało jego syna przybyło do Dover. Po pogrzebie Alexa już nic nie było takie samo dla żadnego z nich.

???

Spotkali się w Vauxhall Cross, kwaterze głównej SIS przy Albert Embankment na południowym brzegu Tamizy. Winkler był szefem kadr i jego biuro mieściło się na ostatnim piętrze, w tym samym korytarzu co gabinet sir Davida Plumba, obecnego użytkownika sławnego inicjału „C”.

Adrian czekał na Harrygo przy windzie. Idąc do jego biura, mijali bystrookich młodzieńców w pasiastych koszulach, którzy niewątpliwie rozpoznali w Pappasie Amerykanina.

Gabinet Winklera był ozdobiony afrykańskimi maskami i włócznieami, co mogło wydawać się dziwne komuś, kto nie wiedział, że Adrian urodził się i spędził pierwsze lata życia w Ugandzie. Dopiero po śmierci ojca, który miał farmę w buszu, przyjechał z matką do Anglii. Krewni wysłali go do szkoły w Rugby, a potem zdobył stypendium do Corpus Christi. Nauczyciele akademicy, którzy pełnili wówczas rolę oficerów werbunkowych SIS, zauważyli, że Winkler biegle posługuje się nigeryjsko-kongijskimi dialektami z Ugandy. Zauważyli też, że bardzo potrzebuje ojca. Równie dobrze mógłby mieć SIS wytatuowane na czole.

Z okien biura Winklera rozciągał się wspaniały widok na Tamizę, Victoria Station i Pimlico. W oddali majaczyły West-minster Abbey i gmach Parlamentu. Adrian wskazał gościowi kanapę, a sam usiadł na krześle.

- Wyglądasz, jakby przejechała cię ciężarówka - stwierdził. Nie przesadzał. Pappas miał sińce pod oczami i był trupio blady.

- Cała noc w samolocie - odparł Harry. - Próbowałem się upić, żeby móc zasnąć, ale nie zadziałało.

Był zbyt zmęczony na prowadzenie zdawkowej rozmowy. I nie chciał zostawiać w swobodnej wymianie zdań miejsca na wspomnienia o Alexie.

- Potrzebuję twojej pomocy, Adrianie. Uznałem, że potraktujesz mnie poważniej, jeśli przyjadę osobiście.

- Zawsze traktuję cię poważnie, Harry. To jedna z moich zasad. O co chodzi?

- O Iran.

- Jak miło. Przysługa tygodnia. A o co konkretnie? Harry przekrzywił głowę i mrugnął porozumiewawczo.

- Tylko dla twoich uszu. To znaczy twoich i Plumba. Ani słowa nikomu, dopóki nie damy zgody. Czy to dla ciebie do przyjęcia?

- Nie. Ale nie mam wyjścia, prawda?

- Nie masz. Jeśli to się rozniesie, osobiście dopilnuję, żebyś nigdy więcej nie dostał żadnego cynku od wuja Sama.
 - Rany, już się boję. No dobra, Iran. Jak możemy pomóc?
 - Ilu macie ludzi w ambasadzie w Teheranie?
 - Jednego.
 - Myślałem, że dwóch.
 - Jednego musieliśmy wycofać. Zagrożona ciąża żony. Biedaczka omal nie umarła. Zrobił się miękki, chciał wrócić do domu. Obawiam się, że facet nie zagrzeje miejsca w służbach. A szkoda. Jest świetny, jeśli chodzi o języki.
 - Jacyś nielegalni?
 - Kilku turystów, tak jak u was.
 - Czy wasz człowiek w Teheranie ma wolną rękę?
 - To zależy, co miałby zrobić - Winkler popatrzył na przyjaciela. - Masz kogoś na oku, prawda? I potrzebujesz pomocy w jego obsłudze?
 - Coś w tym rodzaju. Ale bardziej skomplikowane.
 - Do diabła, Harry! Zrobiłeś się jeszcze bardziej tajemniczy niż moje córki.
 - No dobra. Chodzi o sprawę, o której informowałem cię kilka tygodni temu. Mamy irańskiego gościa. Tyle że jest wirtualny, komunikuje się z nami przez stronę internetową. Nie wiemy, kto to jest, ale ma dostęp do dużych rzeczy. A ściślej mówiąc, prawdopodobnie ma dostęp. Nazwaliśmy go doktorem Alim, ale, rzecz jasna, nie mamy pojęcia, jak się naprawdę nazywa.
 - Gdzie pracuje?
 - Nie jesteśmy pewni, ale mamy pewne podejrzenia. Przyjechałem tu niemal z marszu, więc spróbuj zgadnąć.
 - Broń nuklearna. Znowu zaczęli.
 - Dokładnie.
 - Skurczybyki. Ale przecież spodziewaliśmy się, że nigdy tak naprawdę nie przestali. - Winkler pokiwał głową. Błysk w jego oczach był jaśniejszy niż zwykle. - Czyli macie Joego. Gratulacje! To na pewno autentyk?
 - Wszystko na to wskazuje. Tak twierdzi Arthur Fox. Winkler skrzywił się, jakby połknął nieświeżą ostrygę.
 - Nie lubię tego bubka.
 - Słusznie. Ale to on informuje Biały Dom o naszym gościu. Tak podkreślił ludzi, że niektórzy są zbombardować Na-tanz choćby jutro.
 - Zwariowali?
 - Na szczęście nie. Dlatego tu jestem. Dyrektor chce, żebym poprowadził naszego wirtualnego gościa jak prawdziwego agenta i wydobył z niego, co wie. Ale najpierw muszę go znaleźć. Nie mamy tam nikogo, więc potrzebujemy waszej pomocy.
 - Kochamy Amerykanów w potrzebie - odparł Winkler. - To podkreśla kobiecą stronę waszej natury.
 - Zakładam, że to oznacza zgodę.
 - ???
- Znaleźli plan Teheranu i rozłożyli na biurku Winklera. Żaden z nich tam nie był, ale widzieli tyle zdjęć lotniczych miasta, że czuli się, jakby je znali. Adrian wskazał jakiś punkt w alei Jomhuri-ye Islami nieopodal placu Ferdowsiego.
- Tu jest nasza ambasada - wyjaśnił. - Stąd możemy prowadzić nasłuch. Twój gość ma sprzęt?
 - Nie. Powiedziałem ci przecież, że nie widzieliśmy go na oczy. To dla nas tylko adres e-mailowy. Podejrzewamy, że pracuje w laboratorium nuklearnym. Albo w tym dużym w

północnym Teheranie, albo w którymś z mniejszych, działających pod przykrywką firm handlowych.

Winkler przesunął palec i wskazał miejsce niedaleko dawnego sanatorium dla gruźlików, które obecnie było jednym z głównych centrów opieki nad chorymi na AIDS.

- Tutaj - powiedział. - Strefa zero dla Focha i jego przyjaciół. Gdyby mieli swobodę działania, zbombardowaliby to miejsce, razem z twoim gościem.

- Macie kogoś w środku?

- Nie. Powtarzamy to za każdym razem, gdy pytacie.

- Wiem, ale pytam jeszcze raz. I tym razem napraw muszę wiedzieć. Macie kogoś w środku?

Winkler uśmiechnął się i mrugnął do przyjaciela.

- Tak - odparł. - To naukowiec na przychodne, kto w rodzaju konsultanta. Fizyk. Nie ma stałego dostępu, więc

za każdym razem go sprawdzają. Ale może wnosić mierniki i inny sprzęt.

- Zostawił tam coś?

- Masz na myśli miniaturowe mikrofony w kanapie? Nie. Za bardzo się boi.

- Jak go zwerbowaliście?

- Uderzyliśmy do niego pięć lat temu, gdy robił doktorat na uniwersytecie w Utrechcie. W Holandii był bardzo chętny do współpracy, ale kiedy wrócił do kraju, tak go wymaglowa-li, że zerwał kontakt. Ostrzegaliśmy go, że dokładnie prześwietlają wszystkich studentów wracających z zagranicy, ale i tak spanikował. I dobrze. Bo czy jest coś bezpieczniejszego niż brak kontaktu? Obserwowaliśmy go za pośrednictwem kilku Irańczyków, którzy znali jego rodzinę, i kiedy usłyszeliśmy, że zajmuje się czymś, o czym nikt nie chce mówić, pomyśleliśmy: bingo! Podeszliśmy do niego na ulicy w samym środku pieprzonego Teheranu, bo mamy na niego haka i on o tym dobrze wie.

- Znakomite zagranie - przyznał Harry.

- Gość studiował fizykę, a konkretnie zachowanie promieni rentgena w plazmie, co nas bardzo interesowało, bo to jest klucz do bomby wodorowej.

- O kurwa. Czy nad nią też pracują?

- Próbuja, jeśli można wierzyć naszemu człowiekowi. Nie należy do Gwardii Rewolucyjnej, więc tak naprawdę mu nie ufają. Ale to sprawa na lata, nie uważasz? Pracujemy nad nim ostrożnie, żeby go nie wystraszyć ani nie zniszczyć mu przykrywkę. Pół roku temu próbowaliśmy ściągnąć go do Du-baju, żeby podjął nowe urządzenie łącznościowe i przeszedł szkolenie, ale odmówił. Ma zaplanowany wyjazd do Kataru, ale obawia się, że obejmie go zakaz podróży.

- Jak się nazywa? - spytał Pappas.

- Pieprz się, Harry. Kocham cię, ale nie aż tak.

???

- Musimy mieć znaczoną kartę - powiedział Adrian. - Coś, co dacie swojemu Alemu, a nasz człowiek to zobaczy. Nadążasz?

Od ponad godziny próbowali opracować jakiś plan. Harry opowiedział Winklerowi, co się działo po pierwszym kontakcie z WG, tym, o którym go poinformował. Winkler słuchał uważnie, ale wyraźnie się niecierpliwił, jakby już chciał przejść do działania. Właśnie wtedy wspomniął o znaczonym karcie.

- Jakiego rodzaju miałyby być ta karta? - spytał Harry.

- Coś, dzięki czemu wasz gość zostawiłby ślad, którym mógłby pójść nasz człowiek. Na przykład każecie mu poszukać czegoś, na czym zna się mój człowiek, w miejscu, gdzie wykonuje te swoje konsultacje.

- Czyli chodziłoby o fizykę. Promienie rentgena w plazmie.

- Coś w tym rodzaju. Mój człowiek by się o tym dowiedział, a my byśmy mu kazali raportować o wszelkich ruchach na jego polu. Więc sprawdziliby, kto pyta. Ma to sens?

- Czy wasz Ali będzie coś podejrzewał? No bo bądźmy szczerzy, twój człowiek może działać na dwie strony. Nie chcę ryzykować utopienia mojego.

- Działa tylko na jedną. To tylko przestraszony dzieciak, porządny jak arcybiskup Canterbury. Co ja mówię, porządniejszy! Ale obiecuję, że będziemy ostrożni. Wyślemy mu kilka takich specjalnych próśb, żeby się nie zorientował, o którą nam chodzi. Nie martw się, Harry.

- Lubię się martwić. To działa ożywczo. - Pappas znów spojrzał w okno. Londyńskie Oko obracało się niemal niedostrzegalnie kilka mil w dół rzeki. Szkoda, że świat nie obraca się równie wolno. - Jak szybko możecie się skontaktować ze swoim człowiekiem?

- Osobiście?

- Tak. Nie powinniśmy mu tego zostawiać w skrzynce kontaktowej.

- Miesiąc czy dwa, żeby zorganizować spotkanie poza Iranem, na pewno nie krócej. Prawdopodobnie nadal może podróżować, ale musi bardzo uważać.

- Za długo - orzekł Harry.

- W takim razie można zorganizować awaryjne spotkanie w Teheranie. Mamy kilka dziupli, które zdaniem naszej placówki są bezpieczne. Ale wolałbym tego nie robić. Jeżeli go narazimy, dostaniemy figę z makiem.

- Zrób to, stary. Jeśli zadziała, będziemy w środku.

- To musi być twarzą w twarz? Harry kiwnął głową.

- Jedyne wykrywacz kłamstw, który naprawdę działa, to spojrzeć komuś w oczy.

Potrzebujemy tego faceta. Inaczej bym cię nie prosił.

- Muszę pogadać z szefem - zastrzegł Adrian.

- Zrobi, co mu powiesz.

- Nie musisz mnie brać pod włos.

- Czy to znaczy tak? Winkler kiwnął głową.

- To daleki strzał, ale i najlepsze, co macie. Jeśli się nie dowiecie, kto to jest, jego informacje zdadzą się psu na budę. Więc co zlecimy naszemu człowiekowi, żeby usłyszał o tym wasz człowiek?

- Muszę zapytać Foxa i uzgodnić z nim szczegóły.

- Powiedziałem ci, że go nie lubię.

- Opuść sobie, Adrianie.

- Spróbuję. Ale będę musiał powiedzieć szefowi, rozumiesz.

- Oczywiście.

- I poinformować naszą jednoosobową placówkę w Teheranie, żeby nasz Joe wiedział, czego ma szukać. To dobry chłopak. Dzieciak, ale bystry.

- Jasne. Tylko nie mów mu, dlaczego o to pytasz.

- A co zrobimy, jak twój człowiek już wypłynie? Mamy się z nim spotkać? Wyciągnąć go z kraju?

- Jeszcze nie wiem. Zauważyłem natomiast, że używasz słowa „my”

- Oczywiście, że używam. Jesteśmy przecież jak bracia syjamscy, zrosnięci biodrami. Zgadza się?

???

Tuż przed południem drzwi gabinetu Winklera otworzyły się bez pukania i do środka wszedł sir David Plumb, krzepki mężczyzna pod sześćdziesiątkę, siwy i łysiejący. Czerwone ślady na nosie i policzkach świadczyły o licznych wieczornych spotkaniach obficie zakrapianych bordo, porto czy co tam było akurat pod ręką. Plumb zauważył rozłożony na biurku plan Teheranu i kiwnął głową.

- Słyszałem, że przyjeżdżasz, Harry - powiedział. - Pomyślałem, że może zjemy we trzech lunch. Porozmawiamy. Gdzie byście chcieli?

- Wszędzie, byle nie w Travelers Club - odparł Pappas. Klub słynął z wysokiego odsetka pracowników SIS wśród klientów i marnego jedzenia.

- Skończyłem z Travelers. Tam chyba wszyscy pracują dla „Daily Telegraph”, nawet portier. Mam lepszy pomysł-Chodźmy do Ritza.

Harry uśmiechnął się. Wszyscy wiedzieli, że Ritz to ulubione miejsce Davida Plumba. Tak drogi, że ceny wprawiłyby w zdumienie nawet saudyjskiego księcia.

Gdy sir David wstąpił do swojego gabinetu po parasol i wezwać kierowcę, Pappas wyznał przyjacielowi:

- Może to dziwnie zabrzmieć, ale mam złe przeczucia co do tej sprawy. Nie podoba mi się, jak się rozwija.

Winkler zmarszczył brwi.

- To znaczy? Nie ufasz nam?

- Nie o to chodzi. Oczywiście, że wam ufam. - Harry zniżył głos. - Stawka jest za wysoka.

Mamy agenta, od którego chcemy dostać szczegółowe informacje na temat irańskiego projektu budowy bomby atomowej. Przypuścimy, że nam ich dostarczy. Co wtedy zrobimy?

Jak to powstrzymamy, nie wszczynając wojny?

Winkler uśmiechnął się zawadiacko. Pappas pamiętał jego uśmiech jeszcze z Moskwy, kiedy Adrian był złotym chłopcem, wschodzącą gwiazdą firmy.

- Są na to sposoby, przyjacielu. Nie pozwól się poganiać. Pamiętaj: jedna rzecz naraz. I nie podejmuj błędnych decyzji tylko dlatego, że się martwisz. To choroba narodowa Amerykanów. Nie ulegaj jej, stary. Jesteś ostatnim normalnym Amerykaninem, jakiego znam. Ruszyli do windy. Plumb wyszedł ze swojego gabinetu dziesięć metrów dalej.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedział Winkler.

- Jaka?

- Mahmud Azadi.

- Kto to?

- Nasz agent w Teheranie. Tak się nazywa.

LONDYN

Maitre d'hôtel w Ritzu przygotował ulubiony stolik sir Davida, w głębi sali, przy oknie wychodzącym na Green Park. Hotelową restaurację trudno uznać za dobre miejsce do poufnej rozmowy, ale Plumb najwyraźniej się tym nie przejmował. Wszędzie zachowywał się jak we własnym zabezpieczonym gabinecie, ufał tym, których uznał za odpowiednich, i ignorował wszystkich innych. Pod tym względem SIS nie zmieniło się od czasów, kiedy fakt, że znałeś kogoś ze szkoły albo studiowałeś z jego siostrą w Oksfordzie, uznawano za wystarczające świadectwo twojej rzetelności.

Trawniki w Green Park nawet pod koniec lata cieszyły oczy świeżą zielenią. Korony drzew zasłaniały widok na pałac Buckingham znajdujący się pół mili stąd, ale poza tym okolica wyglądała tak samo jak w czasach wiktoriańskich. Imperium brytyjskie powstało, upadło i odrodziło się na nowo, kiedy „mali ludzie” minionych wieków - Hindusi, Saudyjczycy, Kuwejczycy, Chińczycy - zjawili się w Wielkiej Brytanii, żeby tu wydawać swoje miliony. Smutne szare dni odeszły w przeszłość. Londyn był zielony i ożywiony jak jego parki.

Brytyjczycy odnajdowali się w czasach postimperialnych znacznie lepiej niż Amerykanie, no, ale byli od nich lepsi w większości rzeczy.

???

Jedli znakomite potrawy i pili wyborne wino, wymieniając najnowsze plotki o obu agencjach, ale widać było, że Plumb nie zaprosił Pappasa na lunch, bo był ciekaw plotek.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedział w pewnej chwili. Właśnie skończył swoją solę i drugi kieliszek puligny-

-montrachet i czekał na sery.

- Nie o ciebie osobiście - uściślił. - I nawet nie o Agencję, choć czasami zastanawiamy się, czy przypadkiem nie pogubiliście się trochę. Martwimy się o administrację, która stała się... jak by to ująć... podatna na wypadki. Przypomina żyroskop, który został wytrącony z równowagi i zaczyna się coraz mocniej kiwać. Jedenasty września, cóż, straszna tragedia. Ale pozbieraliście się, daliście sobie radę. Irak, koszmarny bałagan, niewyobrażalny, prawdę mówiąc. Ale takie jest życie. Popelnia się błędy i próbuje się je naprawić. Niestety u was ten naturalny proces regeneracji jakby ustał. Poprzednia administracja przyniosła ogromne rozczarowanie, nowa też się o to stara, a pewnie i następna nie będzie lepsza. To nas martwi. Martwi premiera. Nie jest pewien, co robić.

Harry milczał.

Sir David zajął mu w oczy znad brzegu kieliszka.

- Czy dramatyzuję?

- Nie - odparł Harry. - Jest naprawdę źle. Nie mogę ich tak do końca winić za Irak. Wszyscy popełniamy błędy. Ale nie powinniśmy... - głos mu się załamał.

Zapadła niezręczna cisza.

- Harry stracił syna w Iraku - wyjaśnił Winkler.

- Tak, słyszałem. Bardzo ci współczuję, Harry. Dla ciebie to nie jest akademicka dyskusja.

Wybacz mi. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

Pappas pokręcił głową.

- Narobiliśmy straszego bałaganu i musimy o tym rozmawiać. Ja nawet częściej niż inni. Ale po prostu nie znam odpowiedzi.

- Mam wrażenie, że dziś rozmawialiście z Adrianem o Iranie.

- To prawda. Zaczęliśmy wspólną operację. Adrian przekaże panu szczegóły gdzieś, gdzie będzie nieco... spokojniej.

- Bardzo się cieszę, że możemy pomóc. Taka jest nasza rola. Jesteśmy jak retman, który żywi się bakteriami ze skóry wielkiego rekina.

- Proszę sobie darować te metafory - rzekł Harry. - Prawda jest taka, że wy macie placówkę w Teheranie, a my nie. I z tego, co mówił mi Adrian, wynika, że z niej korzystacie.

- Zapewne. Ale rzecz w tym, że właśnie Iran martwi mnie najbardziej. Bo tam wasze błędy mogą mieć najpoważniejsze konsekwencje. Bałagan w Iraku to tak naprawdę ich problem.

Trudny, ale z naszej perspektywy... no cóż, Saddama już nie ma, a jego milicja została rozbita. Można by więc zapytać: o co to całe zamieszanie? Rezultat nie jest idealny, ale wszyscy przeżyjemy. - Plumb urwał, napił się wina i kontynuował przyciszonym głosem: -

Iran to zupełnie inna sprawa. Zaczniecie wojnę i wygrzebywanie się spod gruzu zajmie nam wszystkim ze trzydzieści lat. Pod Dziesiątką bardzo się denerwują. Szczerze mówiąc, są przerażeni. Nie zaczniecie wojny z Iranem, prawda?

Harry zastanawiał się dłuższą chwilę nad odpowiedzią.

- Nie wiem - rzekł wreszcie. - Mam nadzieję, że nie, ale jestem nie pewien. Biały Dom, jak sam pan zauważył, jest jak chorągiewka na dachu. Nikt nie ma pewności, w którą stronę się obróci.

Podjechał wózek z serami. Sir David wybrał cztery gatunki, układając je na talerzu od najłagodniejszego do najbardziej ostrego: dojrzały camembert, kozi z pieprzem, irlandzki cheddar i na końcu plaster stiltona. Jego twarz złagodniała, kiedy przyglądał się serom, ale po chwili zmarszczył brwi.

- Widzisz, Harry - podjął - nas naprawdę nie stać na kolejną amerykańską pomyłkę. Płyniemy w waszym kilwate-rze jak ufny młodszy brat i pomagamy sprzątać po waszych wpadkach, ale nie wiem, jak długo jeszcze będziemy gotowi to robić. Te „specjalne stosunki” nie wychodzą nam na zdrowie.

Urwał i zajął się serami. Spróbował camemberta, potem koziego i cheddara. Zanim sięgnął po stiltona, Harry odpowiedział:

- Budują bombę atomową. Według naszego agenta pracują nad zapalnikiem. Dlatego tu jestem.

- Słyszałem o tym - rzekł sir David. - Wczoraj zadzwonił do mnie admirał. Ale przecież wszyscy dziś chcą mieć bombę albo już ją mają i jakoś nie wybuchła z tego powodu żadna wojna. Chiny, Indie, Pakistan, Korea Północna mają bombę i mirabile dictu, nikt nie ma ochoty jej użyć. Natomiast w przypadku Iranu ludzie z Białego Domu uważają, że konieczna będzie interwencja zbrojna. Przynajmniej tak twierdzą nasi, wybac mi słowo, szpiegdy. Jesteś doświadczony i znasz życie. Dlatego pytam cię: czy Ameryka znów pójdzie na wojnę? Harry westchnął. Ta rozmowa wywoływała w nim konflikt lojalności. Brytyjczycy robią, co w ich mocy, byś zapomniał, że są cudzoziemcami: zapraszają cię na lunch i karmią kotletami jagnięcymi, dobrym winem i puddingiem. Więc może powinieneś powierzyć najtajniejsze sekrety drogim kuzynom? Pappas uznał, że w tym przypadku najlepsza będzie szczerość.

- Nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi, bo po prostu jej nie znam - rzekł. - Wśród doradców prezydenta

są i tacy, którzy dążą do konfrontacji z Iranem, i tacy, którzy jej nie chcą. Kongres ma dość wojny, ale słucha Izraelczyków, a oni twierdzą, że powinniśmy uderzyć na Iran, zanim będzie za późno. Sam prezydent jest tak skołowany, że tylko cudem jeszcze stoi. Jeśli zdoła pan uporządkować te fragmenty układanki, powiem panu, czy pójdziemy na wojnę z Iranem.

Sir David dokończył sery i dopił wino. Nie spieszył się. Zmierzał do celu w typowy dla niego ekscentryczny sposób. Popatrzył na park, znowu na Harry'ego i spytał z uśmiechem:

- Chodzi o czas, prawda?

- Nie rozumiem - odparł Pappas.

- Mój profesor ekonomii w Cambridge, Piero, nie pamiętam nazwiska, pochodził z Włoch. Był już stary i poświęcił życie - czy raczej je zmarnował, jak uważała większość ludzi - na udowodnienie słuszności teorii Ricarda. Co za głupota! Ricardo nie żyje od niemal dwustu lat, a jego teorię pracy odrzucili wszyscy poważni ekonomiści. Ale nie Piero. On opracował monografię pod tytułem Produkcja dóbr za pomocą dóbr. Opisał w niej model, w którym kapitałem jest praca, nazwana przez niego pracą terminową. Twierdził, że to czas nadaje wartość produktom ludzkiej pracy. Gdy po prostu zerwiesz garść winogron, będą guzik warte. Ale jeśli je wyciśniesz, sfermentujesz sok, zabutelkujesz i przechowasz przez kilka lat - masz inwestycję. Rozumiesz, o czym mówię? Czas to kapitał.

Harry nie rozumiał. Zastanawiał się, czy szef SIS nie wypił za dużo. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Plumb chwycił go za rękę.

- Nie popełnij błędu, myśląc, że brakuje ci czasu - powiedział. - Irańczycy nie mogą wypróbować bomby. Nie mają jeszcze reaktora ciężkowodnego. Nie mają plutonu ani działającego zapalnika. Rozumiem wasze obawy, ale zapewniam, że są nieuzasadnione. Mamy więcej czasu, niż sądzą twoi nerwowi przyjaciele z Białego Domu. Może nawet więcej, niż sądzisz ty sam. Kluczem do mądrości jest unikanie pośpiechu. Czas się nie kończy. Możesz być tego pewien.

- Mówi to pan niewłaściwej osobie - odparł Harry, zaskoczony słowami Plumba. - Jestem tylko szefem jednego z wydziałów CIA. Nie decyduję o polityce i nie mam wpływu na ludzi, którzy o niej decydują. Jeśli chce pan powstrzymać Amerykę od wojny z Iranem, to rozmawia pan z niewłaściwym facetem.

Plumb zdjął z kolan serwetkę, złożył ją starannie i odłożył na stół. Odsunął krzesło, szykując się do wyjścia.

- Wcale nie jestem tego pewien, Harry - rzekł. - Prawdę powiedziawszy, sądzę, że właśnie ty jesteś tym „właściwym” człowiekiem. Tylko po prostu jeszcze o tym nie wiesz.

DfIMfiSZEK/TEHERAH

Szaleniec jechał do Damaszku na weekend. Nikt nie odważył się go zapytać, dlaczego, a gdyby nawet ktoś zapytał, i tak nie otrzymałby odpowiedzi. A powód był banalny - po prostu

czuł się znudzony. Zażądał od biura prezydenta prywatnego odrzutowca i poleciał nim z Mahrabadu na wojskowe lotnisko Al-Mazzah na skraju Damaszku. Przybył jako szara eminencja, bez paszportu, nie zostawiając za sobą żadnych śladów.

Czarny sedan zawiózł go do nowego hotelu Four Seasons, gdzie zarezerwowano apartament dla pana Nawaza. Obsługę hotelową poinformowano, że to pakistański biznesmen, który pracuje w Iranie nad ważnymi sprawami. Ochroniarz, który mu towarzyszył, powiedział cicho kilka słów do recepcjonisty, a ten dał mu klucze do apartamentu na najwyższym, prezydenckim piętrze, rezygnując z procedury meldowania.

Teraz Al-Majnoun siedział na balkonie i palił opium w fajce wodnej. Patrzył na stare grobowce, restaurowane w ramach projektu odnawiania Damaszku. Nad liczącymi setki lat kamiennymi kryptami i korytarzami wznosiły się dźwigi, wokół świętych miejsc pochówku ustawiono rusztowania. Zaciągnął się fajką i popatrzył znowu. Teraz zobaczył dżiny unoszące się niespokojnie nad grobowcami, gdyż zakłócono im spokój. Były przejrzyste, wyglądały jak duchy, kołyszając się na wietrze. Czy słyszał ich płacz? Nie, nie był aż tak naćpany. ale będzie dokładał opium do fajki, aż usłyszy.

Lubił przebywać w tym arabskim mieście. Właśnie dlatego tu przyjechał. Nie był Persem i tradycje przybranej ojczyzny były mu obce. Nawet religia wprawiała go w zakłopotanie. Irański szyityzm był taki hałaśliwy i sentymentalny - pielgrzymi łkający na samą wzmiankę o Husajnie, teatralnie dzwoniący łańcuchami w Aszurę. Przypominało to bardziej zawodowe zapasy, które oglądał w telewizji satelitarnej, niż prawdziwą religię. Gdzie prostota, czystość pustyni? Persowie byli ludźmi miast, z rękawiczkami na rękach. Jak mogli dotrzeć do Boga? Ich kultura była zamknięta, zupełnie jakby wszyscy wychowali się na tych samych opowieściach i mogli kończyć je z pamięci. Dla Al-Majnouna, Szaleńca, wszystko było nowe. ???

„Pan Nawaz” odbywał w Damaszku spotkania. Ważni ludzie przychodzili się z nim zobaczyć i przynosili mu listy od innych ważnych ludzi. Wysyłał posłańców i czasami, pod silną strażą, w samochodach o przyciemnionych szybach, które nie otwierały się nawet dla syryjskiego moukhabaratu, składał wizyty. Musiał bardzo uważać. Izraelczycy chcieliby go zabić, gdyby wiedzieli, że żyje. Podobnie Amerykanie, niektórzy bonzowie syryjskiego wywiadu, palestyński Fatah, Saudyjczycy z Nadżd i emirowie z Dubaju. Zabijał ich ludzi, a przynajmniej tak mówiono, więc pragnęli zemsty. Jego najlepszą ochroną był fakt, że nie istniał. Uważano, że został zabity dwadzieścia pięć lat temu przez Izraelczyków, a Izraelczycy nigdy się przecież nie mylą. Pogłoski o jego śmierci rozeszły się po całym świecie konspiracji, a on żył dzięki nim. A im dłużej żył, tym bardziej wierzyli w jego niezniszczalność ci nieliczni, którzy znali prawdę.

Siła polega nie na tym, co robisz, ale na tym, co możesz zrobić według innych. Taki był klucz do władzy Al-Majnouna.

Ludzie, którzy pracowali z nim w Teheranie, wierzyli, że jest Szaleńcem. Wierzyli, że jeśli choćby krzywo na nich spojrzy, mogą zginąć. Kiedy wchodził do któregoś ze strzeżonych ministerstw, cofali się, robiąc mu szerokie przejście. Gdy zdejmował ciemne okulary, nie patrzyli mu w oczy. Bali się.

Robili więc, co chciał, albo czego ich zdaniem pragnął. Nazywali go „generałem” lub „emirem” i starali się go zadowolić, ponieważ się go bali. Kilku irańskich oficerów wywiadu, którzy widzieli film Pulp Fiction, nazywało go panem Wolfeem, bo sądzili, że jest podobny do postaci granej przez Harveya Keitela, tajemniczego czyściciela, który sprząta, kiedy ludzie narobią bałaganu. Ale poza wąskim kręgiem tych, którzy stali najbliższej Przywódcy, ludzie wiedzieli o nim tylko tyle, że rozsądnie jest robić, o co prosi. I tak Al-Majnouna niosła moc własnej reputacji.

???

Spędził w Damaszku długi weekend. Skończyło mu się opium, ale dostał wzmacniający zastrzyk arabskości. Ktoś przysłał mu do hotelu piękną blondynkę z Mińska, która miała nie więcej niż dwadzieścia lat i figurę modelki. Powiedział jej, żeby się rozebrała, dał jej talie kart i kazał układać pasjansa, a sam tylko się przyglądał. Sądziła, że spodziewa się po niej czegoś erotycznego, więc dotykała się i jęczała, ale on chciał tylko patrzeć, jak układa karty. Następnego ranka odleciał do Teheranu prywatnym odrzutowcem.

Po powrocie z Damaszku Al-Majnoun spotkał się z Meh-dim Esfahanim. Nie chciał chodzić do jego biura - rzadko zjawiał się dwa razy w tym samym budynku, nawet w bezpiecznych dzielnicach Teheranu. Nigdy nie należy być prze' widywalnym w tym, co się mówi albo robi. Właśnie dlatego

rozważał kolejną serię operacji plastycznych. Nie potrzebował ich, nie wiedział nawet, czy jego twarz zniesie następną ingerencję chirurga, tak niewiele z niej zostało. Ale dzięki temu ludzie, choćby tacy, jak ten śmieszny Esfahani z kozią bródką, nie byłiby pewni, czy patrzą na tego samego człowieka, czy na kogoś, kto go tylko udaje.

Szaleniec wezwał Mehdiego do kwatery Gwardii Rewolucyjnej w północno-wschodniej części Teheranu. Miał tam biuro, którego używał wiele lat temu i zostawił puste i zamknięte przed intruzami. W całym mieście przygotował sobie prywatną sieć takich bezpiecznych miejsc.

Mehdi zapukał do drzwi i stłumiony głos ze środka kazał mu wejść. Pokój był tak ciemny, że początkowo nie zobaczył Al-Majnouna, zgarbionego za biurkiem stojącym w głębi pomieszczenia. Śledczy ruszył ku cieniom, gdzie, jak sądził, znajdował się człowiek, który go wezwał. Kiedy podszedł bliżej, Szaleniec zapalił zapalkę, oświetlając swoją twarz. Nie miał ciemnych okularów, a migoczący płomyk podkreślał wszystkie blizny. Al-Majnoun zapalił zapalką fajkę i possał ją energicznie, wciągając dym do płuc.

- Masz problem - powiedział.

- Jaki, generale? Na pewno nie popełniłem żadnego błędu. - Mehdi był przerażony. Nie wiedział, dlaczego wezwano go do tego tajemniczego biura w kwaterze Pasdaranu.

- Oczywiście, że to nie twoja wina - wychrypiał Al-Majnoun. - Nie bądź głupcem.

- Więc co to za problem, generale? Powiedz mi, żebyś mógł pomóc go rozwiązać. Jestem jak zwykle do twoich usług.

- Zaginał pewien dokument z programu - oznajmił Li-bańczyk. - Dotyczy testów przeprowadzonych w firmie To-hid Electric. To jedna z firm, które nadzorujesz. Niedobrze.

- Niedobrze. - Mehdi zakasłał nerwowo. Tohid podlegał jemu. To była jego wina.

- Bardzo niedobrze.

- Czy dokument zabrano z archiwów Tohidu?

- Nie wiemy. Może tak, a może nie. Nie czyń przedwczesnych założeń w tak delikatnej sprawie.

- Oczywiście, generale. Czego dotyczył dokument? O ile możesz mi powiedzieć.

- Oczywiście, że mogę. Dlatego cię wezwałem. Opisuje wyniki testów zapalnika. Tohid ma problemy z tymi testami. Nie wiemy dlaczego.

- Czyli jednak mamy ten dokument? - Mehdi wyraźnie się pogubił.

- Nie. Wiemy, że ktoś go szukał. I być może znalazł. Mogę udzielić tylko ogólnych informacji, ale to pozwoli ci zacząć szukać.

Al-Majnoun podał Esfahanemu czarną teczkę.

- Chcę, żebyś był jak kot, Mehdi, tłusty kot z wąsikami i małą bródką - powiedział. - Poruszaj się cicho i ostrożnie. Nie myśl, że masz przyjaciół ani że wiesz, co jest prawdą. Ta sprawa to może być coś albo nic. Nie chcemy straszyć ludzi bez potrzeby. Rewolucja nie może popełniać błędów. To by nadszarpaneło autorytet Przywódcy. Jeśli więc popełniono błąd, należy go naprawić. Rozumiesz, Mehdi? Zadawaj pytania, ale ostrożnie.

- Tak, generale. Oczywiście.

- Czegokolwiek się dowiesz, informuj mnie. Ale nic na piśmie, min fadluk. I nikt inny nie może wiedzieć o śledztwie. To jest rozkaz z najwyższego szczebla. Władza rewolucji opiera się na naszych umiejętnościach widzenia drogi w ciemnościach. Czy wyrażam się jasno, bracie inspektorze.

Mehdi kiwnął głową. Jakim cudem spadła na niego taka katastrofa?

- Nic na piśmie - powtórzył. - Będę składał raporty tylko tobie, generale.

- Ja zawsze patrzę i wszystko widzę, wiesz o tym. Nie popełnij błędu innych, którzy myśleli, że wiedzą, ale nie wiedzieli.

- Rozumiem, generale. Nie pukam do zamkniętych drzwi. Al-Majnoun odprawił śledczego gestem ręki.

Kiedy Esfahani ruszył ku wyjściu, Libańczyk rozpląnął się w ciemności. Nawet gdy Mehdi otworzył drzwi, wpuszczając do pomieszczenia światło z korytarza, nie sposób było dostrzec w środku sylwetki człowieka.

WASZYNGTON

Gdy Harry Pappas wrócił do Waszyngtonu, był wykończony. Bez względu na to, jaką pozycję przyjął na siedzeniu w samolocie, nie było mu wygodnie. Nie mógł spać ani czytać, więc po prostu siedział godzina za godziną, wiercąc się, dopóki nie wylądowali na Dulles. Miał ochotę zostać na noc w Londynie i zjeść kolację z Adrianem Winklerem, ale obiecał córce, że będzie na sztuce wystawianej na jej obozie letnim. Był straszliwie zmęczony i ostatnie, na co miał ochotę, to oglądać Plaža Suite w wykonaniu piętnastolatków. Ale Louise narzekała, że nigdy go nie ma, a choć wyjaśnił jej, że miłości nie mierzy się w dniach i godzinach, czuł się winny. Więc wrócił.

Sztuka była przygnębiająca. Opowiadała historię trzech dysfunkcyjnych par: nikt nie zdobył w życiu tego, czego chciał, a większość bohaterów nie wiedziała nawet, czego chce. Lulu grała gospodynię domową w średnim wieku, która znudziła się mężem i chce nawiązać romans z dawnym chłopakiem, ale nie ma na to odwagi. Harry był zaskoczony tym, jak dobrze zagrała: miała doskonale wyczucie czasu i świetnie podawała zabawne kwestie. Skąd tak dużo wiedziała o lękach dorosłych?

- Podobało ci się? - spytała, kiedy spotkali się za kulisami po spektaklu. Zapomniał kupić jej kwiaty, ale na szczęście Andrea pamiętała.

- Byłaś wspiana! - powiedział, przytulając córkę.

- Ale jak ci się podobała sztuka? - chciała wiedzieć.

- Była zabawna - odparł. - Ale bohaterowie byli okropnie pokręceni. Prawdziwi ludzie tacy nie są.

- Owszem, są. W tym rzecz, tato. Życie jest puste. O tym mówi ta sztuka.

Poklepał ją po plecach, ale odwróciła się od niego. Była wkurzona, gotowa się pokłócić, choć widziała, że ojciec jest wykończony po podróży.

Harry spojrział na Andreeę.

- Daj spokój, kochanie. Mama i ja wcale tacy nie jesteśmy. Nie powinien być tego mówić.

- Nic nie rozumiesz - jęknęła Lulu. - Nie chcę o tym rozmawiać.

Wymykała mu się. Za kilka lat - cholera, za kilka minut - odejdzie.

Harry odwiózł córkę do domu. Andrea pojechała swoim samochodem, więc byli sami.

Próbował rozmawiać o Londynie, o jej występie i o tym, że jest prawie wrzesień i niedługo zacznie się nowy rok szkolny. Odpowiadała monosylabami. Odsunęła się od niego i prawie przywarła do drzwi pasażera, jakby przebywanie w tym samym samochodzie co on było dla niej bolesne.

- Skoro już tam jesteś, może wypoleruj klamkę - zaproponował, chcąc rozładować napięcie. Lulu się nie roześmiała. Usłyszał tylko ciche westchnienie.

- Dlaczego jesteś na mnie taka wściekła? - spytał, kiedy zbliżali się już do domu w Reston.

- Nie jestem. Po prostu nie chcę o tym rozmawiać.

Harry poczuł, jakby jego ciało przeniknął chłodny powiew wiatru. Tak właśnie odczuwa się rozpacz. Łzy napłynęły mu do oczu. Próbował się opanować.

- To nie moja wina, kochanie.

- O czym ty mówisz, tato? - spytała głosem pełnym urazy. Dokładnie wiedziała, o czym mówi.

- Alex.

- Nie! - zabrzmiało to jak szloch, przebijając membranę jej rozpaczy.

- To nie moja wina. Nie chciałem, żeby jechał. Gdybyś wiedziała...

Płakała. A właściwie łkała rozpaczliwie, jakby właśnie znalazła ciało brata. Kiedy dojechali do domu, wypadła z samochodu i pobiegła do drzwi. Harry został w aucie. Nie mógł się ruszyć. Kilka minut później Andrea wyszła z domu i zaprowadziła go do środka.

??*

Pappas spotkał się z szefem następnego ranka. Dyrektor jak zwykle miał na sobie mundur admiralski. Harry zrelacjonował mu spotkanie w Londynie, a przynajmniej większą jego część. Powiedział, że SIS ma w Teheranie irańskiego agenta, który być może zdoła odkryć tożsamość ich tajemniczego korespondenta, doktora Alego. Dyrektor wysłuchał planu operacyjnego, ale był rozkojarzony, jakby Harry mówił nie na temat. Najwyraźniej pociąg już odjechał.

- W Białym Domu się pali - stwierdził, kiedy Pappas skończył. - Musisz to zrozumieć.

Spotkali się wczoraj. Nie uważają tego za wyprawę na ryby. Bardziej za polowanie na kaczkę.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że musisz przycisnąć swojego człowieka. Wydobyć z niego jak najwięcej i jak najszybciej. Chcą zrobić ruch. Potrząsnąć klatką. Twoja finezyjna gra z SIS jest ładna, ale zabierze zbyt dużo czasu.

- Przykro mi, mam tylko ten jeden kontakt. Ma pan lepszy pomysł?

- Nie. Ale Arthur ma.

Harry pokręcił głową. Tak się właśnie dzieje, kiedy karuzela zaczyna się obracać. Wszystko robi się zamazane. Miał ochotę powiedzieć dyrektorowi: „Niech pan sobie poszuka kogoś innego, ja odchodzę”, ale to by było nieprofesjonalne i głupie. Więc powiedział tylko:

- Porozmawiam z Arthurem.

???

Tego dnia Harry był umówiony na lunch z szefem francuskiego wywiadu, który przyjechał z wizytą do Waszyngtonu. Zaproponował, rzecz jasna, francuską restaurację, małą knajpkę o nazwie Chez Girard niedaleko Białego Domu. Francuz próbował ochronić swoją agencję przed zawiadkami i kombinatorami, którzy przyczynili się do jej złej sławy. Był kartezyjczykiem. Mówił o wielkich ideach strategicznych w taki sposób, że Harry, oficer operacyjny z wojskową przeszłością, mógł go tylko podziwiać.

Poznali się podczas krótkiego pobytu Pappasa w Bejrucie, kiedy porwano i zabito szefa tamtejszej placówki CIA. Francuz był wtedy szefem swojej placówki, a było to niełatwe zadanie w kraju, gdzie wymieszała się brudna forsa Francuzów i Libańczyków. Harry polubił go i od tamtej pory się przyjaźnili. Odwiedzał go czasami w jego kremowobiałym gabinecie na bulwarze Mortier niedaleko pływalni, od której wzięło się przezwisko francuskich służb, „La Piscine” a Francuz składał mu rewizyty, kiedy przyjeżdżał do Stanów. Zawsze zwracał się do Harryego imieniem i nazwiskiem, z ciężkim obcym akcentem: „Ar-ri Pap-pas” Lunch był dość miły, bardziej plotki niż interesy. Ale pod koniec Francuz powiedział coś, co zaniepokoiło Harryego. Martwimy się o was, rzekł. Obawiamy się, że CIA myli krok.

Chcielibyśmy pomóc, ale nie wiemy jak. Harry nie znalazł dobrej odpowiedzi.

???

Fox siedział za swoim biurkiem, kiedy Harry po południu złożył mu wizytę. Miał muszkę, choć był gorący sierpniowy dzień i większość ludzi rozluźniła krawaty albo w ogóle je zdjęła.

- Brakowało nam cię wczoraj w Białym Domu - powiedział z wyrzutem. - To było spotkanie szefów.

Najwyraźniej nie wiedział, że Harry był w Londynie. I dobrze. Przynajmniej pod tym

względem dyrektor dotrzymał słowa.

- Przykro mi, ale obiecałem córce wycieczkę. Potrzebuje mnie. - Podwójne kłamstwo.

- Rozmawialiśmy wczoraj w Centrum Operacyjnym i mamy kilka pomysłów - oznajmił Fox. Mówiąc „my”, miał na myśli siebie i prezydenta.

- Zamieniam się w słuch.

- Potrzebujemy od doktora Alego potwierdzenia tego, co było w e-mailu, i to szybko. Musi potwierdzić testy generatora neutronów. Zapytamy też, co się dzieje z produkcją plutonu. Jeśli nie udzieli odpowiedzi, trudno. Pójdziemy dalej. A potem urwiemy im jaja.

Harry skrzywił się. Fox był wyjątkowo nieprzekonujący, gdy starał się mówić jak twardziel.

- To znaczy?

- Prezydentowi podoba się pomysł blokady morskiej w Zatoce. Jak już zdobędziemy dowody, pójdziemy z tym do ONZ, pokażemy, że budują bombę. Powiemy, że to nie do przyjęcia i wbrew traktatowi o nierozprzestrzenianiu broni atomowej. Będziemy zatrzymywać statki na morzu i spraw

dzać, czy nie przewożą czegoś, co może posłużyć do produkcji bomby.

- Nie chcę okazać prezydentowi braku szacunku, ale to błąd, Arthurze. Jeśli upublicznimy sprawę, spalimy agenta. Zabiją go, nim się zdążymy dowiedzieć, co tak naprawdę robią. Może wam się tym razem uda, ale co dalej? Irańczycy będą nadal pracować nad bombą, a my będziemy o tym gównie wiedzieć.

Fox zacisnął zęby, ale po jego ustach błąkał się lekki uśmiezek.

- Nie będą, jeśli zbombardujemy im zakłady.

- Jezu, Arthur! Wiemy za mało, żeby doradzać prezydentowi rozpoczęcie wojny. Człowieku, zejźdź na ziemię.

- Ja cię nie pytam, Harry, jak cię informuję. Właśnie to chce zrobić prezydent. Naszym zadaniem nie jest tworzenie polityki, tylko wprowadzanie jej w życie.

- Nasze zadanie, Arthurze, polega na tym, żeby robić swoje, czyli dostarczać wiarygodnych danych wywiadowczych. Myślałem, że po tym, co się działo ostatnio, ludzie to zrozumieli.

Rozejrzał się po gabinecie. Stożące na biurku zdjęcia w srebrnych ramkach opowiadały całą historię. Fox z prezydentem w Camp David. Fox ze Stewartem Applemanem na pokładzie jakiegoś jachtu, zapewne w Nantucket. Stamtąd brała się jego władza. Była w mokasynach i popijała gin z to-nikiem. Sprzeciwianie się Foxowi nie miało sensu. Najmniejszego. Harry odetchnął głęboko.

- Wróćmy do podstaw. Zostawmy sobie bombę na później. Może być?

- Jasne, Harry.

- Po pierwsze, musimy mieć komunikację z naszym agentem - czy raczej z osobą, którą mamy nadzieję uczynić

naszym agentem. Co mu powiemy? Rozmawialiście o tym z prezydentem?

- Mam listę pytań. - Fox wyjął z czerwonej teczki pojedynczą kartkę. - Zapytamy go, gdzie i kiedy został przetestowany generator neutronów. Zapytamy, skąd pochodzą części.

Zapytamy, jakie inne części zapalnika zostały przetestowane, gdzie i kiedy. Zapytamy go...

- Możesz już przestać - przerwał mu Pappas. - Nim zajdziecie dalej, facet będzie martwy.

- Do cholery, Harry, ty chyba nie rozumiesz. Irańczycy budują bombę atomową. A nam kończy się czas. Nie stać nas na luksus czekania, aż wprowadzisz w życie wszystkie swoje szpiegowskie sztuczki. Potrzebujemy odpowiedzi na pytania z listy! Już!

Fox przerwał, bo uświadomił sobie, że krzyczy, co było nie-eleganckie i niepotrzebne. Po chwili zaczął jeszcze raz, ciszej.

- Rozumiesz, że mówię teraz w imieniu dyrektora.

- Obawiam się, że to prawda. Widziałem się z nim, zanim tu przyszedłem.

- Nie bądź samolubny, Harry. Chociaż raz zachowaj się jak członek zespołu.

Pappas cofnął się o krok. Włoski na karku stały mu dęba, jakby przez jego ciało przepuszczano prąd. Członek zespołu, dobre sobie. Co za fiut z tego Foxa. To przez ludzi takich jak on zginął jego syn.

- Powiem ci coś, Arthurze. Napiszę wiadomość na ten adres na Gmailu. Polecę mu ustalić rzeczy, które wymienileś.

- Nie trzeba. Już to zrobiliśmy.

- Umieściliście to w folderze „Szkice”?

- Jeszcze nie. Czekaliśmy z tym na ciebie. Polecenie dyrektora. Mogłem to zrobić wczoraj, ale szef się nie zgodził-

Harry podszedł do komputera Foxa i przeczytał wiadomość. To była lista pytań, sformułowanych jak polecenia dla sprzątaczk. Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Mogę? - zapytał. - Przydałaby się lekka redakcja.

- Proszę bardzo, jeśli to ma ci poprawić humor.

Harry usiadł przy komputerze i zaczął redagować tekst. Dodał kilka zdań. Wyrazy wdzięczności, osobiste ostrzeżenia, rzeczy, które powiedziałyby agentowi, gdyby spotkali się twarzą w twarz. Usunął słowa, które zabiłyby doktora Alego, gdyby wiadomość została przejęta albo zinfiltrowana. Zrobił to, co zrobiłby Fox, gdyby kiedykolwiek osobiście prowadził agenta. Kiedy skończył, odsunął się od komputera, żeby Arthur mógł przeczytać. Drogi Przyjacielu.

Dziękujemy za ponowny kontakt. Jesteśmy zainteresowani kontynuowaniem współpracy. Mamy pytania dotyczące Twojej ostatniej wiadomości, która opisywała testy pewnego urządzenia. Pomogłoby nam w interesach, gdybyśmy wiedzieli, gdzie i kiedy odbyły się te testy. Ciekawi nas również, gdzie zakupiono części. Zastanawiamy się także, czy opracowano inną technikę produkcji, z wykorzystaniem innych materiałów. Nie możemy znaleźć fabryki w naszych spisach. Czy możesz nam coś doradzić? I ostatnia kwestia. Chcielibyśmy zainwestować w technologię rentgenowską, która może znaleźć zastosowanie w nowych projektach. Mógłbyś spytać swoich partnerów w interesach, czy byliby tym zainteresowani? Chcielibyśmy Cię poinformować, że Twoją wiadomość przeczytał sam prezes naszej firmy. Jest Ci bardzo wdzięczny za pomoc i chciałby okazać tę wdzięczność. Czy któryś z jego parterów w interesach mógłby się z Tobą spotkać na miejscu albo gdzieś w pobliżu? Będzie nam łatwiej przygotować spotkanie nieco dalej, o ile będziesz mógł przybyć, jak pewnie wiesz, sprawa jest bardzo pilna. Zarobisz miliony na swojej inwestycji, drogi Przyjacielu, jeśli tego właśnie pragniesz.

Na koniec dopisał po persku: Yek donya mamnoon. Podziękowania.

Fox przeczytał wiadomość.

- Nie możesz mówić wyraźniej? - spytał.

- Jeszcze nie. Jeśli uda nam się sprowadzić go do Dubaju albo Stambułu, będziemy mogli zrobić o wiele więcej. Pracuję nad tym, jak skontaktować się z nim w Teheranie.

- Nie mamy na to czasu, Harry. I po co te promienie rentgenowskie? Nic nas to nie obchodzi.

- A mnie tak. To blef.

- Jaki znowu blef? Nie gramy w pokera!

- Jeśli zapyta o promienie rentgenowskie, może ktoś się o tym dowie. I może ten ktoś nam to przekaże. A wtedy może będziemy wiedzieli, z kim mamy do czynienia.

- Aha - mruknął Fox. Zastanawiał się chwilę, jakby rozważał kolejne pytania, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że więcej się nie dowie. - Wprowadź to do skrzynki - powiedział.

Harry zachował wiadomość na koncie „iranmetalworks” Poszła, choć nie byli pewni dokąd. TEHERAN

Mahnud Azadi wiercił się nerwowo na tylnym siedzeniu taksówki jadącej na północ zakorkowaną o tej porze drogą ekspresową Kordestan, szeroką i wietrzną jak w Los Angeles, mieście, które Teheran naśladował w sekretnych marzeniach. Gdy taksówka dotarła do alei Vali Asr, ruch zwolnił prawie do zera. Kierowca spytał pasażera, na jaką muzykę ma ochotę: perską czy turecką. Azadiemu było wszystko jedno. Taksówkarz zabrał kolejnego pasażera, kobietę. Azadi przesiadł się na przód, zgodnie z przepisami, żeby nie siedzieć koło niej. Myślni przebywał gdzie indziej. Nienawidził spotykać się z Brytyjczykami w Teheranie. Nie powinni mu tego robić. Mieli zaczekać i porozmawiać z nim w Katarze albo w Dubaju. Mieli korzystać z tego tajemniczego urządzenia komunikacyjnego, które zostawili mu w krzakach w parku Lavizan wiele miesięcy temu. Kiedy Azadi otrzymał wczoraj wiadomość wzywającą go na spotkanie, ze strachu rozboleł go brzuch. Bał się nawet zwymiotować, przekonany, że to zdradzi jego tajną działalność.

Wrześnieowy smog osiadł nad miastem jak trująca chmura. Przez tę mgłę Azadi nie widział nawet gór Elburs, a przecież znajdowały się zaledwie kilka mil stąd. Dorastał w ich sąsiedztwie, urodził się pod koniec barwnej ery szacha. Miał szczęście, że jego ojciec był religijnym człowiekiem i miał na bazarze właściwych przyjaciół, inaczej rodzina zostałaby zniszczona i teraz on prowadziłby tę taksówkę, zamiast nią jechać.

Korek na Vali Asr był okropny. Na każdym rogu samochody wyjeżdżające z prawej wpychały się na pas, tamując ruch. Ludzie gotowi byli umrzeć za odrobinę miejsca na samochód. W Holandii, gdzie Azadi studiował, było inaczej. „Świeć na nas, słońce sprawiedliwości”, brzmiało motto uniwersytetu w Utrechcie. Ludzie stali w kolejkach. Zatrzymywali się na światłach. Nic nie zagrażało godności mężczyzny, kiedy wkraczał na przejście dla pieszych.

Azadi wysiadł na rogu Vali Asr i bulwaru Satari. Kierowca powiedział, że nie chce pieniędzy za taką krótką trasę, ale oczywiście nie mówił serio. Azadi dał mu pięć tomanów, za dużo, ale był zdenerwowany. Mieszkanie kontaktowe znajdowało się dwie przecznice na północ stąd, przy ulicy Fo-roozan. Szedł powoli, oglądając wystawy, tak jak kazał mu Anglik. Idący za nim mężczyzna w ciemnych okularach poruszał się równie wolno. Dlaczego? Znów zrobiło mu się niedobrze, tak bardzo, że omal nie zwymiotował. Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych minął go, ale zatrzymał się na rogu ulicy Foroozan i zaczął czytać gazetę. Nikt tak nie robi, więc Azadi wpadł w panikę. Chciał uciekać, najlepiej od razu do Holandii. Cudzoziemcy to diabły i zrobili diabła także z niego.

Pomachał na pustą taksówkę. Z otwartego okna dobiegał głos amerykańskiej piosenkarki country. Rozpoznał ten głos: Sheryl Crow. Miał piracką kopię jednej z jej płyt. Młody taksówkarz zapytał Azadiego, czy przeszkadza mu muzyka, a gdy ten nie odpowiedział, zostawił ją. Był odważny, a może tylko głupi. Mimo to Azadi poczuł się trochę pewniej.

Dlaczego tak się bał? Może tylko wyobraził sobie, że go śledzą-

Powiedział kierowcy, że chce jechać do ambasady nigeryjskiej przy ulicy Naseri. Minęli w żółtym tempie dwie przecznice, tak blisko innych samochodów, że karoserie prawie się ze sobą stykały. Potem skręcili w prawo. Azadi patrzył na dachy budynków. Na większości widać było talerze anten satelitarnych, wysysające słodkie sygnały pirackiej telewizji z Los Angeles, Toronto i Dubaju. Oficjalnie to było nielegalne, ale zakazy zwykle nie skutkowały. Kiedy władze postanowią zrobić z tym porządek, w gazetach pojawi się niewielki artykuł, a ludzie przeniosą talerze z brzegów dachów na ich środek, żeby były niewidoczne z ulicy. Kilka anten zostanie skonfiskowanych przez policję, a potem sprzedanych na czarnym rynku.

Za parę tygodni wszystko wróci do normy. Władze nie stracą twarzy. Ludzie nie stracą twarzy. Rytuał zostanie zachowany.

Azadi niemal się odprężył. Taksówka skręciła w bulwar Afriaa i kilka chwil później znaleźli się przy ambasadzie ni-geryjskiej. Azadi znał ją, bo przed wyjazdem do Holandii pracował tam jako tłumacz. Oczywiście donosił o wszystkim Ministerstwu Wywiadu - choć Nigeryjczycy nie mieli żadnych ważnych sekretów do wykradzenia - i dzięki temu dostał pozwolenie na wyjazd za granicę. Dał kierowcy kilka tomanów i ruszył na południe z powrotem ku ulicy Foroozan, zbliżając się do budynku od drugiej strony. Teraz się nie bał. Tu ich nie było. Nic o nim nie wiedzieli. Anglicy są przebiegli i podli, wiedział o tym każdy Irańczyk, ale są również bystrzy. Jak może mu coś grozić, skoro znajdował się w rękach Małego Szatana?

Azadi wszedł do nowoczesnego bloku. Obok stał identyczny, ale jeszcze nieukończony. W tej części miasta wszystko teraz przebudowywano. Irańczycy mieszkający za granicą przysyłali swoim krewnym pieniądze na kupno mieszkań. Mieszkania traktowano jako dobrą inwestycję, więc niektóre stały puste. Anglicy musieli o tym wiedzieć, skoro załatwili sobie to mieszkanie kontaktowe. Znaleźli irańskiego biznesmena w Genewie czy Frankfurtach, kazali mu załatwić formalności i przesłać pieniądze na wskazany rachunek bankowy w Dubaju. To był jeden z wielu „gorących” apartamentów kupionych półlegalnie jako inwestycja. Emigranci, przekonani, że mułom nie zostało wiele czasu, spekulowali na rynku nieruchomości. Nie obchodziła ich polityka. To był problem. Nigdy nie próbowali odebrać władzy ulicznikom z południowego Teheranu, którzy zasilali szeregi policji i Pasdaranu. Dobrzy ludzie są zawsze zbyt słabi.

Azadi zadzwonił do drzwi na trzecim piętrze i czekał.

Anglik, który mu otworzył, przedstawił się jako Simon Hughes, ale Azadi wiedział, że to fałszywe nazwisko. Po co robili sobie aż tyle zachodu? Równie dobrze mógł udawać, że nazywa się John Buli, Azadiemu było wszystko jedno. Miał rude włosy, wielki brzuch i wielkie okulary, które zasłaniały oczy. To musiało być przebranie. Tak właśnie postępują szpiegowie. Zmieniają przebrania jak w filmach z Hollywood. „Simon Hughes” nie odzywał się, dopóki nie znaleźli się w salonie i nie włączył radia. Zaczął od przypomnienia czasu następnego wyznaczonego spotkania: w Ad-Dauha za trzy miesiące. Dlaczego nie trzymali się planu? Coś musiało pójść źle.

- Szukamy kogoś - powiedział Anglik.

Był tuż po trzydziestce, niewiele starszy od Azadiego. Dobrze mówił po persku. Brytyjczycy potrafią takie rzeczy. Czy wszyscy ludzie, którzy skończyli studia orientalistyczne w Oksfordzie i w Londynie, są szpiegami? Czy na tym polegał ich sekret?

- Kogo szukacie? - spytał Azadi. - Możecie mi podać nazwisko?

- Nie - odparł Anglik. - Ale osoba, której szukamy, może szukać ciebie. Tak go rozpoznasz. Jego albo ją.

Azadi poczuł niepokój.

- Dlaczego będzie mnie szukać? Czy wie, kim jestem? - głos zaczął mu drżeć.

- Nie, nie wie. Nie ma o tobie pojęcia. Ale okaże zainteresowanie twoją specjalnością. Będzie pytał o fizykę nuklearną, o promienie rentgenowskie. Tak się zorientujesz, kto to jest.

Możliwe, że pracuje w Teherańskim Centrum Badań Nuklearnych. On albo ona. Możliwe, że jest naukowcem, jak ty. Jeśli dowiesz się o takim zapytaniu, zapisz nazwisko i przyslij mi je jak najszybciej. A potem o wszystkim zapomnij.

Teraz Azadi był naprawdę przerażony. Jeśli ta osoba pracuje w TCBN, wkładał głowę w paszczę lwa. To było miejsce, „o którym nikt nie wiedział”.

Anglik miał kilka pytań. Czy były jakieś wizyty zagranicznych naukowców w laboratorium na uniwersytecie, gdzie pracował Azadi? Czy dostali nową partię materiałów z Zachodu albo nowe zapotrzebowanie na sprzęt naukowy? Zawsze o to pytali. Na podstawie tych pytań

można by dojść do wniosku, że handlują sprzętem laboratoryjnym. Irańczycy mieli takie powiedzenie: „Anglicy przykładają rękę do wszystkiego” Dlatego ludzie się ich bali i zarazem kochali w głębi serca. Anglicy byli władcami marionetek. To oni pociągali za sznurki. A czy marionetka mogłaby nie kochać swego władcy?

Anglik jeszcze raz powtórzył zasady komunikacji. Potem pożegnali się i Azadi wyszedł w przytulny chaos ulic.

???

Minął tydzień. Nadeszły deszcze i przerwały skorupę smogu wiszącą nad Teheranem. Azadi próbował się skoncentrować na swojej pracy, ale był rozkojarzony i niespokojny. W dniu, kiedy deszcz ustał, wyszedł wcześniej z laboratorium i pojechał taksówką do Darband pospacerować po wzgórzach po północnej stronie miasta. Wziął ze sobą kopię oficjalnej wiadomości, którą otrzymał przez Internet. Nie chciał jej czytać w laboratorium, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć - albo zobaczyć jego twarz po jej przeczytaniu.

Taksówka jechała wolno stromymi ulicami niedaleko starego pałacu szacha. Wysadziła go prawie na szczycie, gdzie zaczynały się szlaki. Musiał się wspinać ponad godzinę, żeby zostawić za sobą sprzedawców soku i hałaśliwych turystów i poczuć się wolnym od uścisku miasta. Tu na górze kobiety rozluźniały chusty i pokazywały włosy. Jeśli były młode i śmiałe, wyszukiwały kryjówki z dala od szlaku i zdejmowały staniki, żeby ich mężczyźni mogli pod luznymi szatami dotykać ich piersi. To było jądro wolności, krągłość kobiecych piersi, które można było pieścić i okrywać pocałunkami. Azadi przyprawiał tu swoje dziewczyny, te żadne przygód. Był wtedy szpiegiem miłości, ryzykującym wszystko, żeby dotknąć kobiecego ciała. Czy była to inna odmiana tego samego podniecenia, jakie czuł, kiedy szedł na spotkanie z Simonem Hughesem? Czy dlatego to robił? Są łatwiejsze sposoby na prowadzenie podwójnego życia.

Azadi wspinał się stromym szlakiem, aż zyskał pewność, że jest sam. Obejrzał się i popatrzył w dół. Budynek za budynkiem, miła za miłą. Marzenia i kłamstwa za każdymi drzwiami. Kłamstwa były paliwem zasilającym to miasto. Każdy miał coś do ukrycia. Był otoczony kłamcami, milionami kłamców. To była jego ochrona. Dlaczego mieliby szukać właśnie jego, skoro wszyscy mają sekrety?

Wyjął wiadomość, którą wydrukował ze swojego komputera. Ostrożnie rozłożył kartkę. Przeczytał treść dwa razy To

było pytanie naukowe zaadresowane do jego wydziału. Proszono o informacje na temat najnowszej literatury z dziedziny fizyki promieni rentgenowskich. Wiadomość przesłał niejaki doktor Karim Molavi z Tohid Electric Company. Azadi słyszał o tej firmie. Należała do Pasdaranu. Skąd to pamiętał? Kim jest doktor Karim Molavi? Znów poczuł mdłości. Wiedział, co musi teraz zrobić. Strach uczynił go sprytnym. Wziął ze sobą urządzenie komunikacyjne, które Anglik dał mu na pierwszym spotkaniu. Wpisał wiadomość: nazwisko, adres mailowy, miejsce pracy. Nacisnął guzik i wiadomość zniknęła. Jakby nigdy nie istniała. Podarł kopię e-maila i już miał ją wyrzucić, ale powstrzymał się. Nie, przecież znajdują kawałki. Zabierze skrawki papieru do domu, spali, a popiół spuści w sedesie. Żałował, że nie może uciec w ten sam sposób aż do Holandii albo Londynu, albo chociaż do Ad-Dauhy. Teraz odejdzie. Bo jeśli on kogoś szukał, oznacza to, że ten ktoś szuka jego. Nie pójdzie na następne spotkanie z Anglikami w Katarze i nie będzie reagował na ich próby nawiązania kontaktu. I już nigdy nie spotka się z nimi poza granicami Iranu. Zniknie w anonimowości laboratorium teherańskiego uniwersytetu. Będzie chodził na piątkowe modlitwy i bił pokłony tak nisko, że zrobią mu się odciski na czole.

Ruszył w dół. Jego kroki były ciężkie. Bo czym innym jest patrzeć na miasto kłamstw ze wzgórz Darband, a czymś zupełnie innym schodzić w jego czeluść.

???

Tego wieczoru Azadi próbował się uspokoić, czytając jedną ze swoich ulubionych książek. Była to powieść zatytułowana *Mój wujaszek Napoleon*, napisana w połowie lat siedemdziesiątych, mniej więcej wtedy, kiedy się urodził. Opowiadała o drażliwym starcu, który był przekonany,

że Brytyjczycy kontrolują wszelkie aspekty życia w Iranie. Główny bohater nazwał się „wujaszkiem Napoleonem”, ponieważ całym sercem identyfikował się z nienawiścią, jaką francuski cesarz żywił do Brytyjczyków. Wprawdzie nie znał żadnych Brytyjczyków poza apodyktyczną żoną pewnego hinduskiego biznesmena, ale to nie miało znaczenia. Jak większość Irańczyków w tym okresie uważał, że Brytyjczycy i ich agenci są wszędzie. Kiedy pisano tę książkę, Amerykanie nie byli jeszcze Wielkim Szatanem. Byli źli, ale na sposób fantasmagoryczny. Przyjaciel wujaszka, Asadollah, zawsze pouczał znajomych, jakie to ważne „pojechać do San Francisco” co było jego eufemistycznym określeniem na uprawianie seksu. Jeśli nie możesz pojechać do San Francisco, mawiał, powinieneś przynajmniej odwiedzić Los Angeles.

Wujaszek Napoleon mówił rzeczy, w które ludzie wierzyli, ale byli zbyt ugrzecznieni, by wypowiadać je na głos. Brytyjczycy są źli. Są przyczyną wszelkiego zła, ich agenci są wszechobecni. Każdy Irańczyk w to wierzył. Na podstawie książki nakręcono niezwykle popularny serial telewizyjny. Ajatollahowie próbowali go zakazać - oprócz ukazania obsesji na punkcie Brytyjczyków był satyrą na irańskich mułłów - ale dali sobie spokój. To było jak próba zakazania śmiechu.

Azadi lubił czytać *Wujaszka Napoleona*, bo myliło to tropy. Dowodziło, że gardzi Brytyjczycami i ich szpiegami, jak każdy inny Irańczyk. Czasami zabierał tę książkę do laboratorium i czytał ją podczas lunchu, śmiejąc się głośno z zabawnych fragmentów. Ale nie chodziło tylko o to. Ta powieść wzmacniała jego przekonanie, że Iranem naprawdę steruje ręka cudzoziemców - i że pomagając im, dokonał jedyne racjonalnego wyboru. Tego wieczoru zasnął nad otwartą książką.

WASZYNGTON/LONDYN

Wiadomość od Winklera była krótka: „Być może mamy w Teheranie użyteczny trop. Gdybyś złożył nam kolejną wizytę, moglibyśmy opracować jakiś plan”. Może, moglibyśmy, jakiś. Harry podejrzewał, że Adrian odczekał dzień czy dwa, zanim wysłał tę wiadomość, by móc wszystko spokojnie przemyśleć i popytać na własną rękę. Nie miał o to pretensji. Postąpiłby tak samo.

Odpisał, że będzie w Londynie za czterdzieści osiem godzin. W Waszyngtonie sprawy nabierały tempa. „Doktor Ali” odpowiedział na wiadomość, którą zostawili na koncie „iranmetalworks” na Gmailu. Nic nie wiedział o alternatywnym programie bomby plutonowej ani o reaktorze ciężko-wodnym. Te projekty prowadziły inne jednostki, o ile w ogóle Iran się nimi zajmował. Ale podał datę oraz miejsce przeprowadzenia testu z generatorem neutronów: przed trzema miesiącami w kompleksie badawczym w Parchin, dwadzieścia mil na południowy wschód od Teheranu.

Potwierdzenie lokalizacji wystarczyło Arthurowi Foxowi i planistom z Centrum Operacyjnego. Teraz mieli koordynaty, na podstawie których mogli zaplanować atak pociskami samo-sterującymi. Poinformowano Centcom. Okręty Piątej Floty patrolujące Zatokę Perską dodały Parchin do listy swoich celów.

„Doktor Ali” napisał na koniec: „Proszę, bądźcie ostrożni. Zagrożenie dla waszych interesów jest teraz bardzo małe, ale dla moich ogromne”.

Pappas usiłował rozmawiać z Foxem na temat znaczenia tych słów. Czy to część wiadomości? Może Irańczycy próbują skonstruować bombę, ale nie idzie im dobrze. Mają problemy techniczne. Być może analitycy z Wydziału Zapobiegania Rozprzestrzenianiu i planiści polityczni w sztabie Rady Bezpieczeństwa Narodowego coś przeoczyli. Irańczycy stoją na progu, ale porażki, nie sukcesu.

Fox odrzucił te przypuszczenia.

- Chcesz za wszelką cenę uniknąć konfrontacji - stwierdził.

- A co jest złego w unikaniu konfrontacji?

Fox przewrócił oczami, jakby Pappas kompletnie nie rozumiał, o co chodzi. Wkurzyło to Harry'ego. Zwykle dawał sobie spokój z takimi rozmowami, ale nie tym razem.

- Może nie wiesz, Arthurze, ale mamy za mało żołnierzy, żeby zakończyć wojny, które już prowadzimy w tej części świata. No tak, to nie wchodzi w zakres zainteresowania twojego wydziału, prawda? Wy tylko zaczynacie wojny. Niech inni je kończą.

Fox parsknął. Miał wszystkie karty, których potrzebował. Pappas może załamywać ręce, ale to nie zrobi żadnej różnicy. Władza służy ludzi, którzy są gotowi do podejmowania decyzji, a nie na krytykantów i wiecznych pesymistów. Nawet Harry zdawał sobie sprawę, że ma za mało danych, by powstrzymać Foxa. Nie będzie pewien, co „doktor Ali” miał na myśli i jakie jest prawdziwe znaczenie jego informacji o irańskim programie nuklearnym, dopóki się nie dowie, kim on jest. A na tym froncie, na ile Fox mógł stwierdzić, nie robił postępów. ???

Harry poszedł do dyrektora, żeby dostać zgodę na kolejną podróż do Londynu. Rozejrzył się po gabinecie szefa, pełnym pamiątek z jego poprzednich przydziałów. W głębi duszy dyrektor pozostał żołnierzem. Harry'emu przemknęło przez myśl, że trzymał tu te wszystkie pamiątki - modele okrętów podwodnych i krążowników, nagrody i odznaczenia, nawet dyplom z Akademii Marynarki - aby chronić go przed złymi wibracjami Agencji. Żał mu było starego admirała, który tkwił w Langley jak wyrzucony na plażę czterogwiazdkowy wieloryb. Jako wojskowy, dyrektor cenił przejrzystą i uporządkowaną hierarchię. Nie tolerował konfliktów między podwładnymi. A chociaż był wdzięczny MI6 za pomoc, nie miał ochoty dzielić się najcenniejszymi tajemnicami z obcą służbą wywiadowczą. Ale Harry nie odpuścił.

- Myślę, że Londyn zidentyfikował naszego człowieka - powiedział. - Nie powinniśmy podejmować żadnych ważnych decyzji, dopóki tego nie zweryfikujemy. W tej chwili tworzymy politykę, opierając się na danych wywiadowczych, co do których nie mamy nawet pewności, co oznaczają ani skąd pochodzą.

Dyrektor pokręcił głową. Najwyraźniej nie rozumiał zagrożenia.

- A jaka jest alternatywa, Harry? - spytał. - Biały Dom chce działać.

- Znaleźć naszego gościa. Porozmawiać z nim, poza Iranem, jeśli się uda. Załatwić sprawę normalnie. Zbadać go na wariografie, przeszkolić, dać mu środki komunikacji. Może być naszym najlepszym źródłem od czasu Pieńkowskiego. Ale najpierw musimy go znaleźć. SIS ma jakiś trop. To stwarza pewne szanse.

- Nie mamy czasu.

- Ależ mamy. O ile czegoś nie przeoczyłem, doktor Ali pisze, że mamy mnóstwo czasu. Jego ludzie zawalają sprawę. O tym właśnie są te wiadomości, jeśli porządnie nimi potrząsnąć i przyjrzeć się im z drugiej strony. Spieszymy się nie-

potrzebnie. Powinniśmy popracować nad tą sprawą, zamiast działać pod wpływem impulsu.

- Arthur Fox i jego przyjaciele mają inną koncepcję wykorzystania tego chłopca - powiedział dyrektor.

- Świetnie - mruknął Harry. - Jaką?

Fox nie zdradził mu swojej koncepcji, no ale dlaczego miałby to robić?

- Chcą, żeby znalazł więcej rzeczy, które moglibyśmy ujawnić, kiedy pójdziemy do ONZ.

- Chce pan powiedzieć: kiedy zaatakujemy Iran? Czy kiedy ogłosimy embargo? To szaleństwo, zważywszy, co na razie mamy.

Dyrektor wzruszył ramionami. Appleman i prezydent chcieli zbudować na tyle dużą sprawę, żeby zapewnić sobie międzynarodowe poparcie, jeśli postanowią uderzyć.

Harry'emu zaczęło się kręcić w głowie. Już to przerabiał z poprzednim dyrektorem CIA, który chciał grać pod Białym Domem. Wszyscy zakładali, że Stany Zjednoczone coś mają, skoro przedstawiają sprawę w ONZ. Nawet po tym wszystkim, co się stało, ta taktyka nadal była skuteczna. Młodzi ludzie godzili się ryzykować życie, gdy ich przywódcy mówili im, że mają dowody na zagrożenie ojczyzny.

„Tato, musimy ich powstrzymać teraz, nim będą mieli broń”, tak mówił jego własny syn, zanim wyruszył do Kuwejtu na OIW. „Operacja Iracka Wolność”, tak zawsze nazywał tę wojnę. Harry w głębi serca wiedział, że to kłamstwo. Gra! jak wszyscy w Wydziale Bliskiego Wschodu, bo rozumiał, że nic nie powstrzyma marszu ku wojnie. Ale wiedział, że to totalna bzdura. Będzie starcem na wózku, nim Irakijczycy choćby zbliżą się do zbudowania bomby atomowej. Nie powiedział tego synowi wtedy. I nie mógł powiedzieć teraz.

- Proszę mi dać trochę czasu, admirale. Wrócę z Londynu przed końcem tygodnia. - To nie była prośba, tylko stwierdzenie. - I proszę nie mówić Arthurowi o mojej podróży ani nie wysyłać żadnych wiadomości do Teheranu, dopóki nie wrócę. Niech pan mnie chroni. Mam tylko pana.

- Będę cię chronił, Harry, ale pamiętaj, że zegar tyka. Trudno będzie go powstrzymać. Nie graj w nic z naszymi brytyjskimi przyjaciółmi. Mówią wprawdzie tym samym językiem, ale nie salutują tej samej fladze. Nie zapominaj o tym, bo wpakujesz się w kłopoty, z których nie zdołam cię wyciągnąć.

???

Wieczorem Harry poszedł do pokoju córki, żeby się z nią pożegnać. Zawsze całował dzieci na pożegnanie, kiedy wyjeżdżał służbowo, bo nigdy nie miał pewności, która podróż będzie jego ostatnią. Spodziewał się, że Lulu będzie jak zwykle milcząca i nadąsana, ale tego wieczoru było inaczej. Gdy otworzył drzwi, jej twarz oświetlał blask monitora laptopa. Słuchała muzyki i pewnie przeglądała strony swoich przyjaciół na Facebooku. Na jego widok zamknęła i odstawiła komputer.

- Cześć, tato - powiedziała wesoło.

- Muszę wyjechać na parę dni - oznajmił Harry. - Chciałem dać ci buziaka na do widzenia.

Wyciągnęła ramiona. Nigdy nie pytała, dokąd wyjeżdża, podobnie jak Andrea. To była część rodzinnego układu.

Harry pocałował córkę w policzek i przytulił. Miał wrażenie, że jest malutka i krucha jak wtedy, kiedy była kilkuletnią dziewczynką.

- Wyglądasz na smutnego - stwierdziła.

- Bo jestem smutny - przyznał. - Tęsknię za wami, kiedy wyjeżdżam. - Coś kazało mu mówić dalej. - Czasami tęsknię

za wami, nawet jak jestem w domu. Nigdy nie ma dość czasu, żeby porozmawiać.

- Wiemy, że ciężko pracujesz, tato. Wiemy, że to ważne.

- Ale nie ważniejsze niż ty, kochanie.

Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem, jak Andrea, kiedy nie odwracała głowy, gdy ich oczy się spotkały.

- Nie bądź smutny - poprosiła. - Kochamy cię.

???

Harry przyleciał do Londynu wczesnym rankiem. Miał trochę czasu przed spotkaniem z Adrianem. Pojechał taksówką do miasta i godzinę spacerował nad Tamizą. Londyn dopiero się budził. Na ulicach widać było tylko samochody dostawcze. Ruszył Victoria Embankment tuż poniżej Whi-tehall, a potem przeszedł na drugą stronę Tamizy mostem Waterloo i skierował się w stronę stacji kolejowej i Royal Festival Hall. Wielka Brytania była jeszcze w postimperialnym szoku, kiedy budowano te pozbawione wdzięku betonowe gmachy. Maggie Thatcher dopiero zaczynała swój szal niszczenia.

Harry szedł wzdłuż południowego brzegu rzeki, aż dotarł do Century House, dawnej siedziby SIS. W ciągu minionych lat odwiedzał ten budynek dziesiątki razy. SIS było młodszą siostrą Agencji, ale grzecznościowe wizyty stanowiły integralną część tego biznesu. Harry zawsze wracał z tych spotkań z poczuciem, że jego brytyjscy koledzy są lepiej predysponowani do tej gry niż Amerykanie. Nie byli lepsi w dochowywaniu sekretów, ale na pewno umieli lepiej kłamać.

*??

Kiedy przyjechał do Vauxhall Cross, Winkler już na niego czekał. Zestawił bezpieczną wideokonferencję z ambasadą w Teheranie, żeby Harry mógł porozmawiać bezpośrednio z szefem misji. Na ekranie pojawiła się twarz oficera SIS, który patrzył prosto w kamerę. Miał gładko uczesane blond włosy i starannie zawiązany krawat. Był bardzo młody, ale tak to robili Brytyjczycy. Wcześniej wchodzisz, wcześniej wychodzisz. Winkler powiedział przyjacielowi, że ich pracownik nazywa się Robin Austen-Smith, ale poprosił go, żeby nie używał tego nazwiska podczas rozmowy.

- Witamy, Teheranie - zaczął Adrian.

- Witamy, Londynie. Niestety nie widzę was, ale słyszę bardzo dobrze.

- Nie zajmujemy ci wiele czasu. Opowiedz naszemu amerykańskiemu przyjacielowi, czego się dowiedzieliśmy o sprawie Gila - poprosił Winkler. Najwyraźniej taki był kryptonim operacji, którą prowadzili przez ostatni miesiąc.

- Uważamy, że cel pracuje w firmie Tohid Electric, będącej elementem irańskiego programu nuklearnego. Przejęła część zadań firmy Shahid Electric, kiedy Irańczycy zakończyli jej tajne działania w dwa tysiące trzecim. Prawdopodobnie należy do Gwardii Rewolucyjnej, a personel ma zakaz podróży, ale nie wiemy tego na pewno. Nigdy nie dostaliśmy się do środka.

Harry notował. Szeptem spytał Adriana, czy może zadawać pytania. Winkler kiwnął głową.

- Wiemy trochę o Tohidzie - powiedział Pappas. - Pański opis jest zgodny z naszą wiedzą.

Dlaczego sądzicie, że to tam pracuje nasz cel?

- Ponieważ jeden z tamtejszych pracowników skontaktował się z naszym źródłem, Ajaxem Jeden, i zadał zaplanowane pytanie. Nie będę teraz podawać szczegółów. Pan Winkler je panu przekaże. Mamy też nazwisko celu. Zestawiliśmy je z danymi, które zebraliśmy, i uważamy, że to autentyk. Pan Winkler przekaże panu szczegóły również na ten temat. Nie

-S

podjęliśmy żadnych innych akcji, zgodnie z wytycznymi Londynu.

- Dobra robota - powiedział Harry. Spojrzał na Adriana i skłonił głowę w geście uznania.

- Dobra robota, Teheranie - rzekł Winkler. - Macie u mnie dodatkowe kanapki z ogórkiem na podwieczorek.

- Dziękuję.

Winkler nacisnął przełącznik i obraz na ekranie zaczął migać, a po chwili zgasł.

???

- Ja pierdole, udało wam się - stwierdził Harry.

- Nie do końca, mój drogi, ale przynajmniej zaczęliśmy. Pytanie brzmi: co planujesz dalej?

- Jeszcze nie wiem. Zacznijmy od podstaw. Jak się nazywa?

- Doktor Karim Siamak Molavi. To naukowiec związany z tajnym departamentem wywiadu Gwardii Rewolucyjnej. Jego ojciec był intelektualistą-dysydem, przeciwnikiem szacha. Karim studiował w Niemczech, w Heidelbergu. Jego nazwisko pojawiało się w pismach naukowych pod koniec lat dziewięćdziesiątych, potem zniknęło.

- Dlaczego się z nami kontaktuje?

- Nie wiemy. Być może to prowokacja. Ale raczej jest po prostu wkurzony.

- Dlaczego?

- Ponieważ jego kuzyn Hosejn Shamshiri został pół roku temu wyrzucony z Gwardii Rewolucyjnej, a był tam pułkownikiem. Właśnie jego miał na myśli Austen-Smith, gdy wspominał o zestawianiu danych.

- Co takiego zrobił ten Hosejn, że go wylali?

- Poprztykał się z niewłaściwym człowiekiem. Generał z Pasdaranu brał więcej niż zwyczajową działkę z przedsięwzięcia, które nadzorował Shamshiri, więc nasz pułkownik poskarżył się przełożonym. Okazało się jednak, że generał ma wysoko postawionych przyjaciół. Ktoś na górze uznał, że Hosejn to rozrabiaka, i kazał go wywalić.

- Czyli Molavi ma motyw?

- Właśnie. Dlatego uważamy, że to autentyk.

- Cholera. Dużo wiecie. Nie mówisz mi wszystkiego, Adrianie.

- Mylisz się, mój drogi. I nie przeceniaj wagi kilku faktów, które przypadkiem udało nam się ustalić. Jesteśmy tylko ubogim krewnym, który przyciska nos do okien lepszych od siebie. Cieszę się, że skapnęło nam parę okruchów, które możemy ci sprezentować.

- Daruj sobie. Nie znoszę fałszywej skromności - mruknął Harry. - Mamy już nazwisko i motyw. Co teraz?

- Pora uderzyć w dzwon, nie sądzisz?

- Ale jak? Twój Austen-Boston, czy jak mu tam, nie może tego zrobić. Dorwą go, gdy tylko zbliży się do kogoś z takim priorytetem dostępu, a poza nim nie masz nikogo na placówce. Może agent Mahmounem?

- Mahmoud Azadi, bo tak się nazywa, właśnie przestał odbierać telefony. Podejrzewam, że wystraszył się po ostatniej misji, która doprowadziła nas do doktora Molawiego.

- Kurwa mać - zaklął Harry. - Więc co robimy? Macie na miejscu inne zasoby? Bo my nie mamy nic.

- Jeszcze nie - odparł Adrian. Sprawiał wrażenie, jakby prowadził w myślach jakąś dyskusję, a potem zgodził się sam ze sobą. - Jeszcze nie, ale możemy coś mieć.

- Co takiego, jeśli mogę spytać?

- Mamy pewne możliwości operacyjne, o których nie lubimy mówić nawet we własnym gronie.

- Ale mnie powiesz?

Winkler kiwnął głową, lecz nie odzywał się.

- No gadaj, stary - ponaglił go Harry. - Odebrało ci mowę?

- Nazywamy to Increment. Legalnie rzecz nie istnieje. Ale wiesz, jak to jest. Harry przechylił głowę. Słyszał to słowo kilka lat temu od innego brytyjskiego oficera wywiadu. Ale kiedy zaczął naciskać, tamten nabrał wody w usta.

- Co to, do cholery, jest ten Increment? Jakaś tajna jednostka?

- Niezupełnie. Tworzy się ad hoc. Wykorzystujemy żołnierzy, głównie z Powietrznych Sił Specjalnych. Kolorowi, znakomicie wyszkoleni. Hindusi, Pakistańczycy, Arabowie, Jamajczycy. Wszyscy mówią płynnie po persku. Mogą działać wszędzie, w zasadzie niewidoczni, a przynajmniej lubimy tak myśleć. SIS wypożycza ich, kiedy musimy się dostać do zakazanej strefy, zrobić coś nieprzyjemnego i zmyć się bez śladu. To oni mają tę słynną licencję na zabijanie, no wiesz, 007. Dzięki nim mamy możliwości, których inaczej nie mielibyśmy, nawet wedle naszych pokrętnych zasad. Nie wiesz nic o Increment, bo ściśle rzecz ujmując, taka organizacja nie istnieje.

- A ty jesteś skłonny wypożyczyć tych wszechstronnych facetów rządowi Stanów Zjednoczonych?

- Nie. Ale mogę wypożyczyć ich tobie, Harry.

LONDYN

Adrian nalegał, żeby Harry zjadł z nim kolację. Chciał pogadać, widać to było w jego oczach. Pappas powiedział, żeby zabrali Susan i poszli we troje do jakiejś syryjskiej restauracji, gdzie mogliby pić wódkę i wspominać stare dobre czasy w Moskwie. Winkler stwierdził, że powinni iść tylko we dwóch, i zaproponował Mirabelle, królową francuskich restauracji na West Endzie. Wyraźnie zmarkotniał na wzmiankę o Susan. Zdziwiło to Harry'ego, ale o nic nie pytał.

- Susan i ja jesteśmy w separacji - wyznał Adrian, gdy przed kolacją wypili butelkę whisky.

- Bardzo mi przykro - powiedział Harry. Nie wiedział, czy właśnie to należało powiedzieć, ale naprawdę było mu przykro.

- To się musiało stać. Stałoby się wcześniej, gdyby Susan nie próbowała wszystkiego naprawić. Ale w końcu odszedłem.

- Czemu? Przecież Susan zawsze wiedziała, że miałeś inne kobiety. Rozmawiała o tym z Andrea. Podejrzewałem, że ona też miała kochanków. Dlatego byliście dobraną parą.

- Susan mówiła otwarcie o swoich skokach w bok. Ja kłamałem. Na tym polegała różnica. Mam dziecko z inną kobietą. Założę się, że nie wiedziałeś. Susan też nie. A to nawet nie jest kobieta, z którą teraz jestem. Życie jest skomplikowane, Harry.

- Firma wie?

- Oczywiście. Myślisz, że jestem głupi? Na tym polega problem, prawda? Poza firmą wszystko jest jednym wielkim kłamstwem. Aż w końcu kłamstwo to jedyne, co ci zostaje.

- Jesteś pijany - stwierdził Harry.

- Może i tak. Ale mam rację. Problem z naszą robotą polega na tym, że musimy kłamać. Tego się od nas oczekuje. Kiedy ktoś pyta, co robimy, kłamiemy. Ilekroć wsiadamy do samolotu, za każdym razem mamy inny paszport. Zatrzymujemy się w tym samym hotelu najpierw pod jednym nazwiskiem, a potem pod drugim i mamy nadzieję, że recepcjonista nas nie zapamiętał. Zmuszamy ludzi do robienia złych rzeczy i wmawiamy sobie, że to dla dobra sprawy i że nie można tego uniknąć. O ile zostało w nas jeszcze jakiegokolwiek poczucie winy. Bo ono bardzo szybko znika. Nie potrafiłbym rozmawiać z kobietą, gdybym używał prawdziwego nazwiska. Na pewno by mi nie stanął.

- Wróć do Susan. Ona wie, kim jesteś.

Adrian pokręcił głową. Zamierzał wyznać Harry'emu, swojemu jednemu przyjacielowi, to, czego nie powiedziałby nikomu innemu, nawet w Domu Kłamstw, w którym pracował.

Pociągnął solidny łyk whisky i zniżył głos do szeptu.

- To nie jest takie proste, bo dałem się skorumpować. Potrzebowałem pieniędzy, żeby prowadzić taki styl życia, czy jak to nazwać, więc brałem forszę. Po raz pierwszy na Bliskim Wschodzie, kiedy wyjechaliśmy z Moskwy. Pojechałem na Cypr spotkać się z syryjskim agentem i wręczyć mu gotówkę. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów, wyobrażasz sobie? Sukinsyn był chciwy i płaciliśmy mu masę forsy.

- No i tak się złożyło - znów napił się whisky - że sprawę przekazano mnie, a ja niewiele o nim wiedziałem. Gdy dotarłem do mieszkania operacyjnego, kazał mi wyłączyć dźwięk, oczywiście na migi, jak w pantomimie. Wiedział, jaka jest procedura. Więc wyłączyłem dźwięk i otworzyłem walizkę, żeby pokazać mu forszę, a on mówi do mnie: „Bierz swoją dolę” Tak po prostu. Jego poprzedni oficer prowadzący zbijał na nim majątek, więc uznał, że ja też jestem taki. Zapytałem, jaki był układ z moim poprzednikiem, a on powiedział: dwadzieścia procent. Pomyślałem sobie: rany! to pięćdziesiąt kawałków. Za tyle można było wtedy kupić mieszkanie w Londynie. Więc wziąłem.

- Każdy trochę sra pod siebie - stwierdził Harry. - To koszty uboczne tego biznesu.

- To nie było trochę - odparł Winkler. - Przez te lata uzbierała się spora kasa. Miałem dużo wydatków. Mieszkania i aborcje kochanek, szkoła dziewczynek i nowe cycki Susan, kiedy jeszcze myślała, że mnie zatrzyma.

- I nikt w firmie nie wie?

- Oczywiście, że wiedzą. Tkwiemy w tym wszyscy, przekazujemy sobie agentów z ręki do ręki. Wszyscy doimy firmę i wszyscy o tym wiemy. To dlatego taka z nas kompania braci, mój drogi. Każdy trzyma każdego za jaja i uzdrowienie sytuacji nie leży w niczyim interesie. Zostanę szefem firmy po sir Davidzie. Tak mówią na korytarzach. A wiesz, dlaczego?

- Ponieważ jesteś dobrym oficerem wywiadu.

- Bzdura, Harry. Dlatego, że jestem jednym z nich. Nie przewrócę wózka z jabłkami, bo mam ich pełne ręce. A gdy rozstałem się z Susan, polubili mnie jeszcze bardziej, bo już nie muszą się martwić, że żona sprowadzi mnie na dobrą drogę. Jestem umoczony, Harry. A ty jesteś zbyt uczciwy, żebyś to dostrzec. Dlatego cię kocham, a inni nie. Jak można ufać uczciwemu człowiekowi?

???

Gdy następnego ranka Adrian zadzwonił do hotelu, Harry właśnie szykował się do wyjazdu na lotnisko. Winkler mó-

wił oficjalnym tonem, jakby próbował puścić w niepamięć niedyskrecje poprzedniego wieczoru. Musiał mieć potwornego kaca, ale nic nie dał po sobie poznać. To kolejna brytyjska umiejętność: wieczorem pić jak smok, a następnego ranka być świeżym jak pierwiosnek.

- Może byś został w Londynie jeszcze jeden dzień? - spytał. - Chcę ci kogoś przedstawić. To jeden z naszych, choć nigdy by tak o sobie nie powiedział.

- Naprawdę nie mam czasu na życie towarzyskie, Adrianie. Już jestem spóźniony. W domu pewnie zaraz wybuchną.

- Wiem, ale to nie będzie spotkanie towarzyskie. Zaufaj mi. Nie prosiłbym, gdybym nie był pewien, że warto. Człowiek, o którym mówimy, to pewien libański dżentelmen. Bogaty jak sam Bóg. W latach siedemdziesiątych pracował dla Libijczyków, sprzedawał ropę i wszystko, co mu w ręce wpadło. Teraz jest biznesmenem. W pewnym sensie. Bardzo dyskretny. Lata poniżej radaru, tak nisko, że niemal dotyka ziemi, ale nigdy nie brudzi sobie rąk. Bardzo użyteczna znajomość.

- To musi być świetny facet, Adrianie, ale naprawdę muszę wracać. Chyba że chodzi o sprawę, o której rozmawialiśmy wczoraj. Czym on się zajmuje, jeśli mogę spytać?

- Ależ możesz. Chętnie ci odpowiem. Zajmuje się sprzedażą niezwykle skomplikowanych urządzeń. Takich, które bardzo trudno kupić gdzie indziej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak - odparł Harry, uśmiechając się pod nosem. - Myślę, że rozumiem. Gdzie się spotkamy z tym panem?

- Zjemy z nim lunch. Pozwoliłem sobie nas umówić u niego, w Mayfair. On nie lubi wychodzić na miasto, a my lubimy takie... kameralne rozmowy. Powiedziałem mu, że przyjdziemy o wpół do pierwszej.

- Czy ten twój znajomy jakoś się nazywa?

- Kamal Atwan.

Harry znał wielu arabskich biznesmenów mieszkających w Londynie, ale to nazwisko słyszał po raz pierwszy. Najwyraźniej facet latał naprawdę nisko.

- Przyjedź po mnie do hotelu. I załatw mi samochód, żebyśmy zdążyli na popołudniowy lot. Naprawdę muszę dziś wracać.

- Oczywiście. Pracoholizm, etyka protestancka. Rozumiem. Ale jest jeszcze coś w sprawie tego lunchu.

-Co?

- To nasz człowiek, a konkretnie mój. Trzymamy go przy piersi. Takimi ludźmi nie dzielimy się nawet z amerykańskimi kuzynami. Więc będziesz musiał udawać jednego z nas. On nigdy by się nie zgodził na spotkanie z Amerykaninem.

- To dziwny układ nawet jak na ciebie, Adrianie. Czy on ma jakiś problem z Amerykanami?

- Wiem, że to będzie dla ciebie szok, Harry, ale on wam nie ufa. Uważa, że CIA jest niekompetentna i że Ameryka nie chroni swoich przyjaciół. Nie mam pojęcia, skąd mu się to

wzięło, ale tak właśnie myśli. Więc musisz zostać na ten jeden dzień honorowym brytyjskim agentem. Nic w tym złego.

- Właściwie nie - zgodził się Harry.

LONDYN

Dom Kamala Atwana przy Mount Street niemal sąsiedował z Annabelle, jednym z najpopularniejszych nocnych klubów Londynu. Większość bogatych Arabów cieszyłoby takie sąsiedztwo, ale Atwan nie zwykł tracić czasu na hulanki. Był poważnym człowiekiem i poważnym biznesmenem. Drzwi otworzył krzepki mężczyzna - sądząc z wyglądu, raczej ochroniarz niż kamerdyner. Ukłonił się Adrianowi, którego najwyraźniej znał, i zaprosił gości do salonu. Pierwszą rzeczą, jaka przyciągnęła wzrok Harryego, był niewielki obraz na ścianie naprzeciwko drzwi. Jedne z Nenufarów Moneta.

- Czy to oryginał? - szepnęła do Adriana.

- Tak - odparł Winkler i wskazał portret młodej kobiety na sąsiedniej ścianie. - A to jest Renoir.

Gospodarz czekał na nich na górze, w bibliotece. Regały pełne książek ustawiono po obu stronach drzwi i wzdłuż całego pomieszczenia. Przy każdym stała drabinka, żeby można było sięgnąć do wyższych półek. Za przeszkloną ścianą naprzeciwko drzwi znajdował się basen. Atwan wstał z fotela, żeby powitać gości. Szczupły, szpakowaty Libańczyk był w tweedowej marynarce włożonej na kaszmirowy sweter i w aksamitnych kapciach z monogramem. Na stolik koło fotela odłożył książkę, którą właśnie czytał - zbiór esejów Isaiaha Berlina.

Harry był zaskoczony. Z jego doświadczenia wynikało, że Arabowie nie czytają dużo, a już na pewno nie eseje żydowskich filozofów. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy zauważył obok książki Berlina ostatni raport Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych.

Winkler podszedł do gospodarza, pocałował go trzy razy w każdy policzek - takie było tradycyjne libańskie powitanie - i przedstawił Harry'ego jako Williama Fellowsa.

Pappas wyciągnął rękę do Atwana i uściśnął jego bezwładną dłoń.

- Pan Fellows to Amerykanin, ale możesz mu zaufać - powiedział Adrian. - Jest jednym z nas.

Atwan skinął głową i uśmiechnął się do Harry'ego.

- Mógłby pan uchodzić za Libańczyka, gdyby nie był pan taki wysoki.

- Jestem Grekiem - wyjaśnił Harry.

- Fellows to nie jest greckie nazwisko.

- Zostało zmienione. Na wyspie Ellis.

Gospodarz wskazał gościom skórzaną kanapę i fotele pod ścianą. W srebrnym wiaderku z lodem chłodziło się białe wino. Zjawił się służący, otworzył je i nalał odrobinę do kieliszka. To był batard-montrachet, rocznik 1996. Obok stała otwarta butelka la tache, rocznik 1990, oddychająca przed głównym daniem. Obie butelki burgunda musiały kosztować więcej, niż wynosiła miesięczna pensja Harryego.

- Być może pan Winkler opowiadał panu o moich interesach? - spytał Atwan.

- Nie - odpowiedział Harry. - Wiem tylko tyle, ile widzą moje oczy. A to, co widzą, wskazuje, że interesy idą świetnie.

- Dobry chłopiec - stwierdził Libańczyk, klepiąc Winklera po rękę.

Był to gest wielkiej zażyłości, zupełnie jakby Adrian należał do jego rodziny. Harry zastanawiał się chwilę nad naturą ich relacji, ale odsunął od siebie tę myśl.

Atwan spróbował białego wina i skinął głową, więc służący rozlał je gościom. Jak się okazało, gospodarz tylko sprawdził, czy to, co podaje, ma odpowiednią jakość. Służący przyniósł mu dietetyczną colę.

Adrian wziął małe łyk wina, można by powiedzieć, że umoczył w nim usta.

- Pomyślałem, że mógłbyś opowiedzieć mojemu przyjacielowi Fellowsovi o swoich irańskich interesach - zagaiał. - Jak już wspominałem, pracuje z nami i powinien wiedzieć co nieco o prowadzonych transakcjach.

Atwan uniósł brwi.

- Jakimi informacjami chcesz się podzielić z panem Fel-lowsem?

- Niektórymi. Tyloma, ile trzeba.

- Rozumiem - Atwan uśmiechnął się. - Mam wpuścić pana Fellowsa do biblioteki, ale nie do sypialni.

- Można tak to ująć. A jeśli nawet do sypialni, to nie pod kołdrę.

- No cóż, od czego zacząć? Myślę, że można mnie określić jako biznesmena zajmującego się importem i eksportem. Zdobywam produkty, których na światowych rynkach jest niewiele, a potem sprzedaję je ludziom, którzy chcą je kupić. Oczywiście nie pod własnym nazwiskiem. Mam wiele firm. Działają tak efektywnie, że mogę, jak by to określić, ukryć się na widoku. Cóż prostszego pod słońcem? Choć oczywiście to nie jest proste.

- Dlaczego nie? - spytał Harry. Nie był pewien, dokąd zmierza ta rozmowa ani dlaczego Winkler go tu przyprowadził.

- Ponieważ zajmuję się produktami, które są dość niezwykle, mój drogi. Nie są to rzeczy, które można kupić u Marksa i Spencera.

- Na przykład?

Atwan popatrzył na Adriana. Brytyjski szpieg kiwnął głową.

- Mów dalej, Kamal. Fellows to jeden z nas.

- W porządku. Zastanówmy się, co mógłbym sprzedać obecnie. Na przykład oscylografy katodowe, żeby mierzyć bardzo krótkie impulsy elektryczne. Albo rentgenowskie lampy błyskowe, za pomocą których można wykonywać zdjęcia implodującego rdzenia. To bardzo użyteczne urządzenie. I hydrodynamiczne instrumenty pomiarowe, które mierzą rozchodzenie się fali uderzeniowej w rozmaitych materiałach. No i bardzo szybkie komputery, które mogą pobierać dane z tych instrumentów i wykorzystywać je do symulacji skomplikowanych procesów. Jestem nimi bardzo zainteresowany, oczywiście z odpowiednim oprogramowaniem,

- Czy dostrzega pan tu jakiś wzorec, panie Fellows? - spytał Adrian. - Czy spróbuje pan zgadnąć, do czego można byłoby wykorzystać taki sprzęt?

- Do skonstruowania bomby atomowej - odparł Harry.

- Oszukiwał pan - zganił go Adrian. Zerknął na Atwana, który popijał swoją colę.

- Ponieważ najwyraźniej gramy w dwadzieścia pytań, pozwólcie mi zadać następne - rzekł Harry. - Reaktory ciężkowodne? Takie, których zużyte paliwo można przerobić na pluton? Czy ma pan zamówienia na coś takiego?

Atwan zaczął się śmiać. Była w nim jakaś lekkość, jak u Freda Astairea, pomimo śmiertelnej powagi jego interesów.

- Ma pan dobre wyczucie rynku, mój drogi. Nie otrzymałem jeszcze zamówienia na reaktor, ale powiem panu szczerze, że nie będę zaskoczony, jeśli je niedługo otrzymam. Czeka w kolejce, że się tak wyrażę.

- A kim są pańscy klienci? Jeśli, oczywiście, mogę zapytać.

- Przykro mi, ale o nich rozmawiam wyłącznie z Adrianem. To kwestia tajemnicy handlowej.

- Śmiało, Kamal - zachęcił go Adrian. - Powiedz panu Fellowsovi, z kim ostatnio robisz interesy. Wszystko zostanie w rodzinie.

- No dobrze - zgodził się Libańczyk. - A zatem, drogi panie Fellows, mój ostatni klient na sprzęt tego typu to firma irańska. Oczywiście działała przez pośredników. Kilku. Ale ostatecznym kupcem jest Tohid Electric Company. Mało znana na świecie, ale znana mojemu przyjacielowi Winklerowi.

Na twarzy Harry ego nie drgnął ani jeden mięsień. Słyszał tę nazwę. Tohid Electric Company to była firma, w której pracował Karim Molavi. Znany również jako „doktor Ali”

- Przykro mi - powiedział. - Nigdy o niej nie słyszałem. - Spojrzał na Adriana, a ten lekko skinął głową w uznaniu jego dyskrecji.

???

Zjedli wspaniały lunch. Służący przyniósł faszerowane liście winogron i kilkanaście innych libańskich przystawek, potem danie ze świeżych homarów, kotlety jagnięce ozdobione papierowymi krezami, w których wyglądały jak kościelni chórzyci, a na koniec ogromny wybór serów. Atwan tylko skubał kolejne potrawy, natomiast Winkler niemal rzucił się na jedzenie.

Harry też, więc gdy służący przyniósł deser, lody w gorącym karmelu, zrezygnował z niego. Adrian jadł dalej - rozkoszował się każdą łyżką. Było jasne, że miewał już okazje spróbować kuchni Atwana.

Libańczyk opowiadał o swojej bibliotece. Była jego najcenniejszą własnością, cenniejszą niż obrazy impresjonistów w salonie. Miał pierwsze wydania wszystkich wielkich angielskich pisarzy: Austen, Dickensa, Thackeraya, Throllopea. Biblioteka Brytyjska chciała kupić jego zbiory, ale odmówił. Twierdził, że te książki są jego najdroższymi przyjaciółmi. Nie miał złudzeń co do ludzi, ale biblioteka nigdy go nie zawiodła. Odwiedzał swoje książki rok po roku, zawsze znajdując w nich treści, które przeoczył poprzednim razem. Teraz czytał *The Wdy We Live Now* Throllopea, napisaną w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy Londyn zalali nowobogaccy.

- Haram - powiedział, używając arabskiego słowa, które oznacza złe czyny. - Te nowe pieniądze. Nie ufam im. Dają ludziom za dużo wolności i wtedy oni zapominają o zobowiązaniach. Ja nigdy tego nie robię. Jestem lojalny wobec przyjaciół.

Ujął rękę Anglika tym samym poufałym gestem co poprzednio.

- Tak jak Adrian. I, mam nadzieję, pan, panie Fellows.

*??

- Jak ci się podobał Kamal Atwan? - spytał Winkler, kiedy wyszli. - Mówiłem ci, że warto zboczyć z drogi, jak to piszą w przewodnikach Michelin.

- Intersujący. Nigdy nie spotkałem takiego Araba. Odniosłem wrażenie, że jesteście bardzo zaprzyjaźnieni. Czy słusznie się domyślam, że łączą was interesy niemające nic wspólnego z wywiadem?

- Nie pytaj, mój drogi. A zwłaszcza nie teraz.

- Mało nie padłem, kiedy wspomniał o Tohidzie. Musimy o tym pogadać.

- Masz rację. - Winkler rozejrzał się. Samochód czekał, ale nie ufał samochodom. -

Przejdźmy się - zaproponował.

Adrian ruszył Mount Street tak szybko, że Harry z trudem dotrzymywał mu kroku. Nie odzywał się, dopóki nie skręcili z głównej ulicy w wąską Hays Mews.

- Złapałeś, o co chodzi, prawda? - spytał.

- Twój człowiek sprzedaje sprzęt Irańczykom, więc wiecie, co kupują na potrzeby programu nuklearnego.

- Oczywiście, mój drogi. Monitorujemy dostawy. Oscyloskopy, rentgenowskie lampy błyskowe, komputery. Wszystko bardzo precyzyjnie skonfigurowane. To urządzenia, których używa się do sprawdzania, jak substancje radioaktywne zachowują się w rdzeniu przed wybuchem. Nadażasz?

- Staram się - odparł Harry z uśmiechem. - Mów dalej.

- Ponieważ wiemy, kto to kupuje - ciągnął Winkler - możemy iść do magazynu, gdzie czeka dostawa, w Dubaju albo w Islamabadzie, i wprowadzić, jak by to ująć, drobne poprawki. Nic, co od razu wpłynęłoby na wyniki. Ot, maleńka niestabilność, która z czasem będzie rosła i te bardzo precyzyjne pomiary zrobią się trochę nie takie, jak trzeba. A oparcie się na nich spowoduje kolejne odchylenia. Jak kompas, który nie wskazuje prawdziwej północy, ale ty o tym nie wiesz, więc wyruszasz do Birmingham, a trafiasz do Penzance. Nadażasz?

Londyńska mgła była wilgotna. Na zachodzie formowały się deszczowe chmury. Harry włożył ręce do kieszeni i popatrzył na Winklera.

- A żebyś wiedział - odparł. - Tworzy mi się pewien obraz.
- I co na nim jest?
- Nasz tajemniczy korespondent z Tohid Electric Company daje nam odczyty błędów. Nie chodzi o to, że testy się udają, tylko o to, że się nie udają. Na tym polega gra.
- Otóż to. On nam mówi, że nasz sabotaż działa. Z pewnością nie ma o tym pojęcia, ale takie jest sedno jego wiadomości.
- Czyli odwrotność tego, co myśli Waszyngton.
- Obawiam się, że masz rację.
- I co, do diabła, mam z tym zrobić?
- Powiem ci, co masz zrobić, przyjacielu. Nie piśniesz ani jednego cholernego słowa o tym, co tu dziś usłyszałeś. Pamiętaj, wszedłeś do rodziny. To nasza informacja. Daliśmy ją Harry'emu Pappasowi i nikomu więcej.
- Nie podoba mi się to.
- Dlaczego? Próbuje powstrzymać wasz rząd od popełnienia katastrofalnego błędu. Pilnujemy, żeby nasze „specjalne stosunki” pozostały specjalne. A jedyny sposób, żeby to zrobić, to wziąć cię na bok i szepnąć ci coś na ucho. Musisz sam wymyślić, co dalej. My nie jesteśmy na to wystarczająco sprytni. Nawet twój stary przyjaciel Adrian. Teraz to twoja impreza, Harry. Ale jeśli piśniesz komuś słowo o tym, czego się dziś dowiedziałeś, obiecuję, że zwałę ci to wszystko na głowę. Masz to jak w banku.
Wrócili na Mount Street, gdzie nadal czekał samochód. Harry spóźnił się na Heathrow, ale Adrian i jego koledzy mieli swoje wpływy, więc start samolotu został opóźniony o godzinę z powodu tajemniczych procedur bezpieczeństwa zastosowanych przez ochronę lotniska. Harry próbował się zdrzemnąć w czasie lotu, ale nie mógł zasnąć.

TEHERAN

Drzwi biura Karima Molawiego w budynku, w którym mieściła się Tohid Electric Company, były lekko uchylone. Mo-lavi specjalnie je tak zostawił - ani zamknięte, ani otwarte. Pracował nad tajnymi rzeczami, ale sam nie był tajemniczy. Takie było przesłanie tych uchylonych drzwi. Od kilku tygodni dawali mu mniej pracy, więc zaczął się zastanawiać. Czy przestali mu ufać? Czy umieścili jego nazwisko na liście obserwowanych? Lepiej nie rozmyślać nad takimi pytaniami. To sprawia, że stajesz się słaby.

Młody naukowiec powtarzał sobie werset z Koranu, który władze wskazały jako regułę postępowania. Amr be maro-uf, va naho az monker. Popieraj cnotę i powstrzymuj zło. To właśnie robił. Tyle że ich definicję cnoty i zła zastąpił własną. Musi być sprytniejszy niż oni, każdego dnia, w każdej chwili. To, że potrafił dostrzec pewne rzeczy przed innymi i przetworzyć je szybciej w swoim umyśle, zawsze było jego ochroną.

Molavi był jak zwykle w białej koszuli bez kołnierzyka, ale nie miał złotych spinek ojca. Kilka tygodni temu włożył je do pudełka i ukrył w swoim mieszkaniu. Sam właściwie nie wiedział, dlaczego to zrobił. Chyba obawiał się, że wcześniej wyglądał zbyt elegancko. Ludzie mogli zwrócić na niego uwagę. Marynarkę od czarnego garnituru wieszał teraz na wieszaku na drzwiach. Ściął też włosy, więc nie były takie gęste i lśniące. I zaczął zapuszczać brodę. Golenie zarostu zrobiło się w ostatnio niebezpieczne. Policja odwiedzała zakłady fryzjerskie, ostrzegając, żeby nie przycinano mężczyznom brwi ani włosów w nosach, bo to wbrew woli Allaha. Kiedy Molavi o tym myślał, zdrada wydawała się łatwiejsza. Kto nie chciałby zdradzić szaleńców, wedle których Bóg nakazuje mieć krzaczaste brwi?

Na biurku leżało kilka artykułów, które wydrukował z zachodnich pism. Podkreślił w nich pewne fragmenty. Na żółto informacje, które mogły być przydatne na uniwersytecie, gdzie wykładał raz w tygodniu w ramach przykrywki swojej prawdziwej pracy. Na czerwono informacje przydatne do tajnej pracy w Tohidzie. Podszedł do okna i odsunął czarne zasłony. Na zewnątrz było tak jasno, to był inny świat. Dzieci w wózkach wyprowadzone na poranny

spacer przez babcie i niańki, szum samochodów. Bogaci, którzy mieszkali w Ja-maranie, i biedacy, którzy im służyli - a największą tajemnicą prawie wszystkich było marzenie o tym, co znajduje się między nogami kobiety.

- Karim? - Ktoś zapukał w uchylone drzwi i otworzył je szerzej.

Do pokoju wszedł doktor Bazargan, szef Molawiego. Miał na sobie biały fartuch, jakby był lekarzem albo technikiem laboratoryjnym. Był głupszy od ludzi, którymi kierował. Dlatego otrzymał to stanowisko.

- Niech Bóg ześle ci zdrowie, dyrektorze - powiedział Molavi.

- I tobie również, Bogu niech będą dzięki. - Bazargan zawahał się, nie wiedział, czy stać czy usiąść.

Molavi wskazał mu krzesło, ale dyrektor odmówił. Najwyraźniej nie była to grzecznościowa wizyta.

- Ludzie zadają coraz więcej pytań, Karimie. Pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

Młody naukowiec przymknął oczy, jego rzęsy opadły jak zasłona.

- O co pytają? - spytał, siląc się na spokój. - Zastanawiają się, jak pracuję? Czytają moje artykuły i chcą je przedyskutować?

- Nie, Karimie, nie o to chodzi. Ci ludzie nie są naukowcami.

Molavi zmartwił.

- Kim zatem są?

- Myślę, że są z Etelaat. Jak ci, którzy przyszli wcześniej. Molavi zrozumiał. Etelaat-e Sepah. Wywiad Gwardii Rewolucyjnej.

I zadają pytania?

- Tak, pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Powiedziałem im, że będą musieli zadać je tobie.

- Powitam ich z otwartymi ramionami. Pragnę jedynie służyć rewolucji i pozostać wierny naukom imama.

- Myślę, że wkrótce przyjdą.

- Kiedy?

- Prawdę powiedziawszy, Karimie, już tu są. Kazali mi cię przyprowadzić. Przykro mi.

Jakże typowa dla Bazargana była ta szarada. Nie powiedział, o co chodzi. Prawie się trząśł ze strachu, wyglądał na bardziej przerażonego niż Molavi, jakby coś okropnego miało zniszczyć jego uprzywilejowany świat w dzielnicy Ja-maran. Nie był dobrym kłamcą. Nie potrafił ukrywać strachu.

- Jestem gotowy - rzekł Molavi. Zdjął marynarkę z wieszaka, włożył ją i wyszedł z biura za doktorem Bazarganem.

Tym razem zawiązali mu oczy, bardziej żeby go przestraszyć, niż żeby ukryć, dokąd jada.

Kiedy zdjęli opaskę, zobaczył, że są w tym samym ogrodzonym kompleksie koło autostrady Resalat. Ale nie zaprowadzili go do nowoczesnego skrzydła, które wyglądało jak salon Ikei, tylko do innego budynku. Był starszy i ciemniejszy. Nawet światło w środku wydawało się stłumione. Na ścianach wisiały plakaty z męczennikami rewolucji i ostrzeżeniami przed zdradą monafe-quin, hipokrytów.

???

Mehdi Esfahani czekał na Molawiego, gładząc kocią bródkę. Podał mu rękę na powitanie, lecz w jego oczach kryła się groźba.

- Znowu się spotykamy - powiedział. - Ale tym razem nie będzie dowcipów. Nie będzie śmiechu. Bardzo mnie rozczarowałaś, drogi Karimie.

- Nie uczyniłem niczego złego, bracie inspektorze. Mylisz się, jeśli uważasz inaczej.

- Czy wiesz, dlaczego cię wezwałem? - spytał śledczy.

- Nie - odparł Molavi. Wzdrygnął się lekko na słowo „wezwałem”. Zabrzmiało bardziej jak „aresztowałem”. Chciał zaprotestować, że to oburzające bez powodu odrywać go od pracy, ale ugryzł się w język. Wszelkie protesty sprawią tylko, że będzie się wydawał bardziej winny.

- Oczywiście, że wiesz - powiedział śledczy.

Karim milczał. Już wcześniej słyszał te zachęty do samo-oskarżeń.

- Coś nie działa w twoim laboratorium i chcemy wiedzieć dlaczego - podjął Esfahani. -

Niektórzy twoi koledzy sądzą, że to ty jesteś przyczyną.

- Nie jest to moja wina, bracie inspektorze. Mamy problemy, to prawda. Przyrządy nie zawsze działają. Ale nie potrafię powiedzieć dlaczego, ponieważ nie wiem.

- Nie wierzę ci, doktorze. Mam przeczucie, że kłamiesz, a przeczucia bardzo rzadko mnie zawodzą.

???

Śledczy miał dokumenty z laboratoriów Tohid Electric i z innych miejsc. Pokazał Karimowi wyniki pomiarów wykonanych za pomocą oscyloskopu używanego w Tohidzie, a potem poprosił, by je porównał z pomiarami wykonanymi identycznym oscyloskopem działającym na uniwersytecie w Wielkiej Brytanii.

- Widzi pan różnice, doktorze Molavi? - spytał.

- Tak, oczywiście. Mierzono różne rzeczy, więc wyniki są inne.

- Nie o to mi chodzi, doktorze Molavi. Czy dostrzega pan różnice w sekwencji i dokładności tych pomiarów? To właśnie chcę wiedzieć.

Karim przyjrzał się uważniej dokumentom. Oddychał już swobodniej. Jego najgorsze obawy nie ziściły się. Bał się, że dostanie kopie wiadomości, które wysłał na zagraniczną stronę internetową, i że przed zachodem słońca znajdzie się w sali tortur. Ale to się na szczęście nie stało.

- W pomiarach są pewne nieciągłości - rzekł wreszcie. - Ale nie potrafię powiedzieć, czy wynikają z tego, co mierzono, czy z niedoskonałości przyrządu pomiarowego. Przykro mi.

Esfahani pokazał kolejne dokumenty. Te dotyczyły pomiarów i eksperymentów z Tohidu.

Karim próbował wyjaśnić, że ich praca wymaga rozmaitych symulacji komputerowych, więc trudno odróżnić od nich prawdziwe wyniki.

Śledczy słuchał, a potem zadawał kolejne pytania. Trwało to kilka godzin. Esfahani najwyraźniej chciał znaleźć coś konkretnego. Tylko raz dał Molaviemu do zrozumienia, co to może być. Kiedy przeglądali dane z symulacji działania zapalnika tego strasznego urządzenia, które Tohid pomagał zaprojektować, spytał:

- Czy jest lepiej, niż wynika z tych pomiarów, czy gorzej?

- Co masz na myśli, bracie inspektorze?

- Pomiary wskazują, że nasze urządzenie nie będzie działać. Ale czy powinniśmy ufać tym wynikom? Czy też są one kłamstwem, byśmy zwątpili w sukces?

Esfahani urwał, a gdy Karim ponownie go zapytał, co ma na myśli, nie odpowiedział.

??*

Molavi poprosił o coś do jedzenia, ale Esfahani odmówił. Czy sądził, że Karim będzie bardziej skłonny do współpracy o pustym żołądku, siedząc na niewygodnym krześle w dusznym pomieszczeniu? Przesłuchanie ciągnęło się do późnego popołudnia.

- Czy mogę o coś spytać, bracie inspektorze? - poprosił wreszcie Molavi. Był wykończony. - Czego szukacie?

- Szukamy kłamstw - odparł śledczy.

- Jakich?

- Tych, których nie widzimy. Tkwiących w maszynach, które oszukują nas bez jednego szeptu. Jesteśmy na rozdrożu, doktorze Molavi. Znaki kierują nas w dwie różne strony.

Isfahan znajduje się dwieście osiemdziesiąt kilometrów na południe od Teheranu,

Kermanszah czterysta kilometrów na zachód. Ale nie wiemy, czy znaki mówią prawdę. Czy

kierują nas we właściwe miejsca? Czy dają prawdziwe informacje o odległości? A może kłamią?

- Dlaczego mnie o to pytasz, bracie inspektorze?

- Ponieważ ci nie ufam.

- Czemu?

- Tego nie mogę ci powiedzieć, drogi doktorze. Wystarczy, jeśli będziesz wiedział, że jesteś podejrzany.

Molavi poczuł dreszcz. Pokręcił głową, by dać do zrozumienia, że przesłuchujący się myli, a potem spojrział mu w oczy i powiedział:

- Nie zrobiłem nic złego. Esfahani pokręcił głową.

- Khar kose\ - mruknął. Picz twojej siostry. Ta wulgarna uwaga, zupełnie nie na miejscu u śledczego, zaskoczyła Molawiego. - Będziemy mieć do ciebie więcej pytań innego dnia.

Trudniejszych. I będzie je zadawał surowszy człowiek. Przykro mi, ale musimy wiedzieć, gdzie są kłamstwa. Alham-dollah. Bóg tak chce.

???

Śledczy spytał Molawiego, czy ma przy sobie paszport. Tak, oczywiście, odpowiedział młody człowiek. Zawsze go ze sobą nosił, jak większość Irańczyków. Na wszelki wypadek. Esfahani kazał mu go oddać na przechowanie.

- Tak będzie łatwiej - stwierdził.

Molavi zapytał, kiedy dostanie paszport z powrotem, ale śledczy nie odpowiedział.

???

Gdy Esfahani zakończył przesłuchanie, wyszedł z biura i własnym samochodem pojechał na zachód, w kierunku Karaj. Trzymał się wskazówek, jakie otrzymał, by trafić do willi na jednym z nowych przedmieść niedaleko Bahonar, gdzie znajdował się poligon sił Quds. Niestety raz źle skręcił i dotarł na miejsce spóźniony. Okiennice willi były zamknięte i nikt nie odpowiedział na pukanie. Esfahani już chciał odejść, ale wtedy drzwi się uchyliły i w cieniu za nimi ujrzał fragment znajomej twarzy.

Półmrok panujący w środku rozjaśniały tylko wąskie smugi słonecznego światła prześwitujące przez szpary między deszczułkami okiennic, a drobinki kurzu unoszące się w powietrzu przypominały plankton. W pomieszczeniu panował zaduch.

Al-Majnoun usiadł na zniszczonej kanapie i zaprosił gościa, by zajął miejsce koło niego. Palił coś, co rozbłyskiwało w ciemności przy każdym zaciągnięciu się. To był pojemnik fajki hookah. Podał Esfahaniemu rurkę przyłączoną do pojemnika, ale ten odmówił. Ilekroć Al-Majnoun się zaciągał, rozlegało się bulgotanie przypominające odgłosy wydawane przez nurka. Po jakiejś minucie Szaleniec wreszcie wyjął i odłożył ustnik, po czym spytał:

- Co powiedział? - Głos miał jeszcze wyższy niż zwykle. Niemal piszczał, jakby nawdychał się tlenu azotu, a nie dymu.

- Za dużo i za mało - odparł Esfahani.

- Nie baw się w zagadki, bracie inspektorze. Czy coś wie? Czy rozumie, dlaczego testy się nie udają? - Głos Szalenca stopniowo wracał do normalnych rejestrów.

- Nie sędzę. Jeśli rozumie, jest doskonałym kłamcą. Al-Majnoun zaklął i kopnął fajkę.

Rozległ się trzask pękającego szkła, pojemnik rozpadł się na kawałki.

- Oczywiście, że jest doskonałym kłamcą, głupcze. To Irańczyk. Ale czy coś wie?

Mehdi Esfahani nie znał prawidłowej odpowiedzi. Czy powinien podejrzewać tego młodego człowieka o zdradę, czy go oczyścić? Al-Majnoun nie dał mu żadnych wskazówek na ten temat, więc mógł tylko zgadywać.

- Myślę, że ma coś na sumieniu - odparł. - Widzę to w jego oczach. Są zbyt dumne. Znają tajemnicę. Gdyby nic nie zrobił, bardziej by się bał. Tylko tyle mogę stwierdzić. Jutro otrzymasz nagranie przesłuchania i sam zobaczysz. Wie, że testy się nie udają. Myślę, że nie jest z tego powodu nieszczęśliwy, ale nie sędzę, by wiedział, dlaczego tak się dzieje.

Al-Majnoun kiwał głową, jakby podliczał kolumny na mentalnej tablicy.

- I co dalej, bracie inspektorze? - spytał wreszcie.

- Możemy spróbować ostrzejszych metod. Czekam tylko na twój rozkaz. Jestem pewien, że w ten sposób wydobędziemy z niego więcej informacji, ale nie mogę zaręczyć, że będą prawdziwe.

- Nie - powiedział Al-Majnoun. - Może przyjdzie na to czas, ale jeszcze nie teraz.

Obserwujcie go, chodźcie za nim, słuchajcie, co mówi przez telefon i przez sen. Oglądajcie jego sny. Grajcie mu w głowie muzykę.

- Tak jest, generale.

Esfahani nie miał pojęcia, o czym mówi Szaleniec. Czekał cierpliwie na dalsze instrukcje, ale po kilku minutach stało się jasne, że Libańczyk albo zasnął, albo postanowił się nie odzywać. Mehdi wstał, skłonił się w milczeniu i wyszedł z mrocznej willi w światło dnia.

???

Kierowca z Etelaat-e Sepah zawiózł Molawiego z powrotem do białego budynku w Jamaranie. Doktor Bazargan i większość kolegów nadal była w pracy, ale wyraźnie go unikali. Wiedzieli, że jest teraz w cieniu. Karim był szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwy człowiek, który spędził cały dzień na przesłuchaniu przez tajną policję. Bez względu na to, czego szukali, nie było to to, co próbował ukryć. Poszedł

do biura swojego przyjaciela Abbasa, który też zrobił doktorat z fizyki.

- Shab bekkheyr - powiedział. Spróbował się uśmiechnąć, życząc przyjacielowi dobrego wieczoru, i zapytał, czy ma ochotę zjeść z nim kolację. Mogą iść na sushi do restauracji Seryna na placu Vanak. Wiedział, że Abbas lubi sushi, a restauracja była modna.

Ale Abbas odmówił. Bardzo mu przykro, ale ma jeszcze tyle pracy, tłumaczył, patrząc na Karima, jakby ten roznosił zarazę.

Molavi wrócił do siebie i do artykułów, które czytał, gdy przyszedł do niego Bazargan. Musi się trzymać swoich zwyczajów. To będzie jego ochrona. Gdyby naprawdę coś na niego mieli, już trafiliby do więzienia Evin albo w jeszcze gorsze miejsce.

Zamknął oczy i spróbował myśleć. Z korytarza dobiegały kroki ludzi, którzy wychodzili do domu. Jedna z sekretarek wykrzyknęła śpiewnie Khoda hafez!, życząc koleżance dobrej nocy. Ich gra była oczywista. Będą go obserwować, z dnia na dzień ograniczając mu dostęp do informacji, i czekać, aż się z kimś skontaktuje albo zrobi jakiś niemądry krok. Co na niego mają? Ile wiedzą? To była ta ukryta część. Nigdy ci tego nie mówią. Może wszyscy pracownicy Tohid Electric i kilkudziesięciu innych firm składających się na tę tajną sieć są poddawani takim próbom. Może na tym polega gra: każdemu poświecić w oczy i zobaczyć, kto zrobi unik.

???

Molavi pojechał taksówką do dzielnicy Vali Asr. Chciał być wśród ludzi. Poszedł do kina Farhang, a potem usiadł w małej kawiarni na rogu alei Shariati i zamówił faludeh z dodatkową wodą różaną i syropem. Zastanawiał się, czy za nim chodzą. Nawiązał rozmowę z młodym człowiekiem w drogiej skórzanej kurtce, który miał Game Boya Nintendo. Jak się okazało, gry wideo były jedynym przedmiotem zainteresowania tego uprzywilejowanego młodzieńca. W domu miał Xboxa i Play Station. Opowiadał o pirackich kopiach gier, jakie zdobył, jakby to były trofea z lepszego świata. Karim próbował okazać zainteresowanie, bo po prostu chciał mieć towarzystwo, ale długo nie wytrzymał. W końcu przeprosił, powiedział, że robi się senny, zapłacił i wyszedł.

Wrócił do swojego mieszkania w Yoosef Abad i próbował zasnąć, ale ilekroć zamykał oczy, widział tylko światło. Wreszcie sięgnął po pożółkły tom należący do ojca w nadziei, że strofy Ferdowsiego utulą go do snu. Początkowe fragmenty jego poematu epickiego opowiadały o Kayumar-sie, pierwszym królu Persji.

Nie znajdziesz innego, który znał Wielkiego Kayumara i jego wielki tron. Świat należał do niego, gdy żył.

Pokazał ludziom, jak się bogacić i prowadzić dobre życie. Ale ten świat jest jak opowieść - Ludzkie zło i chwała znika.

Karim czytał kolejne linijki, pragnąc, by porwało go piękno klasycznego eposu, ale serce wciąż biło mu niespokojnie. Był w niebezpieczeństwie. Niezależnie od tego, czy coś powie, czy będzie milczał, złapią go i wykryją jego zbrodnie. Czy istnieje droga, która nie jest złudzeniem? Jak będzie znosił tortury? Jak to będzie umrzeć? Kiedy nadszedł świt, półprzemyślny po bezsennej nocy pomyślał: skontaktuję się bez kontaktowania się. Wyślę wiadomość, która nie będzie wiadomością. Będzie miała własną przykrywkę. Miał nadzieję, że to zadziała. Ale czy nie było to tylko marzenie o ucieczce?

WASZYNGTON

Harry Pappas uważał, że coś takiego jak nielojalność nie istnieje. Nie potrafił doszukać się jej w innych i o ile pamiętał, jak dotąd nigdy sam się jej nie dopuścił. Jednak ze swojej ostatniej wyprawy do Londynu wrócił z poczuciem, że wprowadził nie złamał danego słowa, ale zamienił jedną lojalność na inną. Nigdy wcześniej nie doświadczył ambiwalencji w sprawach, które się liczyły - ani wobec żony, ani wobec Agencji, a już na pewno nie wobec ojczyzny - niemniej teraz miał takie właśnie uczucie. Czuł w głębi duszy, że postąpił niewłaściwie, ale znacznie silniejszy głos rozsądku podpowiadał mu, że jego działania były słuszne i konieczne. Chciał o tym powiedzieć Andrei, ale była bardzo zmęczona, a zresztą i tak nie wiedziałby, od czego zacząć. Więc po prostu nalał sobie dużą porcję whiskey.

Nazajutrz po powrocie spotkał się z Marcia Hill i swoim zespołem. Zapewniono go, że rutynowe działania operacyjne są kontynuowane, oraz przedstawiono dodając otuchy listę zadań wykonanych i planowanych. Oficer prowadzący z Erewania zrobił podejście do irańskiego biznesmena, który mieszkał w Nachiczewanie. Irańczyk nie powiedział nie, a oficer był zdania, że powie tak, jeśli otrzyma dodatkową zachętę w postaci pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Irański naukowiec uczestniczący w spotkaniu MAEA w Wiedniu zostawił w pokoju hotelowym swojego laptopa, kiedy poszedł na kolację. Skopiowano twarde dyski i teraz analizowano

dane. Omówili resztę zadań: zatwierdzone operacje, zweryfikowani agenci, raporty przeznaczone do rozpowszechnienia. Wszystko brzmiało poważnie, ale kto wie, ile z tego miało jakikolwiek sens?

Po spotkaniu Marcia została w gabinecie Harry'ego. Znała go znacznie dłużej i znacznie lepiej niż inni. Zapewniła mu przykrywkę, kiedy wyjechał, chociaż nawet jej nie powiedział dokąd. Równie dobrze mógł się rozbijać po kasynach Las Vegas albo pukać dziwkę w Boca Raton.

- Jak się masz? - spytała. Gdyby zapytał go o to mężczyzna, odwarknąłby, że świetnie, i na tym by się skończyło.

- Dobrze - zapewnił. - A co, wyglądam na zmęczonego?

- Zawsze tak wyglądasz. Martwi mnie, że wydajesz się rozkojarzony. Chcesz o tym porozmawiać?

Marcia Hill była bystra. Miała intuicję. Dzięki temu potrafiła wyczuć w człowieku słabość.

- Nie - odparł Harry. - Nie teraz. Może później. Dużo się dzieje.

- Te kutasy w śródmieściu są gotowe zbombardować Teheran. - Używanie brzydkich słów sprawiało jej wyraźną przyjemność.

Pappas pokręcił głową.

- Niczego nie rozumiem. Nie mają pojęcia, o co chodzi. W jej zamglonych oczach błysnęło ożywienie, którego

wiek i trudne życie nie zdołały zniszczyć.

- A ty rozumiesz? - spytała.

- Zaczynam. Powiem ci, kiedy będę mógł.
???

Harry od trzech dni bezskutecznie próbował porozmawiać z dyrektorem, kiedy przysłała nowa wiadomość z Iranu. Nie została zapamiętana w folderze „Szkice” na koncie na Gmailu, ale wysłana bezpośrednio na oficjalną stronę CIA z serwera w Tebrizie. Początkowo Centrum Operacji Informatycznych nie zorientowało się, że to doktor Ali, lecz Harry był tego pewien, gdy tylko ją zobaczył. Doktor Ali wrócił do pierwotnego sposobu komunikacji. Tylko temu kanałowi naprawdę ufał - jednorazowa akcja z komputera, o którym wiedział, że jest bezpieczny. Wiadomość była krótka i niepokojąca.

Tej jesieni w Teheranie jest zimno. Myślę, że musimy wyjechać na wakacje. Jeśli będziecie mogli mi pomóc załatwić bilety, zostawcie wiadomość w skrzynce. Problem, którym się martwicie, znajdzie dobre rozwiązanie.

Irańczyk załączył do wiadomości zdjęcie w jotpegu. Przedstawiało młodą kobietę w chuście z kilkuletnią dziewczynką na rękach. Kobieta była uderzająco piękna - ciemne brwi nad wielkimi oczami i delikatna twarz wyrzeźbiona w idealnej równowadze światła i cienia - ale w jej oczach czaiła się nieufność, jakby błagała fotografa, by sobie poszedł. W tle widać było zadrzewione zbocza, które zdaniem analityków wskazywały na park Mellat w północnym Teheranie.

Harry przypuszczał, że zdjęcie przedstawia żonę i córkę doktora Molawiego. Pewnie w któryś piątek po południu poszedł z rodziną do parku i tam zrobił fotografię. Nie chciał, by rodzina wiedziała, że coś jest nie tak, ale postanowił pokazać swoim opiekunom, co ma do stracenia: piękną żonę i małą córeczkę. Zabrał je do parku w sercu Teheranu - mieście, w którym każda ulica ma ciemny róg i w którym wszyscy ciągle się boją - zrobił zdjęcie aparatem cyfrowym, a potem

je wysłał, żeby podkreślić wagę słów: „Tej jesieni w Teheranie jest zimno. Myślę, że musimy wyjechać na wakacje”

Coś się stało i teraz Irańczyk się boi, Pappas był tego pewien. Niemal czuł pot na dłoni Mokwiego, jakby witał się z nim w mieszkaniu operacyjnym.

Irańczyk zauważył, że ktoś go śledzi, albo znalazł program szpiegujący na swoim komputerze. Przez dwadzieścia pięć lat Harry prowadził tyłu agentów, że potrafił wyczuć strach nawet w e-mailu. Pewnie kroczyli drogą zdrady, myśląc, że są bezpieczni, a potem nagle słyszeli czyjeś kroki, widzieli groźne cienie i uświadamiali sobie, że tak naprawdę nie wiedzieli, co robią. W takim stanie znalazł się teraz doktor Ali: ręce mu się trzęsły, uginały się pod nim kolana. Chciał się wydostać z kraju.

Pappas widział to wszystko z przeraźliwą jasnością, nadal jednak nie wiedział, kim tak naprawdę jest Karim Molavi. Znał tylko jego nazwisko i adres i postanowił, że chwilowo zachowa tę wiedzę dla siebie. Wiedział bardzo mało, a równocześnie o wiele za dużo.

???

Gdy tego samego dnia po południu Harry zwołał zebranie zespołu operacyjnego, Fox przysłał na nie swojego zastępcę. Sam był już po innej stronie.

- Nasz człowiek się boi - zaczął Pappas. - Prawdopodobnie chce, żebyśmy go wyciągnęli. Wszyscy jęknęli i zaczęli kręcić głowami. Wiedzieli, jak cenny jest ten Irańczyk - tylko Fox nie zdawał sobie z tego sprawy - i jak ważne jest, by pozostał na miejscu. Tymczasem on przysłał kolejną wiadomość, prosząc o ewakuację. A przecież zegar tyka i sam prezydent mówił w Centrum Operacyjnym o „naszym człowieku w Teheranie”.

- Co zrobimy? - spytał zastępca Foxa. Bał się, że Pappas wykona jakiś ruch, który wykołei polityczny pociąg.

- Nic - odparł Harry. - Powiemy mu, że dostaliśmy jego wiadomość i że wkrótce się z nim skontaktujemy.

Zebrani poczuli ulgę. W nowoczesnym CIA nierobienie niczego zwykle okazywało się najlepszym sposobem postępowania. Jeśli coś zrobisz, na pewno ktoś się wścieknie, a potem zaczną zadawać pytania i domagać się odpowiedzi.

Tyle że Harry emu niezupełnie o to chodziło. Nie zamierzał nic robić za pośrednictwem kanałów CIA, bo wkroczył w inną przestrzeń. Adrian wciągnął go do innego przedziału. ???

Pappas skoncentrował się na zdjęciu. To musi być klucz, tylko co oznacza? Wysłał kopię analityczce, która kilka miesięcy temu rozpoznała fragment eposu Ferdowsiego. Czy zdoła zidentyfikować kobietę z dziewczynką? Czy dowie się, gdzie i kiedy zrobiono tę fotografię? Analityczka była pełna podejrzeń. Uważała, że zdjęcie jest zbyt idealne, a poza tym miała wrażenie, że już je gdzieś widziała. Zaczęła szukać i następnego dnia znalazła - to był kadr z irańskiego filmu wydrukowany w gazecie „Kayhan” kilka miesięcy temu. Dalsze poszukiwania ujawniły, że kobieta jest żoną reżysera, więc nie może być żoną doktora Alego. Dlaczego zatem doktor Ali przysłał im tę fotografię?

Pappas poprosił o więcej informacji. Co jest w tle? Może jakiś napis po persku? Kim jest ten reżyser? Jakie filmy nakręcił? Analityczka przysłała mu listę filmów. Najbardziej znany nosił tytuł Papierowe samoloty i mówił o złudzeniach. Czy to część wiadomości doktora Alego? Czy wyjaśnia słowa: „Problem, którym się martwicie, znajdzie dobre rozwiązanie”?

Może w ten sposób Molavi prosił o umożliwienie mu ucieczki samolotem?

Harry rozważał te kwestie i nagle przyszło mu do głowy, że istnieje znacznie prostsze wyjaśnienie. Doktor Ali wysłał fałszywe zdjęcie, bo prawdziwe by go zdekonspirowało. Dołączona do wiadomości fotografia znanej aktorki stanowiła podwójną ochronę. Gdyby irańskie służby przechwyciły e-maila, zaczęłyby rozpytywać o reżysera i jego żonę, a ustalwszy, że reżyser jest niewinny, uznałyby, że nadawca wiadomości też musi mieć żonę i dziecko - że to część jego wiadomości. Krótko mówiąc, to była zasłona na masce kryjącej kłamstwo.

???

- Uważam, że powinien zostać na miejscu - oznajmił Fox. - Za kilka miesięcy wszystko się rozwiąże. Jeśli zostanie, może nam się przydać, a jeżeli go zabierzemy, będzie bezużyteczny.

- Popatrzył na Harry ego z taką miną, jakby chciał powiedzieć, że to on tu rządzi.

Siedzieli w gabinecie dyrektora, na kanapie przy oknie. Admirał bawił się kośćmi z macicy perłowej, które dostał podczas ostatniej podróży do Omanu od szefa tamtejszego wywiadu.

Potrząsnął nimi w dłoni i spytał:

- Co ty na to, Harry?

Rzucił kości na blat stołu. Pokazały się dwie szóstki.

- To nasz agent - odparł Pappas. - Boi się i prosi o pomoc. Ufa nam. Jeśli go olejemy i go złapią, mogą minąć lata, zanim ktoś znów się odważy. A poza tym powinniśmy z nim porozmawiać. Nie będziemy pewni znaczenia jego wiadomości, dopóki go nie przesłuchamy.

- A czy mamy radę go wydostać, jeśli postanowimy to zrobić?

- Nie wiem - odparł Harry szczerze. - Mamy plan infiltracji Teheranu, tak jak wszystkich innych miast, ale to bardzo skomplikowana operacja, bo nie mamy tam placówki. - Miał ochotę powiedzieć dyrektorowi i Foxowi o możliwościach Brytyjczyków. Increment. Nie, to nie była jego tajemnica, więc nie mógł się nią dzielić. - Możemy dostarczyć tam ludzi z pomocą innych służb. Mogliby pomóc go wydostać albo chociaż sprowadzić w miejsce, gdzie moglibyśmy go przesłuchać. Trzeba trochę czasu, żeby to zorganizować, ale jest spora szansa powodzenia. Najgorsze, co możemy zrobić, to ujawnić informacje, które nam przekazał. To by go zabiło.

- Nie bądź sentymentalny - prychnął Fox. - Uważam, że powinniśmy zostawić go na miejscu. Biały Dom też tak uważa. Zapytałem ich o to, kiedy tylko pojawiła się ostatnia wiadomość.

Odpowiedzieli, cytując: „Nie możemy poświęcić bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych dla jednej osoby”. To słowa Applemana.

Harry spojrział na dyrektora, który wciąż bawił się kośćmi. Nie chciał popełniać zawodowego samobójstwa, ale wiedział, że jeśli teraz nic nie powie, potem będzie za późno.

- Tej sprawy nie prowadzi Stewart Appleman, tylko ja - odparł. - A dopóki ją prowadzę, będę chronił mojego agenta najlepiej, jak potrafię. Nie mielibyśmy błędnego pojęcia o irańskim programie nuklearnym, gdyby nie on. Nie wiedzielibyśmy, że testują generator neutronów, gdyby ten człowiek nie zaryzykował życia, by nas o tym poinformować. Nie wiedzielibyśmy, czy dopiero go uruchomili, czy też prowadzą testy od pół roku, od roku czy od pięciu lat. I nie będziemy wiedzieli nic więcej, jeśli on nie przekaze nam kolejnych informacji.

Zwrócił się do dyrektora.

- Takie jest moje zdanie. Jeśli pan się z nim nie zgadza, proszę poszukać innego szefa Wydziału Operacji Irańskich.

- Grozisz mi? - warknął Fox. - To niedopuszczalne! Dyrektor nie lubił konfliktów. Chciał, żeby wszyscy byli

zadowoleni. Robił się nerwowy w obecności Foxa i jego politycznych patronów, ale obawiał się również Harry ego, którego stały personel tajnych służb darzył ogromnym szacunkiem.

- Weźmy wszyscy głęboki oddech i policzmy do dziesięciu - poprosił jak terapeuta na sesji. - Takie spory nie są nam potrzebne. Nie zapominajmy, kto jest naszym prawdziwym wrogiem. Żałował, że nie jest już zwykłym admirałem, który mógłby po prostu wydać rozkaz i mieć pewność, że podwładni go wykonają. Popatrzył na Pappasa.

- Harry, Bóg mi świadkiem, nie chcę, żebyś odchodził. Ale Arthur trafnie opisał nastrój panujący w Białym Domu. Są gotowi do akcji. Więc zrobimy tak. Dostaniesz trochę czasu, aby się zorientować, co możesz zrobić dla swojego człowieka w Teheranie. Ale nie aż tyle, żeby prezydent pomyślał, że gramy na zwłokę. Bo nie gramy.

Pappas wiedział, że więcej nie uzyska.

- W porządku - powiedział.

- Zastanów się, Harry - warknął Fox. - Może zamiast wyciągać swojego chłopaka z łaźni, pomyśl, jak go przycisnąć? Skoro to takie cudowne źródło, dlaczego nie potrafisz go znaleźć? I dlaczego nie wyciągasz z niego więcej informacji, które by nam pomogły zrozumieć, co się dzieje? Jak do tej pory, tylko marnujesz nasz czas.

- Pieprz się - mruknął Pappas.

Miał ochotę powiedzieć więcej, ale musiał być ostrożny. Musi zmylić tropy i stworzyć przestrzeń, w której będzie mógł działać. Ci ludzie go nie słuchali. Już kiedyś szedł tą drogą i wiedział, dokąd prowadzi.

???

Późnym popołudniem Harry otworzył konto „iranmetal-work” na Gmailu i napisał wiadomość:

Pracujemy nad planami wakacji. Załatwimy bilety. Uważaj na chłód. Unikaj zarazków i często myj ręce.

WASZYNGTON

Tej nocy Harry nie mógł zasnąć. Tak się wiercił w małżeńskim łóżku, że wreszcie obudził Andree, która otworzyła zaspane oczy i spytała, co mu jest.

- Plecy mnie bolą - skłamał i powiedział, żeby spała dalej.

Leżał przez następną godzinę, a potem przeniósł się do dawnej sypialni Alexa. Panował tam zaduch typowy dla nie-zamieszkanego pokoju, do którego nikt nikt nie wchodzi. Po pogrzebie Andrea zamierzała go uprzątnąć, pochować rzeczy syna do pudeł i znieść do piwnicy. To był jej sposób na pożegnanie się, ale Harry się nie zgodził. Chciał zostawić ten pokój w niezmiennym stanie.

Pełno tu było rupieci, które Alex kolekcjonował od dzieciństwa. Plakat Redskinów z sezonu, kiedy wygrali Super Bowl, i gumowy ryjek świni, symbolizujący obronę drużyny znaną jako „Wieprze”. Trofea sportowe, które wygrywał w szkole. Model żagłówki, który zbudowali razem z drewna balsa. Proporczyk z Princeton, gdzie Alex rozpoczął naukę we wrześniu 2001 roku, a potem rzucił studia i zaciągnął się do wojska. Jego zdjęcie w mundurze marines, zrobione w dniu, kiedy ukończył szkolenie.

Fotografia wyblakła, błękity były bardziej miękkie, czerwienie nie tak wyraźne, mosiądz mniej błyszczał. Alex wydawał się na niej dziki i zdeterminowany - jak maszyna bojowa, a nie wrażliwy młody człowiek - ale Harry wiedział,

o co pytają jego oczy: Czy jesteś ze mnie dumny, tato? Czy to wystarczy?

Położył się na łóżku i przymknął powieki. Postanowił leżeć tu aż do świtu, żeby nie przeszkadzać Andrei. Na nocnym stoliku stało zdjęcie zrobione po meczu, w którym Alex grał na pozycji rozgrywającego w szkolnej drużynie i doprowadził ją do zwycięstwa.

Przedstawiało ich obu - Alexa z szerokim uśmiechem triumfu i Harryego, który obejmował syna. Alex, równie wysoki jak ojciec, był od niego nieco szczuplejszy i miał trochę jaśniejszą karnację. Czy Bóg stworzył kiedykolwiek przystojniejszego chłopaka? Harry wpatrywał się w rozpromienioną twarz syna, wspominając tamten mecz. W oczach zakręciły mu się łzy.

???

Alex stacjonował w Ramadi, stolicy prowincji Anbar. Powstanie trwało w najlepsze i Amerykanie nie mogli poruszać się bezpiecznie poza bazami, ale Waszyngton lekceważył zagrożenie, podobnie jak marines. Kilka miesięcy wcześniej Harry został szefem misji w Bagdadzie. Przyjaciel z Pentagonu powiedział mu, że mogą wysłać Alexa gdzieś indziej, gdzie nie będzie się musiał o niego martwić, ale Pappas nie chciał o tym słyszeć. Alex byłby wściekły, gdyby zabrano go z oddziału. Był kapralem przeszkolonym do zwiadu, czyli wykonywania najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych zadań, jakie powierzano marines. Armia chciała, żeby złożył papiery do szkoły oficerskiej, ale odmówił.

Latem 2004 roku w dolinie Eufratu było gorąco jak w piekle. Harry szukał rozmaitych pretekstów, żeby odwiedzać Ramadi. Składał wizyty w bazie CIA, spędzał tam kilka godzin, a potem jechał do obozu marines, gdzie stacjonował Alex. Czasami dzwonił i uprzedzał, a czasami nie. Alex zawsze się

cieszył na widok ojca - nigdy nie był skrepowany jego obecnością. Nie musiał teraz niczego udowadniać. Harry wchodził ubrany w lekki kombinezon khaki, z bronią w kaburze przyczepionej do uda. Jego ochrona zniknęła na chwilę, a wtedy obejmował syna, na ogół pokrytego potem i piachem po patrolu.

- Ja wam idzie? - pytał, a Alex zawsze odpowiadał jak wszyscy marines:

- Świetnie, kurwa. Kopiemy ich w dupy. Spacerowali chwilę, a potem siadali w cieniu i pili colę, aż

Alex musiał iść albo Harry musiał wracać do Zielonej Strefy. Nie pytał syna o to, co robił, bo każdego ranka dostawał szczegółowe raporty. Czytał je, szukając nazwy oddziału Alex-a. Tak samo czytał listy poległych, gdy tylko się pojawiały. Wiedział aż za dobrze, co robi jego syn. Na tym polegał problem.

Kilka razy podczas wizyty Harry ego baza marines została ostrzelana z moździerzy. Chowali się wtedy za wielkimi osłonami z betonu, które rozmieszczono co pięćdziesiąt metrów. To było w pewien sposób zabawne kulić się tam razem z Alexem, kiedy dokoła spadały pociski. Później, chociaż parę razy próbował, nie potrafił wyjaśnić Andrei, co było w tym zabawnego. Gdy musiał wracać, syn przytulał go i wygłaszał standardowy tekst:

- Załatwimy tych dupków, tato. Powiedz to tym w Pałacu Republikańskim.

Harry kiwał głową i mówił „Jasne, dorwiecie ich!” albo „Dobra nasza”, albo coś podobnego. Kiedy myślał o ostatnich miesiącach życia syna, to przygnębiało go najbardziej - że nigdy nie powiedział mu prawdy.

?*?

W Anbarze sprawy wcale nie szły świetnie. Harry o tym wiedział, ale o tym nie mówił. Prośby CIA o pozwolenie na współpracę z przywódcami klanów sunnickich zostały odrzucone przez cywilów z Pentagonu i członków koalicyjnego rządu tymczasowego, którzy uważali, że wiedzą lepiej. Od połowy 2004 roku Harry wysyłał do Stanów coraz wyraźniejsze ostrzeżenia: powstanie zyskuje nowych bojowników szybciej, niż my ich zabijamy. Kontrolę nad miastami przejmują gangi, które układają się z Al-Kaidą i powstańcami. Irańczycy pompują przez granicę miliony dolarów, żeby finansować milicję szyicką. To jest prawdziwa siła w Iraku, a nie marionetki z Zielonej Strefy. Powtarzał to we wszystkich raportach, aż wreszcie, po jednym wyjątkowo ponurym, prezydent podobno spytał, czy szef misji nie jest przypadkiem defetystą. Albo, co gorsza, demokratą. Harry mówił Białemu Domowi, że misja w Iraku zmienia się w katastrofę. Ale nie powiedział tego Alexowi.

Wiosną 2002 roku namawiał syna, żeby nie rzucał Princeton, ale niezbyt przekonująco. Od 11 września minęło dopiero kilka miesięcy i w głębi serca zgadzał się z Alexem, że zdolni do służby młodzi ludzie, którzy nie pomagają teraz swojemu krajowi, nie zasługują na miano Amerykanów. To były sentymentalne bzdety, ale wtedy wszyscy w nie wierzyli. Harry też, był więc dumny z syna. Często się zastanawiał, jak musieli się czuć mężczyźni, którzy w 1944 i 1945 roku zostali w collegeach i nie walczyli na wojnie. Czy kiedykolwiek pokonali wstyd?

Ale pod koniec 2002 roku, kiedy Alex zaczął szkolenie specjalne, stało się oczywiste, że Stany zamierzają zaatakować Irak i Harry już nie był pewien, czy nie popełnił błędu, pozwalając synowi płynąć z nurtem. Znał Bliski Wschód. Był w Bejrucie, gdy porwano i zabito w okrutny sposób szefa tamtejszej placówki, wiedział więc, że świat arabski jest w gruncie rzeczy chaotyczną masą. Pomyśli, żeby z Iraku zrobić demokrację na wzór amerykańskiej, uważał za absurdalny. Ale nic nie mówił w Agencji. Poza kilkoma analitykami z Dyrektoriatu Wywiadu wszyscy wtedy milczeli. Jaki sens miałyby sprzeciw, skoro decyzja o inwazji już została podjęta?

Harry wiedział też, że Biały Dom kłamał, sugerując, iż Saddam Husajn był w powiązany z 11 września. Nigdy nie powiedzieli tego wprost, ale stało się to dla niego oczywiste, kiedy pierwszy raz odwiedził Zieloną Strefę. Ścianę głównej jadalni Pałacu Republikańskiego, gdzie żołnierze jadalni kolację po całym dniu tarzania się w gównie, zdobił wielki fresk ukazujący wieże WTC otoczone godłami oddziałów wojskowych oraz nowojorskiej policji i nowojorskiej straży pożarnej. Szkoda, że nie dołożyli neonów. Tak, chłopcy, musimy dorwać tych skurwysynów, którzy rozwalili World Trade Center.

To samo było na siłowni koło przetransplantowanej do Iraku Pizzy Hut. Na ścianie recepcji wisiał plakat z Muham-madem Alim stojącym nad powalonym Sonnym Listonem i trzymającym pięść, jakby to był odbezpieczony pistolet. Wisiała tam też okładka magazynu „Time” z 2003 roku przedstawiająca Człowieka Roku - „Amerykańskiego Żołnierza”. Amen. A największy obrazek, który mówił chłopakom, po co tu są, to był widok na World Trade Center, niosący oczywiście przesłanie: Te irackie sukinsyny to zrobiły. Czas im odpłacić. Pappas wiedział, że to kłamstwo. Czytał raporty wywiadu o stosunkach Saddama z Al-Kaidą. Dzięki Adrianowi czytał nawet raporty od agenta, którego Brytyjczycy umieścili w irackim moukhabaracie w 2000 roku, kiedy Osama bin Laden zaproponował Irakijczykom współpracę, a sam Saddam powiedział „nie”.

To było kłamstwo, cała sieć kłamstw. Ale Harry nie powiedział tego Alexowi, który był w Ramadi i odczuwał wszystkie konsekwencje na własnej skórze. Z upływem tygodni ta świadomość zaczęła go niszczyć. Nigdy nie powiedział synowi ani słowa, no bo jak mógłby to zrobić? Dopóki jego chłopak jest tutaj, musi podtrzymywać w nim wiarę w słuszność misji. Wyładowywał gniew i frustrację w raportach, które słał do Stanów, tak bezpośrednich i jednoznacznych, że jego koledzy z Langley zastanawiali się, czy zamierza popełnić

zawodowe samobójstwo. Był wściekły na polityków, na Biały Dom, ale tak naprawdę był wściekły na siebie za to, że nie zrobił nic, by powstrzymać własnego syna od dźwigania ciężaru tej zbrodniczej pomyłki, którą - milcząc - tolerował.

•kirk

W dniu śmierci Alexa dowódca marines chciał przylecieć helikopterem do Zielonej Strefy i osobiście przekazać Harry'emu tragiczną wieść. Nie zdążył. Harry przeczytał wiadomość, która wędrowała po sieci bezpiecznej łączności: kapral Alexander Pappas został zabity przez minę-pułapkę podczas akcji w okolicach Ramadi. Przeczytał ją raz, potem drugi i wydał okrzyk bólu, który odbił się echem w ogromnym budynku mieszczącym placówkę CIA. Osunął się na podłogę, ściskając głowę rękami. Ludzie próbowali go pocieszać, ale on chciał być teraz z przyjacielem, który znajdował się poza amerykańskim kręgiem oszustw i śmierci. Gdy dotarł do biura Adriana Winklera, szefa placówki brytyjskiego SIS, zamknął drzwi i zaczął rozpaczliwie szlochać.

- To moja wina - powtarzał raz za razem.

???

Harry zasnął tuż przed świtem. Obudził go głos Andrei. Gdy nie znalazła męża ani w łazience, ani w kuchni na dole, ani nawet w siłowni w suterynie, zaczęła wołać go po imieniu. Nie przyszło jej do głowy, że jest w pokoju Alexa.

- Co ty tam robisz? - spytała, kiedy otworzył drzwi, przecierając oczy.

- Nie mogłem zasnąć - odparł. - Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Wszystko. Oni znowu to robią.

- Jacy oni? I co robią? Odwrócił wzrok.

- Nie mogę o tym rozmawiać.

Wzięła go za rękę, ale po chwili cofnęła dłoń i zaczęła tłumaczyć tonem zatroskanej żony:

- To cię niszczy, cokolwiek to jest. Musisz coś zrobić, Harry.

- Wiem - powiedział. - I zrobię.

???

Harry musiał porozmawiać z kimś, komu ufał. W myślach zrobił listę. Najbliższy przyjaciel z dawnych czasów, emerytowany szef Wydziału Bliskiego Wschodu, był jego mentorem, kiedy wstąpił do Agencji, i nienawidził ludzi takich jak Arthur Fox chyba jeszcze bardziej niż on. Kiedy Pappas wrócił z Iraku, radził mu, żeby rzucił Agencję. Teraz mieszkał w Williamsburgu, a gdy przyjeżdżał do Waszyngtonu, chętnie plotkował o nowych ludziach i narzekał, że wszystko pieprzą. Harry go lubił, ale wątpił, czy potrafi utrzymać język za zębami.

Lepszy wydawał się były zastępca dyrektora do spraw operacyjnych Jack Hoffman. Całe życie spędził w Agencji,

dla której pracowało większość jego kuzynów i wujów. Przetrwiał ich wszystkich, ale nikt nie zdołał wiecznie trzymać się na powierzchni w kupie gówna. Jack został wypchnięty za burtę jako jeden z kozłów ofiarnych Iraku. Chronił Harry'ego przez te miesiące, kiedy Biały Dom źle się o nim wyrażał, załatwił mu nawet medal, gdy sam szykował się już na emeryturę. Ale Pappas nie chciał medalu. Gdyby został odznaczony za Irak, miałby jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu Alexa.

Harry zawsze nazywał Jacka „panem Hoffmanem”. Nigdy nie był z nim po imieniu. Hoffman miał w sobie coś z mafijnego dona. Mówił twardo i był twardy, ale potrafił dochować tajemnicy. Gdy kazali mu iść na dno razem z okrętem, poszedł. Taki był układ.

Kiedy Pappas zadzwonił do niego tego ranka, Hoffman pracował w ogrodzie, ale powiedział, że chętnie się z nim spotka. Zaproponował kawiarnię w Tysons Corner, koło ciągu butików z damską odzieżą. Mogli tam rozmawiać w miarę swobodnie i być pewni, że nikt ich nie podsłucha.

???

Gdy Harry przyszedł do kawiarni, Jack Hoffman już na niego czekał. Zjawił się wcześniej, żeby ocenić miejsce. Jak zawsze profesjonalista. Siedział przy stoliku w rogu z widokiem na drzwi i sklep Louisa Vuittona naprzeciwko. W rękę trzymał niezapalone cygaro. Harry usiadł obok niego. Krzesła były małe, zaprojektowane dla kobiet, które robiły tu zakupy, więc jego potężne ciało wylewało się poza siedzenie.

Hoffman skinął na kelnera i zamówił dwie kawy i pączka. Kelner powiedział, że nie mają pączków, ale mają viennoise-ries. Hoffman odparł, że w takim razie zamawia to coś.

- Tu nie wolno palić - rzekł kelner, wskazując cygaro.

- Nie palę, tylko wspominałem - burknął Hoffman. - A teraz sio. - Wykonał szybki gest dłonią, jakby odganiał się od natrętnego owada.

Kelner chciał zaprotestować, ale coś w zachowaniu Hoffmana onieśmieliło go. Dwie kobiety siedzące kawalek dalej popatrzyły na cygaro, poszeptały do siebie i przeniosły się do innego stolika, po drugiej stronie sali.

Hoffman zwrócił się do Harry'ego.

- Co się dzieje? Nie wyglądasz dobrze.

- Martwię się o Iran.

- Wyciągnąłeś mnie z ogrodu, żeby mi to powiedzieć? Pappas zaczął przepraszać, ale Hoffman klepnął go po ramieniu i rzekł:

- Tylko żartowałem. Rozchmurz się, Harry, i powiedz mi, co cię dręczy.

- Biały Dom chce uderzyć na Teheran. Jeszcze nie wiedzą jak, ale szukają opcji. Myślą, że Irańczycy chcą się wyrwać. Szykują dossier, tak jak w sprawie Iraku, chociaż dane niczego nie potwierdzają. To kupa gówna. Prawda jest taka, że nie jestem pewien, co mamy. Próbuje się zorientować, ale na to trzeba czasu, a oni są niecierpliwi.

- Tak sądzisz? - Hoffman włożył cygaro do ust i zaczął je żuć.

- Tak, więc nie wiem, co robić. Próbuje rozplatać ten kłębek. Rozmawiam z Angolami, którzy mają tam placówkę, ale zaczynam się denerwować. I martwić. Będę nielojalny wobec Białego Domu, jeżeli nie zrobię tego, czego chcą. Ale jeśli to zrobię, będę nielojalny wobec samego siebie. Rozumie pan, o czym mówię?

- Nie, Harry, nie mam zielonego pojęcia. Może zacznij od początku?

Kelner przyniósł kawę i żałośnie małą bułeczkę posypaną cukrem pudrem.

Harry wziął głęboki oddech. Zwykle potrafił zachować spokój, ale Hoffman go onieśmielał.

- Spróbuję wszystko wyjaśnić - zaczął jeszcze raz. - Mamy agenta w ich programie nuklearnym. To WG. Nie spotkaliśmy się z nim jeszcze ani razu, ale przesłał nam dwa dokumenty, które wyglądają na autentyki. Rzecz w tym, że nie jestem pewien, co tak naprawdę oznaczają. Pierwszy to odczyt z programu wzbogacania uranu. Wynika z niego, że osiągnęli trzydzieści pięć procent, czyli są niedaleko bomby, ale jeszcze trochę im brakuje. Nie wiemy, ile czasu zajmie im pokonanie reszty drogi.

- Musisz porozmawiać z agentem.

- Wiem. Ale to wymaga czasu i pomocy z Londynu. A Biały Dom twierdzi, że nie mamy czasu.

- To im powiedz, żeby się odpierdolili - mruknął Hoffman, chociaż wiedział równie dobrze jak Harry, że bunt nie wchodzi w grę. Jeśli nie możesz zrobić tego, co ci każą, powinieneś odejść.

- Sprawa nie jest taka prosta - odparł Harry. - Irańczyk przesłał nam drugi dokument. To raport z testów zapalnika do bomby.

- Ja pierdołę!

- No właśnie. Irańczycy bez wątplenia znowu pracują nad bombą. Ale ten raport jest dziwny. Niby przerażający, tyle że opisuje coś, co nie działa. No i w rezultacie nie wiemy, jaką

wiadomość chciał nam przekazać irański przyjaciel. Czy ostrzega: „Uważajcie! Próbuje zbudować bombę” Czy może mówi: „Spokojnie, próbujemy zbudować bombę, ale nie działa”
- Musisz z nim porozmawiać - powtórzył Hoffman. - Wiesz, kim jest ten naukowiec?
- Tak, udało się ustalić jego prawdziwe nazwisko i miejsce pracy. Dzięki pomocy SIS. Dyrektor to zatwierdził, ale Biały Dom nie wie, że nam pomagają. Pewnie by się zesrali, gdyby wiedzieli.

- Punkt dla admirała. Gość pokazał, że jednak ma jaja. - Hoffman uśmiechnął się. - Co planujecie, ty i twoi brytyjscy przyjaciele? Możecie go prowadzić na miejsce?

- Oto jest pytanie. Właśnie dostaliśmy nową wiadomość. Jak zwykle niejednoznaczna, ale wyraźnie wskazuje, że facet się boi. Podejrzewa, że go namierzają, i chce się ewakuować.

- A Biały Dom mówi „nie”? - domyślił się Hoffman.

- Dokładnie. Fox wmawia im, że trafili na dymiącą strzelbę i nie potrzebują więcej danych wywiadowczych.

- Nienawidzę Foxa. Żałuję, że go nie wywaliłem, kiedy miałem okazję. Mają jakieś plany związane z tym agentem, który chce się ewakuować?

- Chcą go zostawić na miejscu i wykorzystać jego informacje w oficjalnym raporcie o irańskim programie nuklearnym.

- W ten sposób go zabijają.

- Nie to jest najważniejsze - odparł Harry. Nie był sentymentalny. Śmierć Irańczyka, którego nigdy nie widział, nie wydawała mu się zbyt wysoką ceną. - Poświęcę agenta, jeśli będę musiał. Martwi mnie, że nie jesteśmy pewni, co on chce nam przekazać. Czy mówi, że sprzęt źle działa, ale nikt sobie tego nie uświadamia, czy może informuje nas, że działa program sabotujący?

Hoffman odłożył cygaro na stół i poprawił się na krześle.

- Nic nie wiesz o programie sabotującym, prawda?

- Nic. - Harry pomyślał o spotkaniu z Kamalem Atwa-nem i o swojej obietnicy, że wszystko, czego się dowie, będzie należeć tylko do niego i do Brytyjczyków.

Hoffman był wyraźnie niespokojny. Zaintrygowało to Pappasa, bo jego były szef bardzo rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje.

- Pan też nic nie wie o programie sabotującym? - spytał. Hoffman powiódł wzrokiem po sali. Kawiarnia była niemal pusta. Mimo to zniżył głos.

- Tego nie powiedziałem - odparł. - Ale teraz wiem, że ty nic o nim nie wiesz. Nie masz do niego dostępu.

Zakreślił czerwoną linię, ale Harry postanowił ją przekroczyć.

- Proszę mi pomóc. Co bym zrozumiał, gdybym miał dostęp?

Hoffman pokręcił głową.

- Ten temat jest poza twoim zasięgiem.

- Niech pan się ze mną nie bawi, tu chodzi o moją dupę. Ludzie z Białego Domu chcą rozpocząć nową wojnę, a ja muszę wiedzieć, co się, do diabła, dzieje. Potrzebuję przyjaciela.

- Hmmm, hmmm, hmmm. - Hoffman balansował łyżeczką do kawy na palcu, zastanawiając się, ile powiedzieć. Wreszcie pochylił się ku Harry emu i odezwał się prawie szeptem: - Rzeczywiście mieliśmy program tego typu. Prowadziliśmy go z Dubaju. Ludzie z Alamo poskładali różne skomplikowane gówna. Komputery, które się gubiły w obliczeniach. Części do wirówek, które działały przez rok, a potem zaczynały śmiecić.

- I co się stało?

- Sprawdzili nas, oto, co się stało. Zorientowali się, że dostawca wtyka im kit. Torturowali go. Wydał całą siatkę. Paskudna sprawa.

- Jakim cudem nic o tym nie wiem? Nie ma tego w aktach.

- Nasze największe sukcesy rzadko trafiają do akt, mój chłopcze. Podobnie jak największe porażki. Ta sprawa to było połączenie jednego i drugiego. Nie udało się i koniec pieśni.

Harry wiedział, że to wcale nie koniec. Ale nie powiedział tego Hoffmanowi. Ta informacja egzystowała w innej przestrzeni, pod inną flagą. Milcząc, przekroczył kolejną granicę.
???

Kelner przyniósł rachunek. Wyraźnie miał nadzieję, że pozbędzie się kłopotliwych gości. Ale Hoffman zamówił kolejną kawę i znowu poprosił o pączka. Nie tknął stojącej przed nim bułki. Kelner aż się wzdrygnął, ale gdy Hoffman włożył cygaro do ust, wycofał się bez słowa.
- Co powinienem zrobić? - spytał Harry. - Biały Dom próbuje nas urobić. Nikomu z Agencji nie ufam na tyle, żeby mu powiedzieć to, co właśnie powiedziałem panu. Ale nie mam pojęcia, co robić. Nie wiem, co jest słuszne.

Hoffman wyjrzał przez okno na parking. BMW, mercedesy, lexusy, maserati. Na całym parkingu ani jednego amerykańskiego samochodu.

- Nie pozwól im tego zrobić - odparł. - Nie pozwól im pakować kraju w następną wojnę bez prawdziwych dowodów.

- Ale nie mogę nie słuchać rozkazów?

- Nie, nie możesz. Przynajmniej formalnie. Ale opóźniaj sprawę. Współpracuj z Brytyjczykami. Znajdź sposób na przesłuchanie tego Irańczyka. Upewnij się, że rozumiesz, co znaczą te dane, zanim pozwolisz im je upublicznić.

- Powinienem powiedzieć dyrektorowi?

- Czy cię powstrzyma?

- Raczej tak, jeśli będę z nim szczery.

- Więc mu nie mów.

Harry kiwnął głową. Wiedział, że bywają sytuacje, które nie pasują do normalnych kategorii, ale wiedział też, że jeśli zrobi to, co mu radził były szef, można to będzie podciągnąć pod niesubordynację. W najlepszym wypadku.

- Zrób to, co słuszne, mój drogi - podjął Hoffman. - Sam musisz zdecydować, co to jest. -

Otworzył portfel, rzucił na stół dwudziestodolarówkę, a potem, gestem, który zapewne miał wyrażać pogardę dla kelnera, dołożył kolejny banknot, dziesiątkę. Odwrócił się do Harry'ego.

- Tej rozmowy nie było. Jeśli ktoś mnie o nią zapyta, udam, że nie mam pojęcia, o co mu, kurwa, chodzi.

- To oznacza, że jestem sam - stwierdził Harry.

- Tak. Ale to było wiadomo od początku. - Hoffman włożył cygaro do ust, a kiedy tylko wyszli z kawiarni i znaleźli się na świeżym powietrzu, zapalił je i zaciągnął się aromatycznym trującym dymem.

WASZYNGTON

Gdy Harry zaprosił Andreeę na kolację do Gospody w Little Washington, modnej restauracji położonej około godziny drogi od ich domu w Reston, uznała, że coś się stało. Zwykle świętowali tam rocznice ślubu i inne specjalne okazje, a od śmierci Alexa, która położyła kres łatwym przyjemnościom, ani razu tam nie byli. Zaproponowała coś tańszego i bliżej domu, ale powiedział, że naprawdę muszą porozmawiać i chce, żeby to było w jakimś ustronnym i odległym miejscu. Andrea zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Dlaczego Harry nie spał całą noc i wyniósł się z ich małżeńskiego łóżka?

Poszła do fryzjera, a potem do małego wietnamskiego zakładu przy Route 7, gdzie zrobiła sobie manikiur. Chciała wyglądać dobrze bez względu na to, o co chodzi.

Poznali się w latach siedemdziesiątych i Harry bardzo szybko stwierdził, że Andrea jest dziewczyną jego marzeń. Była twarda i mądra, ale również kobieca w sposób, z jakiego większość kobiet wówczas zrezygnowała. W collegeu w Waltham uganił ją za nią studenci prawa i medycyny, a nawet stażyści ze szpitala Mass General. Teraz wszyscy ci chłopcy, którzy patrzyli tęsknie na jej krótkie spódniczki i obcisłe bluzki, byli multimilionerami.

Andrea nie miała nic przeciwko przyszłym prawnikom czy lekarzom, ale wtedy pojawił się Harry.

Ich rodzice się znali i w ten sposób zostali sobie przedstawieni. Harry był już w wojsku, właśnie skończył szkołę rangerów i miał zostać kapitanem. Bywał już na zagranicznych misjach, o których nie mógł rozmawiać, więc otaczała go aura tajemnicy. I był bystry. Nie miał wprawdzie wiedzy książkowej, jak ci studenci prawa i medycyny, ale był od nich znacznie mądrzejszy. W dodatku wydawał się nie dostrzegać, że jest wyjątkowy. To właśnie jego bezpretensjonalność spodobała się Andrei. Wysoki i potężnie zbudowany, był jak opoka. Kiedy pod koniec drugiej randki wziął ją w ramiona, już nie chciała ich opuszczać. I był taki zabawny. Jego złośliwe i zarazem dowcipne uwagi pod adresem zadufanych w sobie ludzi z Massachusetts, wśród których oboje dorastali, nieodmiennie doprowadzały ją do śmiechu. Wtedy wiele rzeczy wydawało im się zabawnych i nie mieli pojęcia, co to znaczy strata.

???

Harry zamówił koktajle, a potem butelkę wina. Wypił swoją whiskey wielkimi łykami i patrzył w pustą szklanekę, dopóki kelner nie nalał im wina. Zachowywał się, jakby zamierzał się upić. Co się dzieje?, zastanawiała się Andrea. Jej niepokój przerodził się w strach. Nagle zbladła, bo uświadomiła sobie, że sprawa jest przecież oczywista: chciał ją poprosić o rozwód. Tak bardzo oddalił się od niej przez ostatnie miesiące, ciągle gdzieś wyjeżdżał i nawet nie próbował wyjaśniać dlaczego. Powinna była zorientować się wcześniej. Nie potrafił być niewierny, więc teraz wlewa w siebie drinki w za drogiej restauracji, szukając właściwych słów. Andrea zastanawiała się, co zrobi, jeśli Harry ją zostawi. Wiedziała, że nadal podoba się mężczyznom. Mogła sobie znaleźć innego męża. Nie chciała pozostać żoną tego człowieka, jeśli już jej nie kochał. Była na to zbyt dumna.

Harry siedział naprzeciwko niej, wpatrując się w kieliszek. Wreszcie podniósł wzrok i ujął Andreę za rękę, ale cofnęła ją.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - zaczął. - Pewnie to zabrzmiało idiotycznie. Usiłuję zrozumieć, co oznacza lojalność. Muszę o tym z kimś porozmawiać.

- Więc porozmawiajmy - odparła. - Lojalność jest prosta. Chodzi o to, żeby dochować wierności ludziom, na których ci zależy.

Harry napił się wina. Andrea była w gorszym nastroju, niż sądził, ale nie mógł jej za to winić. Tak trudno było o tym rozmawiać.

- A jeśli lojalność robi się skomplikowana? Jeżeli masz powiązania z ludźmi, z którymi nie powinieneś ich mieć?

Ręce jej się trzęsły, więc schowała je pod stół, żeby nie widział.

- Musisz dochować wierności sobie, Harry. Swoim wartościom. Jeśli nie potrafisz... cóż.... - nie dokończyła.

- Tak właśnie myślę. Ale próbuję zrozumieć, co to znaczy.

Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją wierzchem dłoni. Naprawdę nie chciała płakać.

- Na Boga, Harry. Co się stało? Po prostu mi powiedz.

- Nie mogę - odparł. Znów wbił wzrok w kieliszek. Był tak zaabsorbowany swoim dylematem, że nie zwrócił uwagi na reakcję Andrei, dopóki nie podniósł głowy i nie zobaczył jej drżących ust i oczu pełnych łez.

Zaczął się śmiać. Nie chciał, ale nie mógł się powstrzymać. Jej oczy rozbłysły gniewnie.

- O Jezu, Andrea! Tu nie chodzi o nas. - Znowu wziął ją za rękę.

- Nie? - Otarła serwetką łzy z policzków.

- Boże, nie. Chodzi o pracę. Chryste, przepraszam. Musiałem cię śmiertelnie wystraszyć.

- Myślałam, że chcesz mnie prosić o rozwód.

- Rozwód? Tylko ty mi zostałeś.

Odetchnęła z ulgą i popatrzyła na swoje paznokcie. Były jaskrawoczerwone.

- Nalej mi jeszcze wina, Harry. A potem porozmawiamy o twoich kłopotach w pracy.

???

Opowiedział jej tyle, ile mógł, nie mówiąc nic, czego nie powinien. Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. W miarę jak pił, coraz bardziej się rozluźniał, mówił z ożywieniem, jak przed laty, gdy dopiero ze sobą chodzili.

- Jestem lojalny - powiedział. - Kocham Agencję, odkąd zacząłem tam pracować. Kochałem ją nawet wtedy, kiedy ona nie kochała mnie.

- Wiem o tym, Harry.

- Robiłem, o co prosili, nawet gdy wiedziałem, że to złe. Podczas tego roku w Bagdadzie widziałem naprawdę straszne rzeczy. Wysyłałem raporty. Nie słuchali, więc wysyłałem kolejne. Ale robiłem, co mi kazali, zawsze. - Urwał i odwrócił wzrok. - A potem coś we mnie pękło.

Wyciągnęła rękę i pogładziła jego zaciśniętą pięść.

- Kiedy Alex zginął, nie mogłem już być dobrym żołnierzem. Nie chodziło tylko o naszego syna, chodziło o nich wszystkich. Wiedzieliśmy, że to się nie uda. Wiedzieliśmy doskonale. Ale pozwoliliśmy, żeby to się stało. Ludzie z Agencji dali mi trochę luzu. Wtrynili mi Iran, zrobili mnie szefem wydziału. Myśleli, że w głębi duszy nadal jestem dobrym żołnierzem. Ale nie jestem. I nie zamierzam tego zrobić po raz drugi.

- O czym ty mówisz, kochanie?

Spojrzał jej w oczy. Już się nie zastanawiał. Podjął decyzję i nagle stało się dla niego jasne, że powinien chronić Andreę.

- Myślę, że wiesz - odparł. Kiwnęła głową.

- Iran - powiedziała. Rozumiała go lepiej, niż sądził.

- Są ludzie, którzy dążą do kolejnej wojny. Chcą, żebym im w tym pomógł. Ale ja nie zamierzam powtarzać błędów.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała szeptem. - Odejdiesz?

- Nie. To tylko pogorszy sprawę.

- Więc co?

- Nie wiem.

Przez jej twarz przemknął cień. Składała razem kawałki układanki.

- Nie możesz wystąpić przeciwko nim. Zniszczą cię.

Kiwnął głową. To było coś, o czym nie należało rozmawiać nawet z nią, zwłaszcza z nią. Jeśli coś pójdzie źle, pewnego dnia mogą zacząć zadawać jej pytania.

- Nie zrobię niczego złego ani głupiego - zapewnił. - Zaufaj mi.

Przewróciła oczami.

Wynajęli pokój w hotelu i kochali się, choć nie robili tego od wielu miesięcy. Następnego dnia po południu Harry poleciał do Londynu. Nie poinformował o tym kolegów z Agencji.

PRZEDMIEŚCIA LONDYNU

Adrian Winkler czekał na Heathrow w niedzielę rano. Harry wysłał mu z prywatnego konta pocztowego krótką wiadomość: „poincrementujmy” i czas przylotu do Londynu. Spał głęboko podczas długiego lotu, pierwszy raz od dłuższego czasu. Adrian czekał na niego z tabliczką z napisem „Pan Fellows”. Harry roześmiał się, kiedy ją zobaczył, ale potem uświadomił sobie, że to wcale nie jest dowcip. Tak brzmiał jego kryptonim. Był agentem Winklera.

Adrian załatwił samochód: starszy model rovera, nic wyszukanego. Brytyjczyk był ubrany niezobowiązująco, w dzinsy i stary sweter. W niedzielny poranek ruch na M-4 był niewielki. Gdy dotarli do skromnego hoteliku w zachodnim Londynie, niedaleko wiaduktu w Hammersmith, Winkler zaczął czekać na parking, aż Harry się zamelduje i przebierze w dzinsy i czarną skórzaną kurtkę. Wyglądali jak bukmacherzy, którzy polują na klienta.

Pojechali do Neasden przy północnej obwodnicy, najbardziej chyba anonimowego przedmieścia Londynu. W szarych blokach zbudowanych kilka pokoleń temu dla robotników teraz mieszkali emigranci, głównie Pakistańczycy i Hindusi. Minęli ulice handlowe i dotarli

do Dollis Hill Housing Estate. Adrian zatrzymał rovera przed garażem, z którego dobiegały głośne dźwięki muzyki Bhangra. W środku jakiś Pakistańczyk grzebał przy motocyklu - wielkim jaskrawym motorze z chromowaną rurą wydechową.

Adrian wysiadł z samochodu.

- Cześć, facet! - zawołał, przekrzykując łomot boom boxa.

Pakistańczyk przyciszył muzykę, wyszedł z garażu i pomachał Winklerowi. Miał na sobie roboczy kombinezon, który opinał gruby kark i muskularne ramiona.

Adrian wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie, potem przybili piątki i tręcili się zółwikami.

- Co jest? - spytał Pakistańczyk.

- Chcę ci przedstawić przyjaciela, Hakim - odparł Adrian, wskazując Harryego. - Nazywa się Bill Fellows i pracuje ze mną nad tym projektem, o którym rozmawialiśmy.

- Cześć, bracie - Pakistańczyk kiwnął głową Pappasowi. Harry przyjrzał się małemu twardejowi. Hakim był od

niego niższy prawie o głowę, ale wątpił, czy dałby mu radę w walce wręcz.

- Jak twój motor? - zapytał Winkler.

- Całkiem niezłe - odrzekł Hakim. - Rozpędziłem go ostatnio do dwustu dziesięciu.

- Mam nadzieję, że nie na drodze.

- Nie. W Credenhill. Pokaz dla chłopaków w Hereford.

- Hakim ściagał się kiedyś na motorach - wyjaśnił Adrian Harry emu. - W ogóle robił masę rzeczy. To część jego przykrywki, no nie? - Trącił Pakistańczyka łokciem w biceps, a ten przyjął postawę boksera, kołysząc się i podskakując.

- Uprawiałeś boks? - zainteresował się Harry.

- Nadal boksuję - odparł Hakim. - Ale tylko amatorsko. - Uśmiechnął się porozumiewawczo.

To zawodowy zabójca, pomyślał Harry. Adrian położył rękę na ramieniu Pakistańczyka i powiedział:

- Teraz słuchaj, stary. Spotkamy się jutro z panem Fel-lowsem i resztą zespołu. To samo miejsce, co zeszłym razem, w Brixton. Pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć? Przykro mi, że wtedy nie wypaliło.

- Nie twoja wina - zapewnił go Winkler. - Zwyczajny pech. Hakim mrugnął do niego.

- Stoi? - spytał Adrian.

- Jak wieża. Ale jeszcze pan nie widział, jak odstawiam pokaz na motorze. Chce pan zobaczyć, jak pański chłopak pali gumę?

- Jasne. Tylko nie zapomnij wsadzić go potem w spodnie.

Hakim wrócił do garażu, wyprowadził wielki motor i zapalił. Silnik ryknął tak, że Harry aż podskoczył. Pakistańczyk włożył hełm ozdobiony czerwonym półksiężycem i napisem „Wojownicy Allaha” i wskoczył na siodełko.

- Pokaż, co potrafisz - rzekł Adrian.

Pakistańczyk uśmiechnął się. Wyjechał na środek drogi, poczekał, aż go minie samochód jadący z przeciwka, i ruszył. W kilka sekund rozpędził się do stu dwudziestu, a po kilku kolejnych do stu pięćdziesięciu kilometrów. Mieszkańcy sąsiednich domów wyglądali przez okna i pewnie myśleli: co za popapraniec z tego Hakima.

Zatrzymał się na końcu ulicy niedaleko skrzyżowania z A406 i wrócił już powoli do Adriana i Harry'ego.

- Nie prowokuj mnie, człowieku - powiedział. - Wiadomo, że zawsze to zrobię.

Niebezpieczny ze mnie gość.

- Wiem - odparł Winkler. - Widzimy się jutro w Brixton.

???

Następny przystanek zrobili w Barking na dalekim East Endzie, na północ od wodociągów. Kolejne ponure robotni-

cze przedmieście. Adrian skierował się do siłowni przy Long-bridge Road, gdzie czekał na nich kolejny muskularny młody mężczyzna, prawdopodobnie Arab. Właśnie ćwiczył z kolegami, podnosił ciężary na ławeczce tak starej, że jej obicie było wytarte do cna. Kiedy Adrian i Harry weszli, przeprosił kumpli. Patrzyli, jak wychodzi - same czarne i brązowe twarze, nieprzeniknione oczy. Ale widać było, że go podziwiają. Był miejscowym bohaterem. - Pozdrowienia, Marwan - rzekł Winkler, wyciągając rękę. Przywitał się z Arabem w taki sam sposób, jak przedtem z Pakistańczykiem. - Przedstawiam ci Billa Fellowsa, kolegę z pracy. - Allah yatik al affi - powiedział Arab.

Harry znał te słowa. Niech Bóg obdarzy cię dobrym zdrowiem. Dłoń Marwana była jak imadło.

- Ile wyciskasz na ławeczce? - spytał Adrian.

- Sto piętnaście - odparł Marwan. - Sto trzydzieści, jak mam dobry dzień.

- No to wyluzuj. Za bardzo... rzucasz się w oczy. Tam, gdzie jedziesz, powinieneś wyglądać jak chłopak na posyłki.

- Żaden problem - zapewnił Marwan. - Mam luźne koszule. Nikt nie zwróci uwagi. Mowy nie ma.

Adrian przekazał mu informację o spotkaniu: jutro rano w Brbcton, potem wyruszają. Trzeba pozalać wszystkie sprawy i być gotowym do akcji.

Marwan uśmiechał się od ucha do ucha. Nie wiedział, dokąd go wyślą, ale nie miało to dla niego znaczenia. Chodziło o samą akcję.

- To Jemeńczyk, ale potrafi naśladować prawie każdy dialekt arabski - wyjaśnił Adrian, kiedy wracali do samochodu. - Iracki, libański, nawet marokański, chociaż trochę słabiej.

Niesamowity talent do języków. I jest silny. Dobry kompan, jak się robi krucho, gwarantuję ci. Jeden z najlepszych.

- A kto jest najlepszy? - spytał Harry.

- Zobaczysz w swoim czasie.

???

Adrian pokazywał Harry'emu, jak wygląda sekcja bojowa brytyjskich służb wywiadowczych. Nie przypominali wy-fraczonego Jamesa Bonda popijającego martini czy innych przygłupów rozbijających się astoneami martinami i zapewniających: „przykro mi, stary”, kiedy strzelali do przeciwnika z broni robionej na zamówienie. To byli prawomyślni Pakistańczycy i Arabowie, gotowi walczyć za ojczyznę i królową - wysadzać ludzi w powietrze, słuchając Boba Marleya z iPoda. „M” i „Q”, panna Moneypenny i reszta rozczulającej postimperialnej zbieraniny zniknęli. Increment to byli Sex Pistols, księżę Nassim i Hanif Kureishi w jednym. To była nowa Brytania, zionąca żądzą zemsty.

???

Na blackberrym Harry'ego pojawiła się pilna wiadomość od jego zastępczyni. Marcia Hill prosiła, żeby natychmiast zadzwonił. Postanowił nie reagować. Nie chciał żadnych elektronicznych śladów tego, gdzie spędził weekend. Cokolwiek się stało, może zaczekać.

???

Trzeci członek zespołu Adriana czekał na nich w samym centrum Londynu, w Hyde Parku. Winkler zaparkował ro-vera po stronie Knightsbridge i weszli do parku przez bramę Rutland. Promienie popołudniowego słońca połyskiwały na ciemnych wodach Serpenty. Zatrzymali się koło ścieżki konnej, biegnącej wokół trawnika. Harry rozejrzył się. Zobaczył tylko ładną kobietę na wysokim brązowym ogierze.

Wyglądała na osobę z towarzystwa, mieszkającą w drogim apartamencie na Sloane Square. Kiedy spojrział w kierunku Albert Memoriał, szukając ostatniego członka zespołu, Adrian zawołał do kobiety na ogierze:

- Witaj, Jackie. Zsiądź z tego konia i chodź się przywitać. Kobieta zgrabnie zeskoczyła z wierzchowca i zdjęła

czarny toczek. Długie blond włosy opadły na jej ramiona. Była w obcisłych bryczesach i wysokich skórzanych butach, w jednym ręku trzymała szpicrutę, w drugim uzdę. I nie była tylko ładna, lecz uderzająco piękna. Zatknęła szpicrutę za pasek spodni i wyciągnęła do Harryego szczupłą dłoń.

- William Fellows - przedstawił się. Kiedy ruszył w jej stronę, koń, wyraźnie spłoszony, zaczął się cofać i przysiadać na zadzie. Uspokoiła go ostrym szarpnięciem wodzy.

- Miło mi - powiedziała.

Harry nie mógł oderwać od niej oczu.

- Jackie jest niezła, co? - rzekł Adrian, podchodząc bliżej. Zamiast poczuć się urażona tym raczej niewyszukanym komplementem, kobieta uśmiechnęła się. - To jej przykrywka, rozumiesz, fakt, że jest tak cholernie atrakcyjna.

- Przykrywka? - zdziwił się Harry. - Moim zdaniem bardzo rzuca się w oczy.

- I o to chodzi, mój drogi. - Winkler rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. -

Piękna kobieta z Zachodu w Teheranie. Podróżująca z niemieckim paszportem, żeby się spotkać z irańskim kochankiem. Bizneswoman, która wychodzi z hotelu o dziwnych porach. Bywa w restauracjach, na przyjęciach. Wstaje późno i je śniadanie w łóżku. Może nawet jeździ konno w Jockey Club z eleganckimi Irańczykami. Co mogłoby być bardziej oczywiste? Pasuje do wszystkich uprzedzeń i stereotypów przeciętnego pracownika Ministerstwa Wywiadu.

- I do jego lęków - dodała Jackie. - Nie zapominaj o strachu. Tyle że nie będą wiedzieli, że się boją, jeśli zrobię to dobrze. Powinam poruszać się po mieście w miarę swobodnie, bo wtedy będą pewni, że wiedzą, kim jestem. Mężczyznami bardzo łatwo manipulować.

- Jutro o dziesiątej. Brixton - powiedział Adrian. - Chłopaki też będą. Przejrzymy plan operacji.

Jackie zebrała włosy i założyła toczek. Koń odwrócił się od nich i skubał równo przyciętą trawę. Jackie włożyła nogę w strzemień i wskoczyła na jego grzbiet. Jej pośladki pod elastyczną tkaniną bryczesów były kształtne i jędrne. Usiadła wygodnie w siodle i odjechała.

- Niesamowita - orzekł Harry.

- Dokładnie - przyznał Adrian i westchnął. - Prawdziwa brzoskwinka. W dodatku odważna jak lew. Trudno mi będzie ją tam wysłać. Ona ma dowodzić, więc jeśli coś pójdzie źle, wszystko spadnie na nią.

Pokręcił głową i wbił wzrok w ziemię, wyraźnie zmartwiony.

Harry'emu przyszło coś do głowy. Chciał odsunąć od siebie tę myśl, ale nie dawała mu spokoju.

- Ty chyba nie... - zaczął.

- Co nie?

- Chyba nie jesteś z nią związany?

- Chcesz wiedzieć, czy ją pukam?

- No... właściwie tak.

- Powiem ci coś, ale potem ani słowa więcej na ten temat. Jak wspominałem przy kolacji w zeszłym tygodniu, życie jest skomplikowane. Zdarza się wdepnąć w gówno, czy nie tak mówicie w Ameryce? Ale to nie jest Ameryka, Harry. Nie mamy waszych idiotycznych zasad dotyczących

moczenia pióra w firmowym kałamarzu. Tu w Anglii również heteroseksualnych obowiązuje zasada „nie pytaj, nie gadaj”. Łapiesz?

- Tak, oczywiście - odparł Harry. I nie zamierzam wtykać nosa w nie swoje sprawy. Nie chcę tylko, żeby to skomplikowało naszą operację.

- Moją operację - sprostował Adrian. - I nie martw się, nie skomplikuje.

???

Kiedy wrócili do samochodu, Harry początkowo się nie odzywał. Chciał, żeby znów zapanowała między nimi harmonia, zakłócona przez pojawienie się pięknej Jackie i skomplikowane „inne” życie Winklera, którego zapewne była częścią. Wiedział, że to nie jego sprawa, ale zależało mu na przyjacielu, a był pewien, że Adrian, mimo całego swego profesjonalizmu, błądzi. Pomyślał o Susan, żonie Winklera, którą zawsze lubił i podziwiał. Inteligentna, dowcipna, uszczypliwa, gdy było trzeba. Idealna towarzyszka życia na dobre i na złe. Ale najwyraźniej niektórzy mężczyźni duszą się z nadmiaru szczęścia. Zaczynają szukać niebezpieczeństw. Kochanki, która wciągnie ich w pajęczą sieć kłamstw i oszustw. Adrian był nie tyle niewiernym mężem, ile poszukiwaczem wrażeń.

Wkrótce napięcie opadło. Winkler zatrzymał rovera przy sklepie monopolowym, kupił kilka puszek piwa i wrócił do samochodu. Zaczęli omawiać szczegóły operacji. Harry robił notatki, ale potem zaczął się zastanawiać, czy powinien je zabierać do Stanów. To przecież w pewnym sensie dowody zbrodni. On też był poszukiwaczem wrażeń. Miał dość mdłych potraw serwowanych w Agencji, chciał spróbować czegoś pikantniejszego.

- Możesz mi kazać się odpieprzyć, ale kim są ci twoi ludzie? - spytał. - Chodzi mi o to, do kogo należą. Czy Increment to organizacja, czy po prostu fajna nazwa?

- Wszyscy zostali wyszkoleni do zadań specjalnych. Paru z SAS, kilku ze służb specjalnych marynarki. Wypożyczają nam ich, nie pytając, w jakim celu. Oni robią, o co prosimy, bez względu na to, co to jest, a potem wracają. Tyle że zwykle wcale nie chcą wracać. Prawie każdy chce na zawsze pozostać Jamesem Bondem. Więc czy Increment istnieje? I tak, i nie.

- To intrygujące.

- I o to chodzi, Harry, drogi przyjacielu. Żyjemy w świecie, w którym zostało niewiele tajemnic, a tu raptem okazuje się, że mamy bandę zimnych zabójców, którzy potrafią wpaść, załatwić sprawę i zniknąć, zanim ktokolwiek się zorientuje. A jeśli kiedyś ktoś zacznie stawiać pytania, powiemy: „Przykro nam, tajemnica państwowa. Nie możemy pomóc”. Istna Nibylandia. To właśnie jest Increment.

BRIKTON

Pięcioro konspiratorów spotkało się w poniedziałek rano w magazynie przy Brixton Road, w sercu karaibskiego getta w południowym Londynie. Tabliczka na drzwiach informowała, że mieści się tu firma eksportowo-importowa GENTLE WINDS - i z pewnością była to prawda. Zebrali się w sali konferencyjnej na tyłach magazynu, obszernym pomieszczeniu pełnym skrzynek i sznurków. Adrian, który prowadził spotkanie, posadził „pana Fellowsa” w wielkim skórzanym fotelu jako gościa honorowego. Ubrany w sztruksową marynarkę z łatami na rękawach i w niebieską drelichową koszulę rozpiętą pod szyją, zupełnie nie przypominał szefa wydającego rozkazy. Przekazywał swoim ludziom kolejne instrukcje tonem swobodnej pogawędki, ale widać było wyraźnie, że pracował z tym zespołem już wcześniej i że wszyscy ufają mu w stu procentach.

Agenci terenowi wyglądali tak, jak mieli wyglądać w Iranie. Hakim miał na sobie prostą bawełnianą koszulę i luźne spodnie, jakie noszą emigranci z południowej Azji na Bliskim Wschodzie. Wczorajszy demon prędkości teraz ulegle kulił ramiona i uśmiechał się nieśmiało. Marwan, Jemeńczyk z Barking, był w tanim brązowym garniturze i szaroniebieskim krawacie z poliestru. Wypisz wymaluj arabski hochsztapler, który szuka jelenia. On również zdołał ukryć atletyczną sylwetkę. W pogniecionym na kolanach i łokciach garniturku wyglądał raczej na tęgiego niż muskularnego.

Jackie przeobraziła się najbardziej. Niedzielny strój do jazdy konnej zastąpiła luźnym szarym żakietem z gabardyny sięgającym do kolan i czarną chustą narzuconą na jasne włosy. Pod żakietem miała czarną jedwabną bluzkę z głębokim dekoltem we wzór przypominający cętki lamparta. Oczy zasłaniały okulary przeciwsłoneczne, ale na usta nałożyła różowy błyszczek.

- Wasze stroje robocze są wspaniałe - pochwalił Adrian. - Bardzo odpowiednie. - Zwrócił się do Pakistańczyka. - Ha-kim, będziesz miał tymczasową wizę, bo pracujesz w Szirazie na budowie, która potrwa jeszcze pół roku. Przyjechałeś do Teheranu po zaopatrzenie. Wszystko zostało uzgodnione z pakistańską firmą budowlaną z Lahore. Twoje nazwisko i numer paszportu mają w biurze kierownika budowy w Szirazie, gdyby ktoś chciał sprawdzić. Ale raczej nie będzie chciał.

- Rozumiem - odparł Hakim. - Jakie języki znam?

- Urdu, angielski, trochę perski i arabski. Wcześniej pracowałeś w Dubaju. To też zostało uzgodnione, gdyby ktoś węszył. Spróbuj trochę mniej jeść przez następny tydzień, wyglądasz zbyt zdrowo.

- Od jutra rozpoczynam południowoazjatycką głódówkę, sahibie - powiedział Hakim. Adrian uśmiechnął się i spojrział na Jemeńczyka.

- Marwan, wyglądasz paskudnie. Dokładnie tak jak Arab spod ciemnej gwiazdy próbujący upichcić coś w Teheranie. Gdzieś zdobyłeś ten straszny krawat? Będziesz miał jemeński paszport, ale na nazwisko Saleh, którego używałeś ostatnim razem w Iraku. Jasne?

- Tak, szefie. Może ubijemy interes? Dam ci dobrą cenę, bardzo dobrą. Kupuję dywany, pistacje, używane samochody, co tylko zechcesz. Najlepsze ceny.

- Zamknij się, chłopie, bo zaraz mnie łeb rozboli. Masz więcej takich garniturów?

- Tak, szefie. Trzy. Wszystkie wstrętne.

- Świetnie. Twoja tożsamość też ma potwierdzenie. Dostaniesz akredytywę jemeńskiego banku, która pozwoli ci podjąć do stu tysięcy dolarów, gdybyś faktycznie musiał ubić jakiś interes. Masz wielokrotną wizę służbową. Pracujesz dla firmy handlowej z Sany z oddziałem w Maskacie, a kierownicy obu biur poprą twoją legendę. W porządku?

- Jesteś zbyt dobry, habibi.

- Niewątpliwie - przyznał Winkler z uśmiechem i dodał już poważnie: - Nasz show poprowadzi Jacqueline. Zorganizuje punkt dowodzenia w hotelu w dzielnicy Vali Asr. Umieści tam główny moduł komunikacyjny, ukryty w kosmetyczce. Na dachu jest restauracja z roślinami w donicach, idealne miejsce na niewielką antenę przekaźnikową. Macie sprzęt?

- Jeszcze nie - odparł Marwan.

- Jutro - powiedział Hakim.

- Więc jak już będziecie mieli, wypróbujcie go z Jackie. Różne części Londynu, różne warunki przesyłu. Gdyby były jakieś problemy, Jackie się z nami skontaktuje.

- Jakiego paszportu używam? - spytała.

- Tego samego co poprzednim razem. Niemiecka bizneswoman, typowa kobieta z bujną przeszłością. Wszystko ma pokrycie. Chociaż ty nie potrzebujesz przykrywk.

- Bardzo śmieszne - mruknęła Jackie.

- Tylko żartowałem, kochanie - sumitował się Winkler. - Jak tam twój niemiecki?

- Tak się składa, że nadal dobry. A twój?

- Beznadziejny.

Hakim i Marwan roześmieli się. Lubili, jak ich koleżanka wkurzała szefa.

- Jak się dostaniemy na miejsce? - spytała Jackie. - W zeszłym tygodniu nikt nie chciał podjąć decyzji. Mówili, że czekają, aż ty zdecydujesz.

- Każde inną drogą, żeby pasowało do przykrywk. Zamierzałem przerzucić was razem przez turecką granicę, a potem osobno przebilibyście się do Teheranu, ale zmieniłem zdanie. Nasi tureccy przyjaciele zrobili się ostatnio dziwnie nerwowi. Nie ufam ani ich wywiadowi, ani ich armii, więc lepiej jedźcie oddzielnie.

Pokiwali głowami.

- Ty, Hakim - podjął Winkler - przyjedziesz z Pakistanu i przekroczysz granicę w Mirdżawe. Do Szirazu dotrzesz autobusem. Nie będzie to przyjemna podróż, ale nie da się inaczej.

- Nie martw się, szefie. Lubię trudne podróże.

- To świetnie - skwitował Adrian i zerknął do notesu, w którym miał zapisane szczegóły logistyczne. - Zatrzymasz się w hotelu Shams przy bazarze w południowym Teheranie. Jest tam mnóstwo Pakistańczyków, ale obawiam się, że nie ma pryszniców. Hakim powąchał się pod pachami, skrzywił teatralnie i głośno roześmiał. Winkler z uśmiechem pokiwał głową, po czym spojrział na Jemeńczyka.

- Ty przylecisz z Kataru na lotnisko Imam Chomeini International. Dobra nazwa, nie sądzisz? Polecisz z Sany do Ad-Dauhy, a stamtąd do Teheranu. Klasą ekonomiczną ze zniżką, miejsce wykupione w Sanie w biurze sprzedającym tanie bilety lotnicze. - Znów zerknął do notatek. - Zatrzymasz się w hotelu New Naderi na ulicy Jomhuri-ye Islami. To hotel dla biznesmenów przyjeżdżających z Dubaju. Niektórzy recepcjoniści mówią nawet po arabsku.

- A teraz ty, pani dowódco bazy. Ty masz zadawać szyku. Będziesz mieszkać w hotelu Aziz. Wielki apartament. Masa pokoi. Ogromny telewizor. Basen, w którym w dodatku jest woda. Spa, jacuzzi. Nigdy nie będziesz chciała wrócić do domu. Przylecisz Lufthansa z Frankfurtu. Bardzo przyjemne miasto. Oczywiście klasą biznesową. Wypij swoją działkę na pokładzie, mała, bo jak wylądujesz, więcej nie będzie.

- Gdzie zaczynamy trasę? - spytała Jackie.

- RAF Mildenhall do Ramstein. W Niemczech zmienicie tożsamość. Nowe paszporty, nowe wszystko. Potem ruszacie - Hakim do Pakistanu, Marwan do Jemenu, a Jackie zostanie kilka dni we Frankfurcie. Wszystko jasne?

- Najzupełniej - odparła Jackie. - To teraz powiedz, o co chodzi w misji. Adrian zwrócił się do Harry'ego, który cały czas robił notatki, chcąc uporządkować w głowie szczegóły.

- Pan Fellows wam wyjaśni - powiedział. - Tak naprawdę to jego dziecko. My tylko pomagamy mamusi.

Pappas popatrzył na trójkę wojowników. Nie sposób było ich nie lubić czy wątpić, że wykonają zadanie. To właśnie odróżniało SIS od CIA. Brytyjczycy potrafili przeprowadzić śmiałą akcję zdecydowanie i bez wahania, a jego firma nie. Martwiło go to, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Chodzi o eksfiltrację - zaczął. - Mamy agenta w Teheranie. Boi się i chce, żebyśmy go zabrali. Zajmuje neuralgiczną pozycję w programie prowadzonym przez Gwardię Rewolucyjną, więc nie może podróżować. Musimy z nim porozmawiać twarzą w twarz, a potem podejmiemy decyzję, co dalej - czy go wyciągamy, czy zostawiamy. Nie możemy zdecydować, dopóki z nim nie porozmawiamy, a nie możemy z nim porozmawiać, nie eksfiltrując go. Dlatego tu jesteśmy. Ale jest pewien problem.

- Lubimy problemy - zapewniła Jackie.

- To dobrze, bo prosimy was o eksfiltrowanie kogoś, kogo nie znamy, z kim nigdy nie kontaktowaliśmy się bezpośrednio, kogo nigdy nie mieliśmy okazji przeszkolić. Wiemy, gdzie pracuje, ale nigdy go nie widzieliśmy. Próbuje wyłowić rybę ze strumienia, nie mając nawet pewności, czy ona tam jest.

- To rzeczywiście interesujące - stwierdziła Jackie. -A jak pan proponuje zwabić tę rybę w nasze sieci?

- Zawiadomimy go, że po niego jedziemy. Nie powiemy mu nic więcej, na wypadek, gdyby już był spalony. A potem wy go znajdziecie. Dostaniecie adres jego miejsca pracy i zapewne również domowy. Zrobimy wszystko, żeby dać wam jakiś obraz tego faceta. Musicie go obserwować i skontaktować się z nim. Wymyślę jakiś kod rozpoznawczy.

- A potem? - Jackie była wyraźnie podekscytowana. Podobało jej się to zadanie. Harry spojrział na Hakima i Marwana, którzy również mieli takie miny, jakby nie mogli się doczekać, kiedy zaczną.

- Musicie to zrobić w trzech etapach. Etap pierwszy: przekazanie mu wiadomości, gdzie czeka na niego urządzenie komunikacyjne. Podrzucicie je w którymś z parków. Adrian porozmawia z placówką w Teheranie i ustali, jaka zabawka będzie tam pasować najlepiej. Etap drugi: kiedy podejmie urządzenie, rozmawiacie z nim i ustalacie szczegóły ekstrakcji. Krok trzeci: przenosicie go w miejsce, gdzie będziemy mogli z nim porozmawiać. A potem, być może, odwozicie do domu.

- Czy będziemy mieć na miejscu wsparcie?

Harry zerknął na Adriana. Agencja z pewnością go nie dostarczy.

- Tylko jeśli zrobi się bardzo gorąco - odparł Winkler. - Szef naszej teherańskiej misji ma kilka bezpiecznych mieszkań, ale trzymajcie się od nich z daleka. Mogą być brudne. Lepiej, żebyście działali w pojedynkę.

- Czy obiekt jest obserwowany?

- Nie wiemy - powiedział Harry. - Ale na pewno jest przestraszony. Przekazał nam, że chce się wydostać, więc musimy założyć, że irańskie służby go śledzą.

- Dobrzy są? - spytała Jackie.

- Przekonacie się na miejscu, prawda? - odparł Harry. - Ale o ile mi wiadomo, MOI jest bardzo kompetentne, zwłaszcza na własnym terenie. Więc po prostu musicie być sprytniejsi.

- Podoba mi się to - stwierdziła Jackie. - Starcie intelektów. Gdzie go mamy dostarczyć, gdy już go znajdziemy?

- Jeszcze nie wiem. Na granicę azerską, iracką albo turk-meńską. Sami wybierzcie. My z Adrianem ustalimy, która będzie dla nas najbardziej dogodna.

- Jak to „dla nas”? Wy też jedziecie?

- Oczywiście. Musimy się z nim spotkać twarzą w twarz. Porozmawiać z nim, zorientować się, jak bardzo jest przestraszony, opracować plan operacyjny. To jedyny sposób. Wy robicie za firmę transportową. Jeśli uprze się, żeby uciekać, trzeba będzie zaaranżować to tak, aby wyglądało, że nie żyje. Jeśli go odeślemy, będziecie musieli go odwieźć.

- Czy on ma żonę i dzieci?

- Nie wiemy. Mam wrażenie, że nie, ale szczerze mówiąc, nie wiemy nawet, jak facet wygląda.

Milczeli chwilę, jakby przetrawiali w myślach ryzyko i niepewny wynik tej operacji.

Wreszcie odezwała się Jackie.

- A co będzie, jeśli nas złapią?

- Będziecie mieli przesrane - odparł Adrian. - Żadnych dodatkowych paszportów tym razem. Jeśli będziecie blisko granicy, powinniście otworzyć sobie drogę ogniem. Jeśli dopadną was w Teheranie, niewiele będziecie mogli zrobić poza zaciskaniem zębów. Ale obiecuję, że załatwimy wam irańskiego adwokata. I na każde Boże Narodzenie będę wam wysyłał paczkę do więzienia.

Roześmieli się. Nie chcieli myśleć o ryzyku. Dobry agent terenowy musi zakładać, że nigdy go nie złapią. Musi mieć silne wewnętrzne przekonanie, że jest niewidzialny.

- No i co myślicie? - chciał wiedzieć Harry.

Cała trójka uśmiechnęła się. To nie były wymuszone uśmiechy. Byli naprawdę podekscytowani.

- Żyjemy dla takich chwil - odparła Jackie. Mówiąc to, patrzyła na Adriana.

?*?

Harry planował wylecieć z Londynu jeszcze tego popołudnia, żeby opuścić tylko jeden dzień pracy. O wpół do siódmej rano czasu waszyngtońskiego wysłał Marcii Hill wiadomość, że ma grypę żołądkową i w poniedziałek go nie będzie. Odpisała, że musi z nim pilnie porozmawiać. Chłopcy ze śródmieścia zaczynają się pocić, ale to może poczekać jeden dzień, skoro był chory. Harry zdawał sobie sprawę, że jeśli jego „grypa” przeciągnie się na dwa dni, Marcia i koledzy z pracy zaczną dzwonić do niego do domu i pytać o zdrowie.

Adrian odwiózł go na Heathrow tym samym roverem, którego używali do tej pory. Był milczący i wyraźnie zamyślony. Pewnie myśli o Jackie, martwi się o nią albo chce ją bzyknąć, albo jedno i drugie, uznał Harry. Ale nie o to chodziło.

- Powinniśmy porozmawiać o przygotowaniach - powiedział Winkler, kiedy minęli Chiswick i zbliżali się do lotniska. - To znaczy o twoich.

- Nie bardzo rozumiem - odparł Pappas.

- To, co robimy, wykracza poza normy, stary. Nie masz autoryzacji. Jesteś nielegalnym.

- To mój problem.

- Niby racja. Ale co jeśli cię złapią? Wtedy to będzie nasz problem. Lojalny sojusznik. Ręka w cudzej puszcze z ciastkami. Nieładnie, bardzo nieładnie. Premier jest odrobinę...

zaniepokojony. Musieliśmy mu powiedzieć. Za nic nie chce wkurwić Waszyngtonu, rozumiesz. Uważa, że nie powinniśmy nakłaniać do przestępstwa szefa wydziału CIA. Mam wrażenie, że takie coś ma swoją nazwę.

- Zdrada - podpowiedział Harry. - Myślę, że tak to się określa.

- Właśnie. Więc pytanie brzmi: co zrobimy jeden dla drugiego, jeśli ktoś się kapnie, co kombinujemy?

- Wyprzemy się - zaproponował Harry.

- To może nie zadziałać. No bo założmy, że ktoś będzie miał, wybaczone określenie, dowód na to, że byłeś niegrzecznym chłopcem. Co wtedy?

- Zakładam, że omówiłeś to z sir Davidem?

- Słusznie. Uznałem, że naprawdę powinienem. No wiesz, panika, skutki uboczne, takie sprawy. I oto co uzgodniliśmy, Harry. W bardzo mało prawdopodobnym przypadku, że ktoś dowie się, co robimy, będziemy musieli powiedzieć,

że działałeś na własną rękę. No wiesz, samotny strzelec i te sprawy. Zapewne będą musieli mnie wywalić, ale to zależy od sir Davida. Rzecz w tym, że zaopiekujemy się tobą. I oczywiście Andrea.

- To znaczy?

- Renta, fundusz edukacyjny dla twojej córki. Emigracja, kiedy skończą się nieprzyjemności.

- To znaczy kiedy wyjdę z mamra?

- No tak, sądzę, że tak. Przepraszam, że poruszam ten temat, ale sir David uznał, że muszę. Lepiej być przygotowanym, niż potem żałować.

- Rozumiem, a oto moja odpowiedź. Powiedz sir Davi-dowi, żeby się odpieprzył. Nie jestem brytyjskim agentem. Nie wezmę waszych pieniędzy ani funduszu edukacyjnego, ani nawet darmowej flaszki szkockiej. Korzystam ze swoich uprawnień szefa wydziału CIA i współpracuję z inną służbą przy sprawie, którą prowadzimy wspólnie. Zgodnie z ustnym poleceniem mojego szefa, dyrektora.

- Przecież nie masz nic na piśmie.

- Oczywiście, że nie. Ale działałam na jego polecenie i to właśnie powiem każdemu, kto będzie pytał. A co ty powiesz sir Davidowi?

- Żeby się odpieprzył.

- Dobrze. Czyli wszystko uzgodnione. A skoro już przy tym jesteśmy, chcesz darmowej rady? -Nie.

- Przestań pieprzyć się z Jackie. Nie przeczę, że to niezła dupa, ale postępujesz nieprofesjonalnie. I głupio. Jeśli masz dość Susan, zerznij którąś z sekretarek. Romans z komandosem z SAS to idiotyzm. Wychodzisz na kretyna, nawet jeśli wziąć poprawkę na kryzys wieku średniego.

- To naprawdę bombowa laska, Harry. I bądźmy szczerzy, to, co ty robisz, jest dużo, dużo głębsze od tego, co ja robię. Różnica jest taka, że ty czujesz się winny, a ja nie. Bądźmy więc dobrymi kumplami i dajmy sobie z tym spokój. Ja nie będę osądzał ciebie, a ty nie będziesz osądzał mnie. Zgoda?

Winkler wyciągnął rękę nad dźwignią zmiany biegów i poklepał Harryego po ramieniu. Pappas milczał chwilę, nie patrząc na przyjaciela. Wreszcie odwrócił się do Adriana i rzekł: - Zgoda. Ale pod warunkiem, że powiesz sir Davidowi, że pracuję z wami, a nie dla was.

TEHERAN

W pewien piątkowy wieczór na początku października doktor Karim Molavi postanowił odwiedzić swojego stryja Da-raba, który mieszkał na zachodnim przedmieściu, znanym jako Sadeghiyeh. Chciał sprawdzić w Internecie, czy przyszła odpowiedź na jego wezwanie pomocy, ale bał się skorzystać z któregoś z komputerów, których używał wcześniej. „Tej jesieni w Teheranie jest zimno. Myślę, że musimy wyjechać na wakacje”. Nie prosił o odpowiedź, był jednak pewien, że nadeszła. Jeśli ją przeczyta, czuje się mniej samotny. Nie chciał wystawiać na niebezpieczeństwo stryja Dara-ba i cioci Nasrin, ale nie zdołał wymyślić lepszego sposobu na sprawdzenie swojego konta w sieci. Stryj prowadził firmę przewozową, na tyle dochodową, że kupił sobie nową willę niedaleko parku Pardisan. I nowy komputer dla dzieci. Mo-lavi pomógł mu go zainstalować, kiedy wielkie pudło przyjechało ze Stambułu w zeszły Nowruz.

Nie zadzwonił, by zapowiedzieć swoją wizytę. Bał się zrobić nawet coś takiego. I nie pojechał tam bezpośrednio. Ze swojego mieszkania w Yoosef Abad poszedł na plac Argentin, do stacji metra Mosalla. W piątki metro nie było takie zatłoczone jak w inne dni tygodnia. Wybrał linię pierwszą, na południe. Kobięcy głos podawał nazwy kolejnych stacji: Męczennika Behesti, Męczennika Mofateha. Molavi wyglądał przez okno, próbując się opanować. Na kilku stacjach wstawał i podchodził do drzwi, by zobaczyć, czy ktoś za nim pójdzie, ale nikogo nie zauważył. Na stacji Imama Chomeiniego przesiadł się na linię drugą i nią dojechał do Bagarestan. Tam wyszedł z metra i obszedł spacerkiem gmach parlamentu. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził, ale jeśli są dobrzy, i tak by ich nie zobaczył.

Minął kilka przecznic i dotarł do stacji Melat. Przed wejściem do metra kupił drogie belgijskie czekoladki dla Nasrin i książkę dla Daraba, Przyszłość wolności Fareeda Zakarii przetłumaczoną na perski. Stryj się zdenerwuje, ale będzie pod wrażeniem. Nieautoryzowana filia Baskin-Robbins była otwarta, więc kupił lody dla dzieci.

Wysłał do Daraba sms-a z informacją, że jest w pobliżu i chciałby wpaść. Chwilę później dostał odpowiedź: stryj zapraszał go na kolację. Oczywiście, że to zrobił. Uważał, że jego bratanek jest odnoszącym sukcesy młodym człowiekiem wykonującym ważną pracę, o której się nie mówi. Karim podejrzewał, że stryj trochę się go boi.

Ruszył w stronę stacji. Teraz tłok był większy, bo wszyscy wracali z piątkowych wypraw do parków. Zanim dotarł do wejścia, wyciągnął z kieszeni czapkę i nasunął ją na czoło, żeby ukryć twarz. Na pewno mają na wszystkich stacjach kamery rejestrujące, kto wsiada, a kto wysiada. Nie ułatwi im zadania. Przejechał dziesięć stacji na zachód, słuchając turkotu pociągu i ściskając torbę z prezentami. Miał nadzieję, że lody się nie roztopią. Kiedy dotarł do końcowej stacji na placu Sadeghiyeh, wysiadł i przeszedł kilka przecznic, aż dotarł do domu stryja. Po drodze zatrzymał się parę razy, a raz celowo skręcił w ślepą uliczkę. Nie zauważył, żeby ktoś za nim szedł.

Stryjostwo powitało go uściskami i pocałunkami. Darab miał lekką nadwagę, cienki wąsik i bystre spojrzenie. Nasrin

była piękną kobietą, która sobie pofolgowała i teraz przynależała do kalifatu jedzenia. Zaprosili go do salonu, gdzie na kanapach i fotelach wciąż były foliowe pokrowce. Nie widzieli drogiego bratanka od wielu miesięcy. Gdzie się podziewał? Jest taki chudy. Czy dobrze się odżywia? Na pewno nie. Potrzebna mu żona.

Karim czuł się skrzepowany. Darab i Nasrin nudzili go. Byli bee-farhang, prymitywną burżuazyjną rodziną, która wzbogaciła się na ochłapach rzucanych przez reżim- najgorsza rzecz, jaką porządny Irańczyk może o kimś powiedzieć. Jednym z cichych współników stryja

w firmie transportowej była rodzina duchownych z Kom. Karim wątpił, żeby Darab modlił się chociaż raz w roku, nie wspominając już o pięciu razach dziennie, ale udawał, jak wszyscy inni. Tak jak on sam jeszcze kilka miesięcy temu, uświadomił sobie. Kim jest, żeby osądzać innych?

Stryj zapewnił, że podoba mu się amerykańska książka.

- Ufają ci - powiedział i puścił oko do bratanka.

Tak, odparł Karim. Ufają mi. Miał nadzieję, że Darab nie będzie miał dużych kłopotów, jeśli coś pójdzie źle. Stryj jest dupkiem, ale nie zasłużył na cierpienie z powodu jego wewnętrznego przymusu, by coś zmienić.

- To straszne, co stało się z Hosejmem - rzekł stryj, kiedy Nasrin poszła do kuchni. - Dlaczego zmusili go do odejścia? Kochał Pasdaran. To niesprawiedliwe.

- Tak, stryju. Bardzo mi żał Hosejna. Nie powinni byli tak go potraktować.

- Co on zrobił? - spytał Darab szeptem. - Czy coś bardzo złego?

- Nie - odparł Karim. - Miał niewłaściwych przyjaciół. Do jego sekcji przyszli nowi ludzie i w coś go wrobili, żeby im nie przeszkadzał. Ale nie sądzę, żeby to była prawda.

- Próbowalesz mu pomóc? Masz wpływy. Wiem o tym.

- Zrobiłem, co mogłem - odparł Karim i spuścił wzrok. Było mu głupio. Tak naprawdę nie zrobił nic, żeby pomóc kuzynowi. Za bardzo się bał.

- To było dla mnie trudne - wyznał stryj. - Hosejn bardzo mi pomagał. Znał ludzi, którzy się liczą. Kiedy miałem jakiś problem, pomagał mi go rozwiązać. A teraz muszę szukać innych sposobów. - Spojrzał wyczekująco na Karima.

Więc o to chodziło. Stryj Darab wcale nie żałował kuzyna Hosejna, tylko tego, że stracił kontakty w Gwardii Rewolucyjnej.

- Chciałbym pomóc - powiedział Karim - ale rozumiesz, moja praca jest związana z nauką. Nie spotykam się z politykami.

- Nigdy bym cię o to nie prosił, mój drogi. Nigdy. Ale niełatwy jest los biznesmena. Tyle rąk się wyciąga. Na szczęście dobrze nam się wiedzie. Otwieram nowe biuro w Ban-dar-e Abbas. Co by na to powiedział twój ojciec, gdyby żył? Jego mały braciszek Darab odniósł sukces - ma trzy biura i nowy dom. Byłby ze mnie dumny, niech jego dusza spoczywa w spokoju.

- Na pewno byłby bardzo szczęśliwy - zapewnił Karim. Pomyślał o pogardzie, jaką ojciec czuł aż do śmierci dla obłudnych chwalców nowego Iranu, takich jak drogi stryj Darab.

???

Nasrin podała całe góry jedzenia. W niedługim czasie między sms-em Karima a jego przybyciem zdołała jakimś cudem przyrządzić mieloną jagnięcinę chelo kebab na gorze ryżu, piezonego kurczaka pokrytego desenjun, sosem z granatów, orzechów włoskich i kardamonu, oraz dolme bademjun, bakłażany nadziewane mięsem i rodzynkami. Był to najlepszy posiłek, jaki Karim jadł od tygodni, więc niemal rzucił się na jedzenie, ku niezmiernej radości Nasrin. Potem przyniosła domowe słodczyce oraz - z szacunku dla gościa - lody Baskin-Robbins, ale Karim nie dał już rady zjeść deseru.

???

Po kawie Karim zaproponował, że pogra na komputerze z dziećmi, dwunastoletnim Alim i sześciolatkiem Azade-hem. Stryj miał dość szybkie łącze u jednego z dostawców satelitarnych. Karim wiedział o tym, bo sam pomagał mu je skonfigurować. Grał przez chwilę z chłopcami na perskich stronach dla dzieci, ale obaj szybko się zmęczyli i położyli na podłodze w pokoju zabaw. Nasrin zmywała w kuchni, a Darab rozmawiał w salonie przez telefon.

Karim miał niewiele czasu. Ciotka i stryj lada chwila przyjdą położyć synów do łóżek.

Pomyślał, że sprawdzi konto „doktora Alego” na Hotmailu, ale w końcu uznał, że to zbyt niebezpieczne. Przenieśli się przecież na inny system. Wpisał adres Gmaila, a kiedy wyświetliła się strona, podał nazwę i hasło konta „iranmetalwork”, które stworzył wiele tygodni temu.

Serce biło mu jak oszalałe. Strach to twój przyjaciel, napomniął się w myślach. Żyj w nim. Wspinaj się na niego jak na górę. Konto na Gmailu musi być czyste. Dlaczego miałyby być inaczej? Miliony Irańczyków mają bezpłatne konta internetowe na Yahoo, Gmailu i MSN-ie. Władze nie są w stanie nadzorować ich wszystkich i na ile Karimowi było wiadomo, nawet nie próbują. Mimo to wahał się chwilę, zanim nacisnął enter, który miał go przenieść do świata tajemnic. Wreszcie to zrobił i jego żądanie pomknęło po kablach, łączach satelitarnych i światłowodach. W piątki Internet działał powoli. Ludzie siedzieli w domach i sprawdzali pocztę, grali w gry internetowe z dziećmi, ściągali muzykę i oglądali pornografię. Oczekiwanie trwało ponad minutę i na czole Karima pojawiły się kropelki potu. Ale w końcu na monitorze pojawiła się jego skrzynka. Wszedł w folder „Szkice” i znalazł wiadomość: Pracujemy nad planami wakacji. Załatwimy dla ciebie bilety. Uważaj na chłód. Unikaj zarazków i często myj ręce.

Przeczytał ją dwa razy, a potem zamknął. Poczł radosne uniesienie, jakby pochodzący z odległego źródła prąd przeszył jego ciało. Wszedł z Gmaila i otworzył popularną stronę prowadzoną przez konserwatywną gazetę „Kayhan” by zmylić tropy. Czytał artykuł o mahdyzmie, kiedy kilka minut później przyszła Nasrin, nucąc perską kołysankę. Wyłączył komputer i pomógł ciotce zanieść chłopców do łóżek.

??*

Darab zaproponował, że odwiezie bratanka do Yoosef Abad, i poczuł się lekko urażony, kiedy ten odmówił. Karim przeprosił i wyjaśnił, że potrzebuje ruchu po tak obfitej kolacji. Nasrin się to spodobało, więc obsypała go pocałunkami i wysłała w drogę.

Karim Molavi wyszedł z willi w Sadeghiyeh jak ogłuszony. Gdzieś tam, po drugiej stronie stawu, istniała dobroduszna i tajemnicza siła. Usłyszeli jego błaganie i zrozumieli je. Znajdą sposób, żeby go stąd wyciągnąć, nawet jeśli jest obserwowany i nie może podróżować w normalny sposób. Tacy są silni. Wkrótce do niego przyjdą. A tymczasem powinien unikać niebezpieczeństw. Trzymać się z dala od zarazków. Utrzymać się przy życiu.

Przeszedł kilka kilometrów skrajem parku Pardisan. Niektóre karuzele były jeszcze oświetlone. Kilka rodzin spacerowało po parkowych alejkach. Nawet wysoka iglica wieży komunikacyjnej w parku Nasr, którą uważał za architektonicznego potworka, tego wieczoru wydawała mu się prawie ładna. Nie był sam. Przyjadą po niego.

Złapał taksówkę i kazał kierowcy jechać do Yoosef Abad. Taksówkarz zgubił się na zjeździe z autostrady Kordestan, więc Karim musiał go prowadzić krok po kroku aż do ulicy Yazdani. Na wszelki wypadek kazał mu się zatrzymać przecznicę przed swoim domem. Kiedy wysiadł, wciąż pełen radosnego uniesienia, napomniął się w myślach, że teraz musi być szczególnie ostrożny. Ta niebezpieczna część dopiero się zaczynała. Powtarzał sobie perskie przysłowie. Nafasat az jayah garm darmiyad. Oddychasz w ciepłym miejscu. Innymi słowy, nie bądź zbyt optymistą. Niedługo znów poczuje chłód w kościach. Będzie czekał, aż przyjadą. Wszedł do mieszkania, zamknął drzwi na zasuwę, a potem siedział przez jakiś czas na kanapie, nie zapalając światła.

WASZYNGTON

Tym, którzy czuli nadchodzącą konfrontację z Iranem, Waszyngton wydawał się echem marca 2003 roku, kiedy Stany Zjednoczone najechały na Irak. Nikt nie chciał być ostatnim, który się dowie, więc ludzie związani z rządem zaczęli porozumiewawczo kiwać głowami, puszczać oko, robić aluzje i dawać do zrozumienia między wierszami. Kwestia amerykańskiego ataku na irańskie kompleksy nuklearne zaczęła wpływać na spotkaniach w Białym Domu, w Pentagonie i w Departamencie Stanu. Rzecznicy odmawiali komentarzy, no ale przecież zawsze tak postępowali w podobnych sytuacjach. Dziennikarze zadreżczali członków rządu, żeby zdradzili tajne plany, a gdy ci robili uniki, insynuowali, że są w nie zaangażowani. Sztaby ekspertów zaczęły płodzić raporty opracowane przy pomocy zajadłych

jak teriery emerytowanych wojskowych, rozważając, które cele w Iranie Stany Zjednoczone powinny zaatakować, jeśli zdecydują się na atak.

Nikt nie pytał, czy Stany Zjednoczone zamierzają zaatakować Iran. Pytano tylko - kiedy. Agencje informacyjne zaczęły się przygotowywać do relacjonowania konfliktu. Kilka gazet zwróciło się do Pentagonu z zapytaniem, czy możliwe będzie umieszczenie korespondentów przy oddziałach wojskowych. Operacja, która nie została ogłoszona, oficjalnie nie była omawiana, ba! nie została nawet uzgodniona przez przełożonych, na dryfującej wyspie stolicy już stała się faktem. Waszyngton przekonywał sam siebie, że czas ruszyć na wojnę.

Harry usprawiedliwił swoją poniedziałkową nieobecność grypą żołądkową, więc kiedy pojawił się w biurze we wtorkowy poranek, wszyscy pytali go, czy już czuje się lepiej. Zapewniał, że trochę lepiej, starając się przy tym przekonująco po-sapywać. Pod jego nieobecność ktoś umieścił tarczę na piersi imama Husajna. Harry roześmiał się, szczerze rozbawiony, ale ją zdjął. Potem poszedł do Marcii, a że właśnie rozmawiała przez telefon, przekazał jej tylko, że poranne spotkanie zespołu rozpocznie się o wpół do dziewiątej w jego gabinecie.

Marcia Hill, zanim jak zwykle przedstawiła cotygodniowe sprawozdanie, puściła do Harry ego oko. Ile wie?, zastanawiał się. Miała niesamowitą intuicję i potrafiła poznać, kiedy ktoś kłamie albo jest przerażony czy zdesperowany. Po trzydziestu latach nastroje Harry ego wyczuwała nawet lepiej niż jego żona. Ale cokolwiek wyczuła, miał pewność, że będzie trzymać język za zębami.

- Porozmawiajmy o działalności Wydziału Persja - powiedziała, zwracając się do zespołu. - Informowałam Harry ego na bieżąco, kiedy był chory, ale teraz chcę wprowadzić was.

- Oczywiście. - Pappas skinął głową. Więc to mu chciała powiedzieć, kiedy był w Londynie. Rzucali się na strefę Iranu, a ona go kryła. Kochana Marcia.

- Na polecenie dyrektora wysłaliśmy w ten weekend dodatkowych ludzi do Dubaju, Al-Dauhy, Stambułu i Erywa-nia. Zostali tymczasowo przydzieleni do naszego wydziału. W najbliższych tygodniach dostaniemy więcej ludzi, ale nie mamy żadnych wytycznych, co powinni robić. Jakies sugestie, Harry?

- Niech piszą raporty i nie płaczą się pod nogami. A tak w ogóle, to co to za ludzie?

- Połowa to zleceniobiorcy. Reszta - nasi emeryci. Wiem, to brzmi jak żart, ale Biały Dom chciał więcej ludzi, a innych nie mamy. Ci z Kapitolu twierdzą, że robimy za mało w sprawie Iranu. Przewodniczący komisji senackiej wydał wczoraj wieczorem oświadczenie dla prasy. Harry nie zamierzał udawać przed kolegami, że uważa to za dobry pomysł.

- Co mam powiedzieć? Że to idiotyzm? Przecież doskonale o tym wiecie, prawda? Nie rzuca się emerytów przeciwko takiemu celowi jak Iran.

Wszyscy pokiwali głowami. Ale w ich oczach było też podniecenie. Podobało im się, że ich mały wydział znalazł się w centrum wszechświata Agencji.

- Więc zajmujemy się tym... powoli - ciągnął Harry. - Nie spieszcie się z wysyłaniem ludzi. A kiedy już dotrą na miejsce, dopilnujcie, żeby nie zawracali głowy tym, którzy tam naprawdę pracują, dobrze? - Zwrócił się do Marcii. - Co jeszcze?

- Nie spodoba ci się to - ostrzegła.

- Zobaczymy. Mów śmiało.

- Nowe wytyczne w kwestii zbierania danych taktycznych. Wczoraj wieczorem przyszły z Pentagonu.

- Cholera! Czy to oznacza to, co myślę?

- Obawiam się, że tak. Mamy koordynować działania z Centcomem za pośrednictwem oficera łącznikowego w Tampie.

- Czego chcą?

- Identyfikacji i analizy celów. Informacji na temat ruchów wojsk: Gwardii Rewolucyjnej i regularnych oddziałów. Prognoz pogody z granicy iracko-tureckiej.

- Kurwa mać! Chcą zaatakować, prawda?

- Kto to może wiedzieć? Ale na pewno się szykują.

- Dobra, dajcie im, o co proszą. Centcom jest na pewno równie szczęśliwy jak my.

- Zgadza się - potwierdził Martin Vitter, szef operacyjny. - Rozmawiałem dziś rano z Tampa. Wczoraj robili uniki w nadziei, że wszystko rozejdzie się po kościach, a teraz przenoszą trzeci lotniskowiec do Zatoki. I wysyłają B-2 do Al-Udeid w Katarze.

- Chcą wystraszyć Iran? Bo z pewnością śmiertelnie wystraszą naszych przyjaciół. Co jeszcze, Marcio?

- Potrzebujemy zgody na nawiązanie kontaktu z BQBARK-2, kiedy zjawi się w Genewie.

- Przypomnij mi, kto to jest BQBARK-2.

- Irański minister spraw zagranicznych. Zbliżył się do niego BQBARK-1, gdy obaj byli w Paryżu, ale zerwał kontakt, kiedy wrócił do kraju. Teraz wysyłają go do swojej placówki ONZ-etowskiej w Genewie na sześciomiesięczną turę. Chcemy odnowić kontakt i przeciągnąć go na naszą stronę.

- Zna jakieś tajemnice?

- Raczej nie. Ale to kolejny skalp.

- Zwykła strata czasu, ale niech będzie. Może się tym zająć któryś z tych przerzuconych emerytów. Tylko nie spalcie kogoś, kogo moglibyśmy później wykorzystać. Jeszcze coś?

- Jest jeszcze... - Marcia zawiesiła głos i spojrzała na Harry'ego, niepewna, czy szef chce iść w tę stronę - ...ta sprawa z ograniczonym dostępem. Sprawa doktora Alego. Jak rozumiem, ty ją prowadzisz.

- Tak - przyznał. - Tulę ją do piersi.

Nie chciał mówić nic więcej, ale zdawał sobie sprawę, że musi. Wszyscy członkowie zespołu mieli dostęp do tego programu. Jeśli nic nie powie, zaczną się zastanawiać, co jest grane.

- Przedstawię wam tylko ogólny zarys, więcej naprawdę nie mogę. Współpracujemy z inną agencją, mającą na miejscu pewne możliwości, których my nie mamy. Próbujemy doprowadzić do spotkania. Jeśli nam się uda, sporządzimy standardowy protokół operacyjny. A jeżeli nie zdołamy nawiązać kontaktu, będziemy nadal zaglądać do skrzynki mailowej. Czy to jasne?

Pokiwali głowami. Nie rozumieli szczegółów, ale rozumieli, że szef pracuje nad sprawą i robi, co trzeba. Harry uśmiechnął się.

- Rozchmurzcie się, moi drodzy. Wiecie, co odpowiedział Warren Buffett, kiedy spytano go o strategię?

- Kto to jest Warren Buffett? - wyrwał się Vitter, nadgorliwy szef operacyjny.

Wszyscy aż jęknęli, zniesmaczeni jego ignorancją.

- Nikt specjalny, po prostu najbogatszy człowiek świata - odparł Harry. - Powiedział, że jego strategia polega na odbieraniu telefonów, bo najlepsze interesy to te nieplanowane. Więc nie dajmy się zwariować.

*??

Po zebraniu Marcia została w gabinecie szefa i nie zważając na przepisy, zapaliła papierosa. Smużki szarego dymu unosiły się nad jej głową.

- Co się dzieje, Harry? - zapytała. - Nie próbuj wstawiać mi kitu, że wszystko w porządku. Za dobrze cię znam. Gdzie byłeś w weekend?

- Tak między nami?

- A niby komu miałabym powiedzieć? Mojemu kotu?

- Byłem w Londynie. Współpracuję z SIS, bo oni mają możliwości, których my nie mamy. Zdobyliśmy nazwisko

i adres doktora Alego. Jeśli z nim nie porozmawiamy, te nawiedzone świry ze śródmieścia doprowadzą do jego śmierci.

- Czy admirał wie, co robisz?

- Nie wszystko, ale w razie wypadki podrzuci mi listek figowy.

- Nie daj się złapać, Harry. I powiedz, czy mogę ci w czymś pomóc.

- Możesz - odparł. - Kryj mnie tak jak dzisiaj, bo będę musiał jeszcze trochę pojeździć. No i staraj się powstrzymać Foxa i jego kumpli.

- A jeśli balon pęknie?

- O którym balonie mówisz? O irańskim?

- Nie, o twoim. Co mam robić, jeśli cię przyskrzynią?

- Kłamać.

Uśmiechnęła się i zgasła papierosa.

- Masz to jak w banku.

???

Harry chciał się skontaktować z Arthurem Foxem, ale jego sekretarka powiedziała, że jest u dyrektora. Pappas zadzwonił na prywatną linię szefa i spytał, czy może przyjść. Admirał powiedział, że oczywiście, że właśnie miał do niego dzwonić i zaprosić na spotkanie.

Ewidentnie kłamał.

???

Kiedy Harry wszedł do gabinetu dyrektora, admirał bawił się jednym z modeli okrętów stojących na jego biurku. Fox siedział na kanapie ustawionej pod oknem, przez które widać było wysokie drzewa rosnące wokół parkingu. Jak zawsze był w szytym na miarę garniturze ze znaczkiem Ivy League w klapie marynarki.

- Harry Pappas powstał z martwych! - wykrzyknął. - Przykro mi z powodu grypy. Brakowało nam cię.

- Nie wątpię, Arthurze. Ale założę się, że poradziliście sobie sami.

- Bez trudu. Wszyscy tu jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną - powiedział dyrektor. - Właśnie rozmawialiśmy o tym, dokąd zmierzamy, ponieważ Biały Dom dał nam nowe wytyczne co do Iranu.

- Jakie? - zapytał Harry. - Oczywiście jeśli mam mieć dostęp.

- To też przegapiłeś - powiedział Fox. - Wczoraj odbyło się kolejne spotkanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Pytano o ciebie. Życzono ci zdrowia. Takie rzeczy.

Harry zignorował Foxa. Był jak jazgotliwy pies. Im głośniej czekał, tym większą miał ochotę wyciągnąć pistolet i go zastrzelić.

- Chcą to upublicznić - wyjaśnił dyrektor. - Ujawnić nowe dowody dotyczące programu nuklearnego na wielkiej konferencji prasowej w najlepszym czasie antenowym, za tydzień, najwyżej dwa. Później nałożą embargo na Iran. Najpierw morskie, potem powietrzne.

- Zupełnie jak w kryzysie kubańskim - stwierdził Harry.

- Dokładnie - odparł Fox.

- Nie zamierzają przedstawić sprawy w ONZ?

- Nie. Nikt nie chce kolejnego występu w stylu Colina Powella.

Pappas pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę, że zmierzają w tym kierunku, ale martwił go ten pośpiech.

- Ile szczegółów na temat irańskiego programu chce ujawnić Biały Dom?

Za dyrektora, do którego skierowane było pytanie, odpowiedział Fox.

- Wszystko co mamy. Polecenie Applemana.

- Ale to, co mamy, nie jest jednoznacznie. I zabijemy w ten sposób naszego człowieka.

- Nie da się tego uniknąć. Ofiara wojny.

Harry popatrzył na dyrektora. Bawił się innym modelem, tym razem okrętu podwodnego, który wyglądał jak duża szara kielbaska.

- Zgadza się pan z tym, admirale? Admirał skinął głową.
- Obawiam się, że tak, Harry.
- A jeżeli jakiś szalony dupek z Gwardii Rewolucyjnej uzna, że dostanie przepustkę do raj, jeśli zatopi któryś nasz statek w Zatoce? Co wtedy zrobimy?
- Zaatakujemy, rzecz jasna - odparł Fox.
- Już łapię - stwierdził Harry. - Chcicie ich sprowokować. Żeby mieć pretekst.
- Powiedzmy, że Biały Dom nie będzie tym zmartwiony.
- Cholera - mruknął Pappas. - Popelniacie duży błąd. Wszystko mi mówi, że źle to odczytujecie.

Dyrektor milczał. Harry nie był pewien, co myśli admirał, ale przypuszczał, że podziela jego wątpliwości.

- To naprawdę bez znaczenia, co o tym sądzisz - powiedział Fox. - Decyzja zapadła, a my rozmawiamy o wprowadzeniu jej w życie. Teraz powinieneś myśleć o wywiadzie taktycznym. Żeby wesprzeć naszych odważnych żołnierzy i lotników, którzy wkrótce mogą ruszyć do boju.
- Ile mamy czasu? - spytał Harry.
- Do konferencji prasowej? Tydzień, góra dwa.
- Po co ten pośpiech?
- Ponieważ prezydent chce okazać stanowczość - oznajmił Fox. - Ten problem sam nie zniknie. Rządzenie polega na podejmowaniu trudnych decyzji. Ale to nie twoja liga, prawda, Harry? Wy zawsze chcecie więcej czasu. Niestety, czas już się skończył.
- Ale dlaczego, na miłość boską? Nikt nic nie wie o naszych nowych danych. Dlaczego nawet nie staramy się zrozumieć, co oznaczają?
- Mylisz się, Harry, sądząc, że nikt nie wie - odparł Fox. - Izraelczycy wiedzą. Ich premier zadzwonił w weekend do prezydenta. Powiedział, że jeśli Stany Zjednoczone nie zareagują, zrobią to inni.
- Kurwa! Jak się dowiedzieli? - Pappas łypnął na niego spode łba.
- Nie bądź naiwny. To jest Waszyngton. Tu niczego nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Arthur był wyraźnie zadowolony z siebie. Harry podejrzewał, że to on jest odpowiedzialny za przeciek.
- Admirale? - spytał, ale dyrektor strząsał właśnie jakąś nitkę z odprasowanego munduru. Udał, że nie słyszy.

???

Następne trzy kwadransy rozmawiali o rozkazach wydanych przez międzyagencyjną grupę specjalną, prowadzącą obecnie politykę irańską zamiast Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Harry był ciekaw, jak dyrektor chce wykorzystać dodatkowych ludzi przerzuconych do Wydziału Operacji Irańskich, ale admirał nie miał pomysłu. Chciał tylko zabezpieczyć się na wypadek, gdyby ktoś potem spytał, czy do tego zadania skierowano wystarczająco liczną grupę. Fox również nie miał żadnych sugestii, więc Pappas powiedział, że przygotuje plan operacyjny. Nie mógł powstrzymać się od cierpkiej uwagi, że sensowniej byłoby najpierw opracować plan, a dopiero potem przerzucać ludzi.

Następnie skupili się na wywiadzie taktycznym, który miał wspierać planowane embargo morskie i powietrzne

oraz późniejsze operacje wojskowe. Biały Dom chciał zmobilizować wszystkie zasoby, jakie Agencja posiadała w irańskiej armii i w Gwardii Rewolucyjnej. Nie było tego dużo, więc dyskusja nie zabrała wiele czasu. Kiedy skończyli, Harry spytał, czy może porozmawiać chwilę z admirałem w cztery oczy. Fox zaprotestował, ale tym razem dyrektor okazał nieco stanowczości i poprosił go, żeby wyszedł.

???

Usiedli obok siebie na kanapie. Była to dziwnie poufała konfiguracja, bez zwykłego bufora dystansu i obecności innych.

- Musi pan to opóźnić - powiedział Harry. - Potrzebujemy więcej czasu. Spieszmy się zupełnie bez powodu. To, że zabijemy w ten sposób agenta, jakoś przeżyję. Rzecz w tym, że całkiem niepotrzebnie zabijemy znacznie więcej ludzi.

- Wiem - przyznał dyrektor. - Ile czasu potrzebujesz?

- Miesiąca - odparł Harry. - Choć wolałbym dwa.

- Wykluczone. Słyszałeś Foxa. Ci ludzie są gotowi uderzyć.

- Trzy tygodnie - powiedział Harry. Zastanawiał się, jak szybko zespół Adriana zdoła przeniknąć do Iranu, odnaleźć Karima Mokwiego i umieścić go w bezpiecznym miejscu, żeby mogli z nim porozmawiać.

- Dwa tygodnie to wszystko, co mogę zrobić. Prezydent jest mniej zdeterminowany niż Arthur i jego koledzy, więc myślę, że da nam dwa tygodnie, jeśli mu powiem, że potrzebujemy tyle czasu, by skontaktować się z naszymi źródłami.

- No to biorę te dwa tygodnie, skoro więcej się nie da.

_ Co zamierzasz zrobić? Muszę coś powiedzieć prezydentowi.

Harry wyrzwał przez okno na drzewa rosnące przed budynkiem. Tegoroczny październik był chłodny, więc zaczęły

już tracić liście. Kępa klonów za parkingiem pałała czerwienią. Pappas zastanawiał się, czy powiedzieć dyrektorowi, co szykuje z Winklerem. Nie, uznał, to by otworzyło zbyt wiele drzwi i wywołało zbyt wiele pytań, na które nie miał dobrych odpowiedzi. Najlepszym wyjściem było milczenie. Sam ruszył tą drogą i musi iść nią dalej, do końca.

- Proszę powiedzieć prezydentowi, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby skontaktować się z naszym irańskim agentem w programie nuklearnym i wyciągnąć od niego więcej informacji.

- Jasne, ale co konkretnie zrobisz? - zapytał dyrektor.

- Nie wiem. Proszę więc powiedzieć prezydentowi, że próbuję uzyskać informacje, których potrzebuje, żeby podjąć mądrą decyzję. I żeby nie pociągał za spust, dopóki nie będę czegoś miał.

- A jeśli skończy się czas, a ty niczego nie zdasz?

Harry milczał. Chciałby powiedzieć, że w takim przypadku albo poprosi o więcej czasu, albo będzie kłamał, żeby opóźnić działania o następne kilka tygodni. Ale prawda była taka, że nie wiedział, co robi.

TEHERAN

Atrakcyjna cudzoziemka w apaszcze od Hermesa zawiązanej luźno na jasnych włosach podeszła do recepcji hotelu Aziz przy ulicy Esfandiar w północnym Teheranie. Mruczała coś pod nosem po niemiecku, ale do recepcjonisty zwróciła się po angielsku, którym mówiła z lekkim akcentem. Apartament na siódmym piętrze jest do przyjęcia. Bardzo przyjemny, bardzo czysty. Portierzy zanieśli jej bagaż na górę, wszystkie cztery walizki od Louisa Vuittona plus wielka kasetka na kosmetyki. Ale jest jeden problem. Potrzebuje dwóch kart, bo będzie miała gościa. On będzie przychodził i wychodził, więc musi mieć własną kartę. Przechyliła lekko głowę i uśmiechnęła się. Nie musi dalej wyjaśniać, prawda?

Kobieta była bardzo piękna, z jedwabistymi włosami wymykającymi się spod drogiej apaszki, z której usiłowała zrobić hijab. Mówiła głośno, więc wszyscy słyszeli, a kiedy recepcjonista podał jej drugą kartę, uśmiechnęła się promiennie, wyjęła z torebki dziesięć euro i położywszy banknot na recepcyjnej ladzie, ruszyła w stronę wind.

Żaden z Irańczyków, którzy ją obserwowali, łącznie z kilkoma zatrudnionymi w Ministerstwie Wywiadu, nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo właśnie zobaczył. Ta Niemka zapewne była kochanką kogoś wpływowego, elegancką, dobrze wychowaną

kurtyzaną z rodzaju tych, które towarzyszą międzynarodowym biznesmenom nawet w takich miastach

jak Teheran. Z punktu widzenia islamu była niemoralna, no ale przecież niemoralna jest większość zachodnich kobiet. Wnioski płynące z tych obserwacji zostały potwierdzone kilka godzin później, kiedy odwiedził ją bogaty irański biznesmen, który większość czasu spędzał w Londynie i we Frankfurcie. Mikrofony zainstalowane w sypialni apartamentu na siódmym piętrze przekazały dźwięki, które jednoznacznie świadczyły, że para uprawia seks - sądząc z odgłosów, bardzo namiętny i gwałtowny.

Jackie spędziła w apartamencie kilka godzin, czytając książkę. Irański dżentelmen, który tak naprawdę nie zdjął nawet ubrania, drzemał w fotelu. Kiedy zapadł zmrok, poszli do restauracji na dachu hotelu. Dokoła migotały światła północnego Teheranu, a nocne powietrze było przesycone zapachem roślin hodowanych w donicach. Zamówili wystawną kolację, a czekając na podanie potraw, oboje, jak przystało na podróżnych, rozmawiali przez komórki. Jackie wybrała numer młodego Jemeńczyka, który przybył do Iranu tego samego dnia.

Nazywał się Marwan, ale ona używała nazwiska Saleh. Mówiła po angielsku z niemieckim akcentem. Rozmowa trwała bardzo krótko: tylko potwierdzenie jutrzejszego porannego spotkania. Potem, z drugiego telefonu, Jackie zadzwoniła do salonu fryzjerskiego w hotelu Simorgh, najnowszego i najbardziej ekskluzywnego w mieście, i umówiła się na wizytę. Kiedy kelner przyniósł jedzenie, pograżyła się w ożywionej rozmowie ze swoim irańskim towarzyszem, prowadzonej na przemian po niemiecku i po angielsku. Przed opuszczeniem restauracji oboje podeszli do skraju tarasu i podziwiali panoramę nocnego Teheranu. Jackie pochyliła się nad jedną

z donic z roślinami. Nikt nie zauważył, jak wbiła w ziemię wąski przedmiot, tak głęboko, że wystawał tylko czubek. Odeszła, zostawiając w donicy antenę.

icick

Lot z Al-Dauhy był opóźniony z powodu burzy piaskowej, a kiedy samolot linii katarskich wreszcie wylądował na lotnisku Chomeiniego, Marwan miał problemy ze znalezieniem taksówki. Taksówkarze unikali pasażerów, których nie mogli oszukać, podwajając albo potrajając opłatę za kurs do centrum Teheranu, a Marwan w swoim tanim garniturze i krzykliwym krawacie wyglądał jak arabski hochsztapler, który prędzej sam oszuka kierowcę, niż da mu się naciągnąć. Ale w końcu i przed nim zatrzymała się taksówka, a kierowca zgodził się zawieźć go do hotelu New Naderi przy ulicy Jomhuri-ye Islami.

Hotel, duży, zaniedbany budynek, wznosił się w samym środku dzielnicy biznesowej, kilka przecznic od siedzib głównych irańskich banków - Melli, Sepah, Tejarat. Marwan zarezerwował na swoje operacyjne nazwisko, Mustafā Saleh, tani pokój. Standard odpowiadał cenie: pokój był obskurny, a jedyne okno wychodziło na podwórze tak wąskie, że przypominało szyb wentylacyjny.

Marwan rozpakował sfatygowaną walizkę, schował rzeczy do szuflad w komodzie i otworzył okno, żeby wpuścić do dusznego pomieszczenia trochę świeżego powietrza. Nawet gdyby pokój był obserwowany, nikt nie zauważyłby, jak przyczepił do zewnętrznej ściany, tuż za ramą okna, niewielki pręt. Drugi węzeł sieci komunikacyjnej znalazł się na miejscu.

Jemeński biznesmen poszedł na kolację do małej restauracji przy ulicy Sadi. Miał ze sobą komórkę, która została tak sprytnie skonfigurowana, że łączyła się z anteną przekaznikową, a za jej pośrednictwem z satelitą. Odebrał podczas kolacji krótki telefon od kobiety. Potem zadzwonił na trzecią komórkę, skonfigurowaną tak samo jak dwie poprzednie.

Włączyła się poczta głosowa, ale Marwan nie zostawił wiadomości. Wiedział, że jego pakistański brat jeszcze jest w drodze.

Hakim przyjechał z Pakistanu. Przekroczył granicę w Mirdzawe, gdzie wsiadł do autobusu, którego trasa wiodła autostradą A02 na południowy wschód, przez Zahedan i Kerman do

Jazd, ponurego miasteczka rojącego się od przemytników i handlarzy. Tam miał się przesiąść do autobusu jadącego na południowy zachód do Szirazu.

Ale to był Beludżystan. Autobus po kilku godzinach złapał gumę, a naprawa zajęła wiele godzin. Dotarli do Kerman z ośmiogodzinnym opóźnieniem. Hakim znalazł tani pensjonat, w którym przenocował, i następnego ranka ruszył do Jazd. Nie zdążył na pierwszy autobus do Szirazu, ale złapał drugi i w końcu dotarł do miasta, gdzie był zarejestrowany jako agent zaopatrzeniowy budowy. Do Teheranu pojechał prywatnym autokarem firmy Sayro Safar. Sziraz jest oddalony od stolicy kraju o prawie tysiąc kilometrów, więc autokar dotarł na dworzec południowy niedaleko parku Besat dopiero następnego dnia po południu.

Na dworcu Hakim wsiadł do grupowej taksówki, która zawiozła go na północ do hotelu Shams. Gdy się meldował w recepcji, był brudny i spocony, co czyniło jego przykrywkę bardzo realistyczną.

W ciasnym hotelowym pokoju znalazł ąibla wskazującą kierunek Mekki i akurat tyle miejsca, że dało się rozłożyć dywanik modlitewny. Podeszedł do nieszczelnego okna, przez które wpadały do środka zapachy i hałas pobliskiego targowiska. Udając, że próbuje je domknąć, znalazł szczelinę w zapleśniałej ramie i umieścił tam cienką antenę. Komórka zadzwoniła, kiedy położył się na łóżku i próbował zasnąć. To był Marwan. Sprawdzał, czy Hakim jest już na miejscu, i potwierdzał jutrzejsze spotkanie.

??*

Następnego ranka Jackie pojawiła się w hotelowym lobby o dziewiątej. Jej irański gość wyszedł wcześniej, o wpół do ósmej, wręczywszy portierowi hojny napiwek. Jackie była w czarnych skórzanych spodniach i długim zakiecie i miała rzucającą się w oczy torebkę od Fendiego. Zamówiła hotelową limuzynę i kazała się zawieźć do hotelu Simorgh.

Salon fryzjerski mieścił się na ostatnim piętrze. Jackie ruszyła przez lobby do wind. Nawet nie spojrzała na Araba w tanim garniturze, który nadchodził z przeciwnej strony.

Marwan stanął w windzie obok niej. Wyjęła z torebki coś, co wyglądało jak mały kamień z zakurzonego piaskowca, typowego dla tego regionu. Opuściła rękę i w tej samej chwili Marwan wyciągnął dłoń, wziął od niej kamień i schował do kieszeni. Wysiadł z windy o jedno piętro wcześniej niż ona, a potem zjechał z powrotem do lobby. Wyszedł na poranne słońce, niosąc w kieszeni przesyłkę przygotowaną dla doktora Karima Molawiego.

Marwan złapał taksówkę i pojechał aleją Vali Asr na północ do parku Mellat, jednego z największych i najpiękniejszych w Teheranie. Miał kilka godzin na znalezienie odpowiedniego miejsca na ukrycie przesyłki. Ruszył spacerkiem w stronę małego stawu przy wschodnim krańcu parku, ale było tam za dużo ludzi, więc skierował się ku zagajnikom i ogrodom w centralnej części. Posiedział trochę na ławce, obserwując ruch w okolicy i upewniając się, że nikt go nie śledzi. Odpowiednie miejsce musiało znajdować się z dala od głównej ścieżki, ale nie aż tak daleko, by podejście tam wzbudziło podejrzenia.

Ruszył ku południowej części parku przy autostradzie Niyayesh, gdzie było mniej spacerowiczów. Minął stadion drużyny Engelab i skręcił na ścieżkę prowadzącą do stawu nazwanego na cześć męczenników poległych w wojnie iracko-irańskiej. Idąc wzdłuż małego zagajnika po jej lewej stronie, liczył kroki. Pięćdziesiąt. Rozejrzył się po okolicy i stwierdził, że tego miejsca nie widać z głównej ścieżki.

Idealny schowek, pomyślał. Wyjął z kieszeni przesyłkę i położył za japońskim klonem. Wyglądała jak zwyczajny kamień. Kawalkiem żółtej kredy narysował pochyłą linię na pniu drzewa. Trudno ją było zauważyć, chyba że się specjalnie szukało. Wracając na główną ścieżkę, znów liczył kroki. Wyszły mu pięćdziesiąt dwa, ale to mieściło się w granicach błędu. Gdy szedł do południowego wyjścia, liczył ławki po prawej stronie ścieżki.

Przy czternastej zatrzymał się i wyjął z kieszeni niewielką kartkę, na której wcześniej napisał: Pracujemy nad planami wakacji. Załatwimy dla ciebie bilety. Pod spodem dopisał

drukowanymi literami wskazówki, jak dotrzeć na miejsce, i szczegółowe instrukcje: Dziś wieczorem w parku Mellat. Wejdź bramą przy Stawie Męczenników od strony autostrady Niyayesh. Skieruj się na północ, miń czternaście ławek po lewej stronie, skręć w lewo i przejdź pięćdziesiąt kroków do klonu oznaczonego żółtą kredą. Za nim znajdziesz kamień inny niż pozostałe. W środku będzie urządzenie. Wyjmij je, a kamień wyrzuć. Kiedy naciśniesz 1, będziesz mógł się z nami skontaktować.

Złożył kartkę na pół, żeby mieściła się w dłoni. ???

Mieli adres domowy i służbowy obiektu. Uznali, że domowy będzie bezpieczniejszy. Biuro w Jamaranie na pewno jest pod stałym nadzorem i każdy, kto by się tam kręcił, automatycznie stanie się podejrzany, bez względu na legendę. To była najtrudniejsza część operacji. Jeśli uda im się wszystko zrobić dobrze, cała reszta będzie prosta. Jeśli coś schrzanią, wystawią i siebie, i agenta.

Marwan zjadł lunch w taniej restauracji przy placu Jahad, niedaleko stadionu drużyny Esteghlal. Miał sporo czasu do spotkania z Hakimem o szesnastej, więc po lunchu wypił dwie kawy, a potem ruszył na wyznaczone miejsce. Umówili się na placu Farabaksh w dzielnicy Yoosef Abad, kilka przecznic na południe od mieszkania Karima Molawiego.

Hakim zjawił się punktualnie. Był ubrany jak robotnik z Azji Południowej, w kombinezon i przepoconą czapkę. W Teheranie przebywały tysiące robotników z Pakistanu i Afganistanu. Zatrudniano ich do prac, które mieszkańcy stolicy uważali za poniżej swojej godności, takich jak sprzątanie ulic i rynsztoków czy proste prace na budowach. Stanowili więc zwyczajny widok - zwłaszcza pod koniec dnia, kiedy wracali do tanich pensjonatów i obozów, w których mieszkali.

Marwan zatrzymał się obok Hakima w grupie ludzi stojących przed przejściem dla pieszych. Na przeciwległym krańcu placu stał policjant w zielonym mundurze i wypisywał mandat. Gdy ludzie ruszyli, Marwan lekko otarł się o Hakima i w ciągu tego krótkiego kontaktu wsunął mu w dłoń złożoną kartkę z opisem miejsca ukrycia nadajnika. Wymiana byłaby niewidoczna, nawet gdyby ktoś ich obserwował.

Teraz Marwan był czysty; niebezpieczny dowód przekazał młodemu Pakistańczykowi. Znalazłszy się na drugiej stronie placu, Hakim ruszył ulicą Shahriar i minął sześć przecznic dzielących go od ulicy Yazdani. Szedł lekko zgarbiony i ze spuszczoną głową - uległy Pakistańczyk na perskim dworze. Żaden z nielicznych przechodniów nawet nie rzączył na niego spojrzeć. Równie dobrze mógł być bezpańskim psem.

Skręcił w lewo w ulicę Yazdrani i odszukał dom oznaczony numerem 29. To był dom Karima Molawiego; mieszkał tu z drugim lokatorem, który zajmował piętro. Hakim usiadł na krawężniku. Gdyby ktoś go zapytał, co tu robi, miał powiedzieć mashin, mashin, jakby czekał na transport, a potem mówić coś w urdu. Ale jeśli będzie wyglądał pokornie i nieszkodliwie, nikt nie powinien zwrócić na niego uwagi. Uprzedzenia i stereotypy bywają przydatne: ludzie nie zadają pewnych pytań, bo sądzą, że z góry znają odpowiedź.

Hakim siedział zgarbiony, tak że ramionami niemal dotykał kolan, i kątem oka obserwował ulicę. Przed wyjazdem z Londynu dokładnie obejrzał niewyraźne zdjęcie operacyjne Mokwiego. Obiekt powinien wrócić do domu między piątą a szóstą po południu. Hakim czekał. W papierowej torbie miał książkę założoną na stronie, którą wskazał pan Fellows, z kilkoma linijkami zakreślonymi na żółto.

Powiedział: „Czy te znaki zwiastują dobro czy zło”:

Kiedy zakończy się moje ziemskie życie?

Kto przyjdzie po mnie? Powiedz, kto otrzyma

Tę królewską koronę i pas, i tron.

Ujawnij tę tajemnicę i nie kłam.

Przełącz mi ten sekret albo gotuj się na śmierć”.

To był fragment perskiego poematu, który Karim Molavi wysłał w eter wiele tygodni temu. Jeśli obiekt nie rozpozna cytatu, operacja zostanie przerwana.

???

Październikowe słońce zniżało się ku zachodowi. Wkrótce zrobi się ciemno i niebezpiecznie będzie dłużej siedzieć na krawężniku. Ludzie zaczną się zastanawiać, co robi tu po zmierzchu cudzoziemski robotnik. Hakim spojrzął na zegarek. Prawie szósta. Miał czekać do szóstej piętnaście, a potem zejść z posterunku. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Raz po raz rozlegał się odgłos kroków - ludzie wracali z pracy do domów. Ci nieliczni, którzy raczyli spojrzeć na Hakima, robili to z wyraźną niechęcią, ktoś mruknął nawet: Boro gom sho! - Spadaj - ale na szczęście nie zrobił nic więcej.

O szóstej dziesiątej Hakim dostrzegł wysokiego mężczyznę w czarnym garniturze zbliżającego się do willi. Mimo zapadającego zmroku miał okulary przeciwsłoneczne, więc trudno było zobaczyć twarz. Szedł zwawym krokiem, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Kiedy skręcił na betonową ścieżkę prowadzącą do drzwi budynku z numerem 29, Hakim wstał i ruszył za nim.

- Doktorze Molavi, chciałbym panu przeczytać fragment pewnego poematu - szepnął po angielsku. - Może pan go zna.

Przeobraził się w jednej chwili. Mówił doskonałą angielszczyzną, a wszystkie pokorne gesty zniknęły.

- Fragment poematu - powtórzył, wskazując okładkę książki.

Zaskoczony Molavi cofnął się kilka kroków w stronę domu, zdjął ciemne okulary i spojrzął Pakistańczykowi w oczy.

- Podejź no, chłopcze - powiedział po chwili.

Hakim podszedł, kryjąc się w cieniu, i podał Irańczyko-wi książkę otwartą na zaznaczonej stronie. Molavi przeczytał zakreślony ustęp, pokręcił głową i wymruczał po persku zdanie, którego Pakistańczyk nie zrozumiał: Gheyre ghabel e fahm.

Hakim podszedł jeszcze bliżej, szybkim ruchem wsunął złożoną kartkę w dłoń Molawiego, a gdy Irańczyk ją przyjął, oddalił się.

Molavi włożył kartkę do kieszeni, a chwilę później zniknął w domu.

TEHERAN

Karim Molavi ciężko opadł na fotel i próbował ochłonać. Stało się niemożliwe. Przyjechali do niego. Czubki palców nadal mrowiły go w miejscu, gdzie zetknęły się z ręką cudzoziemca. Włożył słuchawki iPoda i włączył hinduską muzykę w nadziei, że to go uspokoi, ale nie mógł się skoncentrować.

Znów spojrzął na kartkę i odczytał dwa pierwsze zdania: „Pracujemy nad planami wakacji. Załatwimy dla ciebie bilety”. Obiecali, że przyjadą, i przyjechali. Przekazali instrukcje, jak znaleźć „urządzenie”, ale nie podali dokładnego czasu jego odebrania. „Dziś wieczorem”, napisali tylko. Molavi postanowił pójść tam od razu, zanim któryś z sąsiadów powie basij o brudnym cudzoziemcu kręcącym się po zmierzchu na ulicy.

Znalazł w lodówce resztki baraniego kebabu. Odgrzał je w mikrofalówce i owinął w kawałek chleba, ale był zbyt zdenerwowany, żeby jeść. Zdjął z półki jeden z albumów ze zdjęciami i popatrzył na fotografię ojca sprzed kilkudziesięciu lat. Oczy ojca były dzikie i nieuleknione. Nigdy nie pokazuj im, że się boisz, powiedział mu przed śmiercią. Strach jest twoim sprzymierzeńcem. Przyjmij go. Nie bój się bać, bo inaczej zobaczą.

Molavi odłożył album i sięgnął po książkowy plan Teheranu. Znalazł stronę z parkiem Mellat i zastanawiał się dłuższą chwilę, jak bezpiecznie dotrzeć na miejsce. Kiedy już obmyślił trasę, wziął kartkę leżącą na stoliku koło fotela. Za-

niósł ją do łazienki, spalił w umywalce, a resztki wrzucił do sedesu i spuścił wodę.

Spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Grzywa czarnych włosów, gęsta broda, oczy rozszerzone ze strachu i tęsknoty. Czego się boi? Przecież to jest jego chwila. Wiele miesięcy temu

wrzucił do wody mały kamyk, a fale wróciły do niego, żeby zabrać go na „wakacje”. Dłonie mu się trzęsły. Wyciągnął ręce przed siebie i starał się opanować ich drżenie. Wrócił do pokoju, podszedł do szafy i wyjął kurtkę, gdyż październikowe wieczory były chłodne. Zanim ruszył do drzwi, wziął ze szuflady latarkę, którą schował do kieszeni.

Wyszedł na ulicę. Noc była pogodna, na niebie świecił cienki półksiężyc, a mimo smogu i świateł Teheranu widać też było kilka gwiazd. Molavi postanowił pojechać do parku okrężną drogą. Poszedł na stację metra Moffateh, prawie milę od domu, i wsiadł do pociągu jadącego na północ. Wsiadł na końcowej stacji Mirdamad. Nie rozglądał się w poszukiwaniu ogona. Jeśli go obserwują, i tak ich nie zauważą. Minął kilka przecznic, wsiadł do taksówki i pojechał na plac Piroozi, kawałek na zachód od parku Mellat. Stamtąd ruszył niespiesznie wzdłuż południowego krańca parku, aż dotarł do alejki prowadzącej do Stawu Męczenników. Ogarnęło go coś w rodzaju spokoju. Jest zwyczajnym młodym fizykiem jądrowym, który wybrał się do parku na wieczorny spacer. Kto mógł twierdzić, że chodzi o coś jeszcze? ???

Gdy Molavi skręcił w boczną ścieżkę, wychodziła z niej właśnie jakaś rozchichotana para. Dziewczyna poprawiała płaszcz, żeby zakryć pupę. To tu przychodzili młodzi Irańczycy, którzy chcieli być razem, a nie stać ich było na inne miejsce, i dlatego policja patrolowała park. Ale na pewno nie

zwrócić uwagi na samotnego mężczyznę na spacerze. Ruszył na północ, licząc ławki. Minęła go kolejna para. Spojrzeli na niego nieufnie. Może pomyśleli, że jest policjantem w cywilu. Kiedy dotarł do czternastej ławki i nie zobaczył po lewej żadnych drzew, na chwilę spanikował. Czyżby się pomylił? Minął kolejną ławkę i zaraz za wniesieniem zobaczył coś, co mogło być zagajnikiem. Skierował się tam, odliczając kroki.

Znalazłszy się przy klonach, pomyślał, że po ciemku nie zauważą żółtego znaku na pnium. Sięgnął po latarkę, ale po chwili schował ją z powrotem do kieszeni. Nie, to zbyt niebezpieczne, uznał i zaczął oglądać kolejne drzewa, z nosem tuż przy korze. Usłyszał kroki na ścieżce i zamarł w bezruchu, czekając, aż umilkną. Serce biło mu za szybko. Strach przejmował kontrolę. Obejrzał wszystkie pnie. Ani śladu znaku.

Przygryzł mocno wargę, by opanować ogarniającą go panikę. Zaczął jeszcze raz i wreszcie na klonie w głębi zagajnika dostrzegł żółtą linię, niżej, niż szukał wcześniej. Objął pień, jakby to była lina ratunkowa, i przeszedł na drugą stronę. Przykucnął i zaczął macać w poszukiwaniu kamienia, który nie był kamieniem. Podniósł jeden, drugi, a w końcu dotknął czegoś, co okazało się plastikiem. Włożył to do kieszeni. Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie. Teraz naprawdę był szpiegiem, wrogiem państwa. To, co miał w kieszeni, było wyrokiem śmierci. Zmusił się, żeby zrobić krok, potem drugi, aż znalazł się znowu na ścieżce. Od strony stawu nadchodzili kolejni kochankowie, a za nimi policjant. Molavi próbował kontrolować strach. Policjant zbliżał się do niego. Był młody, miał gęstą brodę i rozbiegane oczy o wścibskim spojrzeniu, jakby lubił tropić kryjących się w krzakach kochanków.

Molavi zatrzymał się. Dłonie miał wilgotne od potu. Policjant coś do niego powiedział.

Movazeh bashin! Uważaj! Park niedługo zamykają. Została jeszcze godzina.

Przez chwilę patrzył w milczeniu na policjanta, jakby nie mógł pojąć sensu jego słów.

Wreszcie kiwnął głową i odparł:

- Hajj agha, nochakeram. - Rozumiem, panie władzo. Dziękuję.

Odwrócił się i poszedł do wyjścia. Poczł ogromną ulgę. Skoro policjant napominał go, że już późno, to znaczy, że nikt go nie obserwował.

???

Molavi zastanawiał się, skąd nawiązać kontakt. Mieszkanie nie wchodziło w grę, mogli założyć mu podsłuch. Biuro też nie, ani żadna kawiarnia czy restauracja. Najlepiej zrobić to tutaj, w parku. Koło stadionu Engelab kręciło się kilka osób, ale po drugiej stronie, w ogrodach parkowych, było prawie pusto. Znalazł ławkę ukrytą w cieniu, usiadł i wyjął z

kieszeni plastikowy kamień. Przekręcił w jedną stronę, potem w drugą, szukając łączenia, i nagle kamień się otworzył. W środku był telefon komórkowy. Wcisnął jedynekę, przyłożył komórkę do ucha i czekał, aż ktoś odbierze.

???

Jackie siedziała w hotelowej restauracji na dachu, kiedy zadzwoniła jej specjalna komórka. Tego wieczoru jadła sama, a kelnerzy obsługiwali akurat inny stolik. Odebrała połączenie i zaczęła mówić po niemiecku, w języku, który, jak wiedziała, Karim Molavi zna.

- Przyjechaliśmy zabrać cię na wakacje. Słuchaj uważnie i zrób dokładnie to, co ci powiem.

- Dobrze - odparł Molavi. Ręka, w której trzymał telefon, drżała.

- Jutro wyjdź wcześniej z pracy. Powiedz, że źle się czujesz. Nie wracaj do domu, tylko od razu jedź na wschodni dworzec autobusowy. Tam wsiądź do autobusu do Sari nad Morzem Kaspijskim. Podróż potrwa około pięciu godzin. Nie mów nikomu, dokąd się wybierasz.

- Nie powiem - zapewnił Molavi. Był zaskoczony, że to kobieta wydaje rozkazy i że mówi po niemiecku. Ale na tym polegał sekret Amerykanów. Mogli zmienić się, w kogo chcieli.

- W Sari wynajmij pokój w hotelu Asram przy placu Golha. Następnego ranka zjedź na śniadanie do restauracji. Podejdzie do ciebie Arab i zapyta, czy jesteś doktorem Alim. Wie, jak wyglądasz. Zapytasz, z kim masz przyjemność, a on poda ci nazwisko Saleh. Kiedy wyjdzie z restauracji, idź za nim. Rozumiesz?

- Tak - powiedział Molavi.

- Powtórz, żebym miała pewność.

- Autobus do Sari. Hotel Asram. Pan Saleh.

- Niedługo będziesz bezpieczny, mój przyjacielu. Karim chciał zapytać, dokąd się udadzą, ale połączenie

zostało przerwane. Schował telefon do kieszeni, a plastikowy kamień wrzucił do stawu na skraju parku. Chwilę unosił się na wodzie, ale potem, dzięki Bogu, zatonął. Kiedy Molavi ruszył ku jaskrawo oświetlonej Vali Asr, czuł, że ogarniają go mdłości.

???

Następnego ranka wszedł jak zwykle do bezimiennego białego budynku, w którym pracował. W czarnej skórzanej aktówce miał dwie pary slipek na zmianę, szczoteczkę do zębów i dezodorant w sztyfcie. Kiedy minął drzwi i pierwszą z kilku kamer nadzoru, uklonił się lekko recepcjonistce i ochroniarzowi. Być może widzi ich dziś po raz ostatni.

Szedł wolno, niemal powłócząc nogami, jak ktoś, kogo rozbiera fatalne przeziębienie. Mijając recepcję, zakasłał głośno - pusty dźwięk, niemal jak kichnięcie.

- Afiyat bashe - powiedziała recepcjonistka. Na zdrowie. Zapytała, czy dobrze się czuje.

- Zaif - odparł - Larz daram. Jest słaby i ma dreszcze.

Kobieta popatrzyła na niego ze szczerą troską. Biedny chłopiec, powiedziała. Dla starszych pracowników wciąż był chłopcem - zdolnym młodym fizykiem, który trzyma się na uboczu. Molavi zatrzymał się przed gabinetem doktora Bazargana i zakaszał ponownie, zanim wszedł do środka. Przeprosił, że nie podaje dyrektorowi ręki, ale nie chce go zarazić. Bazargan pokiwał głową ze współczuciem. Udawał, że jest zajęty, ale miał niewiele do roboty. Tak naprawdę był strażnikiem, a nie prawdziwym szefem. Zapytał Mokwiego, jak idą mu badania, a on odparł, że dobrze, chociaż - o czym dyrektor doskonale wiedział - ostatnio spędzał większość czasu na czytaniu pism naukowych. W tym miesiącu nie dali mu nic nowego do roboty. Gdy Molavi znowu zaniósł się kaszlem, dyrektor zasugerował, że powinien iść do domu i poczekać, aż poczuje się lepiej.

- Może później - odparł Molavi, kręcąc głową nad nieszczęściami świata i swoimi. - Sarma khordan. - Złapałem przeziębienie.

Przesiedział za biurkiem ponad godzinę, czytając najpierw gazety, a potem pisma naukowe ze Stanów. Od czasu do czasu kasłał dla podtrzymania efektu. Czytał o ostatnich odkryciach w

amerykańskich laboratoriach i zastanawiał się, jak to możliwe, że ta gigantyczna maszyna do robienia pie-

niędzy martwi się małym Iranem. Może Amerykanie mu to wyjaśnią? Zamknął oczy i wyobraził sobie że siedzi na pokładzie samolotu, który leci z Iranu do jakiegoś innego kraju. Na przykład do Niemiec. Pomyślał o Niemce, z którą przyjaźnił się w Heidelbergu. „Trudi” - teraz już wiedział, że to nie jest jej prawdziwe imię - miała duże piersi. Żałował, że ich nie dotknął, kiedy mu to zaproponowała. Budziła w nim jeszcze większe pożądanie, odkąd się dowiedział, że jest Żydówką.

Otworzył oczy i rozkaszał się znowu, aż naprawdę zabolало go gardło. Jak jeszcze może zmylić trop? Zadzwoił do kuzyna Hosejna, byłego oficera Gwardii Rewolucyjnej, i zaproponował, żeby w przyszłym tygodniu zjedli razem kolację. Kuzyn zgodził się i ustalili termin. Hosejn mówił pustym, lekko schrypniętym głosem, jakby już wypalił pierwszą fajkę opium.

- Basje? - spytał Molavi. Dobrze się czujesz? To było sprytne posunięcie. Ktokolwiek podsłuchuje, pomyśli, że chce pocieszyć nieszczęśliwego kuzyna wyrzuconego z Pasdaranu. ???

Irański przyjaciel Jackie przyjechał do hotelu Aziz wczesnym rankiem. Zeszła na dół i witając się z nim, objęła go czule, tak że recepcjonista i portier poczuli się zażenowani. Przez kilka dni nie będzie używać pokoju, poinformowała recepcjonistę tym swoim angielskim z twardym niemieckim akcentem. Przyjaciel zabiera ją do Isfahanu, pięknego miasta w centralnym Iranie, które było domem jego przodków. Zostawia część bagażu w pokoju, odbierze go, jak wróci. Wyciągnęła z torebki zwitek studolarówek, odliczyła dwa tysiące - choć należność za dotychczasowy pobyt wynosiła mniej niż połowę tej kwoty - i poprosiła, żeby przytrzymali pokój.

Recepcjonista oświadczył, że nie może przyjąć tylu pieniędzy, ale gdy nalegała, przyjął je z ochotą. Portier zaniósł

dwie walizki Jackie od Louisa Vuittona (pozostałe dwie zostały w hotelu) do bagażnika mercedesa jej irańskiego przyjaciela. Gdy oboje wsiedli do pięknego samochodu, Irańczyk otworzył dach i wiatr zwiął Jackie apaszkę, ukazując jedwabiste pasma jasnych włosów. ???

Molavi przeszedł na drugą stronę ulicy po kebabi na lunch i przyniósł jedzenie do swojego biura. Wyglądał tak żałośnie, że nawet ochroniarz przy wejściu, tęgi mężczyzna z twarzą zeszpeconą bliznami, pamiętając po wojnie iracko-irańskiej, powiedział mu, że powinien iść do domu i się położyć. Może później, wymamrotał Karim.

Poczują ulgę, kiedy jutro nie przyjdzie do pracy. Niech trzyma swoje zarazki w domu, powiedzą. Jeśli do niego zadzwonią i nikt nie odbierze, pomyślą, że poszedł do lekarza albo nawet do szpitala. A pojutrze będzie piątek i zacznie się muzułmański weekend. Minie tydzień, nim ktoś się nim zainteresuje.

Siedział przy biurku prawie do trzeciej. Wreszcie wstał, zapiął płaszcz aż po szyję, jakby miał dreszcze, po czym wziął neseser i ruszył do drzwi. Zatrzymał się przy gabinecie Ba-zargana, ale dyrektor wyszedł, więc powiedział sekretarce, że jest chory i idzie do domu. Sekretarka stwierdziła, że powinien iść do lekarza. Molavi zapewnił, że zrobi to jutro, jeśli nie poczuje się lepiej. Powłócząc nogami, ruszył korytarzem w stronę recepcji. Recepcjonistka odprowadzała go pełnym współczucia spojrzeniem.

???

Policja zatrzymała mercedesa, kiedy jechali autostradą Resalat. Młody funkcjonariusz z gęstą brodą patrzył na nich zmrużonymi, pełnymi podejrzliwości oczami. Nie podobało mu się, że europejska kobieta jedzie drogim samochodem z Irańczykiem. Gdy kierowca zapytał, o co chodzi, powiedział, że nie zapięli pasów. Jackie niemal się roześmiała, ale to

wcale nie było zabawne. Gliniarz poprosił o dowód rejestracyjny, a potem stwierdził, że coś jest nie w porządku i musi skontaktować się przez radio z przełożonymi.

Irańczyk był bystry. Spytał policjanta, czy może z nim porozmawiać w cztery oczy. Wysiadł i stanęli za samochodem, żeby nie było ich widać od strony szosy. Kierowca rozmawiał z funkcjonariuszem uprzejmym, niemal pokornym tonem, okazując mu szacunek. W pewnej chwili policjant zaczął się śmiać. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a Jackie zrozumiała, że w ten sposób przekazana została łapówka.

- Co mu powiedziałaś? - zapytała, gdy kierowca wrócił.

- Że jesteś niemiecką kurwą i że zapłaciłem ci tylko za kilka godzin. Poprosiłem, żeby się nade mną zlitował, jak mężczyzna nad mężczyzną. Powiedziałem też, że pożyczyłem ten samochód, żeby zrobić na tobie wrażenie.

I uwierzył?

- Oczywiście - odparł Irańczyk. - Mówiłem tylko to, w co już wierzył. Zrobiłem z tego kwestię honoru. Jeśli mnie aresztuje, stracę twarz, nie wspominając już o przyjemnościach seksualnych. Żaden Irańczyk nie upokorzy drugiego.

Jackie roześmiała się i pokręciła głową.

- Miałaś szczęście - stwierdziła. - Ale nie daj się więcej zatrzymać.

SARI. IRAN

Karim Molavi wyszedł z białego budynku i wsiadł do pierwszej z taksówek czekających na postoju po drugiej stronie ulicy. Starał się wyglądać na słabego i chorego, co wcale nie było łatwe, bo przepełniała go radość. Jego ucieczka właśnie się zaczęła. Kazał kierowcy jechać na ulicę Yazdeni w dzielnicy Yoosef Abad. Kobieta, z którą wczoraj rozmawiał, kazała mu jechać od razu na dworzec, ale uznał, że to nie byłoby mądre. Kiedy w przyszłym tygodniu nie pojawi się w pracy, mogą zapytać taksówkarza, dokąd zawiózł doktora Molaviego - go w stronę po południu. Kawalki układanki musiały do siebie pasować.

W domu zamienił czarny służbowy garnitur na sportowe spodnie, flanelową koszulę i kurtkę.

Wziął też czapkę, która częściowo zakrywała twarz. Zdjął skórzane mokasyny i włożył buty na gumowej podeszwie, na wypadek gdyby musiał dużo chodzić. Jak się ucieka z Iranu?

Przez góry czy przez pustynię? Nie miał pojęcia. Rzeczy z neseseru przełożył do prostej płóciennej torby i wrzucił jeszcze jedne slipy i kilka par skarpetek. Sprawdził portfel, by się upewnić, czy ma wszystkie dokumenty. Specjalny telefon schował do kieszeni. Szkoda, że zabrali mu paszport. No cóż, jego wybawcy będą musieli improwizować.

Ruszył do drzwi, ale w korytarzu zatrzymał się, uświadomiwszy sobie, że powinien tak wszystko zaaranżować, by

wyglądało na to, że wróci. Włożył trochę jedzenia do mikrofalówki i włączył telewizor w sypialni, cicho, żeby nie przeszkadzać sąsiadom. Co jeszcze? Napisał krótką listę rzeczy do zrobienia - odebrać pranie, iść do dentysty, kupić nową zasłonę prysznicową - i zostawił ją na biurku. Nikt nie myśli o kupowaniu nowej zasłony do prysznic, jeśli planuje ucieczkę z kraju.

Wyszedł z mieszkania tylnymi drzwiami i ruszył na północ, w kierunku przeciwnym niż zwykle. Minąwszy kilka przecznic, dotarł do placu Farhang, gdzie zatrzymał grupową taksówkę. Powiedział, że chce jechać na wschodni dworzec autobusowy.

- Dar baste? - spytał kierowca. Dosłownie oznaczało to „z zamkniętymi drzwiami” i było propozycją: taksówkarz nie weźmie innych pasażerów, jeśli Molavi odpowiednio zapłaci. Karim kiwnął głową. Im mniej ludzi go zobaczy, tym lepiej.

Usiadł z przodu, obok kierowcy. Na tablicy rozdzielczej leżał Koran, a z lusterka wstecznego zwisała jakaś maskotka. Na szczęście taksówkarz nie miał nastroju do rozmowy.

Popołudniowy ruch był duży, a powietrze tak gęste od spalin, że Molavi niemal się nim dławiał. Teraz naprawdę kaszłał.

Gdy dotarli na autostradę Damavand, spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta. Już nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wsiądzie do autobusu.

Na dworzec dojechali parę minut po czwartej. Molavi kupił bilet na autobus, który odjeżdżał o wpół do piątej. Miał dziwne wrażenie, że jest niewidzialny. Ludzie go widzieli, to prawda, ale nie mieli pojęcia, kim jest. Kupił w kiosku jakiś magazyn, kanapkę na drogę i butelkę wody mineralnej i czekał, aż będzie można wsiadać.

Autobusy dalekobieżne marki Volvo, o których Irańczycy mówią „superautobusy” nie mają osobnej sekcji dla mężczyzn i kobiet, w przeciwieństwie do miejskich, ale i tak kobiety usiadły z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami. Molavi wypatrzył wolne miejsce na tyle, gdzie najbardziej trzęsie, i miał nadzieję, że nikt się do niego nie dosiadzie.

Po kilku minutach kierowca zatrząbł głośno, ruszył i wyjechał z dworca. Karim, zadowolony, że nikt nie usiadł koło niego, ugryzł kanapkę. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin mógł się odprężyć.

???

Mijane krajobrazy były tak boleśnie piękne, że Molavi zastanawiał się, czy naprawdę chce opuścić Iran. Zostawiwszy za sobą zielone podmiejskie gaje, zaczęli się wspinać na strome zbocza gór Elburs, skąpane w złocistym blasku zachodzącego słońca. Wkrótce po zmierzchu wszedł księżyc; śnieg na szczytach skrzył się w jego srebrzystym świetle. Karim podziwiał wspaniałe widoki, pogryzając kanapkę i popijając wodę z butelki. Wreszcie oczy zaczęły mu się kleić i zapadł w drzemkę. Spał ponad godzinę. Kiedy się obudził, autobus zjeżdżał z gór w kierunku handlowych miast nad brzegiem Morza Kaspijskiego. Zatrzymali się w Amol, potem w Babol, a pół godziny później wjechali do starożytnego miasta Sari.

Molavi przyjeżdżał tu dość często z rodzicami, zanim matka zachorowała i nie mogła już podróżować. Autobus minął starówkę, nad którą górowała biała wieża zegarowa połyskująca w świetle reflektorów. Czy naprawdę pamiętał to miejsce, czy tylko wmawiał sobie, że pamięta?

Minęła dziewiąta, gdy zatrzymali się dworcu, o tej porze prawie pustym. Sprawiał wrażenie miejsca, z którego ludzie wyjeżdżają do większych miast, by już nigdy nie wrócić.

Molavi spytał jakiegoś pracownika dworca, jak dojechać do hotelu Asram na placu Golha. Okazało się, że to zaledwie kilkaset metrów od dworca, kilka minut na piechotę.

Hotel był nowoczesny i brzydki, połączenie bardzo częste w Iranie. Betonowa fasada w świetle czerwonych i zielonych reflektorów wydawała się jeszcze brzydsza. Molavi dostał pokój na jednym z wyższych pięter, z osobną łazienką i oknem wychodzącym na stare miasto. Nie był śpiący, a w hotelu czuł się nieswojo, więc postanowił się przejść. Na starówce wstąpił do kawiarenki przy zabytkowej fontannie i zamówił sok ze świeżych granatów. Sok był bardzo smaczny, słodki i zarazem orzeźwiający. Gdy wrócił do hotelu, uprał slipy i skarpetki w umywalce i powiesił je w otwartym oknie, żeby do rana wyschły. To pranie było symbolicznym aktem wiary, że rano obudzi się żywy. Spał nago, a tanie bawełniane prześcieradła drażniły mu skórę.

???

Jackie i jej irański przyjaciel jechali na północ. Minęli Ka-radż, a potem malowniczą drogą przez góry dotarli do Cza-lus nad Morzem Kaspijskim. Zatrzymali się na kolację w eleganckiej restauracji najdroższego w mieście hotelu Małek. Atmosfera była tu swobodniejsza niż w Teheranie, więc Jackie poluźniła apaszkę na głowie, jak wiele Iranek siedzących przy sąsiednich stolikach. Gdy weszła na chwilę do damskiej toalety, jakaś kobieta, zachwycona jej torebką, spytała po angielsku, gdzie można taką kupić. Usłyszawszy, że w Paryżu, wyraźnie się ucieszyła, bo, jak zwierzyła się Jackie, ma tam mieszkanie. Bogaty Irańczyk podróżujący z kochanką nadmorską trasą na wschód tak bardzo rzucali się w oczy, że co najmniej kilkanaście osób na pewno ich zapamięta.

Kiedy wyszli z restauracji, przy mercedesie czekał Pakistańczyk w czarnym garniturze i krawacie. Podłużną torbę, podobną do tych, jakie noszą tenisiści, włożył do bagażnika, po czym wsiadł na tylne siedzenie.

We troje ruszyli nadmorską drogą. Irańczyk i jego niemiecka przyjaciółka zatrzymali się na nocleg w Babol, kilka kilometrów od Sari. Wynajęli w hotelu Marjan sąsiednie pokoje. Pakistańczyk pojechał kawałek dalej na wschód.

???

Molawiego obudził śpiew muezina zwołującego wiernych na poranną modlitwę. Podeszedł do okna. Za dnia miasto wyglądało o wiele gorzej niż w nocy. Plac Golha i odchodzące od niego ulice były pełne samochodów, które trąbiły raz po raz, tonąc w chmurze cuchnących spalin. Oni gdzieś tu są, powiedział sobie Karim. Nie wiedział, dlaczego wyznaczili spotkanie akurat w tym prowincjonalnym miasteczku, ale był pewien, że po niego przyjdą. Wziął prysznic, ubrał się, spakował torbę i przez kilka minut siedział na łóżku, by zakotwiczyć się w czasie. Wreszcie wstał i zjechał windą do hotelowej restauracji na śniadanie.

Był głodny, więc nałożył sobie na talerz różne wędliny, kilka gatunków sera, sałatki i jajko na twardo. Ale gdy usiadł przy stoliku, stracił apetyt. Rozglądał się po sali w poszukiwaniu arabskiego biznesmena. Wytypował kilku mężczyzn, ale wszyscy byli zajęci jedzeniem. Gdy jeden z nich, postawny trzydziestolatek w dwurzędowej marynarce, wreszcie wstał od stołu, Molavi myślał, że do niego podejdzie, lecz mężczyzna skierował się do wyjścia.

Karim skończył śniadanie i pił drugą filiżankę kawy. Co zrobi, jeśli jednak po niego nie przyjdą? Tej jednej rzeczy nigdy sobie nie wyobrażał. Myślał tylko o dwóch możliwościach, ucieczce albo śmierci, nigdy nie sądził, że będzie siedział w kawiarni w dalekim prowincjonalnym mieście, a potem spakuje się i wróci do domu. Patrzył żałośnie w okno, gładząc się po kłującej czarnej brodzie, kiedy pierwszy mężczyzna znów zjawił się w jadalni. Zamiast wrócić do swojego stolika, ruszył w kierunku Mola-viego. Sala była teraz prawie pusta. Zatrzymał się kilka kroków od Irańczyka.

- Czy doktor Ali? - spytał cicho. Zachowywał się swobodnie i przyjacielsko.

- Tak - odparł Molavi. Poczul się, jakby jego ciało przeszył prąd elektryczny. Dopiero po chwili przypomniał sobie, co miał odpowiedzieć. - A z kim mam przyjemność? - zapytał niemal szeptem. Próbował się rozejrzeć, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, ale nie był w stanie.

- Nazywam się Saleh - rzekł Arab. Wyciągnął rękę i uśmiechnął się, jakby byli starymi przyjaciółmi. - Może przejdziemy się i obejrzymy miasto?

- Chętnie - powiedział Molavi. - Wspaniały pomysł.

???

Ruszyli ulicą Taleghani w kierunku drogi, która prowadziła nad morze, odległe o piętnaście mil na północ. Karim zapytał „pana Saleha”, kim jest naprawdę, ale ten odparł:

- Nie teraz, przyjacielu. Będziesz bezpieczny. To wystarczy. Porozmawiamy później.

Molavi kiwnął głową. Szli w milczeniu. Miasto budziło się do życia. Bazar na starówce wypełniał się kupcami. Mężczyźni wchodzili do miejscowego hammam wziąć poranną kąpiel parową.

Kiedy zbliżali się do placu Shohada, Saleh skręcił w boczną ulicę pełną zaparkowanych samochodów. Przeszedł jakieś dziesięć metrów i zatrzymał się przy nowym irańskim samandzie z elektrycznymi szybami i klimatyzacją. Wyjął z kieszeni kluczyki, otworzył pilotem drzwiczki i gestem wskazał Molawiemu miejsce za kierownicą. Karim stał nieruchomo. Nie był pewien, co powinien zrobić.

- Masz irańskie prawo jazdy? - spytał Arab. Molavi potwierdził.

- W takim razie prowadź, przyjacielu. - Wręczył mu kluczyki.

Molavi ze zdumieniem pokręcił głową.

- Kheyli zahmat keshidin - powiedział, siadając na fotelu kierowcy. Zadaliście sobie wiele trudu.

Początkowo jechał wolno, ale kiedy wyjechali z miasta, zrobił się śmielszy i przyspieszył.

- Jak wam się to wszystko udało? - spytał Saleha.

- Czary, mój przyjacielu - odparł Arab i mrugnął do niego. - Potrafimy tworzyć iluzje. Żyjesz teraz w jednej z nich. Odpręż się, bracie. Ciesz się wolnością.

??*

Dotarcie do wybrzeża zabrało im prawie godzinę. Droga była pełna samochodów teherańczyków, którzy przyjechali nad morze, by złapać ostatnie promienie jesiennego słońca. Po obu stronach stały domy wczasowe i wille, stłoczone ciasno jeden przy drugim.

Jechali na wschód przez Farahabad i Gohar Baran. Nie było policji, a sądząc z mijających ich samochodów, również ograniczeń prędkości. Kiedy zbliżyli się do granicy z Turkmenistanem, zabudowa zrobiła się nieco rzadsza. Saleh wyglądał w skupieniu przez okno. Najwyraźniej czegoś szukał.

- Skręć w lewo - powiedział, wskazując wąską brukowaną drogę. Na skrzyżowaniu wisiała mała flaga w barwach klubu piłkarskiego Esteghlal.

Molavi ruszył powoli dróżką. Po prawej zobaczył dom -starą nadmorską willę, która wyglądała, jakby nie była odnawiana od czasów szacha. Wydawała się opuszczona.

- Stań tutaj - polecił Saleh, a gdy Karim zatrzymał samochód, wysiadł, wyjął spod marynarki pistolet i ruszył wolno w stronę domu, celując przed siebie. Okrążył willę, zaglądając do okien, aż się upewnił, że jest pusta. Wrócił na front i otworzył drzwi garażu.

- Wprowadź tu samochód - polecił Molaviemu - a potem wejdź do domu.

???

Dwie godziny później na tej samej nadmorskiej drodze pojawił się mercedes, w którym jechały trzy osoby. Minał małą flagę Esteghlalu, ale zatrzymał się na następnym skrzyżowaniu. Z samochodu wysiadło dwoje ludzi, Hindus i europejska kobieta w czarnym czadorze. Spodni strój też miała czarny - spandex obcisły jak druga skóra - a jasne włosy spięła pod chustą w ciasny kok. Mężczyzna był ubrany jak wieśniak i niósł na ramionach duży plecak zupełnie niepasujący do stroju.

Irański dżentelmen odjechał mercedesem na wschód, a dwójka jego pasażerów ruszyła pieszo przez niskie nadbrzeżne zarośla. Dwadzieścia minut później dotarli do opuszczonej willi, w której schronili się Molavi i jego opiekun.

Kobieta w czadorze wydała dźwięk podobny do świergotu ptaka. Odczekała dziesięć sekund i zaćwierkała ponownie, tym razem głośniejsze. Z domu dobiegł podobny świergot, na co kobieta odpowiedziała długim niskim gwizdem. Drzwi otworzyły się i Jackie i Hakim weszli do willi.

Pakistańczyk zdjął ciężki plecak i rozpiął go. W środku były trzy pistolety maszynowe.

Molavi przyglądał się im szeroko otwartymi oczami. Kobieta weszła do pokoju i zdjęła czador, pod którym miała obcisły czarny kombinezon.

- Doktor Ali, jak sądzę - zwróciła się do Karima. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko podawaniu ręki kobiecie.

- Nie mam - odparł Molavi. Twarz mu się rozjaśniła. -Mógłbym panią nawet pocałować.

Jackie uśmiechnęła się.

- Lepiej nie. Najpierw się stąd wydostaniemy.

Irańczyk spojrział na pozostałych, czekając, aż ktoś coś powie, ale wszyscy milczeli, więc sam się odezwał.

- A dokąd się udajemy, jeśli mogę spytać?

- Wybieramy się na małą przejażdżkę łódką, drogi doktorze. Rybacką, ściśle mówiąc. Taką, która łowi po zmierzchu. Proponuję więc, żebyśmy teraz odpoczęli i coś zjedli, o ile nasi gospodarze coś przygotowali.

Poszła do kuchni i znalazła tam puszki z tuńczykiem, słoik majonezu i krakersy w celofanowym opakowaniu. Na podłodze stała skrzynka wody mineralnej, a w szafce puszka kawy rozpuszczalnej. Nie sposób było stwierdzić, czy te zapasy zostawiono tu trzydzieści lat temu, czy w ciągu ostatniego tygodnia. Ale to były czary.

LONDYN

Październik to miesiąc, w którym Waszyngton oszukuje sam siebie, że lato jeszcze nie minęło. Drzewa gubią liście w biologicznym przekonaniu, że nadchodzi zima, lecz w pogodny dzień, kiedy niebo jest bezchmurne, a wiatr zadziwiająco ciepły, ludzie nie są tego tacy pewni. Babie lato to najlepszy czas na podziwianie uroków stolicy, ale Harry Pappas musiał znów pilnie wyjechać. Londyn informował go na bieżąco, a teraz wiadomości napływały jedna po drugiej, bo Ince-ment działał już w Iranie. Adrian obiecał osobiście zawiadomić Harry'ego o terminie wyjazdu i właśnie zadzwonił do jego biura.

- Już czas, stary - powiedział tylko i rozłączył się.

Pappas poszedł do Marcii Hill. Jego zastępczyni siedziała w swoim małym boksie i piłowała jaskrawoczerwone paznokcie. Inna kobieta na widok szefa natychmiast ukryłaby pilnik, ale Marcia piłowała dalej.

- Wyjeżdżam na kilka dni - powiedział Harry. - Może na tydzień. Trudno powiedzieć. Nie schrzaj wszystkiego, kiedy mnie nie będzie.

- Spróbuję zapamiętać. - Popatrzyła na paznokcie i zdmuchnęła z nich spiłowane drobinki. - A dokąd jedziesz, jeśli mogę spytać?

- Najpierw do Londynu, ale gdzie stamtąd, jeszcze nie wiem.

- A co mam mówić twoim... jakby to określić... kolegom?

- Powiedz im, że prowadzę operację. Że mam spotkanie z agentem, który będzie rozmawia! tylko ze mną.

- Mam powiedzieć, że to doktor Ali?

- Nie. Nie chcę, żeby zaczęło się jakieś gadanie. Bo sytuacja może się skomplikować.

- To znaczy?

- Uwierz mi na słowo. W tej sprawie jest więcej kantów i zagnieceń niż w samolocie z papieru.

Marcia położyła mu dłoń na ramieniu. Nigdy tego nie robiła.

- Jesteś pewien, że to odpowiednia chwila na wyjazd z miasta, Harry? Za rzeką siedzą ludzie gotowi rozpocząć lada dzień wojnę z Iranem. Powinieneś powstrzymać ten nonsens. O ile mnie pamięć nie myli, jesteś szefem Wydziału Operacji Irańskich. Więc rozumiesz, możesz być potrzebny.

Wziął ją za rękę.

- Admirał wie, że nie opuszczam okrętu. Ty też. Właśnie dlatego, że te szalone dupki walą w werble, muszę jechać. Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale pewnie nie muszę.

- Rzeczywiście nie musisz - przyznała Marcia. Wiedziała, co Harry robi i dlaczego nie może o tym mówić. Kochała go i bała się o niego. Dźwigał za wielki ciężar. W którymś momencie potknie się i zrobi sobie krzywdę.

- Wezwij pomoc, jeśli będziesz jej potrzebował - powiedziała. - Obiecay mi to, Harry. Nie pozwól, żeby świat stanął na głowie. Jesteś dobry, ale nie jesteś supermenem.

???

Przed wyjściem z budynku Harry wjechał na szóste piętro pożegnać się z dyrektorem. Chciał być uczciwy wobec szefa, nie obciążając go równocześnie tym, co robi. Admi-

rał siedział w swoim gabinecie i czytał depesze z czerwonej teczki w paski. Miał na sobie granatowy mundur, a nie biały sprzed kilku miesięcy. Admirałowie na pewno lubią swoje mundury, pomyślał Harry. W innym życiu mógłby otworzyć pralnię koło bazy morskiej.

- Wyjeżdżam na kilka dni - powiedział, wtykając głowę do gabinetu. - Marcia poprowadzi wydział pod moją nieobecność.

- Czy to już? - spytał dyrektor, podnosząc wzrok znad depeesz. - Znalazłeś swojego człowieka?
- Być może.
- Mogę to przekazać Białemu Domowi?
- Wolałbym nie. To poza regulaminem. Sprawa może wybuchnąć nam w rękach. Nie chcę, żeby kogoś poraniło, szczególnie pana.

Admirał wyciągnął rękę.

- Niech Bóg ma cię w opiece, Harry. Bezpiecznej podróży i powodzenia.
- Tak jest - Pappas zaszutował. Zauważył, że dyrektor ma wilgotne oczy. Nawet w tym budynku, gdzie biurokraci zdobyli przewagę, nie dawało się całkiem stłumić świadomości, że tu chodzi o sprawy życia i śmierci.

???

Następnego ranka Winkler czekał na Harry'ego na Heath-row. Jeszcze bardziej niż zwykle wyglądał na łobuziaka, który wsadza rękę do cudzej puszką z ciastkami i jest tak pewny siebie, że nie obchodzi go, czy ktoś go na tym przyłapie. Miał na sobie dwurzędowy kaszmirowy blezer z mosiężnymi guzikami i godłem jego londyńskiego klubu i trochę za długie szare flanelowe spodnie.

- Cześć, stary - powiedział z uśmiechem. - Jak leci?

- Nie bądź taki radosny. Głowa mnie od tego boli. - Harry przyjrzał się przyjacielowi. - Wyglądasz, jakbyś wygrał na loterii.

- Obaj wygraliśmy - odparł Winkler. - Mój, to znaczy nasz zespół już się ewakuuje z Iranu. I mają naszego chłopca.

- Chwała Allahowi. Gdzie się z nim spotkamy?

- No właśnie. Oto jest pytanie. A ja, wyobraź sobie, mam odpowiedź. Ale najpierw musimy załatwić parę spraw po drodze do Vauxhall Cross.

- Jestem trochę zmęczony. Mógłbym się przespać?

- Obawiam się, że nie, stary. Nie możemy przegapić tego spotkania. Naprawdę nie mamy wyboru. Wszyscy musimy ponosić konsekwencje, rozumiesz.

- O czym ty gadasz? Jakie konsekwencje? - spytał Harry.

Ale Adrian nie odpowiedział. Poklepał przyjaciela po plecach i zaprowadził go do rovera zaparkowanego w garażu przy terminalu trzecim.

•kirk

Harry zasnął w samochodzie, więc dopiero gdy zatrzymali się przy znajomym domu na Mount Street, zrozumiał, że Winkler miał na myśli spotkanie z libańskim biznesmenem Kamalem Atwanem.

Służący otworzył im drzwi i zaprowadził na górę do biblioteki. Atwan siedział w fotelu przed ekranem komputera giełdowego i od czasu do czasu naciskał klawisze. Kiedy weszli, na moment podniósł wzrok, po czym znów spojrzał na monitor.

- Jedną chwileczkę - powiedział. - To okazja, której nie chciałbym przegapić.

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do maklera, żeby potwierdzić transakcję, którą właśnie przeprowadził. Gdy

skończył, wstał, żeby się przywitać z gośćmi. Uścisnęli sobie dłonie.

- Łatwo jest być mądrym, kiedy ludzie zachowują się głupio - rzekł Libańczyk. - Ale skoro źle wyceniają zasoby, trzeba to wykorzystać, nie sądzicie?

- Z całą pewnością - odparł Adrian. - Mam nadzieję, że zachowałeś jakiś kawałek tortu dla mnie i Harry'ego.

Roześmiał się, a Atwan mu zawtórował. Pappas chciał wierzyć, że jego przyjaciel żartuje. Gospodarz wskazał im kanapę w głębi biblioteki i zadzwonił po służącego, żeby przyniósł kawę. Miał na sobie czarne aksamitne kapcie z haftowanym monogramem, aksamitną bonżurkę i apaszkę. Harry widywał tak ubranych ludzi tylko w filmach.

- Pan Fellows i ja zamierzamy wybrać się w podróż -oznajmił Adrian. - I pomyśleliśmy że przed wyjazdem wpadniemy do ciebie.

- To wielka uprzejmość z waszej strony, mój drogi. Naprawdę wielka. A dokąd się udajecie?

- Gdzieś nad Morze Kaspijskie - odparł Winkler. - Myślałem o Turkmenistanie. Podobno o tej porze roku jest tam bardzo przyjemnie.

Harry rzucił przyjacielowi mordercze spojrzenie. Czyżby Adrian zamierzał wyjawić temu Libańczykowi plan operacyjny? I w dodatku zanim jego wprowadził w sprawę? Winkler uśmiechnął się, że nie zauważył wzburzenia Pappasa.

- Szczególnie przyjemny jest Aszchabad - powiedział Atwan. - I spokojny. Można tam pracować bez obaw, że ktoś nam przeszkodzi. O ile zna się miejscowe zwyczaje. No i naczelnika. Byłem bardzo uprzejmy dla starego baschiego i teraz młody uważa, że ma u mnie dług.

- Zechcesz go uprzedzić o naszym przyjeździe?

- Oczywiście. Każę mu przekazać numer waszego lotu. Powitają was z otwartymi ramionami.

- Dziękuję, Kamal-bej. Jestem ci niezmiernie wdzięczny. Podobnie jak pan Fellows, choć właśnie się dowiedział, dokąd lecimy.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - mruknął Harry. - Ja tu tylko sprzątam.

Atwan roześmiał się.

- To było dobre. Tylko sprzątam. Ale Adrian zapewnił mnie, że nie będzie bałaganu, prawda? Nie, oczywiście, że nie będzie.

???

Służący przyniósł kawę z czekoladowymi rogalikami, muffinami i dżemem. Harry niewiele jadł w samolocie, więc pochłaniał wszystko, co przed nim postawiono. Po mocnej kawie trochę się ożywił i łatwiej było mu się skupić. Miał dziwne wrażenie, że on i Adrian są podwykonawcami, a prawdziwym szefem misji jest siedzący naprzeciwko nich arabski dżentelmen w haftowanych kapciach.

- Mamy jeszcze jedną sprawę, zanim wyruszymy - powiedział Adrian.

- No tak, w twoich sprawach jest zawsze więcej spraw. A o co konkretnie chodzi?

- Będziemy się spotykać w Turkmenistanie z młodym irańskim uczonym. To fizyk nuklearny zatrudniony w Tohid Electric...

Harry przerwał mu.

- Wstrzymaj się chwilę - poprosił, unosząc dłoń. - Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Adrian spojrział na Atwana i wzruszył ramionami.

- Nie mamy tu sekretów. Jesteśmy wśród przyjaciół.

- Może ty nie masz sekretów, stary, ale ja mam. Więc wyświadczy mi tę uprzejmość i porozmawiajmy.

Harry wstał, ruszył po ogromnym perskim dywanie z Ar-debil i zatrzymał się w przedsionku biblioteki. Kiedy Adrian, przeprosiwszy wcześniej Atwana, w końcu do niego dołączył, spytał:

- Co ty robisz, do kurwy nędzy? To jest mój człowiek. Moja operacja. Nie mam pojęcia, kim jest twój arabski przyjaciel, widzę tylko, że trzymasz łapę w jego kieszeni. Tak czy inaczej, nie zamierzam dzielić się z nim szczegółami eksfil-tracji mojego człowieka.

- Już się nimi podzieliłeś, mój drogi.

- Pierdol się. I przestań do mnie mówić „mój drogi”. Albo będziesz ze mną szczerzy, albo wychodzę stąd i nigdy nie wrócę.

- Uspokój się. Weź głęboki oddech i posłuchaj. Kamal współpracuje z nami w sprawach, które są o wiele delikatniejsze, niż przypuszczasz. To nie jest gracz drugiej ligi, tylko klucz do czegoś naprawdę dużego. I jest całkowicie godzien zaufania. Zapewniam cię. Ma o wiele ważniejsze powody, by powstrzymać Irańczyków przed wyprodukowaniem bomby, niż twój

czy mój rząd. A nawet Izrael. Więc proszę, wyluzuj i wracaj ze mną do biblioteki. Za chwilę wszystko się wyjaśni.

Gdy Harry zrobił taki ruch, jakby chciał wyjść, Adrian chwycił go za ramię i dodał:

- I bardzo cię proszę, daruj sobie głupie groźby. To nie jest twoja operacja. Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. Twój człowiek jest teraz w rękach moich ludzi. Podjąłeś decyzję jakiś czas temu i obawiam się, że nie możesz się wycofać.

???

Harry wracał do biblioteki z nieprzyjemnym poczuciem, że wpadł w pułapkę, którą sam na siebie zastawił. Oddał kontrolę innej służbie, bo wierzył, że to jedyny sposób osiągnięcia ważniejszego celu. Teraz musi być konsekwentny.

Kiedy znów usiadł na kanapie, rzekł do Libańczyka:

- Przepraszam, panie Atwan. To była długa noc, a ja niewiele spałem. Musiałem wyjaśnić parę rzeczy z Adrianem. Pierwszy nawiązałem kontakt z Irańczykiem, który pracuje w Tohidzie, więc jest to dla mnie sprawa osobista. Nie chcę, żeby ktoś denuncjował moich ludzi bez mojego pozwolenia. Ale skoro Adrian mówi, że ufa panu w stu procentach, ja też panu ufam.

Wyciągnął rękę do Atwana, a ten uściśnął jego dłoń i przytrzymał w swojej przez dobre dwadzieścia sekund.

- Zaufanie nie polega na słowach, panie Fellows - powiedział, puszcżając rękę Harry'ego.

???

- Kontynuujmy - rzekł Adrian. - Jak już wspominałem, nasz irański przyjaciel pracuje w Tohid Electric. To firma, której pan Atwan od kilku lat dostarcza sprzęt.

Harry kiwnął głową i zwrócił się do Libańczyka.

- Jakiego rodzaju sprzęt sprzedaje pan Tohidowi? - spytał.

- Bardzo zaawansowany. Kilka różnych urządzeń, Adrian ma dokładną listę. Sprzedaliśmy im rentgenowskie lampy błyskowe i różnego rodzaju urządzenia pomiarowe. Hydrodynamika, chyba tak się nazywa ten obszar badań. Fale uderzeniowe i tak dalej. Wszystkie bardzo drogie.

- Wyobrażam sobie - powiedział Harry.

- Czy aby na pewno? Tu chodzi o setki milionów dolarów. Cena jednego urządzenia, na którym Irańczykom szcze-

golnie zależało, osiągnęła pół miliarda. Dla nich to sprawa życia i śmierci, więc zawsze dyktuję im maksymalne ceny, jakie może znieść ten niezwykły rynek. Ale też zawsze jestem hojny dla moich przyjaciół i partnerów w interesach.

Harry uznał tę tyradę za groteskową. Interesy, które wymagają przekupywania innych, zawsze toczy rak korupcji, ale Kamal Atwan najwyraźniej przeniósł ten element na zupełnie inny poziom. Pappas zastanawiał się, czy łańcuch jego partnerów w interesach sięga do sir Davida Plumba albo nawet osób postawionych jeszcze wyżej. Uznał, że lepiej tego nie wiedzieć, więc skupił się na szczegółach.

- Jak pan dostarcza im sprzęt? Zakładam, że nie z Wielkiej Brytanii.

- Oczywiście, że nie. Dostarczamy go z wielu różnych miejsc. Jest przemycany, sprzedawany i sprzedawany jeszcze raz. Używamy wszelkich podstępów, i takich, jakie jest pan sobie w stanie wyobrazić, i takich, o których nie ma pan pojęcia. Nasza przewaga polega na tym, że wiemy, czego chcą Irańczycy, i potrafimy wcisnąć się do łańcucha dostaw. Znamy ludzi, którym Irańczycy ufają. Wiemy, kto płaci i ile. Dzięki temu transakcja dochodzi do skutku, rozumie pan?

- A czy sprzęt, który pan sprzedaje, dobrze działa? Atwan uśmiechnął się, spojrzał na Adriana i obaj zachichotali.

- Czy dobrze działa? - powtórzył Libańczyk, gdy opanował nagłą wesołość. - Początkowo bardzo dobrze, panie Fellows. Działa dokładnie tak, jak powinien. Dopiero po miesiącu czy

dwóch zaczynają się pojawiać drobne odchylenia. Ale skąd kupujący ma o tym wiedzieć? Kiedy pański zegarek pokazuje jedenastą piętnaście, nie wie pan, że naprawdę jest jedenasta szesnaście, jeśli nie ma pan drugiego zegarka. A potem robi się z tego jedenasta siedemnaście, jedenasta osiemnaście i tak dalej. Po roku trochę się pan spóźni na ważne spotkanie. Po pięciu latach przyjdzie pan na nie, gdy kluczowe decyzje już zapadną, a po dziesięciu sprawa będzie przegrana.

- Czyli sprzedaje pan Tohid Electric niesprawny sprzęt. I zapewne innym irańskim firmom.
- Tak, mamy wielu klientów. Ale myli się pan, sądząc, że nasz sprzęt jest niesprawny. Działa dokładnie tak, jak zaplanowano.

- Proszę pozwolić, że podsumuję - odparł Harry. - Irański naukowiec wysłał nam informację, że jego laboratorium testuje generator neutronów, jaki byłby potrzebny do uruchomienia bomby atomowej.

- Zgadza się - potwierdził Libańczyk. - To dla was bardzo użyteczne. Dla mnie nieco mniej, bo potencjalnie zagraża interesom.

- Zagraża interesom? Dlaczego?

- Nieważne, mój drogi. To była tylko dygresja. Naprawdę. Harry nie zrozumiał dygresji Atwana, ale nie przywiązał do niej większej wagi.

- Według mojego irańskiego naukowca z Tohidu - mówił dalej - zapalnik nie działa tak, jak powinien. Kolejne testy kończą się niepowodzeniem. A jeśli jego laboratorium używało pańskiego „rekonfigurowanego” sprzętu, możliwe, że nigdy się nie powiodą, bo wszystkie pomiary są do chrzanu.

- Zgadza się, ale zamiast „możliwe” powiedziałbym raczej „wysoco prawdopodobne”.

- Więc nie powinniśmy bić na alarm, tylko uznać wiadomość od irańskiego naukowca za uspokajającą, czy tak?

- Bardzo uspokajającą - odparł Atwan. - Dopóki Irańczycy nie złączą powątpiewać w dokładność swojego sprzętu

miomiarowego. Ale jeszcze przez kilka lat będą dreptać w miejscu, nie rozumiejąc, dlaczego im się nie udaje. I, rzecz jasna, kupować kolejne urządzenia. - Uśmiechnął się jak biznesmen, który przewiduje, że sporo na tym zarobi.

- Czy lepiej się pan poczuł, panie Fellows? - spytał Adrian. - Już się pan nie obawia powierzyć swoich interesów firmie Atwan & Winkler?

???

Harry wiedział od Jacka Hoffmana, że CIA prowadziło podobną grę, ale poddało się, kiedy siatka dostawcza została wykryta. Dobrze, że ktoś inny podjął takie działania - i że tym kimś był jego brytyjski przyjaciel z SIS. Nadal jednak dręczyły go poważne wątpliwości.

- A co, jeśli mają drugi zegarek? - spytał.

- Nie bardzo rozumiem - odparł Adrian.

- Co, jeśli Irańczycy mają drugi zegarek, który mówi im, że nie jest jedenasta piętnaście, jak wskazuje pierwszy, tylko jakaś inna godzina?

- Dobre pytanie - stwierdził Atwan.

Był bystrzejszy od Winklera, który powiedział:

- Przepraszam, ale wciąż nie rozumiem, do czego zmierzasz, Harry.

- Chodzi mi o to - wyjaśnił Pappas - że Irańczycy mogą mieć drugi zestaw przyrządów kupionych gdzie indziej, które również mierzą prędkość neutronów w obudowie bomby i pozwalają ustalić, jak szybko materiały wybuchowe wepchną rozszczepiany materiał do rdzenia. Jeśli mają inną możliwość robienia pomiarów, będą wiedzieli, że te pierwsze są złe.

- Ale po co mieliby kupować drugi zestaw cholernie drogich urządzeń? - spytał Winkler.

- Nie wiem - odparł Harry. - Może chcieli mieć dwie osobne ścieżki albo zrobili to na wszelki wypadek, żeby się zabezpieczyć przed takimi przewrotnymi diabłami jak my.

- A co, drogi panie Fellows - wtrącił się Atwan - jeśli oba zegarki chodzą źle? Pokazują różny czas, ale każdy jest niedokładny.

- To może oznaczać, że wysłał pan tyle sprzętu do Iranu, by wyposażyć wszystkie programy.

- Nie chcę się przechwalać - odparł Atwan skromnie, poprawiając apaszkę.

- Domyślam się, że to znaczy tak - stwierdził Adrian Winkler.

???

Na lunch, który Atwan kazał przynieść do biblioteki, podano ugotowanego w całości łososia z młodymi ziemniakami posypanymi świeżą natką i ze słodkim angielskim groszkiem.

Kamerdyner otworzył butelkę corton rocznik 1978, kupioną, jak wyjaśnił gospodarz, na aukcji na rzecz Hospice de Beaune. Wino było wyborne i idealnie pasowało do łososia, ale Harry wypił tylko kilka łyków. Obawiał się, że po nieprzespanej nocy szybko uderzyłoby mu do głowy, a musiał mieć jasny umysł, żeby przegryźć się przez irańskie transakcje Atwana. Zastanawiał się też, jak powinni prowadzić doktora Molawiego. Z upływem poranka zaczął polegać na osądzie Libańczyka, był więc ciekaw jego opinii w tej kwestii.

- Co powinniśmy zrobić z naszym irańskim naukowcem, kiedy się z nim zobaczymy? - spytał.

- Pochlebia mi pan, zadając takie pytanie.

- Nie schlebiam panu, tylko chciałbym poznać pańskie zdanie.

- Niech pomyślę. - Atwan zastanawiał się chwilę, po czym rzekł: - Zadałbym mu trzy pytania. Pierwsze o jego dom. Drugie o sąsiedztwo. A trzecie, powiedzmy, kosmiczne.

Napił się wina. Zwykle nie tykał alkoholu, ale tym razem zrobił wyjątek. Rozkoszował się wspaniałym smakiem, a tymczasem Harry wyjął z kieszeni bloczek do notatek i długopis.

- Zacząłbym od domu - podjął Libańczyk. - Zapytałbym naszego człowieka, czy jego koledzy z Tohidu podejrzewają, że coś jest nie tak z instrumentami i odczytami. Czy któryś z nich powiedział coś - cokolwiek - co wskazywałoby, że domyślają się przyczyny braku sukcesów innej niż zwykły naukowy proces prób i błędów? Jeśli tak, musicie z Adrianem szybko wymyślić inny sposób. Albo zmodyfikować ten. Nadażę pan za mną, drogi panie Fellows?

- Tak sądzę - odparł Harry. - Musimy się dowiedzieć, czy Tohid wie, że z nimi pogrywamy, i w razie potrzeby odpowiednio zmodyfikować nasze działania. A drugie pytanie? To o sąsiedztwo?

- Musicie się zorientować, czy wasz człowiek wie coś o innych programach badawczych, podobnych do programu prowadzonego w Tohidzie. Zakładacie, że takie programy istnieją, ale musicie znać szczegóły. Miasta, adresy, ludzie. Obawiam się, że bez tej wiedzy nie zdołacie odnieść sukcesu.

- Rozumiem - powiedział Harry. - Musi nam pomóc zidentyfikować inne programy zbrojeniowe, które Irańczycy rozpoczęli, żeby mieć gotowe inne drogi, gdyby Tohidowi się nie powiodło.

- Otóż to.

- A pytanie kosmiczne?

- Pytanie kosmiczne brzmi: czy wasz Irańczyk jest wystarczająco bystry i odważny, żeby wrócić i kierować tym

procesem w pożądanym przez was kierunku? I czy pan, panie Fellows okaże się wystarczająco bystry i odważny, by zrozumieć, co on panu mówi? Jeśli nie, należy prowadzić sprawę tak jak do tej pory i nie pozwalać temu Irańczykowi wchodzić nam w paradę i robić błędów. To byłoby niekorzystne.

- Dla kogo?

- Dla interesów.

???

Tego popołudnia Harry Pappas i Adrian Winkler wsiedli na pokład małego odrzutowca lecącego z bazy lotniczej Mil-denhall w hrabstwie Cambridge do Turkmenistanu. Samolot,

zarejestrowany na firmę GasPort Ltd., której właścicielem była spółka holdingowa na Antylach Holenderskich, był nie-oznakowany, miał tylko numer na ogonie. Numer ten został przekazany odpowiedniej osobie w Turkmenistanie przez libańskiego biznesmena z Londynu, który już wyświadczył baschiemu wiele przysług, a w przyszłości mógł wyświadczyć jeszcze więcej.

ASZCHABAD, TURKMENISTAN

Kuter rybacki przybił do brzegu tuż po północy. Jackie i jej zespół czekali na mierzei położonej na wschód od Gohar Baran. Karim Molavi, wyraźnie zdenerwowany, niecierpliwie wypatrywał świateł na wodzie. Chcąc zająć czymś ręce, bawił się zawartością kieszeni. Wyjął swoją komórkę, palm-top, „specjalny” telefon i spytał, czy powinien zostawić te rzeczy.

- Oczywiście, że nie - odparła Jackie.

- Nie mam paszportu - wyznał szeptem. Do tej pory nie chciał o tym wspominać w obawie, że to może utrudnić ucieczkę.

Jackie roześmiała się, pewna, że Karim żartuje.

- Nie potrzebujesz paszportu na tę podróż - zapewniła.

Wszyscy czworo byli w czarnych kombinezonach piankowych i kominiarkach. Marwan i Hakim mieli przerzucone przez ramię pistolety maszynowe. Jackie odłożyła broń i kucnęła na piasku, by ustawić małą antenę radiową.

Kuter miał zgaszone światła, więc najpierw usłyszeli warkot jego starego silnika, a dopiero potem go zobaczyli. Kapitan był Turkmenem. Przewoził kontrabandę do Iranu i z powrotem od trzydziestu lat, jeszcze w czasach Związku Radzieckiego. Opłacał władze po obu stronach granicy, więc pływał po tych wodach niemal legalnie. Pilnował tylko, żeby trzymać się w cieniu i nie dać się złapać. Oficer brytyjskiego

wywiadu, który stał na pokładzie koło kapitana, drżał z zimna, chociaż miał na sobie kurtkę marynarską.

Czwórka uciekinierów ruszyła w stronę kutra. Jackie przodem, z pistoletem uniesionym wysoko nad głową, za nią Molavi, a na końcu Hakim i Marwan, odwrócenii twarzami do brzegu i z bronią gotową do strzału.

Jackie zawołała „Jeremy” i w odpowiedzi usłyszała swoje imię. Nie był to wyszukany kod rozpoznawczy, ale wystarczył. Brytyjczyk opuścił drabinkę i cała czwórka wspięła się na pokład.

Wkrótce odплыnęli od brzegu, a kiedy opuścili wody przybrzeżne Iranu, Jackie powiedziała Molaviemu, że jest już bezpieczny. Pokręcił głową, jakby nadal nie wierzył, że zdołał uciec.

- Czy to zawsze jest takie łatwe? - zapytał.

- Tak - odparła. - Pod warunkiem, że wiesz, jak to zrobić.

Kapitan ominął szerokim łukiem irański kuter patrolowy, który stał na kotwicy opodal turkmeńskiego miasta Hasan Kuli.

Molavi, wyczerpany, położył się na koi, przykrył grubym kocem i niemal natychmiast zasnął. Inni rozmawiali przyciszonymi głosami, pijąc kawę z termosu Jeremy ego. Od czasu do czasu ktoś opowiadał dowcip, a pozostali wybuchali śmiechem.

O świcie kuter dotarł do rybackiej wioski położonej około dziesięciu kilometrów na północ od Hasan Kuli. Tam wsiedli do dżipa, który zawiózł ich kilka kilometrów w głąb łądu, gdzie czekał helikopter z wolno obracającym się wirnikiem. Oznaczenia na boku wskazywały, że należy do GasPort Ltd.

W szopie koło łądowiska zdjęli czarne kombinezony piankowe, schowali je do torby podróżnej i włożyli zwykłe

ubrania. Teraz wyglądali jak grupa żądnych przygód turystów, którzy postanowili spędzić urlop w Azji Środkowej.

Kiedy wsiedli do helikoptera, Marwan i Hakim pomogli Molaviemu zapiąć pasy, a Jackie podała mu słuchawki tłumiące ryk silnika. Potem sami się przypięli, nałożyli słuchawki i

śmigłowiec poderwał się z ziemi. Na wysokości kilkuset metrów skierował się na wschód w stronę Aszchabadu.

???

Lecieli nad pustynnymi równinami południowo-zachodniego Turkmenistanu. Minęli Kizyl Artek, Gumdag i Gyzył--arbat, miasta, których nazwy ledwo dawało się wymówić. Na południu majaczyły ostre wierzchołki gór Kopetdag, wyznaczających granicę między Turkmenistanem a Iranem. Niegościnne pustkowia przecinały tylko doliny wyschniętych rzek i ścieżki wydeptane przez kozy. Molavi podziwiał widoki, próbując walczyć z ogarniającą go sennością, ale wreszcie się poddał. Opuścił głowę na piersi, przymknął powieki i zasnął snem sprawiedliwego.

???

Odrzutowiec, którym Harry Pappas i Adrian Winkler przylecieli do Aszchabadu, zatrzymał się daleko od hali przylotów. Na płycie lotniska czekał błękitny mercedes i funkcjonariusz miejscowych służb bezpieczeństwa. Kiedy pasażerowie zeszli po trapie, Turkmen powitał ich skinieniem głowy i zaprowadził do samochodu. Wskazał im tylną kanapę, a sam usiadł z przodu, obok kierowcy. Mercedes wyjechał z lotniska, nie zatrzymawszy się nawet przy stanowisku dla VIP-ów.

Był wczesny ranek, Aszchabad dopiero budził się do życia. Marmurowe pałace, imponujące gmachy publiczne i eleganckie apartamentowce stolicy Turkmenistanu wyglądały jak zaprojektowane przez jednego architekta i zbudowane w ciągu jednej nocy. Dumni Turkmeni, zorientowawszy się, że mają piąte co do wielkości złoża gazu ziemnego na świecie, mogli sobie pozwolić na wzniesienie budynków zwieńczonych smukłymi kolumnami i złotymi kopułami.

Poprzedni prezydent, który nazywał siebie Turkmenba-schi, czyli przywódcą Turkmenów, ochrzcił swoim imieniem prawie wszystkie te wielkie gmachy. Kazał nawet ustawić swój złoty posąg na masywnej kolumnie w centrum miasta. Posąg był ruchomy, więc o każdej porze dnia twarz baschiego zwrócona była ku słońcu.

- To prawdziwe miasto? - spytał Harry. - Wygląda jak turkmeński Disney World.

- Nie mam pojęcia, stary - odparł Winkler. - Pierwszy raz tu jestem. I raczej ostatni.

- Jest nawet pięknie w tej brzydocie.

- Ciii - szepnął Adrian, wskazując głową mężczyzn na przednim siedzeniu. - Pamiętaj, że jesteśmy gośćmi baschiego.

Niebieski mercedes wiozł ich na południe. Mijali kolejne budynki zaprojektowane według specyficznego gustu byłego przywódcy: wydawnictwo państwowe, którego fasada wyglądała jak otwarta książka, ministerstwo zdrowia mieszczące się w wieżowcu przypominającym kaduceusz - laskę oplecioną przez dwa węże, symbol profesji medyków. Kilkanaście mil przed nimi wznosiły się góry Kopetdag, wyniosłe na otaczającej je równinie. Minęli Hotel Prezydencki, przyjmujący tylko gości baschiego, a potem Pałac Prezydencki. Jeszcze mila i zatrzymali się przy otoczonej murem willi. Strażnik zamienił kilka słów z pracownikiem bezpieczeństwa, po czym podniósł barierkę zamykającą wjazd. Kiedy wjechali na podjazd willi z białego marmuru, frontowe drzwi stanęły otworem. Najwyraźniej jakaś niewidzialna ręka czuwała nad każdym aspektem tej podróży.

- To ma być bezpieczna kryjówka? - mruknął Pappas, przyglądając się okazałej willi. -

Równie dobrze można by tu umieścić neon.

- To jest państwo policyjne, Harry. Wszystko tu jest bezpieczne. Nawet produkt krajowy brutto jest tajemnicą państwową. Jeśli mówią nam, że jest bezpiecznie, to jest bezpiecznie.

- Załatwiłeś nagrywanie?

- Moi ludzie się tym zajęli. Będziemy rejestrować wszystkie rozmowy i przekazywać do Londynu przez satelitę, żeby nie martwić się o przewiezienie taśm.

- A zagłuszanie?

- Do pewnego stopnia. Nie idealne, ale trochę białego szumu. Będzie dobrze. Ci ludzie nie prehandlują nas Teheranowi. Oni też mają za dużo do stracenia.

Harry z powątpiewaniem kręcił głową, ale było za późno na czepianie się takich szczegółów. Miał wrażenie, nie po raz pierwszy zresztą, że Adrian podejmuje ryzyko, którego by nie podjął, gdyby nie wiedział o czymś, o czym on nie wie.

Karim Molavi siedział w przytulnej bawialni. Pił herbatę i czytał najnowszy numer „Scientific American” który położono na stoliku do kawy wraz z innymi periodykami naukowymi. Był w pokoju sam. Jackie i jej zespół zaszyli się gdzieś w willi.

Adrian zajrzał do pomieszczenia przez judasza i stwierdził, że Irańczyk wygląda na zadowolonego. Obaj zgodzili się, że Harry powinien z nim odbyć pierwszą rozmowę w cztery oczy. Za Molavim znajdowało się wielkie okno, przez które widać było szczyty gór oddzielających go od ojczyzny.

Pappas wszedł do pokoju. Po raz pierwszy patrzył na człowieka, który aż do tej chwili był dla niego tylko adresem e-mailowym. Molavi był wyższy i młodszy, niż się spodziewał. Miał ciemną twarz z wydatnym nosem i gęste czarne włosy. Roztaczał wokół siebie aurę intelektualisty: pewny siebie, pełen rezerwy, opanowany. Tajemnicą pozostawało, dlaczego zaryzykował wszystko, żeby nawiązać z nimi kontakt.

???

- Mam na imię Harry - zaczął. - Pracuję w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Otrzymałem wiadomości, które nam pan przesyłał. Odpowiadam przed naszym rządem za pańską sprawę. Cieszę się, że wreszcie mogłem pana poznać osobiście.

Wyciągnął rękę, a Molavi uściśnął ją lekko, jakby to była pieszczota.

- Dziękuję panu - powiedział. Mówił po angielsku, cichym, opanowanym głosem.

- Jest pan zadowolony? Ma pan wszystko, czego panu trzeba?

- O tak. Ludzie, którzy przybyli mi na rachunek, byli wspaniali. Myślałem, że coś takiego zdarza się tylko w filmach. Wydaje mi się, że to byli Anglicy.

- Tak. Brytyjczycy współpracują z nami. Poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby pana znaleźć i wydostać.

- Nie wiem, co powiedzieć. Przybyliście po mnie z tak daleka i zabraliście mnie, jakbyście byli jakimś wielkim ptakiem, a ja kurczęciem.

- No ale teraz jesteś tu, synu. I musimy porozmawiać.

Harry nie zamierzał nazwać go „synem”, samo mu się wymknęło, ale zabrzmiało bardzo stosownie.

- Tak, proszę pana, oczywiście.

- Jesteś gotowy? A może chciałbyś najpierw coś zjeść?

- Nie, proszę pana, dziękuję. Jadłem już śniadanie. Było bardzo dobre.

- Nie mów do mnie co chwila „proszę pana” - rzekł Harry z uśmiechem. - Jestem tu jako twój przyjaciel i doradca, a nie szef. Możesz w każdej chwili odejść.

- A dokąd miałbym odejść? - odparł Molavi. - Jestem gotów odpowiedzieć na pańskie pytania.

???

Harry zaczął od kwestii podstawowych. Pełne imię i nazwisko, imiona rodziców, miejsce zamieszkania i miejsce pracy, bliscy krewni, zagraniczne podróże. Zadawał pytania jak lekarz przeprowadzający szczegółowy wywiad, krok po kroku dokonywał inwentaryzacji życia młodego Irańczyka. Chciał zebrać informacje, które można by porównać z dostępnymi źródłami i bazami danych - nie tylko po to, żeby sprawdzić prawdziwość Molawiego, ale również by stworzyć kontekst, który pozwoli zrozumieć jego motywację i cele.

Pappas był pod tym względem oficerem starej daty. Uważał, że prowadzenie agenta opiera się na zrozumieniu, czego on oczekuje po tej transakcji, a potem dania mu tego, a przynajmniej

stworzenia takich pozorów. Coś w sposobie, w jaki Molavi mówił o swojej rodzinie, zwróciło jego uwagę i tutaj zapaścił pierwszą sondę.

- Opowiedz mi więcej o swoim ojcu - poprosił.

- A co jeszcze mógłbym powiedzieć? Był wspaniałym człowiekiem, który nigdy nie osiągnął tego, na co zasługi-

wał. Gardził szachem. Wierzył w rewolucję. Ale kiedy zobaczył, czym się stała, zaczął gardzić i nią. Iran jest pełen takich ludzi.

Harry przyjrzał się młodemu człowiekowi.

- Nie uhonorowano go odpowiednio za jego zasługi, prawda? - spytał.

- No cóż, dali mu emeryturę i bezpłatną opiekę medyczną, ponieważ był torturowany przez Savak. Ale on był profesorem literatury. Wierzył w fantazje. Jaki mogli mieć z niego pożytek?

- Ty oddajesz mu hołd - powiedział Harry łagodnie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Oddajesz mu hołd, Karimie. Tym, kim jesteś, i tym, co robisz. A zwłaszcza tym, że masz odwagę być tu dzisiaj.

Irańczyk pochylił głowę. Harry nie widział, czy ma łzy w oczach, ale podejrzewał, że tak. Więc postąpił o kolejny krok. W podręcznikach to, co teraz robił, nazywano „budowaniem zrozumienia” ale ten instrumentalny termin zupełnie nie oddawał istoty tworzenia takich relacji.

- Miałem syna, który byłby teraz niemal w twoim wieku - powiedział tak cicho, że Molavi musiał się pochylić w jego stronę, aby go słyszeć.

- Co się z nim stało?

- Zginął w Iraku. To był dobry chłopak. Codziennie go opląkuję.

- Bardzo panu współczuję.

- Wspomniałem o moim synu nie bez powodu. Gdyby żył, chciałbym, żeby był tak odważny jak ty. Żeby tak jak ty rozumiał, że istnieją ważniejsze sprawy niż to, co każe ci robić rząd. Żałuję, że nie udało mi się nauczyć syna, że to, w co wierzą przywódcy, nie musi być słuszne. Gdyby mi się udało, mógłby nadal żyć. Właśnie dlatego wiem, że twój ojciec byłby z ciebie dumny. Bo patrzę oczami ojca.

- Dziękuję - powiedział Molavi. Słuchał bardzo uważnie i czuł, że amerykański szpieg mówi do niego z głębi własnego serca.

Harry wziął młodego Irańczyka za ramię i przytrzymał, tak jak kiedyś trzymał Alexa.

- Usiądź koło mnie - poprosił. - Porozmawiamy o twojej pracy w programie nuklearnym. ???

Adrian krążył po marmurowych korytarzach willi. Wiedział, że powinien obserwować przesłuchanie, ale był pewien, że Harry doskonale sobie poradzi. Poza tym miał co innego do roboty. Gdy przyjechali, widział, jak Jackie wchodzi do któregoś z pokojów, i teraz chciał ją odszukać. Ogarnęło go uczucie, jakiego często doświadczał, kiedy jeszcze palił i nie mógł znaleźć papierosa. Nazwanie tego pożądanym byłoby eufemizmem. To był nałóg.

Zajrzał do jakiegoś pomieszczenia. Okazało się, że to sala ćwiczeń. Hakim podnosił ciężary, Marwan robił pompki na gumowej macie. Z odtwarzacza leciała muzyka Bhangra Ha-kima, perkusja wybijała rytm do wtóru wysokiego zawodzenia. Nie zauważyli Adriana. Ruszył dalej korytarzem i otworzył kolejne drzwi. Pomieszczenie wyglądało na bibliotekę, tyle że na półkach nie było książek.

Ostatnie drzwi w korytarzu były uchylone. Zajrzał do środka i zobaczył Jackie rozciągniętą leniwie na kanapie. Wykąpała się i przebrała, miała na sobie spodnie od dresu i niebieski kaszmirowy sweter. Włosy, jeszcze nie całkiem suche, opadały na szyję w jasnych puklach.

Słuchała muzyki z iPo-da, więc zauważyła Adriana, dopiero kiedy wszedł do pokoju.

Popatrzyła na niego i poprosiła z uśmiechem:

- Zamknij drzwi.

Adrian zamknął je na zamek i ruszył w stronę kanapy. Wstała. Spodnie od dresu miała opuszczone poniżej pępka, a gdy zrobiła krok w jego stronę, krągłe piersi zafalowały pod swetrem. Potrząsnęła głową i z jej włosów poleciała mgielka kropelek.

- Boże, kobieto, ależ wyglądasz!

- Czekałam na ciebie, kochanie. Obawiałam się, że będziesz zbyt zajęty, żeby się ze mną zobaczyć.

- Jestem zbyt zajęty, żeby się z tobą zobaczyć - zapewnił, biorąc ją w ramiona i szepcząc jej do ucha: - Ale nie aż tak, żeby cię nie przelecieć.

Pociągnął luźne spodnie, które opadły na podłogę, i uderzył ją otwartą dłonią w pośladek.

Uśmiechnęła się, pokazując idealnie białe zęby.

- Chcesz to zrobić w taki sposób?

- W jaki? - zapytał głosem drżącym z pożądania.

- Zdejmij spodnie, kochany, a się dowiesz. Tylko nie rozczaruj Jackie, bo będzie bardzo zła. ???

Harry przez cały ranek pracował cierpliwie nad Mola-vim. Tworzył jego dossier. Najpierw poprosił o listę eksperymentów i badań, które przeprowadzał młody naukowiec, a potem o listę wszystkich projektów badawczych, o jakich słyszał. Kiedy zapisywał odpowiedzi w notatniku, za każdym razem pytał, czy eksperyment zakończył się sukcesem, czy sprzęt dobrze działał i czy ktoś miał jakieś podejrzenia.

Zakończywszy tę inwentaryzację, poprosił o listę miejsc, w których pracowano nad programem nuklearnym - zarówno tych, które Molavi kiedykolwiek odwiedził, jak i tych, o których tylko słyszał. To były najważniejsze informacje, ja-

kimi dysponował Irańczyk, a Harry chciał je z niego wydobyć w pierwszych godzinach przesłuchania na wypadek, gdyby z jakich powodów ich spotkanie zostało przerwane. Molavi wymienił tylko sześć takich miejsc. Pięć z nich Pappas znał, ale o szóstym słyszał po raz pierwszy. Znajdowało się w Me-szhedzie, niedaleko granicy z Turkmenistanem.

- Dlaczego akurat tam? - spytał Harry.

- Nie wiem. Może żeby jak najdalej od Izraela?

Pappas powiedział, że wróci do sprawy Meszhedu później, i zaczął wypytywać Karima o Tohid. Chciał wiedzieć, kiedy Molavi zaczął tam pracować i co robiło to laboratorium po wstrzymaniu prac nad bombą w 2003 roku.

- Tak naprawdę nigdy ich nie wstrzymano. To znaczy program oficjalnie wstrzymano, ale prace trwały dalej.

- Dlaczego wysłałeś do nas ten pierwszy e-mail?

- Żeby was obudzić.

- Przepraszam, ale to nie jest przekonujące wyjaśnienie.

- Ponieważ byłem zły. Władza niszczyła wszystkich, na których mi zależało. Mojego ojca, mojego kuzyna, mnie. Musiałem coś zrobić. Inaczej, panie Harry, umarłbym.

- Dobrze, ale to nadal niczego nie wyjaśnia. Może chodziło o zemstę, ale na pewno nie tylko o to. Więc o co jeszcze?

Molavi zastanowił się. Nigdy dokładnie nie analizował swoich motywów. Działał, kierując się instynktem i wewnętrzną potrzebą, a nie jakimś racjonalnym planem. Ale co kazało mu podjąć ryzyko bez proszenia o coś w zamian?

- Było mi wstyd - powiedział. - Nie mógłbym żyć sam ze sobą, gdybym czegoś nie zrobił.

Więc zacząłem działać. To pewnie brzmi głupio.

- Nie - odparł Harry. - To brzmi szczerze.

?*?

W porze lunchu Harry emu zaczęło burczeć w brzuchu, a poza tym czuł, że Molaviemu przyda się przerwa, nim zaczną omawiać szczegóły. Wyszedł na korytarz i w poszukiwaniu Winklera zajrzał do pokoju przylegającego do bawialni, w której prowadził przesłuchanie. Jeremy, młody brytyjski oficer, który wypłynął na kutrze do Iranu, siedział przy komputerze ze słuchawkami na uszach i słuchał rozmowy prowadzonej w drugim pokoju.

- Gdzie jest Adrian? - spytał Harry.

- Wyszedł. Zdaje się, że miał coś do załatwienia. Harry domyślał się, co to było, ale nie zamierzał o tym

dyskutować z młodym oficerem. Z Adrianem również nie.

- Zjedlibyśmy lunch - powiedział. - Coś dobrego, na ciepło.

- Wszystko przygotowane - odparł Jeremy.

I coś zimnego do picia. Żadnego alkoholu, tylko napoje. I kawa. I może lody, jeśli są. ???

Zjedli steki z frytkami, a na deser czekoladowe lody Haa-gen-Dazs, które Jeremy jakimś cudem zdołał kupić w Aszcha-badzie. Molavi wyraźnie się odprężył. Podczas posiłku opowiadał o studiach w Niemczech. Gdy po lunchu Harry zapytał go, czy ma ochotę się przejść, zanim znowu przystąpią do pracy, powiedział, że nie. Poprosił tylko o możliwość skorzystania z łazienki i wrócił ze starannie przyczesanymi włosami. Był pod tym względem pedantyczny. Pappasa martwiło tylko jedno. Molavi zaczynał czuć się tak swobodnie, że trudno będzie skłonić go do powrotu, gdyby uznali to za konieczne.

???

Harry rozpoczął kolejną rundę pytań. Jakich urządzeń używają w Tohid Electric? Skąd je mają? Jak są serwisowane? Czy przyjeżdżają w tym celu ludzie z zagranicy, czy robią to sami Irańczycy? Czy Molavi widział kiedyś raporty z przeglądów i czy mógłby zdobyć do nich dostęp? Czy Irańczycy wątpią w uczciwość dostawców? Czy mają jakieś podejrzenia? Czy porównują prace jednej firmy z drugą?

Młody Irańczyk nie znał odpowiedzi na te pytania i nie sądził, by mógł zdobyć wiele informacji, przynajmniej nie w Tohidzie. Był podejrzewany i już zaczęli ograniczać mu dostęp, a przynajmniej takie odnosił wrażenie.

- Przesłałeś nam wyniki testów z generatora neutronów. Skąd je miałeś? - naciskał Harry.

- Z centralnego laboratorium. Wykonuję tam niektóre badania. To zamknięty kompleks.

Zawsze wchodzimy i wychodzimy pod nadzorem.

- Jak wyniosłeś ten materiał?

- Wysłałem go przez komputer, z jednego tajnego konta pocztowego na inne. To nie takie trudne, jeśli się wie, jak to zrobić. Taką miałem przewagę. Żaden z ludzi z Pasdaranu nie sprawdza naukowców. Muszą nam ufać. Nie mają wyboru.

- Eksperymenty z zapalnikiem neutronowym opisane w tym raporcie uznano za sukces czy porażkę?

- Za porażkę - odparł Irańczyk.

- I jak zareagowali twoi koledzy na tę porażkę?

- Postanowili próbować dalej. Zna pan to powiedzenie: „Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem...

- ...próbuj dalej" - dokończył Harry. - Ale kolejne eksperymenty też się nie udawały, prawda? Kończyły się porażką i przed tym raportem, który nam wysłałeś, i później. Mam rację? Molavi kiwnął głową.

- A czy podejrzewali, dlaczego eksperymenty się nie uda-

Molavi milczał chwilę, jakby uświadomił sobie wagę tego, o czym teraz mówili.

- Tak - rzekł wreszcie. - Zaczynali się martwić.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ pytali mnie o to na przesłuchaniu. Śledczy mówił o pociągach, które jeżdżą w złym kierunku, i o sprzęcie, na którym nie można polegać. Nie chciał powiedzieć nic więcej. Widzi pan, nie byli pewni. Ale wiem, że się tym martwił.
???

Harry wstał i podszedł do okna. Musiał chwilę pomyśleć. Na wierzchołkach gór widać było muśnięcia wczesnego śniegu. Wyglądało to jak kępki siwych włosów na pomarszczonej twarzy. Jak daleko stąd do Iranu? Dwadzieścia mil, pięćdziesiąt? Pappas wrócił na fotel. Molavi siedział spokojnie, czekając, aż znowu zaczną. To dobry chłopak, pomyślał Harry. Nie było mu łatwo ze świadomością, że może będzie go musiał odesłać za te góry.
???

- Oto moje następne pytanie, doktorze Molavi - powiedział, pochylając się w stronę młodego Irańczyka. - Przypuśćmy, że ktoś uznał, że wyniki eksperymentów wykonywanych przez wasze laboratorium nie są godne zaufania. Czy mieliby inną opcję, na przykład możliwość przeprowadzenia podobnych doświadczeń w innym kompleksie?

- O tak, sądzę, że tak. To jedna z zasad programu. „Ro-bust and Redundant”. Sformułowali ją po angielsku, bo nie ma na to dobrych słów w perskim.

- A gdzie mogliby prowadzić te rezerwowe badania, gdyby uznali, że prace w Tohid Electric nie przebiegają poprawnie?

- Zapewne w Meszhedzie. To jest równoległa placówka.

- Skąd wiesz? Byłeś tam kiedyś?

- O tak, oczywiście. Posłano mnie tam pod koniec dwa tysiące drugiego roku, kiedy program oficjalnie jeszcze działał. Mam w Meszhedzie dalekiego kuzyna ze strony matki. Mieszkałem u niego. Ale potem postanowiono, że główne badania zostaną przeprowadzone w Tohidzie, a Meszhed będzie tylko rezerwą. Tamtejszy ośrodek, Kompleks Badawczy Ardebil, ma odpowiedni sprzęt do badań.

I są pewni, że kompleks w Meszhedzie nie został spenetrowany albo zmanipulowany przez nas?

- O tak. Jest bardzo tajny. Tylko niewielu z nas tam było. Ale mój najlepszy przyjaciel z liceum nadal tam pracuje.

- Twój najlepszy przyjaciel? - Harry próbował opanować entuzjazm, ale nie do końca mu się to udało. - Twój najlepszy przyjaciel z liceum pracuje w kompleksie badawczym w Meszhedzie? I wyświadczyłby ci przysługę, gdybyś poprosił?

- Tak, oczywiście. Ma na imię Reza. On też nie przepada za wielkimi szefami. Nikt ich nie lubi.

- Słodki Jezu - Harry pokręcił głową.

- Słucham?

- Nie, nic - odparł Pappas. - Zróbmy krótką przerwę. Muszę pomyśleć.

Czuł się jak pijany, choć sam nie wiedział dlaczego. Zupełnie jakby chmura myśli nagle zaczęła nabierać kształtów, tworząc coś, na co nie miał jeszcze słów, ale co wyglądało na pomysł, a może nawet plan. Lecz aby go urzeczywistnić, potrzebował pomocy kogoś, komu nie do końca ufał.

BSZCHABAD. TURKMENISTAN

Harry w końcu znalazł Winklera. Spacerował z Jackie w ogrodzie na tyłach willi. Szeptał jej coś do ucha, a ona klepała go po tyłku. Twarz Adriana była czerwona; Pappas miał nadzieję, że po seksie, a nie po alkoholu. Na widok Harry ego Jackie odsunęła się od szefa. Miała nad nim kontrolę. Świadczył o tym każdy jej gest, każdy ruch.

- Jak leci, stary? - spytał Winkler. - Czy ten młody irański doktor jest ucieleśnieniem naszych marzeń? Wart wysiłku?

- Przestań z tym „starym” - warknął Pappas. - Musimy porozmawiać, i to zaraz, więc powiedz pannie Money Penny, żeby spadała. Jasne?

Adrian wzruszył ramionami, mrugnął do Jackie i wszedł do willi za Harrym. Tak naprawdę głównie go obchodziło, czy jego przyjaciel wie, że posuwa kobietę, która jest jego podwładną.

- Nic nie mów, Harry, bo z góry wiadomo, że to będzie nudne. I bez znaczenia. Wszyscy mamy słabości. Po prostu nie byłeś na tyle twórczy, żeby odkryć swoje.

- Zamknij się, Adrian, i bądź łaskaw wyjąć na chwilę nos z cipy tej baby. Mamy robotę. Chyba właśnie odkryłem, co tu jest grane.

- Jak miło. A już się obawiałem, że to będzie tylko mały skok w bok w Aszhabadzie. Skierowali się do pokoju, z którego Jeremy nadzorował przesłuchanie. Molavi poszedł do swojej sypialni się zdrzemnąć, wyjaśnił im młody oficer. Harry poprosił go, żeby wyszedł, i zamknął za nim drzwi. Nalał Adrianowi kawy i kazał mu wypić. Winkler wypił posłusznie kilka łyków, a potem odłamał trójkątny kawałek czekolady Toblerone z bloku leżącego przy komputerze Jeremy ego.

- Wróciłeś do żywych? - spytał Harry.

- Mniej więcej. Nie przejmuj się aż tak bardzo moimi zajęciami pozalekcyjnymi, dobrze? To zawsze była część mojego stylu działania.

- Nie musisz przeproszać - mruknął Harry.

- To dobrze, bo nie przeproszam. Co się dzieje? Włamałeś się do banku razem z naszym irańskim przyjacielem? Mam nadzieję, że tak.

- Mam masę informacji. Tak wiele, że mam do ciebie prośbę. Czy możesz zestawić bezpieczne połączenie z Ka-malem Atwanem?

- Jasne. To nie powinien być problem. Co chcesz wiedzieć?

- Na początek, czy wysyłał sprzęt do Meszhedu. Jak do niego zadzwonimy? Możemy skorzystać z pokoju łączności w ambasadzie? Bo chcę to zrobić w komorze ciszy albo w innym równie bezpiecznym miejscu. Serio.

- Jestem pewien, że rząd jej królewskiej mości będzie się czuł zobowiązany. Ale nie musimy jeździć do ambasady, żeby się skontaktować z Atwanem.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest tutaj, w Aszhabadzie. Postanowił przyjechać na wypadek, gdybyśmy czegoś potrzebowali. Turkmenistan to jedno z jego kont. Ma tu willę i takie powiązania z miejscową władzą, że nikt go nie ruszy. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

- Chryste! Nie panujesz nad tym, zdajesz sobie z tego sprawę?

- To możliwe, Harry, ale już za późno, żeby coś z tym zrobić. A poza tym jak dotąd wszystko idzie świetnie. Więc uspokój się, proszę. Spróbuję się skontaktować z bratem Atwanem. Zapewne wtyka teraz studolarówki do kieszeni spodni baschiego.

Willa Kamala Atwana, oddalona zaledwie o kilka domów od Pałacu Prezydenckiego, była zdaniem Harry ego najbezpieczniejszym miejscem, czy też raczej najmniej niebezpiecznym. Dom urządzono tylko odrobinę mniej elegancko niż rezydencję przy Mayfair. Na podłogach leżały piękne dywany, a wśród obrazów na ścianach znajdowała się akwarela Degasa przedstawiająca wyścigi konne. Brytyjski personel

- kamerdyner, pokojówki, kucharz - najwyraźniej mieszkał tu na stałe i utrzymywał dom w idealnym atwanowskim porządku: wszystkie potrawy, wina i inne drobiazgi, które preferował ich szef, były zawsze gotowe na jego przyjazd, bez względu na to, jak rzadko się zjawiał. Harry zastanawiał się, ile jeszcze takich domów ma Libańczyk.

- Co za przyjemność znów pana widzieć, drogi panie Fellows - Atwan pocałował Harry ego trzy razy w każdy policzek.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że pozwoliłem sobie wam tu towarzyszyć. Kocham przygody, rozumie pan.

- Prawdę mówiąc, bardzo się cieszę, że pana widzę, Ka-mal-bej. Zwykle wolę podróżować anonimowo, ale w tych okolicznościach to bardzo ułatwi sprawy. Potrzebuję pilnie pańskiej pomocy.

- Jak miło. Nie ma większej radości, niż być użytecznym dla kogoś, kto na nas liczy.

- Czy możemy się przenieść w jakieś bardziej ustronne miejsce? Jestem pewien, że ufa pan swoim ludziom, ale w takim kraju nawet ściany mają uszy.

- Słuszna uwaga. Mam pokój, z którego prowadzę prywatne interesy. Kiedy tu jestem, każę go codziennie sprawdzać. Przywiozłem z Londynu jednego z moich techników specjalnie w tym celu. Sprawdził pomieszczenie kilka godzin temu.

Minęli bibliotekę, która mieściła niemal tyle samo książek co londyńska, i weszli do niewielkiego pokoju bez okien na końcu korytarza, wyposażonego w kilka komputerów, terminal giełdowy i płaski telewizor nastawiony na Fashion TV. Modelki, przepiękne dziewczyny z Syberii, Białorusi i diabli wiedzą skąd jeszcze, przechadzały się po wybiegu w butach na niebotycznie wysokich obcasach.

- Mój ulubiony program - wyjaśnił Atwan, wyłączając telewizor. - Kiedy widzę kobietę, która mi się szczególnie podoba, składam zamówienie. Mam przyjaciela w jednej z agencji modelek, rozumie pan. Wiele z tych dziewcząt jest do wzięcia, oczywiście za odpowiednią opłatą. Pewnie pan nie przypuszczał, ale tak właśnie jest. To egzotyczne zwierzęta w klatkach i dobrze o tym wiedzą. Pawie na wybiegu. Kiedy znajduję odpowiednią dziewczynę, posyłam ją jako specjalny prezent przyjacielowi. Albo chłopca, jeśli przyjaciel ma nietypowy gust. Chłopcy nie są tacy kosztowni. Mogę ich wysyłać za granicę przewiązanych wstążką z kokardką. To o wiele miłsze niż zwykły prezent. Takie osobiste.

- Nie mój problem - stwierdził Harry, siadając w czarnym skórzanym fotelu. - Rozumiem, że chodzi tylko o interesy.

- Cieszę się, że pan tak mówi. To bardzo nowoczesne podejście. Istotnie, chodzi tylko o interesy. A teraz, mój drogi, proszę powiedzieć, jak mogę pomóc w pańskich interesach. Jestem do pańskiej dyspozycji. Harry nienawidził dzielić się tajemnicami z ludźmi, którym nie do końca ufał, ale nie miał wyboru.

- Irańczycy mają tajne laboratorium nuklearne w Me-szhedzie. My o nim nie wiedzieliśmy. Działa pod przykrywką Kompleksu Badawczego Ardebil. Czy pan kiedykolwiek o nim słyszał?

Atwan zastanawiał się chwilę.

- Nie przypominam sobie. Robiliśmy dostawy do Jama-ranu, Isfahanu, Parchinu, do Natanz i do Szirazu. Ale nigdy do Meszhedu.

- Czyli Meszhed to nowość również dla pana?

- Mogę sprawdzić, jeśli pan chce. Pozwoliłem sobie zabrać ze sobą moje archiwa. Są przenośne.

Libańczyk wyjął z kieszeni pendrive'a ze swoim monogramem, podszedł do komputerów i włożył go do portu USB jednego z nich. Otworzył arkusz kalkulacyjny z danymi.

- Dobry pan jest - stwierdził Harry. - Szanujący się handlarz bronią miałby kogoś, kto zrobiłby to za niego.

- Nie stać mnie na zatrudnienie takiej osoby, mój drogi. Jedyne majątek, jaki naprawdę posiadam, to moje sekrety. Nie mogę ich nikomu powierzyć.

Atwan nie znalazł Kompleksu Badawczego Ardebil na liście irańskich firm, do których jego współpracownicy wysyłali sprzęt.

- Mówił pan, że co oni robią w tym kompleksie? - spytał.

- Nic nie mówiłem - odparł Harry. - Ale podejrzewam, że prowadzą prace równoległe do Tohidu. Pracują nad zapalnikiem, zapewne z użyciem generatora neutronów. Nad sterowaniem eksplozją. Nad miniaturyzacją rdzenia. Może nad

materiałami rozszczepialnymi. Kluczem jest jednak zapalnik neutronowy.

- No to poszukajmy. - Atwan otworzył inny dokument, zawierający listę sprzedanych produktów ułożoną według ich kategorii. Wszedł w podkategorię generatorów neutronowych i instrumentów do ich testowania i symulowania. Głównym odbiorcą był Tohid, gdzie trafiło różnymi kanałami wiele dostaw. O kompleksie Ardebil ani o Meszhedzie niczego nie znalazł.

- Wygląda na to - powiedział - że udało im się nas obejść. Zastanawiam się, kto i w jaki sposób zdołał im sprzedać taki sprzęt i nie zwrócić na siebie mojej uwagi. To niepokoi mnie bardziej, niż pan sądzi.

- Wypadki się zdarzają - pocieszył go Adrian. - Nawet tobie.

Atwan zignorował tę uwagę. Harry miał wrażenie, że Libańczyk domyśla się, jak jego brytyjski przyjaciel spędził przedpołudnie, i że wcale mu się to nie podoba. Atwan był dziwny pod tym względem. Wykorzystywał rozpustę, by dostać to, czego chciał, ale sam nie był rozpustny. Na tym polegała jego siła.

- Może przyniósłbyś nam coś do picia, Adrianie? Na przykład herbatę? Albo whiskey, jeżeli wolisz. Ja bym się napił herbaty. Z biszkoptami, jeśli można. A pan, panie Fellows?

Harry powiedział, że też napije się herbaty. Adrian zdawał sobie sprawę, że został odesłany, ale najwyraźniej się tym nie przejął. Nieraz dostawał hojne napiwki od swego pana, więc zrobił, o co go poproszono.

???

- To jest nasz najgorszy koszmar, prawda? - powiedział Harry do Atwana, kiedy zostali sami.

- Obrabiamy ich po

jednej stronie domu - tak mocno, że zaczynają podejrzewać, że z nimi pogrywamy - tymczasem okazuje się, że dom ma drugie skrzydło, o którym nic nie wiemy, a w którym oni pichcą zupełnie nowy program. Gdy tylko przepłoszy się ich z drogi A, ruszą drogą B i będziemy mieli przesrane. Proszę mi wybaczyć niewybredne słownictwo.

- Ma pan całkowitą rację, drogi panie Fellows. To jest problem. Ale jest też rozwiązanie.

Posiadamy pewne zasoby. W każdym razie ja posiadam. Pytanie brzmi, jak ich użyć?

Harry w zamyśleniu potarł czoło. Jakie narzędzia mógłby wykorzystać? Jak szybko będzie musiał wykonać następny ruch? Co może zrobić sieć Atwana, żeby fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować?

- Pozwól, że zadam ci kilka pytań, Kamal. Czy mogę się tak do ciebie zwracać? Obiecuję, że nie ukradnę ci ciasteczek ani nie zamówię na Gwiazdkę którejs z tych modelek.

- Oczywiście, że tak, mój drogi. I przykro mi, że nie chcesz przyjąć prezentu, ale doskonale cię rozumiem.

- Zastanawiam się, jak szybko mógłbyś spenetrować łańcuch dostaw do kompleksu w Meszhedzie. Chodzi o to, żeby wtrącić do niego swoje trzy grosze i sprawić, aby tamtejszy sprzęt stał się równie zawodny jak inne zabawki Irańczyków.

- Obawiam się, że zajęłoby to kilka miesięcy. O ile w ogóle by się udało. Irańczycy nie są głupi. Ani ich dostawcy. Zadają sobie bardzo wiele trudu, by uniknąć właśnie takich podstępów, do jakich się uciekamy. Pilnują wszystkich transportów. W magazynach wystawiają całodobowe warty. Nie zatrudniają nikogo, kogo nie znają, a nawet jeśli kogoś znają, sprawdzają jego lojalność. Budowa mojej sieci trwała prawie trzydzieści lat. Teraz wykorzystuję powiązania, które udało mi się przez ten czas stworzyć. Mogę pracować za pośred-

nictwem wielu rządów, to prawda. Ale nie mogę tworzyć firm i dostaw z powietrza.

Harry pokiwał głową. Takiej odpowiedzi się spodziewał. Z tych samych powodów CIA wypadło z interesów, jeśli chodzi o sabotaż. To było skomplikowane, czasochłonne i bardzo kosztowne, a w dodatku cała operacja wymagała zwerbowania jakichś uczonych dupków, którzy w każdej chwili mogli się wkurzyć i komuś o wszystkim powiedzieć. Ale wywiad to sztuka optymalnego wykorzystywania dostępnych możliwości. Używasz takich narzędzi,

jakie masz pod ręką, a ręce Harry'ego nie były puste. W bazie operacyjnej spał człowiek, który mógł otworzyć drzwi zamknięte dla Atwana.

- Chciałbym, żebyś przeprowadził ze mną pewien eksperyment myślowy, dobrze? Wyobraź sobie, że masz dostęp do laboratorium badawczego w Meszhedzie. Że możesz do niego swobodnie wchodzić i z niego wychodzić. Czy mógłbyś zainstalować w generatorze neutronów albo w komputerach coś, co dałoby pożądane rezultaty?

- Masz na myśli coś, co zatrułoby projekt?

- Tak, ale nie zostawiając śladu. Tak, żeby Irańczycy przez lata nie mieli pojęcia, że kompleks nie jest czysty. Myślisz, że to możliwe?

- Oczywiście. Przecież dokładnie to robimy. Wystarczy nam zaledwie kilkuminutowy dostęp do sprzętu, żeby wykonać takie zadanie.

- Sabotowałbyś generator neutronów?

- Ależ nie. Zbudowałiby następny. Albo kupili. Teraz używają ich również firmy naftowe. No wiesz, do działań sejsmicznych. Lepiej pomajstrować przy komputerze, który tworzy symulacje implozji rdzenia i działania generatora neutronów. Tak testują bombę bez przeprowadzania prób, rozumiesz?

- A jak byś to zrobił?

- Mamy sposoby na usuwanie fragmentów kodu, ograniczanie mocy procesora, niszczenie fragmentów pamięci. Potrafimy przeprowadzić operację na mózgu bez otwierania czaszki. Musimy tylko zdobyć dostęp. Ale właśnie dostęp jest problemem. Jeśli pytasz mnie, czy gdybym umiał latać, mógłbym polecieć do Meszhedu, odpowiedź brzmi „tak”. Tyle że nie umiem latać.

- Ale ja umiem - powiedział Harry. - A raczej mogę załatwić komuś skrzydła.

Rozmawiali aż do wieczora. Kawę i ciasteczka zastąpiła whiskey, której, o dziwo, nawet Kamal Atwan się napił.

Harry opowiedział mu o Karimie Molavim. Starał się podać jak najmniej informacji o pochodzeniu chłopaka, ale Libańczyk potrafił uzupełniać luki. Pappas miał wręcz wrażenie, że już zna tę historię.

To może zadziałać, stwierdził Atwan. Istnieją specjalne narzędzia, których używali jego ludzie, kiedy znajdowali się w pobliżu komputera, a nie mogli dostać się do środka. Za pomocą impulsów elektronicznych można zmienić obwody komputera. Trzeba wprawdzie sporo energii, żeby rzecz zadziałała, ale to też dałoby się załatwić. Atwan nie przywiózł do Aszchabadu swojego sprzętu, lecz wiedział, gdzie można go znaleźć w Londynie. Wysłał zaszyfowaną wiadomość swojemu starszemu technikowi. Kazał mu zgromadzić potrzebne elementy i przylecieć jeszcze dziś w nocy do Aszchabadu jednym z wszędobylskich samolotów należących do GasPort Ltd.

Na pytanie Harry'ego, czy sabotaż można przeprowadzić zdalnie, bez narażania Karima na ryzyko użycia pendrive'a czy nadpisywania kodu, Libańczyk odparł:

- Można, ale musimy mieć w środku kogoś z naszym urządzeniem. Twój chłopak nie będzie musiał niczego podłączać, musi jednak wrócić do Iranu. Sądzisz, że się zgodzi?

Harry zmarszczył brwi. Nie chciał myśleć o tej części akcji.

- Tak, jeśli go o to poproszę. Zrobi, cokolwiek mu powiem.

???

Wkrótce zespół techniczny był już w drodze. Harry zdawał sobie sprawę, że jego plan - choć możliwy do zrealizowania - jest skomplikowany i bardzo ryzykowny. Miał masę roboty, a zostało niewiele czasu. Rozmyślał nad szczegółami i odbył krótką rozmowę z Adrianem, kiedy Atwan wysłał e-maile do Londynu i aktywował swoją prywatną flotę powietrzną.

- Będziesz potrzebował pomocy, żeby przeszmugłować swojego chłopaka z powrotem do Iranu - powiedział Libańczyk.

- Ludzie Adriana mają rozliczne talenty - odparł Harry i zerknął na przyjaciela.

Gdy zobaczył, że Winkler się skrzywił, poczuł dla niego współczucie. To był nałogowiec. Nie panował nad sobą.

- Są bardzo dobrzy w terenie - ciągnął Pappas. - Dużo lepsi niż wszyscy inni. A chłopak im ufa. Przewieźli go przez granicę raz, więc mogą to zrobić po raz drugi.

- Myślę, że ludziom Adriana przyda się współpraca Turkmenów - powiedział Atwan. - Meshhed znajduje się niedaleko granicy. Chętnie pomogę.

- Używając własnych ludzi czy ludzi baschiego? Nie chcę rozszerzać tego kręgu bardziej niż to konieczne.

- W tych sprawach oni wszyscy są moimi ludźmi. Granice państw są nietrwałe, w przeciwieństwie do osobistej lojalności.

- Co możesz zrobić?

- Aby się dostać do Meshhedu, najlepiej byłoby przekroczyć granicę w Sarahs. Mam przyjaciół, którzy mogą załatwić transport.

- A przejście przez granicę?

- Cóż, granica to nie nieprzenikniony mur, tylko ludzie, którzy jej pilnują.

- Potrzebuję wszelkiej możliwej pomocy, Atwanie. Jakiś czas temu wyrzuciłem sekstant za burtę. Przyjdź jutro rano na odprawę i dopasujemy do siebie części łamigłówek.

Atwan milczał dłuższą chwilę i sprawiał wrażenie, jakby coś go dręczyło. W końcu pociągnął duży łyk whiskey i spytał:

- Jakie masz plany wobec twojego irańskiego przyjaciela? Zamierzasz wyciągnąć go jeszcze raz?

- Oczywiście - odparł Harry. - To jedno z założeń. Atwan znów chwilę milczał, jakby rozważał w myślach kolejne pytanie.

- To będzie trudne, prawda? Będzie trudno przerzucić go z powrotem do Iranu i przetransportować do Meshhedu, ale da się zrobić. Tyle że, drogi przyjacielu, w którymś momencie na pewno włączy się alarm. Znika fizyk nuklearny. Zagraniczni szpiedzy rozbijają się po kraju w tajnych misjach. Przykro mi, ale w którymś momencie muzyka musi zamilknąć.

- Jeszcze nie wiedzą, że doktor Molavi zniknął. Myślą, że jest chory i siedzi w domu, a przecież wciąż trwa weekend. Kiedy zaczną go szukać, będzie już za późno. Wykona swoje zadanie w Meshhedzie i wróci do nas.

- Ale irańscy śledczy już żywią co do niego podejrzenia. Czy nie wspomniałeś mi, że był wzywany na przesłuchania?

Harry był pewien, że wcale o tym nie wspominał. Atwan, dostrzegłszy podejrzliwość w jego oczach, zmienił ton.

- Chodzi mi tylko o to, czy nie byłoby rozsądniej założyć, że nasz młody naukowiec zostanie schwytany, i planować dalsze kroki, uwzględniając taką możliwość. Dzięki temu cała operacja nie rozsypie się, jeśli doktor Molavi zacznie mówić.

- Nie chcę go tam wysyłać - powiedział Harry zaskakująco kategorycznym tonem. - Zrobimy wszystko, żeby go wydostać. Powierzył swój los nam, a dokładniej mnie, i ja go nie zawiodę. Mam wobec niego... zobowiązania. Pod tym względem na pewno nie ustąpię.

- Rozumiem - odparł Atwan.

Kiedy Harry wstał, wyciągnął ręce i zamknął go w czymś w rodzaju uścisku, co nie było łatwe, zważywszy na ogromną różnicę wzrostu.

- To prawdziwa przyjemność pracować z panem, panie Pappas - powiedział, używając jego prawdziwego nazwiska. - I bardzo panu współczuję z powodu straty syna.

Kiedy późnym wieczorem Harry wrócił do willi pełniącej rolę bazy operacyjnej, poprosił Jeremy'ego, żeby zadzwonił do pokoju Jackie. Musiał z nią porozmawiać, ale nie chciał

pojawiać się niezapowiedziany w jej sypialni i ryzykować, że zastanie tam Adriana posuwającego swoją boginię wojny na antycznym turkmeńskim dywanie.

Jackie, jako dowódca zespołu, była odpowiedzialna za życie trojga ludzi. Czy wytrzyma pod presją? Jej zachowanie przy Adrianie sprawiło, że Harry nie był tego pewien.

Jeremy powiedział mu, że Jackie jeszcze nie śpi i jest w pokoju sama. Harry poszedł do jej sypialni i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc zapukał ponownie.

Po chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich kobieta w czarnej chuście, która zasłaniała nie tylko jej włosy, ale i większą część twarzy. Skromnie spuściła głowę i gestem zaprosiła Harryego do środka.

- Ha! - wykrzyknęła, ściągając chustę, gdy przekroczył próg. - Dał się pan nabrać, prawda?

- Ani na moment - odparł Harry. - Mogę wejść? Chcę porozmawiać.

- Oczywiście. Proszę się rozgościć.

Była ubrana w obcisły czarny golf i równie obcisłe dżinsy, a na nogach miała puchate różowe kapcie.

- Denerwujesz się przed jutrem? - spytał.

- Nie. Mam na to lekarstwo. - Skinęła głową w stronę papierów rozrzuconych na łóżku. -

Przeglądałam plan operacji.

Stała nieruchomo, wyraźnie niepewna, po co tak naprawdę przyszedł. Czy jest kolejnym spragnionym mężczyzną szukającym miejsca, gdzie mógłby złożyć skolataną głowę i wetknąć fiuta?

Wreszcie podeszła do łóżka, jakby to było odpowiednie miejsce na rozmowę. W tej samej chwili Harry ruszył w stronę kanapy w głębi pokoju. Gdy na niej usiadł, dołączyła do niego.

Ten pokój odzwierciedlał całą dwoistość natury tej kobiety. Pistolet maszynowy oparty o brzeg łóżka. Musiała go rozebrać i wyczyścić, bo na lufie nadal połyskiwał smar. W kącie leżał strój do ćwiczeń, zapewne rzucony na podłogę po rundzie podnoszenia ciężarów z chłopakami na siłowni. Suknia muzułmańskiej pielgrzymki wisiała na wieszaku, już przyszykowana na jutro. Na stoliku przy łóżku leżała otwarta książka. White Teeth Zadie Smith.

Harry nie bardzo wiedział, jak zacząć, ale Jackie mu to ułatwiła.

- Niepokoi pana mój związek z Adrianem, prawda? Patrzy pan wszędzie, tylko nie na mnie.

- Tak - potwierdził.

- Obawia się pan, że szef pieprzący dowódcę zespołu może stanowić zagrożenie dla operacji.

- Ująłbym to mniej dosadnie, ale właśnie tego się obawiam.

- Niepotrzebnie. Wszystko jest pod kontrolą. Nie jestem ani zakochaną panienką, ani kurwą. Kobiety mogą uprawiać seks nie z miłości i nie dla korzyści materialnych.

Harry pokręcił głową, zdumiony tym wyznaniem.

- Więc dlaczego? - spytał. - Wiem, czemu Adrian z tobą sypia, ale ciebie zupełnie nie rozumiem.

- Seks to władza, panie Fellows. A ja lubię mieć władzę.

- Mów mi Harry.

- Dobrze, Harry. Zdradzę ci pewien sekret, ale niech to zostanie między nami. - Mrugnęła do niego.

- Jaki sekret? - Wiedział, że Jackie wciąga go w swój wir, ale nie mógł się oprzeć.

- Bardzo prosty. Mężczyźni lubią kontrolować sytuację, a kobiety lubią mieć władzę nad mężczyznami. I między innymi dlatego uprawiają seks.

- Życie to nie sypialnia. Jutro będziesz odpowiadać za innych ludzi. Muszę być pewien, że mogę ci zaufać.

Jackie, zastanawiając się nad odpowiedzią, odruchowo przeciągnęła językiem po wargach. Pewnie nie chciała, żeby to wyglądało seksownie, ale właśnie tak wyglądało.

- Miałeś kiedyś romans, Harry? - spytała.

- To nie twój interes.
- Czyżby? Skoro ty pytasz o moje życie seksualne, dlaczego ja nie mogę pytać o twoje?
Miała rację.
- Tak - powiedział. - Miałem romans. A nawet kilka. Nie jestem z tego dumny, ale tak było.
- Co ci się w nich podobało?
- Seks.
- A czy byłeś wtedy gorszym oficerem wywiadu? Czy romanse wpływały na twoje działania?
- Nie, nigdy. Zawsze kończyłem sprawę, nim robiło się nieprzyjemnie.
- Właśnie. No dobra, Harry, ostatnie pytanie. Czy uważasz, że jestem od ciebie głupsza? To znaczy, czy uważasz, że tak się angażuję w romans z facetem w średnim wieku, który musi łykać pigułkę, żeby mu stanął, że pozwalam, aby to wpływało na moją pracę? Myślisz, że dopuściłabym, aby to obniżyło moją zdolność do dbania o bezpieczeństwo Hakima i Marwana albo moją determinację, żeby przywieźć tu tego Irańczyka żywego?
Harry milczał.
- Bo jeśli tak uważasz, powinieneś wywalić mnie na zbity pysk, i to natychmiast. W przeciwnym razie po prostu pozwól mi pracować.
Harry przyjrzał się jej. Była jak przyczołajony drapieźnik gotowy do skoku. Policzki miała zaczerwienione z oburzenia, wszystkie mięśnie napięte. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie widział nikogo lepiej przygotowanego do wejścia w niebezpieczną strefę i powrotu stamtąd w jednym kawałku.
Wstał z kanapy. Miał ochotę przytulić Jackie, ale opanował tę pokusę i tylko uściśnął jej rękę.
- Ufam ci - powiedział. - Wykonaj swoje zadanie.

ASZCHABAD. TURKMENISTAN

Następnego ranka niebo było bezchmurne. Słońce świeciło jasno nad górami Kopetdag, a jego promienie odbijały się od każdej drobiny wody na nagich stokach. Adrian Winkler wstał przed świtem, by koordynować przygotowania do operacji. Siedział przy komputerze, oglądając mapy i czytając depesze, które przyszły w nocy. Najwyraźniej pozbierał się po wczorajszym załamaniu i znowu wykonywał robotę oficera wywiadu. Podstawowe elementy planu były już uzgodnione. Zespół miał polecieć helikopterem w umówione miejsce niedaleko posterunku granicznego w Sarahs. Ludzie Atwana pojechali tam wcześniej, by nawiązać potrzebne kontakty i zapłacić, komu trzeba. Pewien dżentelmen z turkmeńskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który od dawna był na liście płac Atwana, zainstalował się w willi operacyjnej i pomagał technikowi w fałszowaniu irańskich wiz i zezwolenia z Międzynarodowego Biura do spraw Odwiedzających. Moławi nie potrzebował paszportu. Miał zostać ukryty w samochodzie, którym przekroczą granicę. To Adrian wymyślił przykrywkę. Meshed jest świętym miastem, więc zespół uda się tam w przebraniu pielgrzymów. Marwan i Hakim byli muzułmanami i mówili po arabsku i trochę po persku. Nie będą się wyróżniać w strumieniu ludzi przybywających każdego dnia do świętego miasta. Jackie, w czadorze i zasłonie, odegra rolę żony jednego z nich. Będzie milcząca i pokorna, dokładnie taka kobieta, o jakiej marzy każdy dobry muzułmanin. Ufarbowała włosy i brwi na czarno, a gdy wróciła w przebraniu, Adrian był zachwycony.
- Idealnie - powiedział z cieniem uśmiechu na ustach.

Informacja o dokładnej lokalizacji Kompleksu Badawczego Ardebil przyszła w nocy z Vauxhall Cross. Znajdował się kilka kilometrów na północ od Meshedu, przy drodze do małej miejscowości o nazwie Tis. Wkrótce zaczęły napływać kolejne informacje. Zdjęcia satelitarne, mapy okolicznych terenów, koordynaty GPS, nawet lista pobliskich hoteli. Teraz potrzebny był im odpowiedni samochód. Człowiek Atwana w Sarahs znalazł starego minivana mitsubishi, który regularnie przekraczał granicę. W jedną stronę wiozł pielgrzymów, a z powrotem przemycał dywany i cenne metale. Kierowca miał tajną skrytkę

pod tylnym siedzeniem, używaną do szmuglowania ludzi i dywanów. Idealna kryjówka dla Karima Molawiego.

Ludzie Atwana przesłali e-mailem zdjęcie pojazdu - był brudny, zakurzony, deskę rozdzielczą miał pełną islamskich bibelotów, a maskę i kołpaki ozdobione błyszczącymi złotymi ornamentami, przez co wyglądał jak wehikuł cyrkowców. Kierowca, który od lat robił interesy z miejscowymi pracownikami Atwana, zgodził się przewieźć trójkę „pielgrzymów” i pasażera na gapę przez granicę, zawieźć do Meshedu, tam poczekać, aż wykonają zadanie, i odstawić z powrotem do Sarahs. Dostanie się do Iranu nie powinno sprawić żadnych problemów. Kluczowy będzie kontakt Karima z jego przyjacielem Rezą.

???

Molavi wstał znacznie później niż pozostali. Oczy miał pełne blasku, a z jego twarzy zniknęło widoczne wczoraj napięcie. Na śniadanie poprosił o wędlinę, ser i żytni chleb, które zwykł jadać w Heilderbergu. Niemieckie jedzenie miało dla niego smak wolności.

Harry przyszedł, kiedy Karim już skończył posiłek. Musiał wreszcie odbyć tę rozmowę. Cała misja opierała się na ich kruchej więzi.

- Potrzebuję twojej pomocy - zaczął.

- Oczywiście, proszę pana. Obiecałem panu wczoraj, że pomogę.

- Tak, wiem, ale sprawa jest skomplikowana. Mam plan. Bardzo ważny i dla ciebie, i dla mnie, ale też bardzo ryzykowny. Jeśli odmówisz, zrozumiem.

- Cokolwiek to jest, jestem gotowy - zapewnił Molavi. Harry podziwiał jego odwagę, ale Irańczyk jeszcze nie

wiedział, o co toczy się gra. Nie było czasu na osładzanie mu tej gorzkiej pigułki.

- Będziesz musiał wrócić do Iranu.

Karim odwrócił wzrok. To była ta jedyna rzecz, której nie chciał zrobić. Gdy po chwili znów spojrzał na Harry'ego, blask w jego oczach wyraźnie przygasł.

- Jeśli wrócę, zabiją mnie. Jestem teraz... jak by to określić?... wrogiem publicznym. Prosi pan o bardzo wiele.

- Wiem. Ale nie prosiłbym o to, gdyby nie było konieczne.

- Chodzi o Meshed, prawda?

- Jesteś za bystry na moje tajemnice. Masz rację. Chodzi o Meshed. A konkretnie o sabotaż rezerwowego sprzętu.

Karim nie spuszczał wzroku z Harry'ego. Był taki młody, taki niewinny.

- Co pana zdaniem powinienem zrobić? Co będzie właściwe?

Pappas uciekł spojrzeniem. To było najgorsze pytanie, jakie mógł zadać Irańczyk.

Najtrudniejsze. Ale znał odpo-

wiedź. Na samą myśl o tym, co musi zrobić, robiło mu się słabo. Nigdy nie wystarczyło tylko robić swoje. Musiałeś ciągnąć za sobą innych. Czuł się fatalnie, ponieważ doskonale wiedział, jak manipulować tym chłopcem.

- A co kazałby ci zrobić ojciec? - spytał cicho. - Zastanów się i podejmij decyzję.

Karim drgnął na jego słowa. Ukrył twarz w dłoniach i opuścił głowę. Kiedy znów podniósł wzrok, w jego oczach połyskiwały łzy.

- Ojciec kazałby mi wrócić. Powiedziałaby, że powinienem spełnić swój obowiązek. Był odważny. Zawsze.

Harry przygryzł wargę. Zrobi to. Zmusi chłopaka, żeby skoczył w przepaść.

- Ojciec byłby z ciebie dumny - powiedział, ledwo panując nad drżeniem głosu. - Wiedziałaby, że jesteś jego synem.

???

Harry przeprosił na chwilę i poszedł do łazienki. Zamknął za sobą drzwi, usiadł na sedesie i siedział tak, aż ręce przestały mu się trząść. Znowu to zrobił. Ponoć największe błędy

popelniamy z szeroko otwartymi oczami - jesteśmy świadomi, co robimy, a mimo to decydujemy się to zrobić. Ale jeśli nawet to był błąd, on nie miał innego wyboru.
???

- Jak to zrobimy? - spytał Karim. W jego głosie pojawił się ostry ton.

- Pomożemy ci dostać się z powrotem do kraju. To będzie ta łatwa część planu. Trudną będziesz musiał wykonać sam. Czy jeśli zawieziemy cię do Meszhedu, będziesz mógł odwiedzić swojego przyjaciela Rezę i dostać się do laboratorium, w którym kiedyś pracowałeś?

Molavi zastanawiał się chwilę. Nie chciał obiecywać czegoś, czego potem nie będzie w stanie zrobić.

- Tak sędzę - rzekł wreszcie. - Mam wszystkie przepustki, nawet tę, której kiedyś używałem w Meszhedzie. Strażnicy będą mnie pamiętać, a Reza na pewno chętnie się ze mną spotka.

- A nie pomyśli, że to dziwne, że przyjechałeś do Meszhedu i chcesz odwiedzić laboratorium? Karim wzruszył ramionami.

- Zdziwiłoby go, gdybym był w Meszhedzie i nie przyszedł go odwiedzić. A co mam zrobić, kiedy już tam będę?

- Nic - odparł Harry. - Po prostu będziesz miał to w kieszeni. - Podał mu niewielkie urządzenie w kształcie prostopadłościanu.

- Co to jest? - zapytał Irańczyk.

Harry zdawał sobie sprawę, że Karimowi byłoby łatwiej, gdyby nie wiedział, co ma przy sobie. Ale powiedział już dość kłamstw.

- Może zmienić sposób działania komputera - wyjaśnił. - Generuje potężny impuls, który pali kości i obwody. To coś w rodzaju paralizatora, jeśli wiesz, co to jest. Zostało bardzo precyzyjnie skonfigurowane. Musisz być przy swoim przyjaciolem, kiedy będzie się logował do systemu, i położyć marynarkę tak, żeby urządzenie dotykało do komputera. No i musisz zostać z Rezą przez godzinę, żeby wykonało swoje zadanie. To ta trudna część. Myślisz, że dasz radę?

- Powinienem. Reza jest dumny i ambitny. Jeśli go trochę sprowokuję, mówiąc, że całą ciężką pracę wykonujemy w Tohidzie, będzie chciał mi pokazać, nad czym pracuje. To słabość każdego naukowca, proszę pana. Musimy udowodniać naszym kolegom, jacy jesteśmy mądrzy.

???

Karim miał numer telefonu Rezy w palmtopie, więc zastanawiali się, czy powinien do niego zadzwonić i uprzedzić o swojej wizycie. Harry uważał, że to zbyt ryzykowne, ale Jeremy zapewnił, że SIS potrafi włamać się do sieci komórkowej w Iranie, żeby wyglądało, jakby telefon wykonano z kraju. Koniec końców uznali, że lepiej zadzwonić. Nie ma sensu ryzykować podróży do Meszhedu, skoro nie wiedzą nawet, czy Reza jest w mieście. Molavi, Pappas i Winkler usiedli w prowizorycznym pokoju operacyjnym. Atwana nie było, Harry uznał bowiem, że młody Irańczyk mógłby się spłoszyć na widok arabskiego biznesmena. Technicy bez problemów włamali się do irańskiej sieci i Karim wybrał numer na swojej komórce. Czekali, ale nikt nie odbierał. Po dziesiątym sygnale włączyła się poczta głosowa. Męski głos zachęcał po persku i angielsku do zostawienia wiadomości.

Harry pokręcił głową. Żadnych wiadomości.

- Poczekajmy pięć minut. Może zostawił gdzieś telefon. Karim zadzwonił jeszcze raz, ale znowu nikt nie odebrał.

W pokoju nagle zrobiło się duszno.

- Spróbujemy za pół godziny - zdecydował Harry.

Aby zabić czas, przeglądali plany Meszhedu i zastanawiali się, gdzie przenocują, jeśli będą musieli zostać w mieście. W końcu Harry spojrzął na zegarek i kiwnął głową.

Reza odebrał po trzecim sygnale. Rozpoznał numer Karima i był wyraźnie uszczęśliwiony jego telefonem. Molavi powiedział, że zamierza odwiedzić kuzyna, u którego mieszkał, kiedy pracował w Ardebil. Przyjedzie do miasta jutro. Czy mógłby odwiedzić przyjaciela w laboratorium?

- Rast migi? - odparł Reza. Mówisz poważnie?

Tak, zapewnił Karim. Jest już w drodze. Będzie w Meszhedzie jutro koło południa.

Zaproponował, żeby spotkali się w Ardebil o drugiej.

- Man hastam! - ucieszył się Reza. Będę czekał! W Meszhedzie jest tak nudno. Wszyscy starzy przyjaciele wyjechali. Tylko weź przepustkę, poradził. On uprzedzi strażników. ???

Tego wieczoru Adrian zwołał swoich ludzi na odprawę. Mieli wyruszyć nazajutrz o świcie. Hakim dostarczy na miejsce źródło zasilania niszczącego komputery „paralizatora”. Będzie musiał pozostawać w odległości nie większej niż pięćset jardów od urzędu, ale sądząc ze zwiadu satelitarnego, to nie powinno być trudne. Zewnętrzne ogrodzenie znajdowało się tylko trzysta jardów od kompleksu. Potem rozmawiali o młodym doktorze Karimie i o jego przyjacielu Rezie. Ta rozmowa była trudna dla wszystkich członków zespołu, ale konieczna. ???

Harry dołączył do nich, kiedy kończyli odprawę. Adrian spytał go, czy chce coś powiedzieć.

- W tej operacji nie możemy sobie pozwolić na wpadki - rzekł Pappas. - Jeśli was złapią i będą przesłuchiwać, wszystko, co powiecie, może zostać wykorzystane podczas procesu pokazowego i w konsekwencji doprowadzić nawet do wojny. Więc nie dajcie się złapać.

- To znaczy? - Adrian starał się nie dopuszczać do siebie myśli o niepowodzeniu, ale Harry właśnie przekłuł jego balon wyparcia.

- To znaczy, że jeśli ktoś będzie próbował was powstrzymać, zastrzelcie go. Nie zostawiajcie nikogo za sobą. Albo wydostaniecie się bezpiecznie, albo wcale. Czy wyraziłem się jasno?

W pokoju zapadła cisza. Adrian spuścił wzrok. Hakim i Marwan nawet nie drgnęli. Byli jak jastrzębie, które zobaczyły ofiarę i nie widzą nic poza nią.

Odpowiedzi udzieliła Jackie. Harry słusznie ocenił, że piękna Angielka jest nie tylko nominalnym dowódcą, ale i podporą zespołu.

- Nie sądzę, żeby pojawiły się problemy - powiedziała. - Potrafimy robić takie rzeczy. I zamierzamy wrócić. W komplecie.

MESZHED

Lot helikopterem z Aszhabadu trwał niecałą godzinę. Po starcie maszyna skierowała się najpierw na wschód, a potem skręciła na południe, gdzie rozciągały się ziemie uprawne, niegdyś żyzne, ale wyjałowione po dziesiątkach lat sowieckiej monokultury. Adrian i Harry też polecieeli, bo chcieli - każdy z innego powodu - czekać po drugiej stronie granicy na powrót zespołu. Obaj mieli przyciemniane gogle chroniące przed słońcem i wiatrem. Karim pod brudnym kombinezonem miał czarny garnitur, w którym zamierzał udać się do laboratorium. Jackie, Hakim i Marwan byli w strojach pielgrzymów. Broń i sprzęt spakowali do dwóch toreb.

Minivan czekał w garażu po turkmeńskiej stronie Sarahs. Kierowca, który stał obok samochodu, nosił okrągły turk-meński kapelusz w jaskrawych kolorach. Miał rzadką bródkę, szeroką twarz o wydatnych kościach policzkowych i skośne oczy. Dostał wystarczającą sumę od człowieka Atwana, żeby był posłuszny jak pies. Hakim i Marwan podeszli do niego, naśladując chód ludzi stepu, prześladowanych płaskostopiem i kłopotami z kręgosłupem. Jackie pokornie trzymała się z tyłu. Cała trójka wspaniale potrafiła zmieniać wygląd i zachowanie. Mogli się stać, kim tylko chcieli.

Kierowca mówił trochę po arabsku, Hakim trochę po tu-recku, a Marwan trochę po persku, więc zdołali się porozumieć.

Karim dołączył do nich dopiero po dłuższej chwili. Kierowca nie wiedział i nie chciał wiedzieć, kim jest tajemniczy pasażer w brudnym kombinezonie i kapeluszu z opadającym rondem.

Uniósł tylne siedzenie, odsłaniając schowek, w którym Molavi miał odbyć trzygodzinną podróż. Podał mu dużą butelkę wody mineralnej, poklepał po plecach i kazał wejść do schowka. Wysoki Karim ledwo się tam mieścił, więc chwilę trwało, zanim zdołał się ułożyć we w miarę wygodnej pozycji.

Kierowca opuścił tylne siedzenie, po czym sprawdził dokumenty pozostałych pasażerów. Przyjrząwszy się uważnie zdjęciom, stemplom i wizom, kiwnął głową i uśmiechnął się niemal bezzębny uśmiechem, jakby chciał powiedzieć „dobra robota”. Ten obnoszący się ze swoją przekupnością Turkmen był niewątpliwie godny zaufania, bo Atwan płacił mu lepiej niż ktokolwiek inny.

Sarabs, przez które biegł starożytny Jedwabny Szlak, dziś jest podzielone na dwie części: turkmeńską i irańską. Na granicy spędzili prawie godzinę. Po turkmeńskiej stronie poszło szybko - wszystkie trybiki zostały dobrze naoliwione. Ale po stronie irańskiej pasażerowie minivana musieli stanąć w długiej kolejce do stanowiska odprawy paszportowej.

Pielgrzymów było mniej niż w ramadanie, lecz oznaczało to tylko tyle, że służby graniczne pracowały wolniej. Kierowca podał paszporty swoich pasażerów urzędnikowi i wyjaśnił łamanym perskim, że to pielgrzymi - szyita z pakistańskiego Lakhnau z żoną oraz szyita z Jemenu. Irański kontroler ledwie na nich spojrzął. Mężczyźni byli brudni i wyglądali na głupich, a kobieta nie istniała. Przystawił pieczętkę i mogli iść.

Przeszli do stanowiska kontroli celnej. Kierowca wsunął przez okienko dowód rejestracyjny minivana, jak zwykle z dziesięciodolarowym banknotem w środku, ale że tego dnia kontrolę przeprowadzali dwaj celnicy, dołożył jeszcze dziesięć dolarów. To wystarczyło.

Przekroczyli granicę i znaleźli się w irańskiej części Sa-rahs. Różnica była uderzająca. Wszędzie znaki drogowe, policyjne patrole na każdym skrzyżowaniu i małe lotnisko, z którego dwa razy w tygodniu startowały samoloty do Teheranu. Za miastem droga zaczęła się wznosić z wyschniętych równin na wyżyny Gonbari i Mozdurem. Samochody osobowe wyprzedzały dychawiczne mitsubishi. Z tylnego siedzenia minivana dobiegało melodyjne nucenie. To Jackie śpiewała Karimowi ukrytemu w schowku.

???

Meszhed, miasto leżące na wschodniej pustyni, jest większy i bardziej nowoczesny, niż spodziewa się większość przyjezdnych, z kilkoma generacjami obwodnic otaczających starówkę i świątynię Imama Rezy. Jego rozrost był niezamierzonym skutkiem najnowszej historii Iranu - ludność Meszhedu niemal się podwoiła podczas wojny iracko-irańskiej, bo leżał najdalej od strefy walk. Po wojnie nowi mieszkańcy już w nim zostali i teraz jest hałaśliwym, ruchliwym miastem, pełnym ludzi i samochodów. To zamieszanie działało na korzyść trojga pielgrzymów w mitsubishi.

???

Jechali na północ wschodnią obwodnicą, aż dotarli do placu Gheam. Nieopodal znajdowała się stacja benzynowa prowadzona przez emigrantów z Turkmenii. Kierowca brał tam paliwo i przeprowadzał drobne naprawy, a także zostawiał samochód. Wjechał minivanem do garażu i zamknął

drzwi. Gdy Hakim i Jackie wysiedli, podniósł tylne siedzenie i pomógł mocno poobijanemu Karimowi wyjść z ciasnego schowka. Irańczyk miał tak zdrętwiałe nogi, że ledwie mógł ustać.

Było parę minut po pierwszej. Molavi miał się spotkać ze swoim przyjacielem za godzinę, a zespół miał go odebrać dwie godziny później, o czwartej.

Jackie podała Karimowi „paralizator”, który do tej pory chowała pod fałdami czarnego czadoru, i jeszcze raz powtórzyła kolejne punkty planu: musi wejść do laboratorium, być przy

tym, jak przyjaciel będzie się logował do systemu, położyć marynarkę tak, żeby urządzenie stykało się z komputerem, i zostać potem z Rezą przez godzinę.

Marwan, znajdujący się w pobliżu kompleksu, będzie zasiliał paralizator z akumulatora, który miał w płóciennym torbie na ramię. Hakim i Jackie zameldują się jako małżeństwo w hotelu Tus przy ulicy Shirazi. Kiedy dostaną pokój, oboje wrócą do kierowcy, pojedą do parku leżącego na południe od obwodnicy, niedaleko Kompleksu Badawczego Ardebil, i będą czekać w mitsubishi, aż Karim stamtąd wyjdzie.

- Postaraj się, żebyście wyszli razem - powiedziała Jackie. - Zaproś przyjaciela na kolację. Tak będzie najbezpieczniej.

- Jasne - rzekł Irańczyk. - Co potem?

Przez twarz Jackie, która uśmiechała się z pewnością siebie, przemknął cień.

- Znikniemy - odparła. - Po kolacji spotkamy się i ruszymy w drogę.

Molavi kiwnął głową. To nie był jego świat. Grał swoją rolę, bo Amerykanin Harry poprosił go o to i przywołał święte wspomnienia o jego ojcu. Kamyk, który wrzucił do stawu, spowodował falę znacznie większą od niego. Zdjął kombi-

nezon i oddał Hakimowi. Jego czarny garnitur był nieco pognieciony, ale czysty. Uczesał starannie włosy przed lusterkim, które przytrzymała mu Jackie. Żałował, że nie założył złotych spinek do mankietów swojego ojca. Może przyniosłyby mu szczęście.

Karim Molavi był znowu Irańczykiem, jak wszyscy inni na zatłoczonej ulicy. Zadzwoił do kuzyna, by powiedzieć, że jest w mieście, ale nikt nie odbierał, więc zostawił wiadomość.

Potem zadzwonił do Rezy i powiedział, że jest już w drodze. Reza był w znakomitym humorze. Zaproponował, żeby po spotkaniu w laboratorium zjedli razem kolację i porozmawiali o starych czasach. Pochwalił się, że wreszcie ma dziewczynę. Może spotkają się z nią po kolacji? Karim poczuł się podniesiony na duchu. Możliwe, że wszystko pójdzie łatwiej, niż sądził. Spędzi kilka godzin ze starym przyjacielem, a potem wyjedzie i rozpocznie nowe życie.

MESZHED

Zielony ekspres z Teheranu do Meshedu jechał dwanaście godzin. Samotny podróżny zarezerwował sobie jeden z czteryromiejscowych przedziałów sypialnych w pierwszej klasie. Leżał ubrany na łóżku, kiedy pociąg mknął przez góry północno-wschodniego Iranu. Obok niego leżało arabskie tłumaczenie książki Świat jest płaski Thomasa Friedmana, z uwagami na marginesach. Mężczyzna od czasu do czasu zaciągał się głęboko dymem z fajki napelnionej opium, a potem znów zagłębiał się w mglistą krainę gdzieś między snem a jawą. Za drzwiami przez całą noc czuwał strażnik. Konduktorzy bali się go, a jeszcze bardziej człowieka z przedziału.

Al-Majnoun, Szaleniec, miał spotkanie w Meshedzie. Popelnił błąd i pozwolił, by zagrożenie narastało, aż stało się tak wielkie, że mogło zniszczyć całe przedsięwzięcie. No cóż, to się zdarza. Czasami wydarzenia następują tak szybko, że nie można za nimi nadążyć. Tyle że przy tej sprawie to nie powinno było się zdarzyć. Jeśli poniesie klęskę, nie ochroni go nawet strach, jaki budzi.

Pociąg przyjechał do Meshedu wczesnym rankiem. Szaleniec wysiadł z wagonu z teczką, w której znajdowały się dwa lekkie pistolety automatyczne, każdy innej firmy i wyprodukowany w innym okresie. Był w czarnym garniturze, pod marynarką miał czarny wełniany sweter, a na głowie płócienną czapkę. Okulary przeciwsłoneczne częściowo zakrywały twarz, ale w blasku poranka blizny były czerwone i doskonale widoczne. Ta twarz wyglądała jak wyrzeźbiona szpachelką - małe kawałki ciała niedokładnie przylegały do kości. Jakby zabrakło skóry. Albo było jej za dużo. Ostatnio poddał się kolejnej operacji, choć zostało bardzo niewiele tkanki odpowiedniej do kształtowania.

Ochroniarz trzymał się tuż za nim, ale Al-Majnoun gestem kazał mu zwiększyć dystans. Szedł drobnymi kroczkami, ni to kołysząc się, ni to utykając, pochylony lekko do przodu, z teczką

przyciśniętą do boku. Wyszedłszy z dworca, skierował się na ulicę Azadi, gdzie złapał taksówkę. Zadzwoił do swojego kontaktu w Teheranie, a potem wykonał jeszcze jedno połączenie i zapisał adres w małym notatniku, który trzymał w kieszeni marynarki. Powiedział kierowcy, żeby zawiózł go do hotelu Iran przy ulicy Andarzgu, niedaleko świątyni Imama Rezy. Współpracownik, którego wysłał z Teheranu dzień wcześniej, czekał tam na niego. Ochroniarz jechał za Szaleńcem w drugiej taksówce.

???

Mehdi Esfahani siedział w hotelowej restauracji, gładząc się po koziej bródce. Zastanawiał się, czy nadszedł czas, by ją zgolić i chodzić bez zarostu jak co śmielsi młodzi oficerowie w Etelaat. Może bez wąsów i z nową fryzurą będzie wyglądał jak George Clooney?

Przez okno widział zieloną kopułę Wielkiego Meczetu Gohar Shad. Wczoraj zadzwonił do niego Al-Majnoun i kazał mu lecieć do Meszhedu.

- Nadeszła pora - powiedział. Esfahani ma przenocować w hotelu Iran i poczekać na niego ze śniadaniem. Nie wolno mu mówić o podróży nikomu z Etelaat i powinien zabrać ze sobą broń.

Mehdi posłusznie zarezerwował sobie pokój i samolot. Od czasu, kiedy kilka miesięcy temu zauważyli ślady penetracji sekretów projektu, robił to, co kazał mu Al-Majnoun, i nie informował o tym swoich przełożonych. Libańczyk był tajnym ramieniem samego Przywódcy. Pisali do siebie wiersze, tak powiadano. Znajdowali się w najbardziej wewnętrznej komnacie czarnej skrzynki, która była mechanizmem rządzącym Iranem. Odmowa wykonania rozkazów Szaleńca byłaby równoznaczna z samobójstwem.

Ale Mehdi był człowiekiem ostrożnym. Nigdy nie wkładał wszystkich jajek do jednego koszyka. Zanim wyjechał wczoraj do Meszhedu, wysłał notatkę do swego zwierzchnika, oficera Gwardii Rewolucyjnej odpowiedzialnego za bezpieczeństwo programu nuklearnego. Napisał, że udaje się na misję operacyjną w Meszhedzie i gdyby z jakichś powodów nie wrócił, ktoś z Etelaat-e Sepah powinien wejść do jego biura i odszukać akta tajnego i niezwykle delikatnego śledztwa, które prowadził na osobistą prośbę specjalnego doradcy Przywódcy. Al-Majnoun na pewno się tego spodziewał. Nikt nie jedzie na misję, na którą ma zabrać broń, bez zabezpieczenia się.

???

Esfahani czekał na Szaleńca, ale i tak dał się zaskoczyć. Libańczyk podkraść się do niego tak cicho i tak szybko, że Mehdi nie dostrzegł żadnego ruchu. W jednej chwili poczuł rękę na ramieniu, a w następnej patrzył w tę koszmarną, cia-stowatą twarz. Al-Majnoun usiadł. Wyglądał inaczej, niż kiedy Mehdi widział go ostatnim razem. Gdyby się nie umówili, nie byłby pewien, czy to ten sam mężczyzna, którego poznał wcześniej. Ale tak już było z Al-Majnounem. Był duchem, a nie zwykłym człowiekiem.

- Stało się najgorsze - powiedział Szaleniec ochryłym szeptem. - Zagraniczni szpiedzy są wśród nas. Trzymają nas za gardło. Ale dziś jest dzień, w którym zdemaskujemy ich i zniszczymy.

Mehdi kiwnął głową. Wiedział od pierwszego spotkania z Libańczykiem, że taki dzień nadejdzie. Al-Majnoun, raz wpadłszy na trop, już go nie gubił, choćby miał przemierzyć cały świat, podążając za nim.

- Kto to jest, generale? - spytał Esfahani. - Któryś z pracowników Tohidu albo innego zakładu? A może ten naukowiec, który studiował w Niemczech?

- Przekonasz się za kilka godzin, bracie - odparł Al-Majnoun. Mówił po persku z arabskim akcentem, ostrym i gardłowym. - Za kilka godzin będziesz bohaterem. A ja znowu zniknę. Mehdi sięgnął do swojej koziej bródki i zaczął skręcać jej włoski tak mocno, że zrobiły się sztywne jak druty.

MESZHED

Kompleks Badawczy Ardebil był ukryty wśród pustych terenów fabrycznych niedaleko Politechniki Azad, zaraz za północną obwodnicą. Otaczał go mur, a bramy pilnowali strażnicy, ale poza tym nic nie wskazywało, że jest to miejsce wyjątkowe. Może dlatego tak długo nie został wykryty przez Amerykanów i Izraelczyków - a nawet przez Kamala Atwana. Bardzo często właśnie specjalne protokoły bezpieczeństwa pozwalają odszukać tajne miejsca. Czasami najlepszy kamuflaż to ich brak.

Reza czekał przy bramie. Ucałował przyjaciela, uściskał go i znów ucałował. Brodę miał dłuższą, a brzuch trochę większy, niż kiedy widzieli się ostatnio, ale poza tym się nie zmienił. Miał taki sam uśmiech i to samo spojrzenie pełne przewrotnej inteligencji. Lubił szachy, łamigłówki i gry komputerowe. Nic dziwnego, że woleli mieć go tutaj. Był graczem rezerwowym - trzymanym w odwodzie na wypadek, gdyby zawodnicy z pierwszego składu zostali przechytrzeni.

Gdy dotarli do punktu kontrolnego, Karim podał swoją specjalną przepustkę strażnikowi, który wpisał jej numer do systemu.

- Przepustka straciła ważność - stwierdził po chwili.

- Jest stara - wyjaśnił Molavi, próbując się roześmiać. - Oczywiście, że straciła ważność. Tu jest ta, której używam w Teheranie.

Strażnik podszedł bliżej i przyjrzał mu się uważnie.

- Pracował pan tutaj? Karim kiwnął głową.

- Tak, ale dawno. Teraz pracuję w Teheranie, w Tohid Electric. Przyjechałem odwiedzić kuzyna. Pomyślałem, że przy okazji wpadnę z wizytą do mojego przyjaciela Rezy.

- Pamięta pan o starych przyjaciółach w Meszhedzie? Teherańczycy zwykle zapominają o naszym istnieniu. - Był przewrażliwiony na tym punkcie, więc uśmiechnął się do naukowca, który chciał odwiedzić swe dawne laboratorium. - Salam, salam. Rooz bekheyr. Khosh amadi.

- Dzień dobry, dzień dobry. Miłego dnia. Serdecznie witamy.

Już miał otworzyć elektronicznie sterowane drzwi, ale przedtem odwrócił się do Karima i rzekł:

- Przepraszam, bracie doktorze. Czy ma pan kamerę albo coś, czym można rejestrować obraz albo dźwięk?

Molavi zamarł. Jaka jest właściwa odpowiedź?

- Nie - powiedział.

- Na pewno? - strażnik był przyjacielski, ale czujny. Karim czuł w kieszeni ciężar urządzenia. Musi tak to rozegrać, żeby uniknąć jego wykrycia.

- Mam komórkę z aparatem fotograficznym. Mam ją oddać?

- Tak, poproszę.

Molavi oddał strażnikowi telefon. To była nokia, którą kupił w Teheranie, z aparatem fotograficznym o rozdzielczości trzech megapikseli.

- Dziękuję - powiedział strażnik i dał Karimowi pokwitowanie na telefon.

- Chodźmy - odezwał się Reza. - Muszę ci pokazać nowe skrzydło laboratorium.

???

Marwan podjechał do kompleksu od północy. Wsiadł z taksówki przy kebabi, pół mili od obwodnicy. Kupił kanapkę i butelkę napoju cytrynowego i ruszył w stronę parku koło kampusu politechniki. Ze zdjęć satelitarnych, które oglądali w Aszchabadzie, wynikało, że znajduje się w zasięgu urządzenia. Marwan usiadł pod drzewem i sięgnął do płóciennej torby, by uruchomić urządzenie, które zasilalo „paralizator” w kieszeni Karima. Amerykanie zrobiliby to za pomocą naprowadzanego promienia energii z satelity, ale to nie była operacja amerykańska. Marwan włączył urządzenie i ustawił kierunek. Potem oparł się wygodnie o pień i zaczął jeść kanapkę.

•kirk

Szaleniec zjadł lunch w małej restauracyjce niedaleko placu Ghaem. Mehdi został w hotelu i miał czekać na telefon.

Restauracja była libańska, a przynajmniej tak napisano w menu. Zamówił sałatkę tabbouleh bez cebuli, żeby była łagodniejsza dla żołądka. Okazała się jednak za mocno przyprawiona, więc zostawił ją i zjadł tylko chleb, popijając nektarem brzoskwińowym. Próbował czytać Świat jest płaski, ale odłożył książkę, kiedy podszedł do niego mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku i chciał o niej porozmawiać. Powiedział, że jest wykładowcą informatyki na pobliskiej politechnice i uważa Thomasa Friedmana za najlepszego pisarza na świecie. Al-Majnoun nie odpowiedział. Informatyk spojrzął na jego twarz i natychmiast odwrócił wzrok, wyraźnie przerażony, po czym wrócił na miejsce. Al-Majnoun nigdy nie rozmawiał z nieznanymi, a już zwłaszcza dzisiaj nie zamierzał tego robić. Czekał, aż nadejdzie pora, by wykonać zadanie i zakończyć sprawę.

???

Wczesnym popołudniem w laboratorium Ardebil panował spokój. Niektórzy jeszcze nie wrócili z lunchu, inni siedzieli przy biurkach i grali w gry komputerowe. Jak we wszystkich laboratoriach naukowych na świecie ludzie zabijali czas, czekając, aż będzie można iść do domu. Reza zaprowadził Karima do strefy badań nad neutronami, gdzie kiedyś pracowali razem. Drzwi miały elektroniczny zamek i tabliczkę zabraniającą wstępu osobom nieupoważnionym. Za metalowym stolikiem siedział strażnik. Czytał strony sportowe w miejscowej gazecie, ale gdy zobaczył Rezę i Karima, od razu zrobił się czujny. Popatrzył na nich spod zmarszczonych brwi. Czy Reza nie wie, że do tej części laboratorium goście nie mają wstępu?

Karim przyjrzał się strażnikowi. Wydawało mu się, że go poznaje.

- Ali? - zapytał. - Czy to ty? Nie pamiętasz mnie? Jestem tym chłopakiem z Teheranu, który ciągle wysadzał bezpieczniki.

Strażnik natychmiast się rozpoznał.

- Doktor Karim? Wrócił pan?

- Przyjechałem do Meszedu odwiedzić rodzinę. Wpadłem tu spotkać się z Rezą, a potem wracam.

Strażnik uśmiechnął się lekko.

- Haale shoma chetoreh? - Jak się miewasz?

- Khuban, shoma chetoril - Dobrze, a ty?, odpowiedział Molavi i obaj życzyli sobie dobrego zdrowia.

- Czy Karim może wejść? - spytał Reza.

- Oczywiście. Przecież go znamy. Tylko musi się wpisać. - Strażnik przesunął księgę w stronę Molawiego, który wpisał swoje nazwisko i numer przepustki.

Weszli do zastrzeżonej strefy i minęli niewielkie pomieszczenie, w którym kiedyś pracował Karim. Wtedy bezpośrednio za nim znajdowała się szczytowa ściana budynku, ale do laboratorium dobudowano nowe skrzydło, o którym wspomniał Reza.

- Chodź - Reza pociągnął przyjaciela za rękaw. - Musisz to zobaczyć.

W nowym skrzydle na stole na środku pomieszczenia stał generator neutronów. Niewielkie cylindryczne urządzenie miało nie więcej niż trzydzieści centymetrów długości. Z jednej strony w grubej metalowej obudowie znajdował się otwór, do którego wkładało się zapalnik. Na środku był generator elektromagnetyczny umożliwiający zamianę energii wybuchu w ładunek, który jonizował deuter zamknięty w cylindrze i przyspieszał go aż do przemiany w tryt. Podczas przemiany deuter-tryt następowała emisja neutronów, które bombardowały plutonowy rdzeń bomby i inicjowały reakcję łańcuchową.

- Niezły - powiedział Karim. - Mamy taki w Teheranie, ale wasz wygląda na nowszy.

- I lepszy, mój bracie. Niedługo to my będziemy pracować. Zobaczycie. Wy w Teheranie zbieracie całą chwałę, ale doświadczenia nigdy się wam nie udają. Nadchodzi czas, kiedy zespół z Meszhedu będzie uczył was fizyki.

- Skąd macie generator? Myślałem, że nasz jest jedyny?

- Ciii! - Reza położył palec na ustach. - Złożyliśmy go sami. Kupiliśmy za granicą części i zmontowaliśmy generator. Nikt tego wcześniej nie robił, mój bracie. Tak, twój przyjaciel Reza, który nie był wystarczająco bystry, żeby dostać stypendium w Niemczech, pomagał składać generator neutronów. Co ty na to?

To był Reza, jakiego Karim pamiętał. Ambitny, głodny sukcesów, kochający rywalizację. Zawsze musiał ci pokazać, że bez względu na to, co ty robisz na komputerze, on zrobi to lepiej na swoim. Poświęcili wiele wieczorów na pisanie programów graficznych i ściąganie z Internetu zdjęć pornograficznych, które potem wysyłali anonimowo swoim brodatym pasterzom.

- Marzenia ściętej głowy, drogi przyjacielu. Nie ma możliwości, żeby ten generator pracował lepiej niż nasza maszyna w Teheranie. My może i mamy trochę wycieków z silnika, ale wy jeszcze go nawet nie włączyliście.

- I tu się mylisz. Stajecie się planem B, bracie. Teraz to my jesteśmy planem A. Poczekaj, a sam zobaczysz. Będiesz miał szczęście, jeśli odzyskasz dawną pracę w Meszhedzie, kiedy w Teheranie wszystko zamkną.

Karim zmarszczył brwi.

- Jak chcecie być planem A? Z komputerami, które nie działają? Z oprogramowaniem, którego nie rozumiesz? Pamiętam cię, Reza. Byłeś jak komunikat o błędzie. Założę się, że nawet nie wiesz, jak przeprowadzić symulację działania generatora neutronów. To wszystko jest tylko na pokaz.

- Nieprawda - zachnął się Reza. Podeszedł do stanowiska głównego operatora, usiadł w fotelu i włączył wielki komputer, który z pomrukiem obudził się do życia. Monitor z czarnego zrobił się biały, a po chwili pojawił się na nim ekran powitalny.

I konsola, i fotel lśniły nowością, jakby jeszcze nigdy z nich nie korzystano. Generator neutronów też wyglądał, jakby dopiero co go rozpakowano. Trzymali to wszystko w rezerwie, na wypadek, gdyby okazało się potrzebne. Prawdziwa praca odbywała się na wielkim komputerze, który symulował dzia-

łanie zapalnika neutronowego na materiał rozszczepialny w rdzeniu.

- Gorąco mi - powiedział Karim. - Mogę zdjąć marynarkę?

Reza nawet go nie usłyszał, tak był zajęty nową superza-bawką. Molavi zdjął marynarkę i położył na obudowie komputera. Na ekranie pojawił się ekran logowania.

- Nie patrz, jak będę pisał - poprosił Reza i mrugnął do niego.

Karim stał tyłem, kiedy przyjaciel wpisywał swoje nazwisko i hasło. Gdy odwrócił się z powrotem do komputera, ekran się zmienił i weszli do najtajniejszej przestrzeni elektronicznej w Islamskiej Republice Iranu.

- Teraz patrz - powiedział Reza. - W zeszłym tygodniu przeprowadziliśmy kilka symulacji pracy generatora. Pracujemy nad większym wzbogaceniem. A wtedy - żegnaj, Tel Awiw! Sprawimy, że wy, ważniacy z Teheranu, wyjdziecie na głupków.

Karim uśmiechał się i kiwał głową z uznaniem, kiedy Reza pokazywał symulacje.

- Lepsze, niż przypuszczałem - przyznał. - Ale to oczywiste, że nie macie prawdziwych narzędzi. Nadal jesteście poniżej masy krytycznej. Zobaczysz, siądzie wam. Nie macie pełnego pakietu.

- Tak sądzisz? No to ci pokażę, co potrafią prawdziwi ludzie nauki.

Nacisnął kilka klawiszy. Komputer zaszumiał i zaczął realizować kolejną, bardziej złożoną symulację. Na każdą sztuczkę przyjaciela Karim odpowiadał inną. W końcu Reza pozwolił

mu usiąść za konsolą, żeby pokazać kilka funkcji systemu, których nie rozumiał.

Molavi zerknął na zegarek. Minęło ponad pięćdziesiąt minut, od kiedy zaczęli. zaproponował jeszcze jeden test, by sprawdzić, czy Reza ma naprawdę właściwe oprogramowanie. Chodziło o symulację „przyspieszania” mieszkanki deuteru z trytem, mającego na celu wyprodukowanie większej liczby neutronów i tym samym doprowadzenie do znacznie silniejszej eksplozji. Ten test jeszcze nigdy nie powiódł się w Teheranie. Reza próbował, ale to naprawdę nie była jego liga. Karim też nie zdołał skłonić maszyny do wykonania symulacji.

- To wina komputera - oznajmił. - Coś nie działa.

- Komputer nigdy się nie myli - odparł Reza. - A przynajmniej nie wyprodukowana w domu maszyna meszhedzka brata Rezy, największego geniusza na świecie. Jestem pewien, że to twoja wina. Ty też o tym wiesz. Dlaczego nie chcesz się przyznać?

Karim znów zerknął na zegarek i sięgnął po marynarkę.

- Kocham cię, bracie - powiedział. - Pewnego dnia przyjedziesz pomóc nam w prawdziwej pracy na prawdziwych maszynach. Ale teraz jestem zmęczony. Czuję w kościach każdy kilometr drogi z Teheranu do Meszhedu. Co powiesz na kolację?

- Powiem, że to świetny pomysł - odparł Reza i dodał ciszej: - A później może trochę alkoholu? Mam nowe źródło. Ich produkt smakuje jak rosyjska wódka. Nie żartuję, przyjacielu, jest naprawdę najlepszy. Mieszkam na wzgórzach, całkiem sam. W okolicy nikogo nie ma. Nikt nas nie zobaczy. Basij nie przyjdzie sprawdzić, nawet jeśli zorganizujemy orgię-

- Potem o tym pogadamy - mruknął Karim. Przechwałki przyjaciela zaczynały go denerwować.

Wrócili do punktu kontrolnego i Molavi podpisał się w książce wejść i wyjść. Stary Ali ucałował go na pożegnanie w oba policzki, wdzięczny, że nie zapomniał jego imienia. Przy głównej bramie Karim odebrał swoją nokię. Ucisnął rękę strażnika i powiedział, że niedługo tu wróci.

Słońce stało już nisko. Reza powiedział przyjacielowi, że zarezerwował stolik w nowej restauracji na bulwarze Khay-yam. Nazywa się Jedwabny Szlak i mają tam nie tylko dobre jedzenie. W barze lubią przesiadywać dziewczyny z politechniki. Karim zgodził się na proponowany lokal, ale nie okazał entuzjazmu. Ci teherańczycy są okropnie arogancy, pomyślał Reza. Może to ten smog tak na nich działa.

MESZHED

Dwaj irańscy naukowcy wyszli z kompleksu Ardebil. Lekki przedwieczorny wietrzyk przynosił zapach szafranu i innych egzotycznych przypraw, z których uprawy służył ten region. Na ulicy było pełno studentów, którzy wracali do domów po zajęciach. Chłopcy i dziewczęta szli w osobnych grupkach. Reza podziwiał smukłe kształty dziewcząt, dobrze widoczne, bo na wietrze czadory przylegały im do bioder i piersi.

- Meszhed girls rock - skomentował.

Karim dostrzegł brudne mitsubishi z błyszczącymi ozdobami, które jechało wolno w ich stronę i zatrzymało się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Starał się nie patrzeć na samochód. Wykonał swoje zadanie, a teraz tylko zje kolację z przyjacielem i znów będzie wolny.

Peugeot Rezy stał na parkingu nieopodal kompleksu. To był prawdziwy francuski peugeot, nie jedna z irańskich podróbek. Niewątpliwie wyraz oficjalnego uznania. Karimowi też proponowali samochody, darmowe wakacje nad Morzem Kaspijskim i talony na importowany sprzęt elektroniczny, ale zawsze odmawiał. Między innymi dlatego ufali mu w To-hidzie.

Wydawał się naukowcem z prawdziwego zdarzenia, którego nie interesowały osobiste korzyści, ale wyzwania intelektualne, jakie wiązały się z pracą przy projekcie.

Restauracja Jedwabny Szlak mieściła się w hotelu Homa niedaleko centrum. Późnym popołudniem większość samochodów jechało w stronę przedmieść, ale na drodze do centrum też tworzyły się korki. Karim się nie odzywał, więc Reza włożył do odtwarzacza kasetę i włączył płytę R. Kelly'ego. Podkreślił basy i zaczął kiwać głową w sposób, jego zdaniem, raperski. Ilekroć R. Kelly wypowiadał słowo „motherfucker”, Reza powtarzał je głośno, bo uważał, że fajnie brzmi. Za nimi jechał mały minivan mitsubishi z trzema pielgrzymami i kierowcą. Raz po raz utykał w korku, a kierowca kłął po turkmeńsku na perskich morderców za kółkami innych samochodów. Oni też jechali do centrum, bez wątplenia do świątyni haram-e-motahhar. ???

Przed Kompleksem Badawczym Ardebil czekał trzeci pojazd. Był to czarny paykan, wynajęty na cały dzień w hotelu Iran. Kierowca na pewno zostałby rozpoznany przez pasażerów, którzy przyjechali tego ranka zielonym ekspresem z Teheranu, bo całą noc stał na warcie przed jednym z przedziałów sypialnych pierwszej klasy.

Na tylnej kanapie paykana siedzieli Al-Majnoun i Esfahani, obaj uzbrojeni. Mehdi nie lubił milczenia, więc od czasu do czasu mówił coś do towarzysza, ale ten nie odpowiadał.

Obserwował bramę Kompleksu Badawczego Ardebil.

Kiedy dwaj irańscy naukowcy wyszli z kompleksu i wsiedli do peugeota, kazał kierowcy włączyć silnik i jechać za nimi w bezpiecznej odległości. Mehdi popatrzył przez okno i cofnął się gwałtownie.

- To Molavi! - wykrzyknął. - Wiedziałem, że to zdrajca. Coondeh! - Ostatnie słowo, wypowiedziane pogardliwym tonem, oznaczało geja. - A kto to jest ten z nim?

Al-Majnoun, zamiast odpowiedzieć, wyjął z aktówki jeden z pistoletów automatycznych i przymocował do lufy

tłumik. Zatknąwszy broń za pasek spodni, rozparł się na siedzeniu. Kierowca podążyła za zwierzyną ulicą Khayyam do hotelu Homa.

???

Karim i Reza zjedli w Jedwabnym Szlaku lekką kolację. Reza chciał zamawiać kolejne dania, ale gdy Molavi powiedział, że nie jest głodny, zaproponował, żeby pojechali do niego i napili się bimbura, jak za dawnych szalonych lat. Karim, uznawszy, że przyda mu się coś, co złagodzi ból nóg po długiej podróży przez granicę, przyjął zaproszenie. Jeden drink w willi przyjaciela na wzgórzach, a potem sobie pójdzie. Zadzwoń po taksówkę, więc Reza będzie mógł pić, ile zechce.

Kiedy wyszli z restauracji, z sąsiedniego zaułka wypadł muskularny mężczyzna. Wyglądał jak jeden z pakistańskich robotników, którzy przenikali przez granicę niczym zbłąkane kozy. Rzucił się ku Rezie, potrafił go i po chwili zniknął za rogiem. Reza sprawdził, czy wciąż ma portfel, i zaklął szpetnie.

- Ale boli - mruknął, rozcierając ramię w miejscu uderzenia. - Zupełnie jakby mnie dźgnął nożem. Cholerny drań. Ten kraj nie jest już bezpieczny dla uczciwych Persów.

Karim milczał. Wiedział, że mężczyzną, który zaatakował jego przyjaciela, był Hakim.

- Chyba powinienem wezwać policję, nie sądzisz? - spytał Reza.

Karim przeczuwał, co się stało, ale nie chciał dopuścić do siebie tej myśli.

- Żadnej policji - odparł. - Jedźmy lepiej do ciebie. Nic ci nie będzie.

Wsiedli do peugeota i pojechali.

???

Reza skierował się na północ, w stronę przedmieścia za uniwersytetem. Jechał fatalnie.

Przyspieszał i hamował w niewłaściwych momentach, więc inni kierowcy ciągle na niego trąbili. Po dwudziestu minutach powiedział, że jest mu trochę słabo, i poprosił Karima, by zastąpił go za kierownicą.

Gdy dotarli do willi na wzgórzach - kolejnej nagrody za zaangażowanie w program nuklearny - obaj wysiedli z peugeota. Karim musiał podtrzymać przyjaciela, który nie był w stanie iść o własnych siłach.

- Musisz się położyć - powiedział.

Miał łzy w oczach, kiedy kładł go na kanapie. Reza oddychał coraz płycej, zaczynał popiskiwać jak pies, który próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Karim wiedział, że powinien wezwać lekarza. Może jego przyjaciel nadal ma szansę. Reza jęknął, w kącikach jego ust pojawiła się piana. Karim dotknął jego ręki. Była zimna.

- No, stary, trzymaj się - powiedział. - Nic ci nie będzie. Z oczu popłynęły mu łzy. Co on zrobił? Jak to wszystko

uruchomił? Pomyślał o Amerykaninie, panu Harrym. Kim był ten człowiek, który zachowywał się jak przyjaciel? Pochylił się nad Rezą, przykrywając go swoim ciałem jak kocem. Czuł każde uniesienie się jego klatki piersiowej, każdy jego oddech, coraz wolniejszy, coraz bardziej chrapliwy. A potem Reza przestał oddychać. Mimo to Karim leżał na przyjacielu, jakby w ten sposób mógł powstrzymać duszę przed opuszczeniem ciała. ???

Rozległo się głośne pukanie. Kiedy nikt nie otworzył, drzwi wyważono i do mieszkania wpadły dwie ciemne sylwetki. Molavi wciąż tulił w ramionach zmarłego przyjaciela.

- Karimie, wstań, proszę - powiedziała Jackie. Próbowwała mówić łagodnie, ale w jej głosie było napięcie. - Musimy jechać.

Marwan stał przy drzwiach z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

- Zabiliście go! - zawodził Karim. - Ufałem wam. To był mój przyjaciel. Co wam zrobił?

- Później ci wyjaśnię. Musimy iść. Samochód jest na dole. Chodź. - Pociągnęła go, ale Karim był dużym mężczyzną, więc nie dała rady go podnieść. Zawołała na pomoc Marwana.

- Przestańcie! Pozwólcie mi tu chwilę posiedzieć. - Karim ukrył twarz w dłoniach. Jackie gładziła go po plecach.

Marwan wskazał na zegarek, ale Jackie pokręciła głową. Muszą pozwolić młodemu Irańczykowi dojść do siebie, bo inaczej go stracą.

??*

Na podjazd wjechał kolejny samochód, bez świateł i na jałowym biegu. Hakim, który trzymał wartę przy mitsubishi, zobaczył, jak nadjeżdża, ale zanim zdążył zareagować, mężczyzna w płóciennej czapce strzelił do niego przez otwarte okno czarnego paykana. Hakim, trafiony w ramię, obrócił się, ale nim złożył się do strzału, druga kula trafiła go w głowę. Drugi mężczyzna w samochodzie, Irańczyk ze starannie utrzymaną kozią bródką, aż jęknął. Mimo charakteru swojej pracy nigdy nie widział, jak się zabija człowieka.

Al-Majnoun ruszył w stronę minivana. Dwa kolejne strzały i tylne opony mitsubishi stały się wspomnieniem. Turkmeński kierowca skulił się w kabinie. Szaleniec przystawił mu lufę do głowy, pociągnął za spust i wrócił do paykana. Esfahani siedział na tylnym siedzeniu i trzymał w ręku pistolet, ale nie miał pojęcia, co robić.

- Wsiadaj - warknął Al-Majnoun. - I chodź za mną. Wyjął z aktówki drugi pistolet i schował do kieszeni marynarki.

Mężczyźni ruszyli podjazdem w stronę willi Rezy. Al-Majnoun pochylał się do przodu, jakby czegoś szukał, ale poruszał się z pewnością siebie kogoś, kto zna rozkład domu.

Podszedł do tylnych drzwi, otworzył je ostrożnie i rzucił granat gazowy w stronę salonu, gdzie Karim nadal szlochał z twarzą ukrytą w dłoniach. W pokoju rozległy się strzały z broni maszynowej, ale Jackie i Marwan strzelali na oślep - żadne nie widziało celu. Chociaż byli świetnie wyszkoleni, dali się zaskoczyć. Krztusili się gazem, a chwilę później już nie byli w stanie celnie strzelać czy choćby skupić wzroku.

Al-Majnoun zaczekał, aż staną się bezbronni, i wśliznął się do salonu. Jackie próbowała unieść broń, nie dała jednak rady. Marwan leżał nieruchomo, ale kiedy Al-Majnoun ruszył ku

niemu, zebrał się w sobie i zaczął strzelać. Jedna kula trafiła przeciwnika w nogę. Szaleniec również strzelił, dwa razy i za każdym razem celnie - w pierś Marwana, a potem w głowę. Później podszedł do Karima Molawiego. Rozerwał mu koszulę na piersiach i sprawdził bicie serca, by się upewnić, że młody Irańczyk żyje.

Zawołał Mehdiego, który czekał na zewnątrz. Śledczy usiłował wyglądać na opanowanego i trzymać pistolet tak, jakby wiedział, jak go użyć. Gaz już się rozproszył. Al-Majnoun wytrącił broń z ręki Jackie i uderzył ją w twarz.

- Pobudka, młoda damo - powiedział po angielsku i uderzył ją jeszcze raz.

Świat Karima spowijała mgła. Próbował się podnieść, żeby pomóc kobiecie, którą uważał za swego obrońcę. Al-Majnoun pchnął go na kanapę.

- Zostań tam - nakazał. - Jesteś moim więźniem. Mehdi patrzył w oszołomieniu na dwóch zabitych ludzi

i dwoje obezwładnionych.

Al-Majnoun wyjął z kieszeni drugi pistolet. Jego twarz drgała, jakby blizny nagle ożyły i wiły się jak robaki. Wyraz oczu świadczył, że naprawdę jest Szaleniec, że chce dokonać jeszcze jednego zabójstwa, by dokończyć dzieła. Mehdi zdał sobie sprawę, że ten człowiek nie jest przy zdrowych zmysłach.

- Nie zabijaj chłopaka - powiedział. - Potrzebujemy jego zeznań. Musimy go przesłuchać.

Al-Majnoun odwrócił się do śledczego. Grymas na jego twarzy przypominał uśmiech wycięty na dyni oświetlonej od środka świecą. Uniósł pistolet i wycelował w Esfahaniego. W oczach irańskiego oficera wywiadu pojawiło się przerażenie i cień zrozumienia, że gra była zupełnie inna, niż sądził.

- Al-Majnoun, co ty robisz?! - krzyknął. - Nie zabijaj mnie! Pro...

Zanim wypowiedział ostatnie słowo, Szaleniec pociągnął za spust.

- Źle zrozumiałeś - powiedział, jakby ogłaszając jego śmierć. Ciało Mehdiego osunęło się na podłogę jak marynarka spadająca z wieszaka.

???

Al-Majnoun wytarł starannie pistolet, którym zabił Hakima, turkmeńskiego kierowcę i Marwana. Włożył go w bezwładną rękę Mehdiego i położył jego palec na spuście. Drugi pistolet, z którego strzelił do śledczego, włożył w rękę Marwana. Podniósł pusty granat gazowy i schował do kieszeni. Rozejrzał się po pokoju, by się upewnić, że irańscy śledczy dobrze odczytają obraz, jaki stworzył.

Jackie czołgała się po podłodze, szukając jakiegoś ostrego przedmiotu, którym mogłaby przeciąć sobie nadgarstki albo przebić serce. Nie mogła dać się wziąć do niewoli. Otrzymała rozkaz zachowania milczenia i była gotowa go wypełnić.

Ale Szaleniec zauważył jej wysiłki. Znów ją uderzył, a potem unieruchomił jej rękę z tyłu i związał kawałkiem drutu. Karim siedział na kanapie, wpatrzony w ciało martwego przyjaciela.

???

- Co z nami zrobisz? - spytała Jackie spokojnie. Zostały jej tylko słowa, mogła się za ich pomocą targować albo prowokować. Albo przynajmniej czegoś się dowiedzieć.

- Puszczę was - odparł Al-Majnoun.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie. Nie musisz.

Jackie patrzyła na Libańczyka. Jego twarz wyglądała jak portret pamięciowy, w którym poszczególne elementy nie pasują do siebie.

- Jak stąd wyjedziemy? - spytała.

- Na dole stoi czarny samochód. Mój kierowca czeka na was. Zawiezie was na granicę. Nie w Sarahs, gdzie ją przekroczyliście, bo tam będą was szukać. W Kalat, na północy. To tylko sto kilometrów stąd. Masz łączność?

- Tak - odparła Jackie.

- Więc z niej skorzystaj. Kiedy będziecie jechali, porozum się ze swoimi. Powiedz im, gdzie przekroczycie granicę. Niech na was czekają po drugiej stronie. To nie jest oficjalne przejście, ale przemytnicy je znają. Mój kierowca przeprowadzi was na drugą stronę. Ma broń. Jeśli będziecie mieli szczęście, przeżyjecie.

- Kim pan jest? - spytała Jackie. - Ten człowiek nazwał pana Al-Majnoun. Zabójca skrzywił się. Człowiek bez twarzy nie chciał mieć imienia.

- Kłamał. Nie mam imienia, ponieważ nie istnieję. Mogłem zabić ciebie i chłopaka, ale darowałem wam życie. A teraz czas na was.

Uwolnił jej ręce i wypchnął ją i Karima z willi w kierunku czekającego samochodu. Nie mieli innego wyboru, niż zrobić, co im kazano.

Podeszli do mistubishi. Jackie zrobiło się niedobrze na widok Hakima. Kałuża krwi wokół jego ciała zaczęła już zasychać. Ranę na głowie obsiadły owady. Przez otwarte drzwi widać było zastrzelonego kierowcę. Krew z roztraskanej czaszki przesiąkła przez ozdobną poduszkę, którą kładł na siedzeniu, i skapywała na tył samochodu.

Jackie chciała zebrać przedmioty, które pozwoliłyby zidentyfikować ją i dwóch martwych agentów, ale Al-Majnoun jej na to nie pozwolił. Kiedy zaczęła protestować, wycelował nie w nią, a w Karima. Ustąpiła.

- Ratuję wam życie - rzekł Libańczyk. - Chcę, żebyście uciekli.

- Dlaczego? - spytała. Nie odpowiedział.

Jackie i Karim wsiedli do paykana. Al-Majnoun wyjaśnił kierowcy, że jego zadaniem jest dostarczenie tych dwojga na granicę, i zamknął drzwiczki. Samochód zawrócił na podjeździe i odjechał. Po chwili jego światła zniknęły w ciemności.

Al-Majnoun sięgnął po komórkę. Kilka minut później pod willą zatrzymał się inny samochód. Szalencie opadł ciężko na tylne siedzenie i sięgnął do swojej czarnej teczki po fajkę. Napenił ją opium, zapalił i zaciągnął się głęboko. Samochód jechał przez noc, a Al-Majnoun odpływał w miejsce, gdzie naprawdę nie miał ani imienia, ani misji.

KALOT. IRAN

Czarny paykan jechał górską doliną na północ w stronę Kalat. Serpentyne drogi i skaliste wzgórza tańczyły w srebrzystym blasku księżyca w pełni. Karim wkrótce zasnął, ale Jackie czuwała. Uczesała włosy i włożyła czador, żeby ukryć twarz. Trzęsła się pod czarną suknią jak ćma nabita na szpilkę. Na drodze było trochę samochodów, ale żadnej policji. Prędzej czy później ktoś z sąsiedztwa zawiadomi władze. W domu było za dużo hałasu. A kiedy do policji dotrze, co oznaczają te ciała, rozpocznie się pościg. Ale może do tej pory zdążą przekroczyć granicę.

Po mniej więcej półgodzinie jazdy Jackie zadzwoniła z komórki do centrum operacyjnego w Londynie. Połączenie przekazano do Winklera w Sarahs.

- Wychodzimy - oznajmiła Jackie. - Ale inną drogą. Kalat, na północ od Meszhedu, w górach. Nie ma tam przejścia granicznego, ale przejdziemy. Czekajcie po drugiej stronie.

- Kochanie - powiedział. Nie powinien tak się do niej zwracać, ale nie mógł się powstrzymać.

- Zamknij się. Zanotowałeś, gdzie?

- Kalat - powtórzył posłusznie. - Kiedy?

- Nie wiem. Prawdopodobnie tuż po świcie. - Jej głos był ciężki od zmęczenia i smutku.

- Wszystko w porządku?

- Nie. Straciłam dwóch ludzi.

- Nie żyją? - Tak.

Adrian jęknął.

- Przykro mi.

- Chłopak żyje. Jest ze mną.

- Udało się?

- Jeszcze nie wiem. Strasznie się porąbało.

- Nic ci nie jest?

- Adrian, co się dzieje, do kurwy nędzy?! Kto to jest Al--Majnoun?

Winkler nie rozumiał ostatniego pytania. Poprosił, żeby powtórzyła. Powiedziała kilka słów, po czym przerwała. Rozmawiali za długo, a połączenie nie było bezpieczne. Nie miała czasu słuchać wyjaśnień Adriana, nawet jeśli mógł ich udzielić. Powtórzyła nazwę miejsca, gdzie mieli przekroczyć granicę, i rozłączyła się.

Droga wspinała się ku Kalat. Miasteczko znajdowało się wśród urwisk, które czyniły z niego naturalną twierdzę. To tutaj siły perskiego wojownika Nadera Szacha ukryły się przed turkmeńskim zdobywcą Tamerlanem. Kierowca zwolnił. Dbał o zawieszenie.

Nad wzgórzami na wschodzie pojawił się różowy blask zwiastujący świt. Jackie obudziła Karima. Kiedy oprzytomniał, na jego twarzy pojawił się głęboki smutek.

- Co się z nami stanie? - pytał. - Dlaczego ci ludzie zginęli? Kim był ten człowiek? Dlaczego nadal żyjemy?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Chcę cię tylko stąd wyciągnąć. Proszę, ufaj mi jeszcze trochę, choć na to nie zasługuję.

Przejechali przez centrum miasteczka. W oknach posterunku policji paliło się światło.

Dlaczego wstali tak wcześnie?

Kierowca zaklął po persku. To były pierwsze słowa, jakie wymówił podczas podróży.

Granica była przed nimi, na końcu wąskiej drogi wśród wzgórz. Samochód mijał kamienne domki, których mieszkańcy właśnie się budzili. Z meczetu na północy miasta dobiegło ciche wezwanie na modlitwę fajr o świcie.

Kierowca popatrzył na drogę i wdepnął hamulec. Jakieś sto metrów przed nimi znajdowała się blokada. W półmroku nie było widać policjantów, ale barierka wyglądała na solidną.

Kierowca wycofał się kilkanaście metrów do skrzyżowania,

skreślił w lewo w wąską dróżkę, pół asfaltową, pół gruntową. Paykan podskakiwał na nierównej nawierzchni.

Jackie spojrzała w prawo. Byli na wysokości blokady. Miała nadzieję, że policjanci nie zwrócą uwagi na samochód na bocznej drodze, ale w następnej chwili usłyszała syrenę i zobaczyła, jak spod blokady ruszają dwa radiowozy.

- Szybciej! - krzyknęła do kierowcy.

Ale on nie potrzebował zachęty. Przyspieszył na stromym podjeździe i wpadł w poślizg na zakręcie, ale zdołał utrzymać kontrolę nad pojazdem. Radiowozy wjechały w boczną drogę. To były mercedesy, szybsze i większe od paykana. Co dwadzieścia sekund pogoń zyskiwała jakieś dziesięć metrów.

Czarnym paykanem znowu zarzuciło. Zbliżali się do szczytu, granica musiała być przed nimi. Chyba że droga zakończy się ślepo i zginą tutaj. Ale kierowca najwyraźniej wiedział, co robi. Wjechali na szczyt, samochód podskoczył gwałtownie na wyboju i opadł tak ciężko, że podwozie aż się ugięło. Kierowca jeszcze przyspieszył.

Teraz droga prowadziła w dół, ku wąwozowi znajdującemu się nie więcej niż pół mili od nich. Środkiem biegło koryto wyschniętej rzeki, którym poprowadzono granicę.

Przerzucony nad nim mostek zagrodzono barierą, ale po obu stronach były ścieżki, którymi mogli przejechać na drugą stronę. Radiowozy wciąż się zbliżały. Nie sposób było określić, czy paykan zdoła dotrzeć do granicy, zanim go dogonią.

Za nimi rozległ się głośny huk. Karim i Jackie wzdrygnęli się i odwrócili. Ktoś do nich strzelał z siedzenia pasażera w pierwszym radiowozie.

- Broń! - krzyknęła Jackie w stronę kierowcy.

Nie rozumiał, więc przechyliła się przez oparcie i chwyciła go za gardło.

- Daj mi ten cholerny pistolet! - wrzasnęła.

Kierowca wyciągnął coś spod płaszcza i rzucił na siedzenie. Niemiecki pistolet automatyczny. Ogień z radiowozu nie ustawał. Kilka kul przebiło karoserię paykana.

- Na ziemię! - krzyknęła Jackie do Karima.

Zamiast to zrobić, przytulił się do niej mocniej, jakby chciał ją ochronić.

- Na ziemię! - powtórzyła, spychając go na podłogę. Otworzyła okno i zaczęła strzelać. Była lepszym strzelcem niż Irańczycy, więc już za drugim strzałem trafiła kierowcę pierwszego radiowozu. Samochód obrócił się i wypadł z drogi, ale drugi jechał dalej, a policjanci strzelali z okien po obu stronach.

irkir

Pędzili w stronę granicy. Po turkmeńskiej stronie czekała grupa ludzi, wyraźnie widocznych w promieniach wschodzącego słońca. Obok stał helikopter, jego łopaty rytmicznie przecinały powietrze. Dwaj mężczyźni na przodzie obserwowali zbliżającego się paykana przez lornetki. Z radiowozu nadal strzelano. Jedna z policyjnych kul trafiła w prawą tylną oponę paykana, która niemal natychmiast po-

darła się na strzępy. Samochód jechał dalej na samej feldze, ale wtedy stracili drugą oponę i prędkość spadła niemal do zera. Kierowca zjechał z drogi w nadziei, że w ten sposób opóźni pogoń, znajdującą się teraz w odległości zaledwie stu metrów.

Policjanci nie przestawali strzelać. Kierowca dostał. Zaklął, ale utrzymał kierownicę.

Próbował przyspieszyć, lecz paykan miał za mało mocy.

Jackie popatrzyła na młodego mężczyznę skulonego na podłodze i na swój pistolet. Nie uda im się. Za kilka chwil zostaną schwytani, a do tego nie może dopuścić. Wycelowała w głowę Karima i pociągnęła za spust. Potem wycelowała we własną.

??*

Z drugiej strony granicy najtrudniej było obserwować ostatnie kilka sekund. Ogień maszynowy z policyjnego mercedesa bezlitośnie dziurawił paykana, aż wreszcie trafił w zbiornik paliwa i samochód wybuchł niebieskim ogniem. Właśnie z tego powodu uznali później, że to musiała być interwencja policyjna, a nie operacja koordynowana przez wywiad. Wywiad nigdy nie dopuściłby do wysadzenia samochodu. Zrobiłby wszystko, żeby zachować pasażerów przy życiu, by móc ich przesłuchać.

W chwili wybuchu Adrian Winkler osunął się na kolana i krzyknął głośno. Harry Pappas próbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Już raz nie zdołał ochronić młodego człowieka, który powierzył mu swoje życie. Adrian i Harry, sparaliżowani rozpaczą, nie byli w stanie się ruszyć. Młody oficer SIS, Jeremy z placówki w Aszchabadzie, pomógł im wstać i zaprowadził do helikoptera. Musieli odlecieć, zanim pojawi się więcej Irańczyków i sprawy jeszcze bardziej się skomplikują.

LONDYN

Lecieli do Londynu w atmosferze smutku i porażki. Przez pierwsze godziny, pogrążeni w rozpacz, w ogóle nie myśleli

o tym, co robić dalej. Kiedy ich helikopter wrócił do Aszcha-badu, Kamala Atwana nie było już w Turkmenistanie - nie-cierpiące zwłoki interesy wezwały go do Londynu - ale na lotnisku zostawił do dyspozycji Winklera drugi samolot, zatankowany i gotowy do startu.

Jeremy z placówki w Aszcha-badzie radził, żeby wyjechali z kraju natychmiast, nim kryzys dojrzeje. Wręczył Adrianowi depeszę, która właśnie przyszła z Londynu od sir Davida Pluma. Jej treść sprowadzała się do stwierdzenia: „Spierdalajcie stamtąd jak najszybciej”.

Harry nie protestował. Usiłował ułożyć sobie w głowie łańcuch zdarzeń z ostatnich kilku dni, chciał je zrozumieć

i zupełnie go nie obchodziło, gdzie jest. Napędzała go wściekłość, wściekłość obejmująca wszystkich i wszystko, ale przede wszystkim jego samego.

Gulfstream G-5, prywatny odrzutowiec Atwana, przypominał latający salon, cały w czarnej skórze z krzykliwymi złotymi dodatkami. W łazience było duże okno, a angielska

stewardessa serwowała drinki, pochylając się ku pasażerom tak, żeby jej kształtne piersi znalazły się na wysokości ich twarzy. Adrian najwyraźniej znał ten samolot. Kiedy wystartowali z Aszchabadu, poszedł do kabiny na ogonie i kazał stewardessie przygotować łóżko. Pościel była z czarnego

jedwabiu, a na suficie znajdowało się lustro. zaproponował łóżko Harry'emu, a kiedy ten odmówił, zamknął drzwi i sam się położył.

Harry usiadł w głębokim skórzanym fotelu i przymknął oczy. Nie chciał spać, tylko pomyśleć. Cała historia leżała przed nim jak na dłoni, ale nie potrafił jej odczytać. Miał tylko pytania. Jakim cudem w Meszhedzie zginęły cztery osoby? Co mogło zaskoczyć znakomicie wyszkolony zespół Increment? Dlaczego porzucili starannie przygotowany plan ucieczki? Skąd Jackie wzięła czarnego paykana, którym niemal dotarła do granicy? Kto prowadził ten samochód? Widział twarz Jackie przez lornetkę, ale kierowca był mu nieznany. I co się stało w ostatnich chwilach przed wybuchem? Widział, jak Jackie strzela do kogoś na podłodze, a potem przystawia lufę do własnej skroni. Do kogo strzeliła najpierw? To musiał być Karim. Jeśli tak, czy to oznacza, że jego misja w Kompleksie Badawczym Ardebil powiodła się, czy że się nie powiodła? A Irańczycy? Od jak dawna wiedzieli o operacji? Czy od początku? Harry nie chciał dopuścić takiej ewentualności. Ale przy tylu ofiarach nie mógł jej wykluczyć.

I wreszcie, jaka była w tym wszystkim rola Kamala Atwana? Tę część historii rozumiał najslabiej. Atwan był kluczowym elementem każdego etapu procesu. Działał z pewnością siebie człowieka, który posiada własny wywiad, dostarczył im wszystko, co obiecał. A mimo to operacja zakończyła się katastrofą. Co przeoczył? Czy Karim Molavi i pozostała czwórka zginęli przez jego brak czujności?

???

Harry obudził Adriana po dwóch godzinach. - Wstawaj- powiedział, podając mu filiżankę czarnej kawy. - Musimy pogadać.

- Daj mi spokój, Harry, jestem do niczego - wymamrotał Adrian. - Kochałem tę kobietę. Wziąłem środki nasenne. Muszę spać. Pogadamy w Londynie.

- Wstawaj - powtórzył Pappas. - Muszę poznać kilka odpowiedzi, zanim wylądujemy. Ta cała operacja wybuchnie nam prosto w twarz, więc muszę wiedzieć, co się, do cholery, stało.

Adrian jęknął i wziął od niego filiżankę. Wiedział, że Harry nie odpuści. Sprawiał wrażenie elastycznego, ale nigdy nie ustępował w sprawach, które były naprawdę ważne.

Winkler powłókł się do toalety na tyle samolotu, urządzonej w czerwonym pluszu. Umył zęby i ochlapał wodą twarz. Kiedy wrócił, Harry zmusił go, żeby dopił kawę, a potem przyniósł mu drugą.

- Czy w samolocie jest podsłuch? - zapytał Harry. Siedzieli w kabinie na ogonie. Łóżko zostało złożone.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Adrian. - Ale pewnie tak.

- W takim razie będziemy sobie szeptać do ucha. Ta sprawa dotyczy nas, a nie twojego partnera w interesach.

Adrian skrzywił się.

- Wyluzuj, Harry. Mnie wali się cała kariera. Jeśli to wyjdzie na jaw, jestem skończony.

- No i co z tego? Moja kariera też została zniszczona. A pewnie nawet gorzej. Mów mi do ucha, żeby mikrofony nic nie wylapały.

Adrian kiwnął głową. Harry pochylił się i szepnął:

- Jackie dzwoniła do ciebie, żeby cię poinformować, że wraca inną drogą, tak?

- Tak - odszepnęła Winkler. - Powiedziała, że mamy czekać w Kalat. Kazała mi powtórzyć nazwę.

- Co jeszcze powiedziała?

Adrian westchnął i zamknął oczy, a potem znów nachylił się do Harry'ego.

- Że straciła dwóch ludzi. I że Karim jest z nią, i że wracają.
- Czy powiedziała, co zaszło w Meszhedzie? Wyjaśniła, dlaczego nastąpiła zmiana planu?
- Nie. Bała się, że linia nie jest bezpieczna. Harry wyprostował się. Oczy mu zabłyśły.
- Nie wierzę ci. To nie może być wszystko - mówił głośno, prawie krzyczał. - Powiedz mi prawdę, do diabła! Co jeszcze? - Chwytał Brytyjczyka za kołnierz i przyciągnął do siebie.
- Nic więcej - wychrypiał Adrian. Harry uderzył go w twarz.
- Ty kłamliwa kupo gówna! Powiedz mi prawdę. To była rozmowa operacyjna. Przekazana z Londynu. Myślisz, że nie mogliśmy jej przejąć i rozszyfrować? Chyba zwariowałeś. I tak się dowiem. Pytanie tylko, czy będę miał jeszcze wtedy choć gram szacunku dla ciebie. Mów prawdę, samolubny fiucie. - Uderzył go po raz drugi.
Z oczu Adriana płynęły łzy. Nie z powodu uderzeń, tylko rozpaczy. Dokładnie pamiętał, co powiedziała Jackie. Jej oskarżycielskie słowa będą go prześladować aż do śmierci. Położył głowę na ramieniu przyjaciela. Harry czuł jego łzy przez koszulę.
- Spytała: „co się dzieje, do kurwy nędzy? ” Chciała wiedzieć, co się spierdoliło, że plan operacyjny diabli wzięli. Powiedziała, że nie wie, czy im się udało czy nie. Była przerażona i wściekła. Powiedziałem do niej „kochanie”, a ona mi na to, żebym się odpierdolił. Taka była wściekła.
- Co odpowiedziałeś, kiedy zapytała, dlaczego operacja została przewalona?
- Nic. Bo nie wiedziałem. Nadal nie wiem.
Harry popatrzył na Winklera, niepewny, czy mu wierzyć czy nie.
- Co jeszcze powiedziała? No gadaj, do cholery. Musi być coś jeszcze.
W oczach Adriana znów pojawiły się łzy. Pochylił się do Harry'ego i wyszeptał ledwo słyszalnie:
- Zapytała: „Kto to jest Al-Majnoun?” Zaraz po tym, jak spytała, co się dzieje, chciała wiedzieć, kto to jest Al-Majnoun.
Harry trzymał go w ramionach, opierali się o siebie czołami.
- A jak brzmi odpowiedź?
Adrian pokręcił głową. Oczy miał czerwone, od płaczu i z niewyspania.
- Nie wiem - szepnął. - Nie mam pojęcia, o kim mówiła. Dlatego tak się boję.
Harry pozwolił, by głowa Adriana opadła. Uznał, że tym razem jego przyjaciel mówi prawdę.
???

Kiedy wylądowali w Londynie, Harry zastanawiał się, czy od razu skontaktować się z Kamalem Atwanem. Adrian był kompletnie zdruzgotany, więc od niego nie mógł oczekiwać żadnej pomocy. W końcu postanowił odłożyć rozmowę z Li-bańczykiem. Atwan na pewno się jej spodziewa. Będzie czekał w swoim eleganckim londyńskim domu, opracowawszy starannie wszystkie szczegóły. Wszystkie kawałki łamigłówek przechodziły przez jego ręce, ale dopóki Harry nie pozna ich kształtu i boków, nie będzie w stanie ich do siebie dopasować. Albo, co gorsza, złoży je w obraz zamierzony przez Atwana, bo nie dostrzeże alternatywnych możliwości. Zaczeka więc, aż zrozumie wszystko lepiej, i wtedy odwiedzi libańskiego biznesmena, zapewne już jako osoba prywatna.
???

Podczas londyńskiej przerwy w podróży Harry złożył wizytę sir Davidowi Plumbowi. Nie powiedział nic Adrianowi, tylko zadzwonił bezpośrednio do jego szefa, żeby umówić się spotkanie. Ale kiedy przyjechał do Vauxhall Cross, Winkler był w gabinecie sir Davida. No cóż, Brytyjczycy nigdy nie łamali szyku.
Spotkanie nie trwało długo. Harry spytał, co Londyn zamierza teraz zrobić, a sir David wyjaśnił sytuację. Był dość pogodny, zważywszy, co się stało. Operacja w Iranie, mimo problemów, spełniła oczekiwania premiera. Irański program atomowy był pod kontrolą. Brytyjczycy rozumieli to od początku, tylko Amerykanie nie chcieli słuchać.

- Ale nie wiemy, co się zdarzyło w Meszhedzie - przypomniał Harry. - Nie wiemy wielu rzeczy.

- No cóż - sir David machnął ręką. - Prędzej czy później szczegóły wyjdą na jaw. Wiemy wystarczająco dużo, by poinformować premiera. A dzięki temu premier będzie mógł podejmować delikatne decyzje. Nie zatoniemy znowu razem ze statkiem. Żadnego Iraku więcej! Specjalne relacje to nie pakt samobójczy. Zanim Biały Dom zrobi coś szalonego, premier podejmie odpowiednie działania.

- Jakie?

- Przykro mi, mój drogi, ale nie ma cię na tej liście dostępu. Jedyne miejsce, jakie Downing Street 10 ma z całym planem, to ty, Harry. Obawiam się, że ci nie ufają. Ale powiedziałem im, żeby się nie martwili.

- Dlaczego tak im pan powiedział?

- Ponieważ teraz należysz do nas, Harry. Jesteś naszym człowiekiem i zrobisz, co ci powiemy.

WASZYNGTON

Taksówkarz - Irańczyk, jak wszyscy taksówkarze na lotnisku Dulles - był w nastroju do rozmowy. Wyrzekał na tych okropnych mułłów i twierdził że skoro wpadli w kłopoty, Amerykanie powinni wypowiedzieć im wojnę. Harry odparł, że nic nie wie o Iranie; jest tylko biznesmenem i chce, żeby wszyscy byli przyjaciółmi.

Gdy dotarł do domu, Andrea jeszcze nie wróciła z pracy. Zostawił jej kartkę, bo zamierzał wpaść do biura, żeby przeczytać depesze i raporty z systemu nasłuchu i zobaczyć, czy da się z tego cokolwiek wywnioskować na temat zająć w Iranie.

Miał już wychodzić, kiedy' Przed domem zatrzymał się autobus szkolny. Louise wbiegła do środka i rzuciła mu się w ramiona.

- Wróciłeś! Wróciłeś! - wołała radośnie. Zwykle nie była taka wylewna... -

- Muszę z tobą porozmawiać- tatusiu - powiedziała, gdy wypuścił ją z objęć. - Podjęłam ważną decyzję. Nie chcę iść do collegeu.

Harry poczuł się nieswój - Louise była w drugiej klasie liceum i powinna zacząć się szykować do collegeu, a nie myśleć, jak go uniknąć.

- Powinnaś skończyć college Louise. - Jeśli tego nie zrobisz, nie dostaniesz dobrej pracy.

Będziesz pracować w Wal-Marcie albo kosić ludziom trawniki- Musisz iść do collegeu.

- Kiedyś pójdę, tato, ale nie od razu. Chcę zrobić coś innego. Na świecie jest tyle zła. Nie mogłabym się skupić na nauce. Myślałabym tylko o tych ludziach, których spotykają nieszczęścia. Chcę pracować dla Lekarzy Bez Granic. Mówili o tym w „Scrubs”

- Żeby dla nich pracować, musisz być lekarzem albo pielęgniarką. Mieć wykształcenie. Gdy skończysz studia, na świecie dalej będzie strasznie. Mogę ci zaręczyć.

- Ale ja chcę coś zrobić teraz. Potrzebuję tego. Jest taka organizacja, nazywa się FXB i pomaga chorym na AIDS sierotom w Afryce. Może oni mnie przyjmą. Nie mogę tu po prostu siedzieć i patrzeć na ludzkie nieszczęścia, tato. Nie mogę.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Lulu, ale porozmawiamy o tym później. Teraz muszę iść do pracy. Będę z ciebie dumny, cokolwiek zdecydujesz. Masz wielkie serce, a to najważniejsze.

Przytuliła go jeszcze raz i odprowadziła do samochodu. Gdy jechał do Langley, przyszło mu do głowy, że Louise jest idealistką, tak jak jej brat. Nie potrafi beczynnie przyglądać się złu, tylko pragnie zmieniać świat na lepsze. Mówiła o ratowaniu sierot w Afryce z taką samą pasją, jak kiedyś Alex o powstrzymaniu ludzi, którzy zniszczyli World Trade Center.

???

Harry zjawił się w biurze późnym popołudniem. Oficerowie łącznikowi i zleceniobiorcy już wychodzili. Przeszedł przez bramki i ruszył korytarzem C do Wydziału Operacji Irańskich. Ktoś musiał uprzedzić Marcie, bo czekała na niego przy drzwiach, pod plakatem z imamem Husajnem.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła.
- Dobrze, ale najpierw przeczytam depesze i sprawdzę, co się działo. I muszę zobaczyć się z dyrektorem, jeszcze dziś albo jutro rano.
- Nie, mój drogi. Możesz przeczytać depesze, ale nie zbliżaj się do szóstego piętra, dopóki nie pogadamy. Masz problem, o którym jeszcze nie wiesz. Jego inicjały brzmią F.B.I.
- O, cholera! Czego chcą?
- Nie wiem. Ale wypytywali mnie o twoje podróże. Kazałam im spadać i nie wracać bez nakazu.
- Mają coś?
- A kto ich tam wie? To banda dupków. Powiedz, jak mogę ci pomóc. Czego potrzebujesz oprócz szkockiej, którą będziesz musiał sam sobie załatwić?
- Dobrych danych na temat Iranu. Dopilnuj, żebym dostał wszystko z zeszłego tygodnia. Potem obdzwon wszystkich oficerów łącznikowych, którzy mogą coś wiedzieć, i powiedz im, że potrzebuję tych danych natychmiast. Niech popędzą swoich ludzi w kraju, wszystko jedno, która jest tam teraz godzina. I powiedz NSA, że potrzebuję specjalnego jednorazowego dostępu do danych z systemu nasłuchu z Iranu przed opracowaniem. Wszystkiego, co zdążyli przełożyć. Jeśli ktoś zacznie jęczeć, powiedz mu, że osobiście dopilnuję, żeby trafił do stacji nasłuchowej na Okinawie.
- Co jeszcze?
- Chcę, żebyś sprawdziła we wszelkich bazach danych niejakiego Al-Majnouna. To po arabsku „Szaleniec” więc pewnie jest Arabem, ale przebywa w Iranie. Przynajmniej tak sądzę.
- Na miłość boską, wiem, co to znaczy Al-Majnoun -parsknęła Marcia. - Może nawet wiem, kto to jest. Jeszcze jakieś poniżające rozkazy?
- Zadzwoń do Narodowego Biura Rozpoznania. Powiedz im, że chcę zobaczyć nagrania z Meszhedu sprzed czterdziestu ośmiu godzin.
- ???

Harry poszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Zalogował się do systemu i zaczął przeglądać depesze. Chciał samodzielnie ułożyć karty, które odkrywały dane wywiadowcze. Wywiad amerykański nie wiedział wiele o Iranie, ale trochę jednak wiedział. A jego współpracownicy wiedzieli więcej: jeśli zaczynał się ruch w tajnych kompleksach obcego państwa, zwykle pozostawiał po sobie jakieś ślady, fizyczne lub elektroniczne, które można było odebrać i zanalizować.

Własne doniesienia Agencji były nieliczne. Jak mogłoby być inaczej? Ich jedyne dobre źródło w irańskim programie nuklearnym już nie żyje. Harry znalazł interesującą informację w raporcie otrzymanym dwa dni temu z placówki w Du-baju. Prowadzony przez nich agent, który pracował w Ministerstwie Wywiadu, usłyszał coś od ludzi mających dostęp do prawdziwych tajemnic.

Wiadomość, opatrzona nagłówkiem WSTRZĄSY W TEHERANIE?, mówiła o krążących w ministerstwie plotkach, że w wywiadzie Gwardii Rewolucyjnej polecą głowy, bo ktoś dał ciała, i to porządnie. Szef dubajskiej placówki interpretował te pogłoski jako element rywalizacji między dwiema rządowymi agendami, przypominając, że oficerowie Ministerstwa Wywiadu zawsze przepowiadali upadek Gwardii Rewolucyjnej. Ale Harry potraktował raport poważnie. Napisał do ludzi w Dubaju, każąc im pilnie zorganizować spotkanie z agentem i wyciągnąć od niego więcej szczegółów.

Potem sprawdził katalog z doniesieniami od oficerów łącznikowych, który w ciągu ostatnich minut zrobił się nieco

obszerniejszy, bo Marcia rozpuściła już wici. Liczne źródła informowały, że w Teheranie doszło do kilku niezwykłych spotkań. Według agenta tureckiego minister wywiadu został wezwany do Najwyższego Przywódcy. Agent Mossadu donosił, że w wywiadzie Gwardii

Rewolucyjnej wybuchła panika, bo zaginął jeden z oficerów zajmujących się bezpieczeństwem programu nuklearnego. Irańczycy obawiali się, że oficer ten mógł zdradzić i przejść na stronę Izraela. Niestety, nie mieliśmy tyle szczęścia, zapewniał przedstawiciel Mossadu w Waszyngtonie.

Najbardziej intrygujący był raport oficera wywiadu rosyjskiego, który, jako członek zespołu MAEA, pojechał do Iranu na rozmowy dotyczące procedur kontroli. Rosjanin donosił, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dostęp do wszystkich irańskich kompleksów nuklearnych - jawnych i tajnych - został zamknięty nawet dla pracowników. Zespół MAEA zwrócił się z pilnym zapytaniem do swojego kontaktu w administracji prezydenta Iranu, ale on powiedział tylko, że panuje ogólna panika.

Wnioski były oczywiste. Coś złego się zdarzyło w irańskim programie nuklearnym i teraz próbowano ustalić, jak bardzo złego. Wyżsi urzędnicy zostali wezwani na rozmowy.

Naukowcom odmówiono dostępu do sprzętu. Nawet prezydent był cały w nerwach. Nad Teheranem zbierała się burza. To brzmiało obiecująco.

???

Wiedział już całkiem sporo, a teraz musiał wszystko uporządkować. Nawet jeśli operacja w Meszhedzie była całkowitą klęską, Irańczycy wpadli w panikę. Naukowiec z ich programu nuklearnego nie żył. Do tej pory na pewno zidentyfikowali ciało Molawiego w spalonym samochodzie. Praw-

dopodobnie nie zdołają zidentyfikować Jackie ani dwóch pozostałych członków zespołu, nie będą więc mieli dowodów, ale powinni domyślić się prawdy. Ich naukowiec zginął, próbując uciec z kraju w towarzystwie zagranicznych szpiegów, to zaś oznacza, że został przez nich zwerbowany. Wszystko, czego się tknął, mogło być skażone. Musieli zakładać, że stało się najgorsze: ich program nuklearny został spenetrowany przez obcy wywiad.

W takim razie natychmiast przystąpią do akcji. Nie spektakularnej, są na to zbyt ostrożni. Ale Harry zauważył cienie, kiedy zaczęły chronić części programu nuklearnego, które znalazły się w kręgu podejrzeń. Usłyszy echo głosów wzywających ludzi na przesłuchania i odwołujących ich z zagranicznych placówek, gdzie mogli paść ofiarą Zachodu. Tego właśnie będzie szukał - wstrząsów wtórnych.

Zakopał się w danych z NSA. Wiadomości ułożone były w sposób utrudniający ich przeszukanie, więc wezwał Tony-'ego Reddo, jednego ze swoich młodych zdolnych, i poprosił go o stworzenie filtru, który wyłapywałby wszystko, co wiązało się z nagłym odwoływaniem personelu albo zmianą statusu. Początkowo filtr nie zadziałał, ale Reddo zadzwonił do kumpla z NSA i tak ustawił parametry wyszukiwania, żeby Harry miał co czytać. Po wprowadzeniu odpowiedniego kluczowego słowa otrzymywało się listę przejętych wiadomości: Frankfurt, Londyn, Dubaj, Bejrut. Złamali kody tylko części z nich, ale nawet tam, gdzie nie było tekstu, sama analiza ruchu wskazywała, że członków irańskiego tajnego establishmentu ściągano z placówek do domu.

Harry zadzwonił do speców od informatyki z Centrum Antyterrorystycznego i poprosił o szybkie sprawdzenie, czy na listach pasażerów, którzy odlecieli z Europy do Teheranu w ciągu ostatnich dwóch dni, znajdują się nazwiska pracowników irańskiego wywiadu i służb bezpieczeństwa. Odpowiedź przyszła w ciągu godziny i potwierdziła, że bardzo dużo bardzo ważnych osób odwołano do kraju.

???

Marcia zajrzała do gabinetu.

- Robi się późno - powiedziała. - Powinieneś coś zjeść. Harry poczuł zapach nikotyny. W budynku obowiązywał

zakaz palenia, ale tej nocy miał gdzieś wszelkie zakazy.

- Nie jestem głodny - burknął.

- Może i nie, ale i tak przyniosłam ci coś ze stołówki. Nie wygląda najlepiej, ale nadaje się do zjedzenia - odparła i postawiła tacę na biurku szefa.

Harry popatrzył na miskę zupy i cheesburgera. Zjadł wszystko, chociaż zupa była prawie bez smaku, a cheeseburger zimny.

???

Posiliwszy się, wrócił do swoich rozważań. Irańczycy na pewno znaleźli minivana mitsubishi z martwym turkmeńskim kierowcą w kabinie. Musieli się domyślić, że Molavi został przewieziony do kraju z Turkmenistanu i że mieli do czynienia z nieudaną próbą powtórnej ekfiltracji. To przeraziło Teheran jeszcze bardziej. Pociągnęli więc za wszystkie sznurki, jakie mają w Aszchabadzie, by się dowiedzieć, o co chodziło.

Harry zadzwonił do szefowej dwuosobowej placówki CIA w stolicy Turkmenistanu, niejakiej Anity Pell. Nie poinformował jej o swoim pobycie w Aszchabadzie, kiedy tam był, i nie zrobił tego teraz. No bo co miałby powiedzieć? Że pojechał tam jako agent Wielkiej Brytanii? Poprosił, żeby natychmiast skontaktowała się ze swoim oficerem łącznikowym w siłach bezpieczeństwa Turkmenistanu i wyciągnęła od niego wszelkie informacje na temat odbiegających od normy działań Irańczyków w ciągu ostatnich dni.

- Mam go obudzić? - Anita Pell nie kryła zdumienia. Tak, potwierdził Harry, ma go obudzić i spotkać się z nim

jak najszybciej, a potem niezwłocznie meldować o wszystkim, czego się dowie.

Zrobiło mu się jej żal. W zeszłym roku, kiedy powstał wakat, jako jedyna zgłosiła się na placówkę w Aszchabadzie. Jej mąż uciekł z sekretarką, więc chciała wyjechać, żeby odzyskać spokój ducha. Turkmenistan był miłą, senną placówką, a teraz zwała jej się na głowę całe gównio świata.

Anita zgłosiła się dwie godziny później. Przyjął ją sam szef sił bezpieczeństwa Turkmenistanu i poinformował o odbiegających od normy działaniach ambasady irańskiej. Od dwóch dni światła paliły się tam przez całą noc, a turkmeńscy wartownicy przed ambasadą mówili, że co chwila ktoś wchodził i wychodził, i że Irańczycy palili dokumenty. Irański konsul po turkmeńskiej stronie Sarahs również pracował non stop, a kilkudziesięciu irańskich pracowników bezpieczeństwa z paszportami dyplomatycznymi przekroczyło granicę i przesłuchiwało swoje źródła w Turkmenistanie.

- Chcą wiedzieć, czy mogą jakoś pomóc - dodała Anita. Rozmawiali na bezpiecznej linii. - Szef bezpieki jest bardzo poruszony. Powiedział, że coś dużego zdarzyło się na granicy dwa dni temu. Był zaskoczony, że nic o tym nie wiem.

- A powinnaś wiedzieć? - spytał Harry słodko.

- Nie upokarzaj mnie, Harry, nie zasługuję na to. Co się dzieje?

- Czekaj w pogotowiu. Wkrótce wszystko się wyjaśni. Albo i nie. Ale tak czy inaczej, będziesz potrzebowała pomocy. Przyślę ci jutro jednego z moich młodych.

Anita Pell zapewniła, że wcale nie potrzebuje pomocy, lecz w jej głosie słychać było ulgę, że jednak ją dostanie.

???

Harry chciałby być na miejscu, w Meszhedzie, ale to było, rzecz jasna, niemożliwe. CIA miało bardzo niewielu agentów w Teheranie i w ogóle we wschodnim Iranie. Natomiast dzięki możliwościom technicznym Harry mógł obejrzeć te tereny z całkiem bliska. A że wiedział, czego szukać - miał współrzędne Kompleksu Badawczego Ardebil - kartografom nie zajęło wiele czasu ustalenie, gdzie się on znajduje. Dzięki satelitom, które przechodziły nad Iranem codziennie o tych samych porach, mieli niemal ciągły obraz, a każda transmisja cyfrowa żyła wiecznie w elektronicznym archiwum. Można było odtworzyć rzeczywistość, jakby została nagrana na taśmę.

W Narodowym Biurze Rozpoznania, utrzymywanym przez centrum operacyjne w Langley, oficerowie Agencji mogli obejrzyć przeszłość świata. Marcia zadzwoniła do techników i złożyła specjalne zamówienie. Narzekali i robili trudności, no ale Marcii nie dało się zbyć. Podała im parametry wyszukiwania ustalone przez Pappasa. Kiedy byli gotowi, zawiadomiła Harry'ego, a potem poszli razem do sali w nowym skrzydle, za parkingami Brązowym i Żółtym.

- Tylko nie zachowuj się jak palant - ostrzegła go. - Robią ci przysługę. Niektórych ciągle na to stać. Nawet tutaj.

- Kiedy ja jestem palantem - odparł. - Masz z tym jakiś problem?
???

Na prośbę Harry'ego technicy z Narodowego Biura Rozpoznania cofnęli czas do momentu, gdy Karim miał wyjść z centrum badawczego w Meszhedzie, około czwartej po południu. Pracowały jeszcze dzienne kamery, więc rozdzielczość była dobra. Zajęło to parę minut, ale Harry zidentyfikował czekające na zewnątrz mitsubishi, a wśród pracowników wychodzących z kompleksu rozpoznał Karima. Szedł z drugim mężczyzną, zapewne swoim przyjacielem Rezą.

Harry widział, jak peugeot Rezy kieruje się na południe, a mitsubishi jedzie za nim. Przewinął czas, jaki Karim i Reza spędzili w restauracji, i zaczął oglądać dalsze sekwencje od momentu, gdy peugeot znowu ruszył, tym razem na północ.

Oba samochody zmierzały ku wzgórzom górującym nad miastem, przedzierając się przez korki na głównej drodze do Tus. Wreszcie peugeot skręcił na podjazd jakiegoś domu. Trzydzieści sekund później dotarło tam mitsubishi. Karim i Reza weszli do domu frontowymi drzwiami. Kilka chwil później ruszyły za nimi dwie spośród trzech osób, które wysiadły z miniwana, sądząc po sylwetkach - Jackie i Marwan. Hakim został na zewnątrz i trzymał straż. A potem na podjeździe pojawił się czarny sedan. Nie było widać, jak nadjeżdża, bo miał zgaszone światła. Pierwszą oznaką jego obecności był błysk wystrzału. Hakim upadł na ziemię. Zdołał strzelić, ale z sedana też padł strzał i Libańczyk znieruchomiał. Strzelec wysiadł z czarnego sedana i zabił turkmeńskiego kierowcę, który miał pecha, że wynajęto go na tę pielgrzymkę. Następnie, lekko utykając, napastnik wszedł do domu, a jego śladem podążył drugi mężczyzna.

Kim byli ci ludzie? Czy Irańczycy cały czas śledzili Karima, a Harry był zbyt ślepy, aby to zauważyć?

Dwaj tajemniczy mężczyźni weszli tylnym wejściem, nie frontowym, jak pozostali. Pół minuty później w willi pojawił się rozbłysk światła, jakby coś eksplodowało, a potem iskiarki, wskazujące na strzały. Harry mruczał do siebie, obserwując wydarzenia, na które nie miał już wpływu. To było okropne oglądać to wszystko, nie mogąc interweniować ani nie rozumiejąc do końca, co się dzieje.

Po kilku minutach z willi wyszły dwie osoby - Jackie ubrana w czador i wysoki mężczyzna, niewątpliwie Karim. Harry zastanawiał się, co się stało z pozostałymi.

Chwilę później w drzwiach willi pojawił się trzeci człowiek. To był utykający strzelec, który zabił Hakima i turkmeńskiego kierowcę. Pchnął Jackie i Karima w stronę sedana i gestem kazał im wsiąść. Powiedział coś do kierowcy, a potem czarny sedan odjechał - jak Harry się domyślał, ku granicy w Kalat. Kulawy mężczyzna został na miejscu z czterema martwymi ciałami.

- Kim, do kurwy nędzy, jest ten człowiek? - mruknął Harry. Mówił do siebie i podejrzewał, że zna odpowiedź, ale to Marcia wypowiedziała ją na głos.

- To Al-Majnoun - stwierdziła. - Szaleniec.

•kirk

Marcia nie chciała rozmawiać przy technikach z Narodowego Biura Rozpoznania. Po spędzeniu całego życia w CIA nikomu nie ufała, a już najmniej innym członkom społeczności

wywiadowczej. Dopiero gdy znaleźli się z powrotem w Wydziale Operacji Irańskich, poszła do swojego boksu i wróciła z kartonową teczką i paczką papierosów.

- Daj mi jednego - poprosił Harry.

- Przecież nie palisz?

- Właśnie zacząłem. A teraz opowiedz mi o Al-Majno-unie.

Marcia wyjęła z teczki fotografię. Było to niewyraźne zdjęcie mężczyzny, którego twarz wyglądała jak złożona z niepasujących do siebie elementów.

- To jest Al-Majnoun - powiedziała. - Wiem, że zdjęcie jest głównie ważne, ale lepszego nie mamy.

Wyjęła z teczki kolejną fotografię. Ukazywała młodego mężczyznę, który zupełnie nie przypominał tego z pierwszego zdjęcia.

- To jest Al-Majnoun sprzed mniej więcej trzydziestu lat - wyjaśniła. - A przynajmniej tak uważają nasi przyjaciele z Izraela. W tym czasie mieszkał w Libanie i nazywał się Kamal Husajn Sadr. To jedna z pierwszych osób, jakie Irańczycy wciągnęli do Hezbollahu. Od początku pracował dla irańskiego wywiadu. Używali go jako czyszciciela. Kiedy nie ufali komuś ze swoich, on się nim zajmował.

- Dlaczego o nim nie wiemy?

- Bo podobno został zabity w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym przez Izraelczyków. Bomba w samochodzie, ciało rozerwane na strzępy, więc nie mogli go zidentyfikować, ale wszyscy uważali, że naprawdę nie żyje. Więc wszyscy o nim zapomnieli. Oprócz kilku podejrzliwych sukinsynów z Mossadu. I mnie.

- Co się z nim stało?

- Pojechał do Iranu. Na osobiste zaproszenie Chome-iniego. Takie krążyły pogłoski, ale nikt nie dawał im wiary, bo przecież Izraelczycy twierdzili, że go zabili, a Izraelczycy nigdy nie popełniają błędów. Jednak Szaleniec przeżył. Wiedział, że potrzebuje nowej twarzy, więc skorzystał z usług chirurgów. Zaimplantowali mu tyle nowości, że pewnie ma też nowego fiuta.

- Marcia, zorganizuj sobie jakieś życie prywatne.

- Trochę na to za późno, nie sądzisz? W każdym razie, kiedy sprawdzasz ślady - czyli prywatne zasoby Marcii, bo, szczerze mówiąc, główne bazy danych są do niczego - trafiasz na pana Al-Majnouna wykonującego zadania specjalne. Superzadania superspecjalne. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych w Gwardii Rewolucyjnej pojawiła się frakcja dy-sydencka, a ludzie zaczęli się burzyć, zgadnij, kto pociągnął za spust? Kiedy Rafsandżani miał problem z Ministerstwem Wywiadu i parę osób wywalono, po kogo zadzwonili?

- Po Szaleńca.

- Oczywiście. Bo to czyszciciel. Nikt nie ma nad nim władzy oprócz Najwyższego Przywódcy. Popatrz na to.

Podążyła mu trzecie zdjęcie. Przedstawiało niewysokiego mężczyznę ze starannie utrzymaną brodą sfotografowanego na tle samolotu. W cieniu za nim stał mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych i ze zdeformowaną twarzą.

- To prezydent wysiadający z samolotu w Damaszku. Tajna podróż, nigdy nie ujawniona. Izraelczycy zdołali jednak zdobyć zdjęcie. Oficjalne stanowisko Mossadu brzmi, że facet w cieniu to jakiś kombinator podróżujący z prezydentem. Ale moi kumple z Tel Awiwu wiedzą lepiej. To jest Al-Majnoun. Osobisty czyszciciel Przywódcy. Człowiek, który nie istnieje. I, przykro mi to mówić, który rozłożył twoją operację.

- Jesteś walniętą starą suką - Harry pochylił się nad stołem i pocałował ją.

- Dziękuję - powiedziała.

- Ale mylisz się w jednej kwestii. Nie sądzę, żeby Al-Majnoun przeprowadził operację w Meshhedzie na polecenie prezydenta. Zrobił to dla kogoś innego.

???

Harry miał w rękę ostatni kawałek układanki, ale nie mógł go dopasować aż do późnej nocy. Nierozwiązaną tajemnicą była tożsamość mężczyzny, który wszedł do willi z Al-Maj-nounem, ale z niej nie wyszedł. Wyglądał na współnika czyściciela, ale kim był? Czy również członkiem tajnej komórki działającej pod ochroną Przywódcy, czy też reprezentował inną część tajnego świata Iranu?

Odpowiedź pojawiła się w raportach oficerów łącznikowych z dwóch zaprzyjaźnionych służb, które odpowiedziały na prośbę Langley o nowe wiadomości w jakikolwiek sposób dotyczące Iranu.

Pierwszy przyszedł z małej agencji szpiegowskiej Azerbejdżanu, która miała zaskakująco dobrą siatkę, głównie dzięki społeczności azerskiej w Iranie. Depesza z Baku informowała, że wyższych oficerów wywiadu Gwardii Rewolucyjnej widziano wczoraj na pogrzebie jednego z ich kolegów - niejakiego Mehdiego Esfahaniego, który podobno był śledczym odpowiedzialnym za bezpieczeństwo tajnych kompleksów irańskiego programu nuklearnego. Według pogłosek krążących wśród pracowników wywiadu Esfahani zginął w Meszhedzie, a jego podziurawione kulami ciało przewieziono w wielkiej tajemnicy samolotem do stolicy. Rodzinie zmarłego powiedziano, że zginął śmiercią bohatera, i przyznano jej specjalną rentę męczennika.

Drugi raport pochodził od Francuzów, którzy również mieli dobre źródła w wywiadzie irańskim. Szef francuskich służb osobiście zadzwonił do Harryego, chociaż w Paryżu była dopiero siódma rano, i powiedział, że wysyła depeszę, która może go zainteresować. I rzeczywiście zainteresowała.

Francuzi donosili, że wysocy oficerowie wywiadu Gwardii Rewolucyjnej zostali poprzedniego dnia wezwani na tajną odprawę. Szef oznajmił im, że dzięki ich wysiłkom, a zwłaszcza dzięki heroicznej akcji męczennika Mehdiego Esfahaniego, udało się odkryć i udaremnić operację zachodnich służb wywiadowczych mającą na celu wykradzenie tajemnic atomowych Iranu. Zdrajca, który pracował w Tohid Electric Company, został zabity, podobnie jak jego współnik, pracownik Kompleksu Badawczego Ardebil w Meszhedzie. Organizatorem operacji był Mały Szatan, Wielka Brytania, której agenci zginęli, próbując zorganizować ucieczkę irańskich zdrajców. Za Wielką Brytanią stał Wielki Szatan, którego perfidia i nieudolność po raz kolejny zostały obnażone. Teraz Gwardia podejmie odpowiednie działania, by zdemaskować pozostałych uczestników spisku.

To było to - starannie zapakowane i przewiązane wstążką przez irański wywiad, który tak samo jak CIA chronił własny tyłek, kiedy popełnił poważny błąd. Najbardziej ucieszyło Harry ego to, że Irańczycy najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, jak poważny jest ich problem.

Było już po drugiej w nocy, kiedy wreszcie wyjechał z parkingu swoim dżipem Cherokee i ruszył do domu, żeby się przespać kilka godzin przed spotkaniem z dyrektorem.

J9

WASZYNGTON

Admirał był w Białym Domu na kolejnej naradzie z prezydentem, więc pojawił się w Langley dopiero o wpół do dziesiątej. Harry poprosił strażnika z szóstego piętra, którego syn chodził do szkoły, w której uczyła Andrea, żeby zawiadomił go, gdy tylko szef przyjdzie. Dzięki temu dotarł do gabinetu admirała, zanim lizusy i zawracacze głowy, którzy zbierali się w poczekalni, mogli rozpocząć swój codzienny atak. Sekretarka próbowała zatrzymać Harry ego, ale tylko pro forma, bo drzwi były otwarte, a ona lubiła Pappasa o wiele bardziej niż innych.

- Ma pan chwilę, admirale? - spytał Harry.

- Gdzieś ty, do diabła, był? Masa ludzi cię szuka.

- To długa historia. Zajmie kilka minut. Mogę zamknąć drzwi?

Nie czekając na odpowiedź, zamknął drzwi przed samym nosem radcy prawnego, który dostał cynk, że nowy cel FBI przebywa na szóstym piętrze.

- Jesteś na głębokiej wodzie, marynarzu. Wiesz, że w tym tygodniu byli tu ludzie z Biura Federalnego? Chcą wszcząć śledztwo w twojej sprawie.

- Z jakiego powodu? Jeśli, oczywiście, mogę zapytać.

- Szpiegostwo, zdrada. Do diabła, nie mam pojęcia, o co jeszcze chcą cię oskarżyć. Chyba myślą, że uczestniczyłeś jako agent obcego wywiadu, którego siedziba mieści się w Londynie, w jakiejś irańskiej operacji. Czy to prawda?

- Tak, w pewnym sensie. Skontaktowałem się z Brytyjczykami, bo oni mieli w Iranie ludzi, a my nie. Rozmawialiśmy o tym. Pamięta pan?

Admirał wzruszył ramionami. Miał na sobie białą koszulę ze złotymi gwiazdkami na wstawce przyczepianej do pagonów. Wyglądały jak małe poduszki.

- Sam nie wiem, co pamiętam. Muszę porozmawiać z radcą prawnym. A ty, Harry, postaraj się o dobrego adwokata. FBI traktuje to bardzo serio. Zastępca dyrektora rozmawiał ze mną prawie godzinę. Mają w Londynie wtyczkę, która robi ci koło pióra. Nazwiska, daty, zdjęcia. Ktoś cię wrobił, przyjacielu.

- Wiem o tym - odparł Harry. - Ale, jak pan słusznie zauważył, to mój problem. Załatwię to. Na twarzy admirała odmalowała się ulga. Sięgnął po jeden z modeli stojących na jego biurku. Tym razem był to krążownik klasy Aegis, uzbrojony w pociski raketowe. Odwrócił go do góry nogami i patrzył na spód kadłuba, jakby szukał pąkli.

- To dobrze - rzekł. - Szkoda tylko, że sprawy prawne nie są twoim jedynym problemem. Biały Dom jest gotów rzucić się na Iran. Powstrzymałem ich przez ostatnie dwa tygodnie, tak jak ci obiecałem, ale ich cierpliwość się wyczerpała. Zamierzają wszystko upublicznić.

- A potem? - spytał Harry.

- Nałożą embargo na Iran, na morzu i w powietrzu. Jeśli Irańczycy stawiają opór, zbombardujemy ich. Mają zamiar ogłosić to za trzy dni. Bombardowanie, jeśli dobrze zrozumiałem, to tylko kwestia czasu.

- Nie muszą niczego bombardować, bo irański program nuklearny właśnie się rozpada. W Teheranie nie wiedzą, co jest grane, i srają po nogach ze strachu. Przyszedłem, żeby właśnie to panu powiedzieć. Powinniśmy im pozwolić dokończyć tę autodestrukcję. Nasz atak to jedyne, co mogłoby ich uratować. Dobrze pan o tym wie.

- Przykro mi, nie zajmuję się polityką.

- Ale jest pan szefem CIA.

- To nie ma większego znaczenia, jak pewnie zauważyłeś. A poza tym, skąd ta pewność, że ich program się rozpada? Dowiedziałeś się tego od swojego agenta, doktora Alego?

- On nie żyje. To też miałem panu powiedzieć. Zginął jak bohater, a przed śmiercią zrobił coś tak wspaniałego, że Irańczycy przez dłuższy czas nie będą mogli produkować nawet fluorescencyjnych zegarków, o bombach atomowych nie wspominając.

Dyrektor odłożył model krążownika.

- Może lepiej mi to wyjaśnij, Harry. - Połączył się przez interkom z sekretarką i powiedział jej, że jest zajęty i nikt nie może mu przeszkadzać, a gdy spytała, czy dotyczy to również radcy prawnego, który prawie kopie w drzwi, odparł, że dotyczy to przede wszystkim jego. ???

Harry opowiedział admirałowi, co robił przez kilka ostatnich tygodni, pomijając tylko elementy, które postawiłyby go w trudnej sytuacji prawnej, oraz udział Kamala Atwana, gdyż postanowił załatwić tę sprawę we własnym zakresie. Opisał plan operacyjny, jaki przygotował z Adrianem Winklerem z SIS, żeby wywieźć doktora Alego z Iranu. Zrelacjonował działania zespołu Incerement, który eksfiltrował Irańczyka i przerzucił go do Turkmenistanu, żeby Harry mógł z nim porozmawiać. Wyjaśnił przyczyny i cele operacji sabotażowej w Meszhedzie i wreszcie przedstawił tragiczne wydarzenia sprzed kilku dni.

Agent CIA - odważny młody naukowiec, który naprawdę nazywał się Karim Molavi - zgodził się wrócić do jądra irańskiej nuklearnej bestii i sabotować tajną placówkę. Zginął podczas ucieczki, wraz ze wszystkimi członkami brytyjskiego zespołu. Ale przed śmiercią, na ile Harry może stwierdzić, zdołał wykonać zadanie. Jedyne sprawny sprzęt będący w posiadaniu Iranu też został skażony.

Cokolwiek teraz zrobią, będą popełniać błędy. Irański wywiad został upokorzony. Z plotek krążących po Teheranie wynika, że służby wywiadowcze starają się równocześnie wyjaśnić i ukryć, co się stało. Wystarczy więc, że rząd Stanów Zjednoczonych poda kilka szczegółów, a katastrofa będzie zupełna.

???

Admirał słuchał z narastającym zdumieniem. Nie rozumiał pewnych niuansów - był marynarzem, nie szpiegiem - ale wyraźnie spodobało mu się to, co usłyszał, bo kiedy Harry skończył, uśmiechał się. Po chwili jednak zmarszczył brwi.

- To nie przekona Białego Domu - stwierdził. - Uznają to za kolejny dowód zagrożenia ze strony Irańczyków, którzy mają nie tylko tajny program nuklearny, ale i program rezerwowy.

- Ale przecież został praktycznie zniszczony. Nie musimy niczego bombardować.

- Problem w tym, drogi przyjacielu - odparł dyrektor - że niektórzy lubią bombardować.

Kiedy wysyłają wojsko, czują się, jakby mieli strategię.

Harry wziął z biurka admirała model F/A-18, jednego z samolotów, które posłużą do bombardowania celów w Iranie, jeśli dojdzie do interwencji.

- Ja już w to nie gram - powiedział.

- Jak to, Harry? - zdziwił się admirał. - Musisz grać. Jesteś Amerykaninem. Pracujesz w agencji, która...

- Pracowałem - wszedł mu w słowo Harry. - Chcę przejść na emeryturę. Jak najszybciej. To też chciałem panu powiedzieć.

- A co z FBI?

- Odpuszczają. Lubią przysparzać Agencji kłopotów, ale nawet oni w końcu rozumieją, że to duża sprawa. Ktoś pociąga za ich sznurki, więc oni ciągnęli za moje.

Admirał zmrużył oczy.

- Kto pociąga za sznurki? - spytał.

- Mam wrażenie, że pewien arabski dżentelmen. Lepiej, żeby pan nie znał szczegółów, proszę mi wierzyć. Niech pan pozwoli, żebym ja się tym zajął. Tak będzie bezpiecznej.

Dyrektor kiwnął głową, ale bez przekonania.

- A co potem, Harry? Chcesz się zaszyć w jakiejś dziurze, gdy to wszystko się skończy?

- Chcę odejść - odparł Pappas. - Mam dość. Straciłem syna, straciłem tego irańskiego chłopaka. Muszę znaleźć czas dla córki, jeśli jej też nie chcę stracić. Odejdę, jak tylko załatwimy papierkową robotę. Nie chcę mieć dostępu, nie chcę niczego. To już koniec.

Dyrektor pokręcił głową.

- Wy, Grecy, jesteście dziwni - stwierdził. - Ale dobrzy z was żeglarze. A to się liczy.

???

Harry Pappas wrócił na parter, gdzie mieścił się Wydział Operacji Irańskich. Imam Husajn jeszcze nigdy nie wyglądał równie rzewnie. Jego oczy płakały krwią. Harry wezwał Marcie Hill, zrelacjonował jej pokrótce rozmowę z dyrektorem i oświadczył, że znowu wyjeżdża.

- A dokąd, jeśli mogę spytać?

- Za miasto. Muszę odbyć jeszcze jedną podróż. Potem naprawdę zniknę.

- Jak prawdziwe jest to naprawdę?

- Jak mieszkanie w letnim domu przez cały rok. Marcia pogroziła mu palcem złotym od nikotyny.

- Odchodzisz, co? Ty dupku, jak śmiesz odchodzić przede mną? Po wszystkim, co razem przeszliśmy, zasługiwałam przynajmniej na to, żeby móc pierwsza powiedzieć „pieprzę cię”. A teraz będę musiała po tobie posprzątać..

Wróciła do swojego boksu, mamrocząc coś pod nosem, a Harry został sam na sam z irańskim męczennikiem.

???

Wyszedł z biura i po drodze na lotnisko zadzwonił do sir Davida Plumba, który akurat był w klubie. Harry powiedział mu, że Brytyjczycy mają dwadzieścia cztery godziny na realizację swoich planów. Potem będzie za późno.

LONDYN

Nazajutrz w południe brytyjski premier wygłosił nieplanowane oświadczenie. Stacje telewizyjne miały zaledwie pół godziny na rozstawienie kamer w gabinecie szefa rządu przy Downing Street 10. Amerykańska ambasada została poinformowana o wystąpieniu na pięć minut przed jego rozpoczęciem i dowiedziała się tylko, że będzie dotyczyło Iranu. Próbowano się skontaktować z Białym Domem, ale było już za późno na jakąkolwiek interwencję.

Premier zaczął mówić.

Powiedział, że zamierza ujawnić szczegóły tajnej operacji wywiadowczej. Przed kilkoma miesiącami Secret Intelligence Service otrzymało nowe informacje na temat irańskiego programu budowy bomby atomowej. Wynikało z nich, że Irańczycy eksperymentują z technologiami niezbędnymi do produkcji bomby, ale ich badania utknęły w miejscu z powodu poważnych problemów technicznych.

Informacje te przekazał irański naukowiec pracujący w jednej z firm-przykrywek, które realizowały tajny program nuklearny. Agenci brytyjskiego wywiadu pomogli mu uciec z kraju, a następnie odbyli z nim szereg rozmów w celu zdobycia dalszych informacji. Opisał nieznaną wcześniej kompleks badawczy w Meszhedzie i zgodził się wrócić do Iranu z agentami, którzy umożliwili mu ucieczkę, by dokonać sabotażu. Wszyscy czworo zginęli, ale dzięki ich brawurowej akcji irański program nuklearny otrzymał śmiertelny cios.

W tej chwili, ciągnął premier, brytyjski ambasador przy Organizacji Narodów Zjednoczonych przekazuje szczegółowy raport na temat tego programu Radzie Bezpieczeństwa ONZ, aby mogła podjąć stosowne kroki. Wielka Brytania będzie się sprzeciwiać wszelkim propozycjom - wyraźnie podkreślił słowo „wzelkim” - wprowadzenia embarga albo podjęcia przeciwko Iranowi działań zbrojnych. Irański program nuklearny został ujawniony przez brytyjskie służby wywiadowcze, toteż jedynym właściwym sposobem postępowania jest śledzenie działań Irańczyków i ewentualnie sankcje, które uniemożliwią jego odtworzenie.

Na koniec premier zapowiedział, że skonsultuje się z prezydentem Stanów Zjednoczonych, by oba kraje wypracowały wspólne stanowisko. Ale jest pewien, że USA zgodzą się z polityką, którą właśnie zaproponował.

???

Harry Pappas przyleciał do Londynu kilka godzin przed oświadczeniem premiera. Miał jeszcze jedno zadanie i nawet się na nie cieszył. Wiedział, że większość zakrętów w życiu to tak naprawdę wcale nie zakręty, tylko ślepe uliczki, które tylko pozornie prowadzą do celu. Ale w tym przypadku był pewien, że zakręt wyprowadzi go na prostą.

Zameldował się w hotelu, poszedł do pokoju i włączywszy telewizor, tak na wszelki wypadek, rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął. Obudził go głos brytyjskiego premiera. Wysłuchał oświadczenia szefa rządu i postanowił jeszcze trochę pospać. Musiał być w dobrej formie, bo na spotkaniu, które go czekało, zamierzał rozegrać mistrzowską partię. Dostał niezłe karty i znał większość kart przeciwnika, ale jego zwycięstwo nie było jeszcze przesądzone.

???

Przyjechał do rezydencji Kamala Atwana przy Mount Street późnym popołudniem. Był zimny listopadowy dzień, wietrzny i pochmurny. Kamedyner, który otworzył drzwi, powiedział, że pana nie ma w domu, ale Harry, pewien, że to formułka przeznaczona dla każdego niezapowiedzianego gościa, nie zrezygnował. Powtórzył swoje nazwisko i poprosił kamerdynera, by poinformował pana domu, że przyjechał z Waszyngtonu i musi z nim pilnie porozmawiać w sprawie ogromnej wagi.

Kamedyner udał się na górę, a gdy po kilku minutach znów stanął w drzwiach, oznajmił Pappasowi, że pan Atwan już wrócił i chętnie go przyjmie.

Obrazy na ścianach nie zrobiły na Harrym takiego wrażenia jak poprzednio. Widział w nich łupy odebrane ludziom mniej sprytnym albo mniej zdeterminowanym niż właściciel domu przy Mount Street. Zresztą kto może wiedzieć, czy są prawdziwe? Czy świetliste lilie wodne, które dominowały w holu, to arcydzieło Moneta, czy tylko genialna kopia? Pochodzenie to kluczowa kwestia w przypadku wszystkich prywatnych kolekcji. Trzeba znać źródło, by ustalić, czy mamy do czynienia z oryginałem czy z falsyfikatem. Właśnie na tym polegały interesy Kamala Atwana - ukrywał źródło, żeby ludzie nie byli pewni, z czym mają do czynienia.

Libańczyk stanął u szczytu schodów. W wełnianej bon-żurce z klapami z czarnego aksamitu wyglądał jak dandys z minionej epoki.

- Jak miło, że przyszedłeś - powiedział, gestem zapraszając Harryego na górę. - Słyszałeś wystąpienie premiera? Bardzo śmiało, nie uważasz? Blokuje wszelkie operacje wojskowe.

- I słusznie - rzekł Harry. - Wojna z Iranem to zły pomysł.

- Twoi amerykańscy przyjaciele będą źli.

- Może i tak, ale jakoś sobie poradzą.

???

Atwan zaprowadził Harryego do biblioteki i wskazał mu fotel koło kominka.

- Czekałem na twoją wizytę, mój drogi - rzekł. - Martwiłem się o ciebie.

- Nie wątpię, Kamal-bej - odparł Harry. - Martwiłeś się i miałeś ku temu powody. Pewnie wiesz, że ktoś opowiada o mnie paskudne historie Federalnemu Biuru Śledczemu. Ten ktoś sugeruje, że potajemnie pracuję dla rządu brytyjskiego. Niektórzy mogliby to nazwać zdradą, i to popełnioną pod fałszywym nazwiskiem.

- To okropne - niemal wykrzyknął Atwan, unosząc ręce w teatralnym geście.

Świetny aktor, trzeba mu to przyznać, pomyślał Harry.

- Tak, ale już się tym zajęto - powiedział na głos. - Widziałem się wczoraj z moim szefem w Waszyngtonie. Moim prawdziwym szefem, dyrektorem CIA. Był na bieżąco informowany o wszystkim, co robię, ale i tak przedyskutowaliśmy sprawę. Mój prawnik pogada z FBI i wszystko wyjaśni. O nic mnie nie oskarżą. Ale dziękuję za troskę.

- Bardzo się cieszę - W głosie Atwana czaiła się wesołość. Był doświadczonego graczem.

Wiedział, że nie zdoła odbić każdej piłki.

- W zasadzie przyszedłem udzielić ci rady, Kamal. Czy raczej ostrzeżenia.

- Och, jestem zaszczycony. A jakiej, mój drogi?

- Będę mówił otwarcie, choć nie jesteśmy w bezpiecznym miejscu a nigdy nie wiadomo, kto może słuchać. Mam wrażenie, że jeden z twoich współpracowników ma w Iranie pewne problemy. To Libańczyk z pochodzenia, tak jak ty. Nazywa się Kamal Husajn Sadr, a przynajmniej urodził się pod tym nazwiskiem. Teraz posługuje się różnymi nazwiskami, ale najczęściej ludzie nazywają go Al-Majnoun. Czy to ci coś mówi?

Atwan spróbował się roześmiać. Dźwięk zabrzmiał sucho, niemal jak krakanie.

- Ależ drogi Harry, ten džentelmen, Sadr czy Majnoun, jeśli tak wolisz, umarł ponad dwadzieścia lat temu. O ile się nie mylę, zabili go Izraelczycy.

- Tak, wiem. Ale jakimś cudem zmartwychwstał. I rzecz w tym, że Irańczycy go szukają. Podejrzewają, że maczał palce w naszej małej akcji w Meshhedzie. Nie znają jeszcze

wszystkich szczegółów, więc zamierzają go aresztować i przesłuchać, żeby je poznać. Chyba że ktoś wykona naprawdę szybki ruch.

Atwan zakaszłał.

- A w jaki sposób to dotyczy mnie? - spytał, siląc się na swobodny ton, ale napięcie w jego głosie było ewidentne.

- Problem w tym, że Irańczycy znajdą to małe urządzenie, które zostało przeschmuglowane do ich laboratorium. Skomplikowane urządzenie, które topi fragmenty układów elektronicznych i zmienia kod, dostarczone przez pewnego libańskiego dżentelmena, który mieszka w Londynie. Nasz nasłuch wychwycił masę rozmów na ten temat i wygląda na to, że wiedzą o tobie więcej, niż sądziliśmy.

- Więc co chcesz mi powiedzieć?

- To, panie Atwan, że jeśli nie zrobi pan czegoś bardzo szybko, cholernie wielka kupa gówna spadnie panu na głowę.

- Co za wulgarne określenie.

- Być może, wydaje mi się jednak bardzo stosowne. No ale co ja tam wiem? Jestem tylko Amerykaninem. Nie znam

się na metodach działania naprawdę wyrafinowanych ludzi, takich jak pan. Niemniej fakty są takie, że Al-Majnoun pracował dla pana, pan pracował dla nas, a Irańczycy prędkiej czy później się tego domyśla. Dojdą do tego, że zabił naszych ludzi i ich ludzi, i wkurzą się. Nie chciałbym zobaczyć ruiny pańskich interesów po tym wszystkim, co pan dla nas zrobił.

Atwan wstał i podszedł do kominka, nad którym wisiała akwarela Degasa przedstawiająca tancerki szykujące się do lekcji tańca. Libańczyk patrzył chwilę na obraz, po czym wrócił na fotel.

- Co pan proponuje, panie Pappas?

Rzecz nieunikniona: negocjacje. Atwan był przede wszystkim biznesmenem, a teraz chciał dobić targu.

- Niczego nie proponuję - odparł Harry. - Sugeruję tylko, żeby pan szybko wyciągnął swojego człowieka z Iranu. Najlepiej do Londynu, gdzie będzie pan mógł mieć go na oku. Powinien pan to zrobić, zanim Al-Majnoun wyda pana i przy okazji masę innych osób. To nie jest groźba, ja nie zajmuję się groźbami, to tylko rada. Ale obawiam się, że jeśli się pan do niej nie zastosuje, będzie pan miał, jak to wulgarnie ujmujemy my, Amerykanie, przesrane.

Atwan odwrócił wzrok, żeby ukryć wyraz twarzy. Był jak zawsze całkowicie opanowany, w każdym razie starał się sprawiać takie wrażenie. Rozważał opcje, oceniał, ile może stracić w zależności od tego, co wybierze. Dobrzy szachiści potrafią myśleć kilkanaście ruchów naprzód. Atwan posiadał tę umiejętność. Pracował z całych sił, żeby zminimalizować ryzyko w najbardziej ryzykownej branży na świecie.

- Jest pan, jak widzę, dość agresywny - powiedział, ponownie spoglądając na Amerykanina. - Przyjąłem pańską radę do wiadomości.

Wstał z fotela. Tym razem nie podał Harry'emu ręki, tylko wyprowadził go z biblioteki i dalej na dół. Przedstawienie się skończyło. Taka jest przewaga mówienia wprost. Niszczy fałszywą otoczkę grzeczności, która ukrywa fakty, i obnaża nagą rzeczywistość. Atwan szedł powoli, krok za krokiem. Można by sądzić, że będzie chciał jak najszybciej pozbyć się Harryego, tymczasem nie spieszył się, rozważając kolejny układ.

Zatrzymał się w holu wejściowym. Na dworze padało. Słysząc było dudnienie kropel o szyby. Atwan ujął rękę Harryego i rzekł:

- Mam wrażenie, że zewnątrz nie jest przyjemnie. Paskudnie, jak mawiają Anglicy. Może zostaniesz i zaczekasz, aż się przejaśni?

Zaprowadził Pappasa do salonu i zamknął podwójne drzwi. Harry usiadł, a Atwan podszedł do interkomu. Połączył się z kierownikiem personelu, powiedział coś do niego po arabsku, po czym zwrócił się do gościa.

- Mam ochotę na drinka - rzekł. - Unikam alkoholu, ale myślę, że dziś powinienem zrobić wyjątek. To nie będzie ci przeszkadzać, prawda?

- Oczywiście - zapewnił go Harry. - Chętnie napiję się whiskey.

Atwan podszedł do otoczonego lustrami barku we wnęce i napełnił dwie szklaneczki czystą whiskey. Zawahał się, a potem napełnił trzecią.

- Przyjdzie ktoś jeszcze? - spytał Harry.

- Tak, tak sądzę. Małe przyjęcie. Zjazd, można by powiedzieć. Bo czemu nie?

Podał Harry emu whiskey i usiadł na kanapie obok niego. Wypił odrobinę za swojej szklanki, a potem pociągnął duży

łyk, prawie ja opróżniając. Rozległo się pukanie do drzwi. Harry spodziewał się Adriana Winklera, partnera w tym dziwnym przedsięwzięciu, ale mylił się.

???

Podwójne drzwi stanęły otworem i do salonu wszedł mężczyzna w czarnym garniturze. Szedł, lekko utykając, ze spuszczoną głową. Dopiero kiedy podszedł bliżej, wyprostował się i zdjął ciemne okulary zakrywające twarz. To była najdziwniejsza twarz, jaką Harry kiedykolwiek widział. Oczy ściągnięte w kącikach i nieco skośne jak u Azjatów, nos bulwiasty, jakby dodano do niego tkanę. Usta, wydęte przez botoks, sprawiały wrażenie niemal kobiecych. Gdzieś widać było blizny i lekką opuchliznę, jakby ten człowiek właśnie przeszedł kolejną operację.

Atwan podszedł do mężczyzny i delikatnie poklepał go po plecach.

- Pozwól, drogi Harry, że ci przedstawię Kamala Husajna Sadra, Al-Majnouna. Oczywiście znasz to imię, ale zapewne nie twarz. - Zaśmiał się pod nosem, jakby to był prywatny żart.

Pappas ujął rękę Szaleńca. Czubki jego palców były szorstkie jak papier ścierny po licznych próbach usunięcia odcisków palców. Kiedy wymienili uścisk dłoni, gospodarz wskazał Al-Majnounowi fotel w głębi pokoju.

- Więc nie masz przesrane - stwierdził Harry.

- Najwyraźniej.

- A moje ostrzeżenie nie było konieczne. Tego człowieka nie ma już w Iranie.

- W rzeczy samej. Nie myślałeś chyba, że będę tak głupi, by pozwolić Irańczykom złapać mojego człowieka? Po prawie trzydziestu latach? To nie byłoby rozsądne. Nie, wyjechał z kraju, gdy tylko wykonał zadanie.

- Zadanie - Harry pozwolił, by to słowo zawisło między nimi. - Zadanie - powtórzył - obejmujące zabicie trzech oficerów brytyjskiego. Nie wspominając już o odważnym irańskim agencie.

- Dwóch, mój drogi. Tylko dwóch, chyba że liczysz tego turkmeńskiego kierowcę. Inni to nie była moja wina. Obiecałem ci, że spróbuję wydostać z kraju tego twojego Irańczyka, i naprawdę starałem się dotrzymać słowa. Wiem, że nasz przyjaciel Adrian był oczarowany tą dziewczyną, toteż próbowałem uratować i ją. Ale nie wszystko jest możliwe, mój drogi, nawet jeśli dołożymy wszelkich starań. Powinieneś o tym wiedzieć lepiej niż inni. Przeżyłeś wielką stratę, ale to złe, że się za to winisz.

Harry skrzywił się na wzmiankę o swoim synu. I był wściekły, że Kamal Atwan pozwolił sobie na udzielanie mu osobistych rad w obecności najemnego zabójcy. Ale milczał. To była jego broń, to, że potrafił zapanować nad gniewem, chociaż bolało tak bardzo, że miał ochotę zabić gołymi rękami mężczyznę, który stał przed nim.

- To koniec - powiedział.

- A niby dlaczego, mój drogi? W naszym świecie nic nigdy się nie kończy. Świat jest zbyt wieloznacznym miejscem na zakończenia.

- Irańczycy uważają, że to koniec.

- Nieprawda. Drogi Harry, obawiam się, że nie pojąłeś sedna tej sprawy. Irańczycy nie mają pojęcia, co się dzieje. Poczytaj raporty z tego sławnego nasłuchu NSA, a się przekonasz. Ten

mężczyzna w czarnym garniturze i z bliznami na twarzy jest bliskim przyjacielem Przywódcy. Myślisz, że mułowie mogą sobie pozwolić na podejrzenie, że przez cały czas - przez cały czas! - pracował na rzecz cudzoziemskiego spisku? Oczywiście, że nie. Sam Przywódca znalazłby się w kręgu podejrzeń. A kto zaakceptowałby taką myśl? To by zaważyło całą wieżę, zniszczyło cały reżim.

- Całkiem przyjemna perspektywa - stwierdził Harry.

- Och, daj spokój z tym romantyzmem. Mówisz jak ci neokonserwatyści. Puf! Usuńmy złych jednym uderzeniem. Świat nie jest czarno-biały. Przechodzi od jednego odcienia szarości do drugiego.

- Gówno prawda - burknął Harry.

- Chcesz mnie sprowokować, mój drogi, ale zapewniam, nie uda ci się to. Prawda jest taka, że wciągamy Irańczyków, którzy chcą widzieć wszystko tylko w czerni i bieli, do mojego szarego świata, gdzie nic nie jest dokładnie takie, jak by chcieli. A w szarości bardzo trudno jest odszukać drogę.

- Wiedzą, że ktoś majstrował przy ich programie nuklearnym. To jest pewne.

- Owszem. Premier podkreślił rolę tego biednego młodego człowieka, doktora Molawiego.

Ale nie mają pojęcia, jak daleko sięga ten spisek. Jedni powiedzą, że wszystkie problemy w Tohidzie to była jego wina, i nie zauważą błędów urzędzeń, które im sprzedajemy. Inni będą podejrzewać sprzęt, ale nie będą wiedzieli, jak tego dowieść. A jeszcze jest ta druga lokalizacja, Meszhed. Czy będą ją podejrzewać czy nie? Nie mają szans, by poznać prawdę.

- Poznają prawdę, kiedy znajdą urządzenie, które miał przy sobie Karim.

- A tak. Urządzenie.

Atwan zawołał coś po arabsku do Al-Majnouna, który wstał z fotela i pokuśtykał przez pokój. Kiedy do nich podszedł, wyjął z kieszeni czarnej marynarki prostokątny przedmiot i podał go swojemu szefowi.

- Chodzi ci o to urządzenie, drogi Harry? Odzyskanie go było główną przyczyną, dla której zdecydowałem się skorzystać z usług mojego przyjaciela Al-Majnouna. Wyjął je z marynarki tego irańskiego chłopca i włożył na jego miejsce kawałek plastiku. Nauczyłem się, że jeśli chodzi o szczegóły, lepiej nie pozostawiać niczego przypadkowi. Ani służbom wywiadowczym Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, które w zasadzie są jednym i tym samym. Tak więc, panie Pappas, nie sądzę, żeby Irańczycy mieli blade pojęcie, co się dzieje.

- Więc co zrobią? Na pewno się nie poddadzą.

- Będą próbować dalej. ONZ nałoży nowe sankcje, a MAEA zorganizuje nowe inspekcje. Ale Irańczycy wrócą. Stworzą nowe plany. Kupią nowy sprzęt. A ja im go sprzedam. Czy raczej, jak wolę myśleć, my im go sprzedamy. Zacząłem cię podziwiać, Harry. Pomimo twojego amerykańizmu jesteś całkiem odpowiednim współpracownikiem. Adrian, choć ma wiele zalet, zrobił się trochę za miękki. Wyczuwam, że ty jesteś stworzony z twardszego materiału.

- Mowy, kurwa, nie ma - powiedział Harry.

- Cóż za nieeleganckie wyrażenie. No, ale to część twojego stylu, więc muszę to zaakceptować u przyszłego partnera w interesach.

- Nie jestem twoim partnerem. Nie jestem niczym partnerem. Wychodzę z tego.

- Nikt z tego nigdy nie wychodzi, drogi Harry. To kolejne z twoich złudzeń.

- Przykro mi, Kamal, ale należą do czarno-białych. Nie lubię szarości. Wchodzę albo wychodzę, a w tej sprawie wychodzę.

Atwan pokręcił głową.

- Wy, Amerykanie, naprawdę powinniście siedzieć w domu, gdzie to urokliwe monochromatyczne podejście ma jakieś znaczenie. Nie sądzę, żebyście rozumieli naszą część świata. Która strona monety jest która? Która jest godzina? Dokąd jedzie ten pociąg? Kto to może wiedzieć, mój przyjacielu? Czy Iran zbuduje bombę? Nie dzisiaj, ale jest wiele

przyszłych dni. Przypuśćmy, że im się uda. Będą mieli tego nuklearnego potwora, ale nigdy nie będą pewni, czy zadziała. Nigdy.

Harryemu przestała się podobać ta metaforyka. Poczł obrzydzenie.

- Dlaczego to zrobiłeś, Kamal? Dlaczego uruchomiłeś tego mordercę Al-Majnouna? Zabiłeś szlachetnego młodego człowieka, któremu złożyłem obietnicę. Zabiłeś odważnych brytyjskich oficerów. To ty jesteś szalony. Co jest z tobą nie tak?

- Chroniłem swoją inwestycję, mój drogi. Nie wystarczy być po jednej stronie transakcji. Żeby była naprawdę bezpieczna, musisz być po obu stronach. Dlatego kazałem Al-Majnounowi obserwować wszystko od chwili, kiedy zacząłeś rozgrywać tego małego Molawiego. Gdybym tak nie postąpił, ktoś inny, dużo bardziej niebezpieczny, mógłby zająć moje miejsce.

- Gówno prawda. Jesteś handlarzem broni. Chciałeś tylko sprzedawać więcej gówna do Iranu i zarabiać więcej forsy.

Atwan wzruszył ramionami. Skoro Harry nie doceniał, co próbował zrobić, tym gorzej dla niego.

- Działam w specyficznej branży panie Pappas. Stawiam na niepewność. Stawiam na podstęp w interesach, co w naszej części świata jest po prostu częścią rzeczywistości. Staram się rozbudowywać wieloznaczność, która pozwala każdej stronie działać, nigdy nie dochodząc do punktu, który moglibyśmy nazwać końcem drogi. Końce są niebezpieczne.

- Ty naprawdę zwariowałeś, Kamal. A twój przyjaciel, pan Kartoflana Głowa, powinien spędzić resztę życia w więzieniu, macając strupy na twarzy.

? ??

Harry nie pofatygował się, by wymienić z gospodarzem uścisk dłoni czy powiedzieć coś odpowiedniego na pożegnanie. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, ale Kamal Atwan zawołał za nim:

- Zanim pozwolę ci odejść przyjacielu, muszę zadać ostatnie pytanie. Ma ono duże znaczenie dla moich przyszłych interesów. Skąd wiedziałeś, że Szaleniec pracuje dla mnie? To dobrze strzeżona tajemnica. Czy wasze możliwości techniczne są naprawdę tak duże? To zaczyna mnie martwić.

Harry roześmiał się. Miał wrażenie, że roześmiał się szczerze po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

- Cóż takiego śmiesznego jest w moim pytaniu, mój drogi?

- Nic, tyle że dowodzi, że jesteś frajerem.

- Słucham?

- Prawda jest taka, że nie wiedziałem o Al-Majnounie. Domyślałem się, ale dopóki mi nie powiedziałeś, że to twój człowiek, nie miałem pewności. Na szczęście mam przy sobie mikrofon, który przekazuje naszą rozmowę do moich głupawych kumpli z CIA na wypadek, gdyby ktoś kiedyś potrzebował tych informacji. I wiesz co? Z całym szacunkiem, ale za dużo gadasz, Kamal.

? ??

Harry wyszedł przez podwójne drzwi salonu, mijając Renoira i Moneta, minął kamerdynera tkwiącego przy drzwiach frontowych i znalazł się na zewnątrz. Wciąż lało. Przeszedł kilka przecznic do Piccadilly, gdzie znalazł niewielką kawiarnię. Siedzieli w niej głównie młodzi ludzie, wielu niedużo starszych od jego córki.

Wyjął komórkę i zadzwonił do swojego znajomego z MI5, brytyjskiej agencji bezpieczeństwa wewnętrznego, którego poznał wiele lat temu w Waszyngtonie. Rozmawiali prawie pół godziny, a Anglik robił notatki. Od czasu do czasu pytał o szczegóły, aż wreszcie wyjaśnili sobie wszystko.

Potem Harry zadzwonił do Adriana Winklera. Szef kadr SIS próbował udawać wesołość, ale dało się wyczuć, że nadal jest załamany. Harry zrozumiał, że Adrian naprawdę kochał Jackie. Było mu go żal, ale nie miało to wpływu na to, co musiał zrobić.

- Twój przyjaciel Atwan tonie - powiedział.

- Jak to tonie? Ten facet to nasza najlepsza inwestycja.

- Dokładnie tak, jak powiedziałem. Tonie. Okazuje się, że Al-Majnoun to jego człowiek.

Facet, który zabił twój zespół, pracował dla twojego kumpla. To właśnie próbowała powiedzieć ci Jackie. Jest teraz u niego. Kamal, twój kumpel, ukrywa terrorystę.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Można było wyczuć panikę zbierającą się po drugiej stronie łącza. A także złość.

- Powtórz, Harry. Chcę mieć pewność, że dobrze usłyszałem.

- Al-Majnoun jest w domu Atwana przy Mount Street. Musisz natychmiast zawiadomić MI5 i Wydział Specjalny.

- Dużo żądasz, Harry.

- Wcale nie. Oni już wiedzą. Są w drodze, żeby dokonać aresztowania. Dlatego dzwonię, stary. Jeśli nie poinformujesz piątki i Scotland Yardu, też utoniesz.

- Rozumiem - powiedział Adrian. Przez chwilę brakowało mu tchu, ale się opanował. -

Myślisz, że możesz to

zatrzymać, Harry, ale nie możesz. Jak sądzisz, kto utrzymał Atwana w interesie? Sądzisz, że to ja? Wolne żarty. Ja tylko zbieram drobiazg, który spadł z jego ciężarówki. Przeżyje, bo ma wysoko postawionych przyjaciół, którzy uważają, że jest cenny dla tego kraju. Moralność nie ma tu nic do rzeczy. I nic na to nie poradzisz.

- Owszem, poradzę. Już to zrobiłem. To koniec.

- Nie ma czegoś takiego jak koniec, Harry.

Pappas rozłączył się i schował komórkę do kieszeni. Zamówił kawę, ale po jednym łyku doszedł do wniosku, że nie ma na nią ochoty. Przestało padać. Wyszedł na ulicę i ruszył wzdłuż szarych budynków i kolorowych neonów Piccadilly Circus.

Podziękowania

Prawdziwy Iran będzie nas intrygował jeszcze długo, ale moja książka opowiada o wymyślonym kraju i żaden z bohaterów, firm czy instytucji w niej opisanych nie istnieje naprawdę. Nie należy też doszukiwać się jakichkolwiek odniesień do prawdziwych operacji wywiadowczych.

Tworząc ten wymyślony Iran, korzystałem z pomocy wielu osób i źródeł. Azar Nafisi z Johns Hopkins University był tak dobry, że porozmawiał ze mną o irańskiej literaturze i подарował mi kilka tłumaczeń klasycznych pozycji, takich jak Shahnameh Abolqasema Ferdowsiego czy Mój wujaszek Napoleon Iraja Pezeshkzada. Mój przyjaciel Karim Sadjad-pour z Carnegie Endowment for Peace przeczytał maszynopis i udzielił mi wielu cennych wskazówek. Doktor John R. Harvey, fizyk z National Nuclear Security Administration, pomógł mi poruszać się w nieujawnionej literaturze na temat generatorów neutronów i innych aspektów konstrukcji broni nuklearnej. Inni przyjaciele, których nie wymieniam tu z nazwiska, dyskutowali ze mną na temat Iranu.

Tworząc fikcyjny obraz tego kraju, przywołałem wspomnienia z mojej dwutygodniowej wizyty w Teheranie z ramienia „Washington Post” w 2006 roku. Czerpałem wiedzę również z wielu wspaniałych książek. W *In the Rose Garden of the Martyrs* Christophera de Ballaiguela znalazłem błyskotliwy opis reżimu, *Lipstick Jihad* Azadeh Moaveni był źródłem wiedzy o współczesnym slangu irańskim i o perskiej poezji, a także o poglądach kobiet na Republikę Islamską. Wiele cennych informacji o Iranie znalazłem w przewodniku wydawnictwa Lonely Planet. I zupełnie bym się zagubił bez *Teheran Directory* Kateb-e Awal.

Chciałbym jeszcze raz podziękować Garrettowi Eppsowi, z którym przyjaźnię się, odkąd poznaliśmy się na pierwszym roku college'u, i który był pierwszym czytelnikiem zarówno tej, jak i wszystkich moich poprzednich książek. Mój przyjaciel Jonathan Schiller jak zwykle wziął mnie pod skrzydła swojej firmy prawniczej Boies, Schiller & Flexner. Dedykuję tę książkę właśnie jemu i doktorowi Richardowi Waldhorno-wi, dwóm przyjaciołom rodziny. Jestem wdzięczny i innym, którzy przeczytali i skomentowali wcześniejsze wersje powieści: mojej żonie doktor Eve Ignatius, moim agentom literackim Raphaelowi Sagalyno-wi i Bridget Wagner, mojemu agentowi w Creative Artists Agency, niezrównanemu Robertowi Bookmanowi. Naprawdę mam szczęście, że znów jestem w WW Norton. Dziękuję Starlingowi Lawrence'owi za jego pracę redaktorską, jak również Jeannie Luciano, Rachel Salzman i wielu innym przyjaciołom z tego wydawnictwa.

I wreszcie - za tolerancję, dzięki której nadal mogłem pracować jako autor stałej rubryki, choć byłem zajęty pisaniem powieści - dziękuję Fredowi Hiattowi, redaktorowi „Washington Post”, Alanowi Sheatrerowi, który prowadzi Washington Post Writers' Group, a przede wszystkim mojemu szefowi i przyjacielowi Donaldowi Grahamowi.

W KSIĘGARNIACH

Elektryzująca powieść sensacyjna pełna zwrotów akcji poprowadzi czytelnika śladami płatnego zbrojcy przez świat, w którym przyjaciele okazują się śmiertelnymi wrogami, a pomoc przychodzi z najmniej oczekiwanej strony.

WKRÓTCE

w powieści sensacyjnej Kontrakt, główny bohater Killera ponownie staje się pionkiem w niebezpiecznej grze toczącej się pomiędzy światowymi agencjami wywiadowczymi i międzynarodowymi grupami przestępczymi.

W KSIĘGARNIACH

Wojna, miłość, zdrada to kilkanaście portretów kobiet z okrutnej historii XX wieku. Decydowały się na najbardziej niebezpieczne zadania, w których granica między życiem a śmiercią była tak niewidoczna jak pole minowe. Jedne szukały przygody lub łatwej drogi do fortuny. Inne uważały, że spełniają obowiązek wobec ojczyzny i gotowe były poświęcić życie albo... dokonać najohydniejszych zbrodni.